

PLAIN BELVA

ŽNIWA

ROZDZIAŁ I

Niosąc przedpołudniowy plon zakupów: mydełka z drogerii, bagietki z piekarni, podkoszulki i skarpety dla chłopców — przystanąła na czerwonych światłach i właśnie wtedy ujrzała jego samochód. Pomyślała, że w tej dzielnicy jest tylko jeden cadillac-kabriolet i zaraz potem zauważyła tę kobietę przy kierowcy. Stała w tłumie pieszych patrząc, jak samochód odpływa migocząc w słońcu lekarską tablicą rejestracyjną i dyskretnym chromem tylnych zderzaków.

Co to za jedna? — Wiedziała, że lubi klasę. — Klasę, ale nie byle kieckę. — Kobiety oceniał zawsze chłodno i estetycznie. — Czyżby? A ta siksa na pogrzebie mojej kuzynki? Farbowane w pasemka włosy, bluzka z cekinami. Może i do niej się dobierał. Jeśli nawet, to czy musiał robić to zaraz na cmentarzu? Niezły mąż.

Wypuściła reklamówkę z podkoszulkami i skarpetami z drżącej ręki. Ktoś podniósł ją i usłyszała wesoły męski głos:

— Może ja pomogę. Niech skonam, przecież to pani doktorowa Stern! Pewnie nie pamięta mnie pani? Jed Bauer, ten ze szpitala.

— Oczywiście, że pamiętam. — Kto to może być? Aha, pewnie jakiś stażysta. — Dziękuję panu.

Przegapiła zielone światła. Zmieniają się za minutę, a przez ten czas młokos będzie obsypywał ją komplementami.

— Dzieciaki zdrowe?

— Zdrowe, tylko przemęczone. Wie pan, jak to teraz w szkołach. Światła zmieniły się, przeszli przez jezdnię, a on wciąż gadał,

najwyraźniej czując się zobowiązany powiedzieć coś miłego pani doktorowej Stern, żonie tego słynnego doktora Thea Sterna.

— Nawet nie podziękowałem wtedy pani. Tak nas pani wtedy ugościła... mnie i moją żonę.

— Ja? A kiedy to było?

— Nie pamięta pani? Tamtej zimy zaprosiliście państwo stażystów na party. Byliśmy prosto z Idaho... moja żona prawie ze wsi, więc strasznie była spięta, ale u pani poczuła się zaraz jak w domu. Takich rzeczy się nie zapomina.

Iris dopiero teraz przypomniała ich sobie. Młodą małżonkę, niemal dziewczuszkę, w sukience uszytej na domowej maszynie, ze spiętymi usteczkami, łamiącym się głosem i lękiem w oczach. Zrozumiała ten lęk. Znała go z własnej przeszłości.

Uśmiechnęła się widząc teraz jego opiekuńczą, męską, ale wciąż nieco szczeniacką twarz. Bez śladu kokieterii i ochoty na podryw.

— Państwo są z Idaho? Wróćcie tam?

— Zamierzamy. Jane ostro zasuwa, a ja robię specjalizację. Proszę pozdrowić od nas męża. Właściwie nie znam go, ale widziałem go raz przy operacji i nigdy tego nie zapomnę. Pierwsza operacja plastyczna, jaką widziałem na żywo. Widziałem tę pacjentkę po wypadku. Zrobił jej nową twarz. To było niesamowite, istne cudotwórstwo! To pani samochód?

— Tak, to ten combi. Dziękuję za pomoc, doktorze. Może wpadną państwo kiedyś do nas? — Głos miała teraz wesoły i naturalny. Bóg wie czemu.

Usiadła za kierownicą i przez chwilę nie była w stanie przekręcić kluczyka w stacyjce. „Wielki pan doktor... cudotwórca”. Tylko czemu szwenda się z jakąś babą w samo południe? Zaraz, a może po prostu ją podwoził. Podwoził albo i nie...

Jego nieobecny wzrok, sztywne maniery, siwizna na wciąż czarnych włosach, wiedeński akcent nadal nakładający się na idealną, wyszkoloną w Oxfordzie angielszczyznę...

Przypomniała sobie kilkumiesięczną separację, na którą zdecydowali się przed pięcioma laty i do której postanowiła już nigdy nie wracać. Nie było to łatwe, ale wynagrodziło udawkę codziennych zmagania. Czy znów mają zacząć od nowa? Pomyślała, że drugi raz nie znajdzie już sił.

Spojrzała w lusterko. Czy po to, żeby się upewnić? Nonsens. Przecież wie, co w nim zobaczy: zadbaną, trzydziestosekstoletnią kobietę z włosami zaczesanymi za uszy, ciemnopiwnymi oczyma, cerą nie tkniętą jeszcze zmarszczkami, z nosem może nieco zbyt orlim, za to z zębami nie wymagającymi jeszcze regularnych wizyt u dentysty. Całkiem nieźle, chociaż mężczyźni nie gwizdzą na jej widok na ulicy.

Źle, ale nie to, co jej matka.

A jednak Theo kocha ją. To nie ulegało wątpliwości, choć niewielką niosło pociechę. By uspokoić rozdygotane dłonie, znów podjęła monolog:

Co właściwie o sobie wiemy? Wiem, że mój mąż jest jednym z lepszych chirurgów plastycznych w Nowym Jorku. Wiem, że mój ojciec jest właścicielem jednej z najlepszych firm budowlanych w tym mieście. Wiem, że mam czwórkę dzieci i że nasz dom zaprojektował papa na jednej z najlepszych dwuhektarowych działek w podmiejskiej dzielnicy. Wiem, że jestem zdrowa, a przynajmniej nic mi nie dolega, a więc mam wszystko. Wszystko?

Lista przedpołudniowych obowiązków, wykreślona w połowie, leżała obok na przednim siedzeniu: zakupy, szewc, podkoszulki dla Steve'a i Jima, porozmawiać z Mills o letnim obozie Laury, wizyta u fryzjerki, przedszkole Filipa, ustalić termin Bar Micwy* Steve'a, lunch w klubie z mamą i papą.

Spojrzała na zegarek, przeczesła włosy i zapaliła silnik. Ojciec był fanatykiem punktualności, spóźniałstwo doprowadzało go do szewskiej pasji, a więc przynajmniej pod tym względem nie wypadało go zawieść. Myśl o ojcu nappełniła ją nagłym spokojem. Ojciec oznaczał bezpieczeństwo. Wiedziała, że to dziecinne jak pocałowanie stłuczonego kolana lub skaleczonego palca—żeby nie bolało, ale taka już była. Właściwie powinna cieszyć się z urozmaicenia codziennej rutyny i normalnie czułaby radość. Ale teraz najbardziej pragnęła wrócić do domu, ukryć się w nim i być sama z sobą.

Był koniec września, ale powietrze było gorące i parne jak w środku lata i tylko pożółkłe liście drzew wskazywały, że to już jesień. Ulica pachniała mieszaniną mgły i spalin. W śródmieściu rozpoczęły się jesienne zakupy, a łukowate, udające neogotyckie witryny sklepów zappełniły się irlandzkim tweedem, włoskim obuwiem, szetlandzką wełną, francuską porcelaną, płytami, książkami i wykwintnymi przyprawami, w których gustowała cała ich podnowojorska społeczność.

Przed wojną była to wiocha, a ściślej mówiąc wieś. W piętnaście lat obszar i dochód na głowę mieszkańca potroiły się, co radowało tu wszystkich z wyjątkiem Iris. Gdyby mogła, wybrałaby to dawne. Dom kojarzył się jej z czymś małym i prostym.

Pomyślała, że innym już też przestaje się to podobać. Każdy chce więcej i szybciej. Chce mieć więcej niż sąsiad. Theo mawiał, że to

*** Bar Miewa — w judaizmie przejęcie przez chłopca kończącego trzynasty rok życia obowiązków religijnych dorosłego mężczyzny i związana z tym rodzinna uroczystość.**

naturalne po tym, co przeżyli podczas kryzysu i wojny. Znow ten Theo. Czy stale musi wracać do niego myślami? .

Przejeżdżając przez bramę klubu, do którego i oni zapisali się niedawno, pomyślała, że wcale jej na tym nie zależało. Wpisowe i miesięczna składka kosztowały majątek, a poza tym było tu zbyt sztywno, oficjalnie i snobistycznie jak na jej gust. Ale Theo uwielbiał tenis, rywalizację, baseny z ciepłą — nawet w zimie — wodą, golf i soczystą zielen. Nie mógł żyć bez tego.

W hallu nie było nikogo. Kto zdążył już wrócić z pól golfowych, spożywał lunch na tarasie, z którego dochodził szmer głosów.

— Państwo Friedmanowie już są — poinformowała ją zgrabna, wyrosła jak spod ziemi pannica odpowiedzialna za restaurację. — Czekają na tarasie, pani Stern.

Do tego też trzeba mieć talent — pomyślała Iris. — Jak ona zapamiętuje te wszystkie nazwiska i twarze? Pewnie, że musi, bo za to jej płacą, ale chyba kocha być w samym środku towarzystwa. Ja bym tak nie umiała.

Rodzice siedzieli przy stoliku pod pomarańczowym parasolem. Ucałowała ich w policzki i zaczęła się tłumaczyć:

— Przepraszam za spóźnienie. Nie sądziłam, że już jesteście.

— Drobiazg, córeczko. Tylko dwie minuty, więc ci wybaczymy. Twoja matka i tak obserwowała przez ten czas ptaki.

Pstrokata cizba złożona z wróbli, sójek, turkawek, kardynałów i gołębi tłoczyła się przy płytkim poidle.

— Patrzcie! — zawołała Anna. — Kaczki już wyruszają na południe! Skąd one wiedzą, kiedy odlecieć?

Uniosła wciąż młodą i pełną ciekawości twarz. Kasztanowe, ledwie tknięte siwizną włosy wiły się jej nad wysokim czołem. Parna pogoda nie robiła na niej wrażenia. Podobnie jak na jej seledynowej w czarno-biały rzucik bawełnianej sukience. Do tego sandały z czarnymi rzemykami, złoty łańcuszek pod szyją i pierścionek z brylantem na palcu. Iris, w białych szpilkach i różowej, noszonej od zeszłego sezonu letniej kreacji, poczuła się przy niej jak prowincjonalna kwoka.

— Co dziś zamówimy? — spytała Anna. — Ta ostatnia sałatka z homarów była wyborna.

— Chyba też się skuszę — przytaknął Joseph.

— Któż by pomyślał? — pogroziła mężowi palcem. — W domu taki purytanin, a w klubie homary.

Pogładziła jego dłoń, a w jej głosie nie było wymówki tylko przekora. Jak ona to robi? — pomyślała Iris. — Tyle w niej życia.

Życia, a może raczej ciepła, które aż promieniuje z niej, bo ona wie, że świat jest piękny.

— Co tam u ciebie? — spytał papa.

— Wszystko po staremu.

— I bardzo dobrze. Gdy wszystko po staremu, wiadomo, że wszystko dobrze. — Zanurzył dłoń w kieszeni marynarki, wyciągnął trzy smoliste cygara, wybrał jedno, odciął koniec, zapalił, zaciągnął się i wypuścił obłoczek aromatycznego dymu. Jego rozumne, stateczne oblicze pokryła błogość; błogość, która Iris zawsze kojarzyła się z papą.

— Masz szczęście z tym Theem — wyciągnął się na krześle.

— Chyba rodzice wymodlili ci takiego męża — zmrużył filuternie oko.

Iris nie odpowiedziała. Do czego on zmierza? Pewnie do niczego. Po prostu jest szczęśliwy i dumny z zięcia. Z punktu widzenia papy Theo był faktycznie wymodlonym zięciem: solidny fach, dobre maniery, ręce do roboty i łeb do pieniędzy. Taki powinien być mąż: umieć robić i umieć zarobić.

Ciekawe, co by powiedział papa, gdyby dowiedział się o jej udrękach? Nie, „udręki” to zbyt mocne słowo. Powiedzmy: o niepokojach — o tym, że niepokoi się o Thea. A jednak dręczą ją te niepokoje. Może udręka i niepokój to tylko kwestia słów?

Kłucie w skroniach zapowiadało migrenę.

Nie, papa nie może się dowiedzieć. To byłoby okrucieństwo

— bezcelowe i samolubne. Podziwiał Thea, a Theo podziwiał jego. Cóż by osiągnęła niszcząc to?

Theo naprawdę podziwiał teścia-samouka, który wspiął się o własnych siłach na sam szczyt. „Twoi rodzice dali mi po raz pierwszy poczucie domu tu, w Ameryce” — powtarzał jej często, a potem jego twarz tężała na wspomnienie Holocaustu, jego własnych utraconych rodziców, tamtej żony, synka. „To w ich domu pozbierałem się znów do kupy”.

— Taki mąż to istny skarb — powtórzył papa. — Nie, żebyś na takiego nie zasłużyła, córeczko. Po prostu bardzo z niego jesteśmy radzi.

Dziwne to było. Papa rzadko kiedy wpadał w tak sentymentalny nastrój. Może sprawiła to zbliżająca się w tym tygodniu rocznica ich ślubu. „Zdajcie rachunek z moich błogosławieństw” — powtarzał podczas każdej. Nie była to czcza formułka, bo w głębi duszy był głęboko wierzącym człowiekiem.

— Z waszych dzieci też — dodał. — Piękne macie dzieci. Powinniście mieć ich więcej.

— Joseph! — wybuchnęła śmiechem Anna. — Czego ty od niej wymagasz? Uważasz, że czwórka to nie dość?

— Dla mnie zupełnie dość — odparła. — Chciałabym wrócić do zawodu, skończyć studia, a najlepiej jedno i drugie równocześnie. Chcę coś robić, chcę zrobić coś z moim życiem — ciągnęła folgując irytacji i wiedząc, że ta irytacja jest tylko substytutem innej, leżącej głębiej.

— Przy tak licznej rodzinie? — Anna pokręciła głową.

— Przecież sama wiesz, jaka ze mnie gospodyni. Pomyślała, że powinna dodać „mamo”, ale teraz to słowo jakoś nie pasowało.

— W mojej lodówce nie leży sterta naleśników domowej roboty, nie potrafię umieścić ciasta na strudel, sadzić kwiatków ani układać ich w bukiety, nie potrafię szydełkować — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Anna uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że to pod moim adresem lub przed czymś się bronisz, ale mów dalej. Szkoda, że tak mało wiem o tobie i że nigdy nie dowiem się wszystkiego, choć próbuję, Iris”.

— Przepraszam — zreflektowała się. — Chciałam tylko powiedzieć, że nie jestem taka jak mama.

Przerzucała na matkę swoje własne zmartwienia, a to nie było w porządku.

— Oczywiście, że nie jesteś taka jak matka — wtrącił się Joseph. Ale i tak wiele robisz. O ile wiem, dbasz o dzieci, o męża...

— Tak, ale chcę czegoś więcej, czegoś istotnego.

— A dzieci to nic istotnego? — spytał. — Sama wiesz o tym. To najistotniejsze, czym możesz się zajmować.

— Masz rację, Josephie — Anna zamyśliła się. — Ale gdybym była tak wykształcona jak Iris... nie wiem... wiele mogłabym zrobić dla ludzi.

— A mało robisz? — przerwał jej. — Choćby organizacje dobroczynne, komitet patronacki szpitala, ruch wyborczy kobiet. Dużo robisz dla ludzi — dokończył stanowczym tonem.

Iris wydało się dziwne, że papa, z którym zawsze żyła bliżej, woli, by pewne kwestie pozostały nie wypowiedziane. Pewnie chce, bym pozostała mu w pamięci jako szczęśliwa dziewczynka, która przypadkiem dorosła, i nie wolno mu niszczyć tego obrazu. A mama? Ona chce mnie wysłuchać, mimo że zawsze był między nami jakiś dystans, o którym nie mówiłyśmy, bo nie umiałyśmy go określić. Czy robi to,

by zrekompensować mi moją urodę, której po niej nie odziedziczyłam, czy może śmierć mego brata? Nie, to musi tkwić gdzieś głębiej. Znacznie głębiej. Cóż ja o tym wiem?

— Skoro Theo chce, byś zajmowała się domem, dobrze ci radzę, córeczko — powiedział papa. — Zapomnij o tamtych rzeczach. Ciesz się tym, co macie. Wykorzystaj swoje zdolności w domu. Pamiętaj, że mężczyzna pracujący tak ciężko i w takim napięciu jak twój mąż, potrzebuje przyzwoitego domowego ogniska. Zwłaszcza mężczyzna z Europy, wychowany przed wojną w zupełnie innych zasadach.

Iris zdziwiło, że jej ojciec przywiązuje aż taką wagę do tej Europy. Jeszcze bardziej, że w jego słowach usłyszała wyraźną przyganę.

— A co z twoją sukienką, Iris? — spytała Anna, woląc nie czekać, aż emocje zepsują im tak piękne popołudnie. — Przyszłali ci już? Moja przyszła dziś rano. Bajeczna! — I nie czekając na odpowiedź zwróciła się do Joseph:

— Będiesz z nas dumny podczas bankietu, ale nie tak, jak my z ciebie. Wszyscy mówią, że ten pensjonat dla seniorów jest dziełem twojego życia. Dziś w banku usłyszałam, że to architektoniczne cacko.

— Nie przesadzaj z tą architekturą. Kto inny go projektował. Ja jestem tylko budowląncem — mruknął Joseph i aż się rozpromienił.

— Zbyteczna skromność. Bez ciebie nie powstałby i projekt. Zasłużyłeś sobie na honorowe miejsce podczas bankietu. A więc, jak z tą sukienką, Iris?

— Przyszła wczoraj.

— Gdzie się tak rujnujecie? — spytał Joseph.

— W „Chez Lea”. Gdzieżby indziej? — Anna uśmiechnęła się z miną niewiniątka. — Połowa moich przyjaciółek spędza tam dnie i noce.

— Za to ceny mają bandyckie — poskarżyła się Iris. — Byłam tam tylko trzy razy, nie licząc kupna ślubnej sukni i wyprawy.

— Ale przyznasz, że wiesz, za co płacisz — zripostowała Anna. — I nikt nie wpycha ci tam na siłę towaru, jak to dziś w modzie. Tylko perswazja. Poza tym Lea to urocza kobieta.

— Jak na mój gust trochę zbyt ciekawska. Nie podoba mi się jej wzrok, ilekroć tam bywamy.

— Przesada, Iris. A cóż mogłabyście o nas wiedzieć?

— Nie wiem. Po prostu coś mnie w niej niepokoi. Gdy dziś rano otworzyłam paczkę, wstyd mi było spojrzeć na metkę z ceną.

— Bywają okazje — wtrącił się papa — gdy odrobina zbytku nikomu nie zaszkodzi. Sama wiesz, że twoja matka nie przepuści na

głupstwa ani centa. Ale i ona czasami potrzebuje się ubrać. A ja też czasami potrzebuję, żeby ona czasami się ubrała. I Theo też potrzebuje tego od ciebie — dokończył z naciskiem.

Iris znów pomyślała o swojej mocno znoszonej różowej sukience.

Anna bezbłędnie zmieniła temat i spytała męża, czy zdążą z otwarciem pensjonatu przed jesienią. Jakby wyczuła zakłopotanie Iris lub odgadła, że pieniądze też są kłopotliwym tematem rozmowy.

Skąd mogła wiedzieć — biorąc pod uwagę styl życia Sternów

— że aż tak kłopotliwym? Kto by uwierzył, że ich konto bankowe jest coraz chudsze i że Iris czasami drży ręka, gdy wypisuje czek na pięćdziesiąt dolarów na dom.

Czasem drżała jej nie tylko ręka, gdy zastanawiała się, ile oszczędności ma Theo, jeśli w ogóle ma jakieś oszczędności. Gdy pytała, uśmiechał się i odpowiadał: „Tyle, ile trzeba. To moja sprawa. Za finanse odpowiada mąż”. Potem całował ją w policzek, głaskał po głowie, jak gdyby była dzieckiem, i zostawiał urażoną. Na drugi dzień — może faktycznie była dzieckiem? — przynosił niespodzianki

— zabawki dla dorosłych: portmonetkę ze skóry krokodyla, która akurat wpadła mu w oko na wystawie, lub parę spinek z lapis lazuli, na które na pewno nie było ich stać. Iris sumowała wydatki. Tak już ją wychowano. Gdy partner papy ofiarował jej z prezencie ślubnym srebrną zastawę ręcznej roboty, wymieniła ciężkie, nieporęczne sztuce na lżejsze, dające się szybko umyć i wytrzeć.

— Musiałabym polerować je godzinami — wyjaśniła wtedy.

— Przecież nie stać nas na dodatkową służącą, a ja mam inne rzeczy na głowie.

— Nie rozumiem cię, Iris — zachnęła się Anna. Uwielbiała zakupy i domową krzątanie i potrafiła z entuzjazmem poświęcić pół dnia na wszystko, co było jej własnością. Tylko że Iris była inna.

— Przepraszam was, ale o drugiej mam pilne spotkanie. — Joseph podniósł się z krzesła. — Ten lunch to luksus i kradzież czasu.

— Pochylił się i musnął w policzek żonę i córkę.

— Wszystko w porządku, Iris? — spytała Anna, gdy już oddalił się na bezpieczną odległość.

— Oczywiście, że tak. — Nic nie dało się ukryć przed jej przenikliwym wzrokiem.

— Nawet nie tknęłaś tej sałatki.

— Nie jestem głodna.

— Ale chyba coś ci dolega?

Czujny wzrok Anny powędrował na trawnik, gdzie gołębie dziobały rzucone im ziarno. Zamyśliła się i powiedziała cicho:

— Poczekaj jeszcze rok, dwa z tymi studiami i pracą. Nie śpiesz się... najważniejsze, że wciąż tego chcesz.

Chcę, i to teraz. Słowa, urywki przechowywanych w podświadomości zdań przebiegały jej przez mózg: „Bądź kimś... pokaż mu, że też coś potrafisz...”

— Czasy się zmieniają — powiedziała zebrawszy myśli. — Widzi mama, gdy byłam w college'u, nasz wychowawca mówił, że w wolnym świecie celem nauczania jest wykształcenie porządnej żony i matki. Już wcześniej czytałam to w jakimś czasopiśmie.

— Wiem, że trudno sprowadzić do tego rolę kobiety — odparła Anna z właściwym sobie taktem i delikatnością — ale jest w tym pewien sens. Jesteś wykształconą kobietą i do ciebie należy dbanie o wasze dzieci. A poza tym nie jesteś, jak ja, przybyszem w tym kraju.

— Nie mów tak. Zawsze byłaś dobrą matką.

Oczy Anny jak gdyby na chwilę straciły blask. Znów zamyśliła się.

— Bardzo pomogłaś ojcu i mnie, gdy zginął Maury. Pamiętasz, Iris? — Anna przerwała w pół zdania.

Pamiętała... Jak mogłaby nie pamiętać tej burzliwej nocy, gdy wicher tłukł w okna, a policja przyjechała radiowozem i powiedziała, że Maury zginął w wypadku samochodowym. Zapamiętała na zawsze ten przenikliwy wiatr i deszcz.

— Zawsze rozumiałaś, co wtedy przeżyliśmy.

Iris miała ochotę coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Chciała powiedzieć, że jej pragnieniem jest nadal nieść pomoc nieszczęśliwym i samotnym i że coś ją z nimi łączy.

— Chyba nie wiesz, ile dla nas znaczyłaś. To z ciebie czerpaliśmy siły.

Czyta w moich myślach — pomyślała Iris. — Wie, że coś jest nie tak. Radzi mi, że bym była mocna, jakbym sama tego nie wiedziała.

— Cieszę się, że pomogłam ci wtedy, mamo.

— Zwłaszcza ojcu. Mężczyźni są w takich chwilach słabsi.

— Jedni słabsi, a inni mocniejsi. Papa jest chyba dość miękki. Nie sądzi mama, że tylko udaje twardziela?

— Tak... jest miękki jak nadziewane jabłko. Dla niego jesteście wszystkim — ty i wasze dzieci, Iris. — Znów się uśmiechnęła.

Chce, że bym była szczęśliwa i nie przysparzała im kłopotów.

— Niezupenie wszystkim. Zapominasz o sobie.

— Nie zapominam.

Może podświadomie, może nie, Anna spojrzała na dłoń i skrzyżując się na palcu pierścionek z brylantem. Dar od Josepha, i to on włożył jej go na palec. Dla niego był symbolem sukcesu; sukcesu wyrostka z czynszowej rudery, który dziką pracą wspiął się na sam szczyt. A mimo to Iris ogarniały czasami wątpliwości, czy jej matce pomimo spokoju, doświadczenia i przywiązania do papę dobrze było z tym, którego poślubiła. Przecież tak bardzo byli różni.

Nie, to podłe — myślała w takich chwilach i wstydziła się swoich wątpliwości. — Czy mężczyzna mógłby szanować żonę tak jak papa mamę, gdyby nie łączył ich prawdziwy związek?

Jaka z niej piękna kobieta — snuła dalej myśli.—Nic dziwnego, że mężczyźni wciąż kręcą się koło niej, nawet gdy w zasięgu wzroku są młodsze roczniki. Ciekawe, co czuje wtedy papa?

— Iris? — Anna wyrwała ją z zadumy. — Pytam cię raz jeszcze, czy wszystko jest w porządku? Przepraszam, jeśli się narzucam.

Oczywiście, że się narzucasz — odpowiedziała w myślach.

Na trawniku żarłoczna wrona rozproszyła dziobiące ziarna stadko. Iris, pozorując zainteresowanie sceną, zmrużyła oczy, by nikt nie dostrzegł, że ma jej wilgotne, i odwróciła się z krzesłem w kierunku ptaków.

— Przecież widzisz, że nic mi nie jest.

— Wszystko przyjdzie z czasem. Wierz mi, Iris. Bądź cierpliwa. Kobieta ma stworzyć mężczyźnie dom. Życie mężczyzn też nie jest łatwe. Muszą walczyć o pozycję w świecie, a kobiety są im w tym podporą.

A kto ma być podporą dla kobiety? — pomyślała Iris, wzdragając się przed tą banalną, starą jak świat radą.

— Mamie łatwo mówić — powiedziała, gdy wstawały z krzesła.

— A tobie zbyt trudno, córeczko.

Ruszyły w stronę parkingu. Wiotka dziewczyna w marszczącej tenisowej spódniczce, z włosami upiętymi w koński ogon, pomachała Iris ręką.

— Co to za jedna? — spytała Anna.

— Deblowa partnerka Thea, tu, w klubie. Podobno ma niezły serwis. <

— To widać.

Anna stała przy combi czekając, aż Iris zapali silnik.

— I pamiętaj, że Theo naprawdę cię kocha. — Rozejrzała się na boki. — Zapomnij o tym, co było. Było i minęło. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałam? Zazdrość może cię zniszczyć.

Bystra z niej kobieta. Szybko połapała się, że jej córce chodzi nie tylko o pracę w szkole. Ale cóż mama wie o zazdrości? Papa nie był babiarzem. Papa nie szwendal się po mieście samochodem z jakąś inną, i do tego w samo południe.

— Naprawdę nic mi nie dolega. Muszę już jechać. Dzieciaki zaraz wrócą ze szkoły.

Wcisnęła gaz i po chwili była już na szosie. Minęła kościół reformowany, do którego uczęszczali — zgrabną, nowoczesną bryłę pasującą beżową wykładziną jak ulał do podlewanej przez okrągły rok zieleni. Przemknęła obok salonów gier i pizzerii, pawilonów handlowych i stacji benzynowej, odbiła w bok i już była w innym świecie. Po obu stronach gęsty szpaler starych drzew, rezydencje w stylu kolonialnym; może nie czysta francuska Luizjana, ale zawsze Luizjana, choć *a la* Nowy Jork. Zahamowała przy samym końcu zielonej ślepej uliczki.

Dom krył się w jesiennych klonach, których szmaragdowe liście przechodziły już w złoto. Przeszkłony, wsparty na sekwojowym belkowaniu, przypominał łódź żeglującą po jeziorze o zachodzie słońca lub — jeśli kto woli — kryształowe puzderko porzucone na trawniku.

Gdy budowano go przed kilku laty, miejscowi przychodzili, by popatrzeć, popodziwiać albo powydziać na tę „nowoczesną architekturę”. Papa kręcił nosem, ale dostosował się do gustów córki. Wiedziała, że Theo też nie był nim zachwycony. Wolałby elżbietańskie okna i wykusze, do których przywykł w Anglii, lub stateczną, europejską secesję, w której się wychował, choć docenił koszty budowy. Dziwnym trafem, to właśnie one przerażały najbardziej Iris. Przecież to wszystko mogłoby być o połowę mniejsze i równie nowoczesne. Czułaby się tak samo dobrze i nie mniej dumnie. Te wielkie pokoje, w połowie wciąż nie umeblowane, były ponad ich stan, podobnie jak podjazd, ozdobne żywopłoty i ogród. Oczywiście, puste ściany aż prosiły się o obrazy. Miło było buszować po galeriach na Madison Avenue i na Pięćdziesiątej Siódmej, ale ilekroć Theo sięgał po książeczkę czekową i wrzucał niedbale kolejny zakup do bagażnika wozu, czuła skurcz w żołądku. To Theo namówił jej ojca, by nie liczył się z kosztami i projektował, jak mu w duszy gra. To Theo wymyślił taras i kort tenisowy, zatrudnił projektanta ogrodów. Przecież kawałek trawy i kilka drzew też by im wystarczyły?

Steve i Jimmy z koleżankami z ostatnich klas podstawówki ćwiczyli rzuty do kosza na przydomowym boisku. Pomachali jej i zajęli się grą.

Przez chwilę przyglądała się im. Udani chłopcy. Zrzucili podkoszulki, a pot spływał im po torsach opalonych na letnim obozie. Marzenie jej rodziców, a ich dziadków. Szczęśliwe dzieciaki. Same nie wiedzą jak szczęśliwe. Niech Bóg im sprzyja. Gdyby mogła, sama weszłaby też na boisko i przytuliła ich do siebie.

Przyszli na świat w odstępie niespełna jedenastu miesięcy. Po ślubie Theo nie dbał o kalendarzyk. Był namiętnym i nierozważnym kochankiem, a jej też było wszystko jedno. Uśmiechnęła się, przypominając sobie tamte czasy. Tak, wtedy było jej wszystko jedno.

Prawie bliźniacy, przynajmniej z wyglądu i z wieku. Jeszcze nie tak męscy jak Theo, ale wszystko przyjdzie z czasem. Zresztą już nabierali dorosłych kształtów — smukli, szerocy w barach, wąscy w biodrach. Z oczu też dobrze im patrzyło. Tyle, że Steve miał bardziej piwne i dociekliwe.

Obaj byli wysportowani, koleżeńscy i lubiani w klasie. Młodszy, Jimmy, musiał nadrabiać pracą, by dorównać Steve'owi. Może dlatego robił czasem wrażenie starszego. Czasami bywał dlań wręcz opiekuńczy. Steve nie chciał trenować sportów kontaktowych — nie z lęku, lecz z odrazy do przemocy — a Jimmy rozumiał to, choć sam lubił walkę. Wiedział, że w potrzebie użyje pięści, a jego brat języka. Nawet gdy mu go wyrwą, będzie bronić ich obu.

Taki dociekliwy, taki bystry — pomyślała. Popatrzyła jeszcze chwilę na chłopców i weszła do domu.

W kuchni Laura w sięgającym jej po kostki pożyczonym fartuszkum kroїła ciasto. Pochylona nad brytwanną przygryzała sobie w skupieniu dolną wargę. Z opadającymi na policzki kasztanowymi kucykami stanowiła niemal wierną replikę Anny. Nawet dalsi znajomi zauważali to podobieństwo. Jak gdyby przeskoczyła jedno pokolenie.

Ella Mea łuskała groszek na drugim końcu kuchennego stołu.

— Pracujemy ręka w rękę — roześmiała się. — Z córki pani doktorowej będzie niezła gospodyni.

Laura uwielbiała dom. Całkiem jak Anna! Jej pokoik przypominał ptasie gniazdko, ponieważ na dziewiąte urodziny zażyczyła sobie drobnego remontu, a Theo — ku przerażeniu Iris — kazał zmienić wykładzinę, położyć nowe tynki, wstawić nowe meble i do tego nowy dywan, oświetlenie i firanki. Gwiazdkę z nieba też by jej zafundował, gdyby tylko poprosiła. Na toaletce Laury stała cała bateria dezodorantów. Iris w jej wieku nie wiedziała, co to perfumy. Czasami dziwiło ją, jak różne bywają ludzkie doświadczenia. Może zresztą tak być

powinno. Na szczęście Laura nie zgłupiała od tego, a książki na legale знаła na pamięć.

— Laura świetnie się spisała przy szarlotce. Bardzo mi pomogła, pani Stern.

— Obralam połowę jabłek — pochwaliła się Laura.

— Szarlotka? A z jakiej to okazji?

— Z żadnej. Pan doktor lubi szarlotkę na deser. Nawet Ella Mea ubóstwiała tego człowieka.

— Tak nam z tobą dobrze, Ella — wyrwało się Iris.

— No nie, to mnie z państwem. Jesteście moją rodziną.

Ella Mea miała dwoje dzieci mieszkających przy dziadkach w Południowej Karolinie. W Boże Narodzenie brała dwa tygodnie urlopu i chyba tylko wtedy z nimi bywała. Pewnie tak właśnie wyobrażała sobie rodzinę. Iris poczuła się nieswojo.

Gdy Ella Mea nastąpiła w ich domu, początkowo zwracała się do niej: panno Brown, ale Ella kazała mówić sobie po imieniu.

— Jak to będzie wyglądać, skoro ona nazywa mnie panią doktorową Stern? — spytała pewnego wieczoru Thea.

— Normalnie — odparł nieco rozbawiony. — Skoro sama tego chce, czym się zajmujesz?

— Filip jest u kolegi — poinformowała ją Ella Mea. — Jego rodzice telefonowali, że nie musi go pani odbierać. Podwiozą go. A poczta leży na stoliku w przedpokoju.

Na marmurowym blacie leżały podręczniki, nowy, ale już podarty sweter Jimmy'ego i stos rachunków przyciśnięty wazą z czerwonym anturium. Kanciaste liście i czerwone płatki odbijały się w lustrze, a jej twarz oglądana przez ich wykrzywioną siatkę przypominała portrety kubistów: pokawałkowana i rozbita na nerwowe fragmenty. Nagle wróciła przeszłość: twarz dziewczynki, wspomnienie płynącego z kuchni zapachu przypalonej pieczeni, całkiem jak dziś, tylko że w tamten zimowy wieczór stała w drzwiach od podwórka i słuchała, jak matka mówi do ojca szeptem i jakby prosząc o wybaczenie: „Przecież też wiesz, Joseph, że ona nie jest pięknym dzieckiem”.

Odwróciła się od lustra, weszła do bawialni i przez chwilę wdychała w płuca jej czystość i spokój.

To był jej pokój. Jej własny, bezpieczny jak japoński ogródek — cichy, błogi i matowy. Proste duńskie meble na perłowym dywanie. Zasłony ze sztywnego, ręcznie malowanego lnu. Szwedzkie lampy ze sztucznego kryształu odbijały popołudniowe światło, które kładło się tęczo na podłodze. Parawan z czerwonej laki

— jak gustownie Skandynawia harmonizuje z Orientem! Przyciągał wzrok w kierunku szklanej ściany, za którą rosła w kamiennej donicy sosenka z Nortfolk. W październiku wniosą ją do domu i tutaj sobie przezimuje.

W rogu stał fortepian, dziecięcy steinway, który wniosła wraz z posagiem. Gdy grała na nim, patrzyła na powieszony w dwóch równych rzędach akwaforty, też pochodzące z domu jej rodziców. Długonogi brodziły po pustej plaży, na horyzoncie kłębiły się chmury, a przebiśniegi rozwijały płatki.

Wszystko to przynosiło spokój.

Przebiegła palcami po klawiaturze. Głośno to zabrzmiało w pustym domu. Nuty Filipa leżały otwarte. Jeszcze rok temu patrzył jej przez ramię, jak to czteroletni brzdąc, gdy sama grała. Teraz zaczęła go uczyć. Nauka i nauczanie przychodziły im równie szybko.

Jaka matka, taki syn — powiedział Theo, gdy zeszłej soboty Filip zagrał im recital. Była uszczęśliwiona. Była szczęśliwa do dzisiejszego przedpołudnia, gdy znów zaczęły się stare lęki.

Ruszyła przez korytarz do swojej sypialni. W samym końcu, tam gdzie padało światło, wisiała fotografia w złoczonej ramie. Ramę kupiła mama, a Theo umieścił zdjęcie w tak wyeksponowanym miejscu.

— Wspaniałe rysy miał twój brat — powiedział kiedyś Theo.

— Szkoda, że go nie poznałem. Blondyn. Pewnie odziedziczył to po twojej matce.

„Złoty dzieciak” — przypomniała teraz sobie. Tak zawsze powtarzała mama. Sąsiedzi też tak mówili o Maurym. Iris pamiętała tamtą ulicę, przy której mieszkali, gdy rodzice byli jeszcze biedni. Kobiety wyciągały składane krzeselka przed domy, kołysały niemowlaki i przyglądały się zabawom starszego przychówku.

— W szkole był gwiazdorem — powiedziała wtedy Theowi, w niczym nie przesadzając. Biedny Maury. Jaki był, taki był, ale w koszykówce i w tenisie niewielu miał równych.

Szkoda! — westchnął Theo. — Miałbym partnera do tenisa w rodzinie.

Pomyślała, że ona, niestety, jest w sportach zupełną nogą.

Głosy i twarze kolejnych pokoleń przyplływały i nakładały się na siebie. Dlaczego jesteśmy tymi, którymi jesteśmy? Dlaczego Maury był Maurym — „złotym dzieciakiem”, Steve Stevern, Theo sobą, a ona...

Poczuła nieznośny ciężar. A przecież dzień zaczął się tak normalnie i radośnie.

Za gorąco tu w domu. Theo ma jednak rację z tą klimatyzacją. Wszyscy ją sobie fundują, a w nowych domach mają ją od razu w ścianach. Ale ile to musi kosztować! Rok temu Theo dobudował przy domu niewielką oranżerię, ale nie miał czasu, by z niej korzystać. Miał czas na przychodnię, a nawet by pojechać do Japonii i leczyć społecznie ofiary Hiroszimy, skąd zresztą przywiózł jej naszyjnik z czarnych pereł. Nie powiedział jej, ile kosztował, ale gdy zobaczyła, na jaką sumę go ubezpieczył, aż słabo się jej zrobiło. Mówił wiele o fundacjach, o tym, że lekarzowi nie wypada brać za dużo, a wszystko to brzmiało pięknie i szlachetnie. Tyle, że pomimo jego zarobków stali w miejscu, a to nie było piękne, lecz przerażające. Mieli czworo dzieci i co będzie, jeśli nagle któreś zachoruje? Zaczęła w myśli sumować znane jej na pamięć kwoty: podatek dochodowy, od nieruchomości, ubezpieczenia...

Zadzwoił telefon. Głos był znajomy:

— Wpadniecie na kolację w klubie? Zabierzemy was. Siódma wam pasuje?

— Oczywiście. Będziemy gotowi.

Ciekawe, po co? Kolejny klub, w którym nie zna nikogo, gdzie nikt nie wie, że jest żoną Thea, gdzie popatrzą na nią ze wzruszeniem ramion, ale gdy usiądzie u boku męża przy stoliku, będzie całkiem inaczej. Któż nie zna doktora Sterna? Tenisty, brydżysty, Europejczyka. Muszę być dowcipna i uśmiechnięta, choć to nie w moim stylu.

I gdzie on jechał z tą kobietą dziś po południu?

W szafie wisiała suknia zamówiona na bankiet papy. Czarny aksamitny stanik z głębokim dekoltem i ramiączkami podkreślającymi klasę jej szyi, ramion i biżuterii. Koral w złocie i brylanciki — autentyczne i oby już splecione. Dół z białego atlasu przylegał do wąskich — to jej mocna strona — bioder i akcentował co trzeba. Lea—co by nie powiedzieć — była droga, ale znała się na rzeczy. Theo zawsze namawiał ją, by ubierała się u niej. Podejrzewała, że sam szelest rozwijanych opakowań napelnia go dumą.

— Aksamit pasuje na wieczór — zasugerował jej. Właściwie to on nauczył ją ubierać się. Matka chyba dawno

położyła na niej krzyżyk po bezskutecznych namowach, by zaczęła się czesać jak Jackie Kennedy.

Nawet nie przyjrzałam się tej w samochodzie. Włosy miała, zdaje się, długie, czarne i rozpuszczone, więc pewnie jest młoda i ...

— Dość tego, Iris! — zawołała. Musi wziąć się w garść. Najpierw pod prysznic.

— Źle się bawiłaś? — spytał Theo, gdy wracali do domu. Dach kabrioletu był wciąż opuszczony. Wyciągnęła się w fotelu

i patrzyła w gwiazdy umykające między drzewami po obu stronach szosy. Dobrze było uciec od babskich plotek i mknąć przed siebie. Po upalnym dniu powietrze pachniało jesienią — świeżą i kojącą skórę. Ziemia spalona słońcem obracała się ku zimie.

— Nie odezwałaś się słowem — Theo powrócił do tematu. i

— Było bardzo przyjemnie.

— Czyżby? Czasami nie widać tego po tobie. Wszyscy się bawufe a ty siedzisz osowiała.

— O co ci chodzi? Zawsze taka jestem?

— Nie mówię, że zawsze. Czasami.

— Teraz bawię się lepiej niż połowa gości na tym party. Może nawet więcej niż połowa. Spójrz w niebo. Popatrz na te gwiazdy...

— Zostawmy gwiazdy. Powiedz lepiej, co cię gryzie. Zrozum, Iris, że naprawdę chcę ci pomóc.

Milczała, bo jak miała mu wyjaśnić, co ją gryzie, nie pozując na zgnębiającą ofiarę.

— A więc jak?

— Nie teraz, Theo. Nie chce mi się mówić.

— W porządku. Rozluźnij się.

„Pamiętaj, że Theo cię kocha” — powiedziała dziś Anna.

Przypomniała sobie cały dzisiejszy wieczór: wejście, wyjście, stół, przy którym siedzieli. Jak mogła nie zapamiętać tych spojrzeń: jego — rozumnych, a przy tym kuszących i dwuznacznych, i tamtej kobiety — reagujących, jakby dzieliła z nim jakąś tajemnicę. Wspaniały trójkąt: Theo jako magnes, a one jak dwie szpilki. Theo pożądlivy, Theo pożądaný.

Ma w sobie moc. Nawet w palcach, w „magicznych palcach”, jak to powiedział dziś ten doktorek. Ta chłodna, choć poorana przez życie twarz potrafi bez słowa wydawać polecenia.

Bohater *Resistance*. Poznał ból i cierpienie, ale się nie załamał. Czy mogła mu się oprzeć? Ona, naiwna, romantyczna panienka z prostej rodziny. Może powinna była poślubić kóregoś z tamtej czwórki adoratorów. Tego, który uczył w szkole, lub tego, który był księgowym. Obaj się w niej bujali, ale nie mieli w sobie ognia, za to Theo miał go aż za dużo.

Teraz, gdy jechali w milczeniu, zastanawiała się, jak daleko posuwa się w tych salonowych flirtach, dla niej tak bolesnych, i czy to tylko flirty, czy wstęp do wieczornych, potajemnych spotkań w łóżku. Na samą myśl o łóżku poczuła furię i upodlenie.

Nie odzywali się przez resztę drogi. W domu Theo został w bawialni, by wysłuchać najświeższych wiadomości. Dzieci już spały i wszędzie panowała cisza. Posępna i nic dobrego nie wróżąca. Zrzuciła suknię, wzięła prysznic i usiadła przy toalecie, by rozczesać włosy. Dręczące pytania wciąż przebiegały przez jej mózg. Czemu się ze mną ożenił? Czy dlatego, że moja matka potrafiła ugotować gulasz lub upiec strudel? Rozczesywała zawzięcie czarne włosy. Jego pierwsza żona — ta, którą wykończyli hitlerowcy — miała włosy jasne i ułożone w loki. Jak uważnie wpatrywała się kiedyś w jej fotografię! Nawet teraz potrafiłaby z pamięci opisać ją w każdym szczególe: kolczyki, nos nieco garbaty, ciemne koraliki wokół szyi. Bursztyny? Ametysty?

Wciąż szcztokowała włosy, gdy wszedł. Lustro toaletki odbijało jego zmartwioną minę.

— Wiem, że coś cię trapi i wiem, że jesteś zła. Powiedz szczerze, o co ci chodzi, Iris?

— O nic — odparła chłodno.

— Przecież widzę. Nieładnie, że martwisz się czymś i nie chcesz mi powiedzieć.

Poczuła suchość w gardle. Przełknęła ślinę i zacisnęła wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

— Źle się czujesz? Może jesteś chora?

Przestałbyś udawać, że cię to obchodzi — powiedziała w myśli.

— Słuchaj, Iris. Mam wiele cierpliwości, ale zachowujesz się jak dzieciak.

Zakołysała się na taborecie przed toaletką. Wiedziała, że przeciąga strunę. Poznała to z jego twarzy. Gdy była mała, twarz papy wpadającego w złość — choć rzadko mu się to zdarzało — była chmurna, ale twarz Thea w takich chwilach była wręcz groźna.

— Więc dobrze. Co chcesz usłyszeć?

— Jak spędziłaś dzień. Co robiłaś i w ogóle...

— Nic ciekawego. Zjadłam lunch w klubie z rodzicami, a przedtem byłam na zakupach. A co u ciebie?

Ciekawe co ma jej do powiedzenia?

— Rano, jak zwykle, operacje, potem prosto do gabinetu, kanapka w biegu i pacjenci.

„Prosto do gabinetu"! Spytać go otwarcie? Nawet się nie zająknął. Tak źle i tak niedobrze.

Stał oparty o szybę okna, splótł za plecami dłonie i bębnił palcami o parapet. Ściągnął brwi, jakby się nad czymś zamyślił.

— Co kupowałaś?

— Czy to takie ważne? Rzeczy dla chłopców, skoro już musisz wiedzieć: podkoszulki, spodenki, piżamy.

— Na Parker Street, koło szpitala?

— Tam i gdzie indziej. A co w tym złego?

— Nic, musiałaś mnie widzieć.

— Nie widziałam — pokręciła głową.

Zaczerwieniła się ze wstydu. Ten człowiek umiał czytać w jej myślach.

— Oj, Iris, Iris — westchnął. — To była pielęgniarka z mojego oddziału. Skończyła dyżur, w domu ma chore dziecko, więc zaproponowałem, że podwoję ją te kilkaset metrów. Czy teraz już dobrze?

Czuła, że lada moment rozplacze się z upokorzenia. Pochyliła głowę, by to ukryć, ale Theo delikatnie uniósł jej podbródek.

— Spójrz mi w oczy i powiedz, czemu zawracasz sobie głowę takimi głupstwami?

— Okłamałeś mnie! Ukryłeś to przede mną! Powiedziałeś, że pojechałeś ze szpitala prosto do gabinetu

— Na Boga, Iris! Czy mam nagrywać każde swoje słowo? Chyba na tym się skończy. Inaczej nie poradzę sobie z twoimi podejrzeniami.

— A ja mam chyba do nich powody? Powiedz, że nie mam!

— Czy znów musimy do tego wracać? Przecież to już pięć lat. Zawsze będziesz mi to wypominać? Bądź wreszcie dorosła!

— A może to ty będziesz wreszcie dorosły i przestaniesz uganiać się jak gówniarz za każdą spódniczką? Tak jak dzisiaj wieczór.

Wyrzuciła i to z siebie. Wiedziała, że nie powinna. Wiedziała, że obnaża się przed nim, a teraz jest bezbronna, słaba i głupia.

— W porządku, Iris. Jeśli poprawi ci to humor, jechałem na randkę.

— Ciekawe, co byś powiedział, gdybym to ja zaczęła się zalecać do któregoś z mężczyzn dziś wieczór?

— Do któregoś z nich? Może do tego w marynarce w kratkę? Ważył chyba dobre trzysta funtów.

Mocno jej dopiekł.

— Myślisz, że żaden mężczyzna już na mnie nie spojrzy? Najwyżej tłuścioch w kraciastej marynarce?

— Lepiej ich nie kuś, bo skrećę ci ten karczek. A tak w ogóle, Iris, cała ta rozmowa jest bez sensu.

— Bez sensu?

— Bez sensu i do tego żalosna. Marnujemy czas i energię na jakieś bzdury. Naprawdę tak nisko się oceniasz? Myślisz, że zamieniłbym twój mały palec na całą inną kobietę? Nie zauważyłaś, że cię kocham? Coś mi mówi, że będę musiał ci o tym przypomnieć.

Podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami. Odkoczyła i przyłgnęła do ściany.

— Przestań, Theo. Nie dziś. Nie po tym wszystkim.

— Co mam przestać? Po jakim wszystkim?

Przycisnął ją, mimo że bębniła drobnymi piąstkami po jego torsie.

— Śmiało, Iris. Lubię, gdy się bronisz. — Docisnął ją jeszcze mocniej. — Ty też to lubisz, dobrze wiem. — Całował jej szyję.

— Znam cię, Iris. Powiedz, że tego nie lubisz, a zaraz cię puszczę.

Płakała, ale teraz był to płacz przechodzący w śmiech, a zaraz potem w coś na kształt hysterii. Była bezradna, bo potrafił, jak zawsze, rozbroić jej złość. Cóż za absurdalne przeciwieństwo! Całował ją, pieścił jej piersi i mógł teraz zrobić z nią wszystko. Mógł i robił, a ona nie mogła go powstrzymać i wcale tego nie chciała. Zawsze zwycięży

— nic na to nie poradzi i nigdy go sobie nie podporządkuje. Wiedziała, jak bardzo go kocha, gdy niósł ją do łóżka.

ROZDZIAŁ 2

Kominek był z marmuru, ale ogień buzował w nim jak w wiejskim domu, choć Piąta Avenue leżała gdzieś nisko w dole. Okna, przysłonięte storami z adamaszku, wyglądały na Central Park, gdzie wicher zrywał z drzew ostatnie złotobrunatne resztki jesieni.

Wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze i wypolerowanych do połysku brytyjskich butach patrzył w ogień, pobrzękując kluczykami i bilonem w kieszeniach. Na oko mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i sześćdziesiąt lat. Może nawet więcej, ale wysportowana sylwetka tenisisty maskowała wiek. Klasyczne, orle rysy — teraz stężone — łagodziły oczy: błękitne i kontrastujące z jego oliwkową karnacją.

Nie ma drugich takich oczu — pomyślała kobieta i odłożywszy „New York Timesa”, przyjrzała mu się.

Była, jak on, w równie trudnym do określenia wieku: szczupła i niezłej budowy. Jasna cera, szerokie i niskie czoło, przyprószone siwizną włosy, które od młodości rozczesywała na boki. Oczy skośne, czujne i trochę azjatyckie. W sumie przystojna, choć nie tak, jak stojący przed kominkiem mężczyzna. Od czternastu lat byli kochankami.

Mieszkali osobno, po dwóch stronach Central Parku, bo przecież był mężczyzną żonatym, a jeśli nawet nie całkiem żonatym, to mieszkającym pod wspólnym dachem z żoną. Wiedziała, że kiedyś pobiorą się, może już niedługo, skoro jego żona dożywa swych dni w lecznicy. Umiała czekać tak, jak umiała przetrwać. Jej męża i syna zamordowali w Europie. Przeszła obóz koncentracyjny i przyjechała do Stanów, by praktykować tu jako lekarka. Jej życie zatoczyło pełny krąg.

Dobra była z nich para. Żadne nie wiedziało, co to nuda. On miał bank odziedziczony po ojcu i dziadku. Niewielki, ale cieszący się dobrą

renomą, mieszczący się w starym budynku przy Wall Street, gdzie naprzeciw biurka wisiał portret dziadka w sztywnym kołnierzyku i bokobrodach z czasów Franciszka Józefa, przypominający mu — jak często żartował — o powinnościach. Wiele ich miał. Zasiadał w radach nadzorczych sponsorujących domy starców, orkiestry symfoniczne, muzea, szpitale, instytuty międzynarodowe, Daleki Zachód i bliższe Appalachy, indiańskie rezerwy, murzyńskie getta, no i, rzecz jasna, Izrael.

Czasami przechodziło mu przez myśl, że gdyby jego żona nie była bezpłodna, nie miałby czasu ani ochoty zajmować się tym wszystkim.

Żona? Nieszczęsna, słabowita, neurotyczna Marian: bierna, uległa i krucha, której nigdy nie powinien był poślubić i która chyba też nigdy nie powinna wyjść za mąż. Czemu się więc pobrali? Dlatego, że w czasach tamtej, pierwszej wojny, „przyzwoity” chłopak z „przyzwoitej” rodziny nie zrywał narzeczeństwa. Jeszcze dziś czuł niesmak na wspomnienie gratulacji, potańcówek, herbatek, wyprawy panny młodej i pierścionka od Tiffany'ego.

A potem? Potem wiedział, że na samo słowo „rozwód” zareaguje rozstrojeniem nerwowym. Pamiętał przerażenie w jej oczach i błagalny szept: „Paul, powiedz, że mnie nie rzucisz. Przysięgnij, że nigdy mnie nie zostawisz!” Skrzywdzenie jej byłoby jak wyrzucenie dziecka z kołyski.

Jasne, że teraz była nieświadomą, żywą rośliną. Mógł przeprowadzić rozwód za jej plecami i ożenić się. Mógł, ale nie chciał. Nieważne, czy Marian pożyje jeszcze rok, czy umrze jutro. Niech odejdzie w godności, która zawsze była dla niej wszystkim. Niech odejdzie jako pani Werner, małżonka Paula Wenera. Tak bardzo lubiła czytać ten nagłówek na wykwintnej, kremowej papeterii od Crane'a.

Prawda, że nie wiedziała nic o jego drugim życiu. Było w tym sporo hipokryzji, ale czy nie zabezpieczał w ten sposób ich spokoju? Nie wiedziała nic o siedzącej teraz o krok od niego kobiecie ani o tamtej drugiej z kasztanowymi włosami i złotymi oczyma, od której kiedyś odszedł, by pozostać wierny złożonej Marian obietnicy. Nie wiedziała nic o tym przypadkowym spotkaniu na długo po ich ślubie i na długo po ślubie tamtej z innym mężczyzną. Spotkaniu, którego owocem było dziecko: dziewczyna, która nie wie i nigdy nie dowie się całej prawdy o sobie.

Kobieta w klubowym fotelu nie zauważyła, że gazeta spadła jej na dywan. Wyczuwała bezbłędnie, o czym on teraz myśli i było jej

go żal. Jako doświadczony lekarz znała życie i ludzkie słabości. Wiedziała, jak bezrozumnie mężczyźni marnują własne nasienie i idą przed siebie, nie czekając na czas żniw. Inni — ale nie ten. Jakby to wyczuł; odwrócił się od kominka.

— Wiesz, Ilso, że nie ma dnia, bym nie pomyślał o Iris? Chciała spytać, czy również o jej matce, ale nie spytała. Lisa nie

wiedziała, co to zazdrość. Przeszłość była przeszłością. Ona też miała dawne życie i niejednego kochanka. Liczy się tylko terażniejszość i o nią trzeba dbać. Na przyszłość lepiej nie liczyć. Życie nauczyło ją tego.

— Nie powinieneś iść na ten bankiet. Widzę, jak cię to przybiło. Ją chyba też. Mówię o Annie. Cud, że nie zemdląca, gdy się tam zjawiła.

— Jestem w radzie patronackiej tego pensjonatu. To chyba normalne, że byłem na otwarciu?

— Normalne, ale ja myślę o tej nieszczęsnej kobiecie.

— Zamieniliśmy tylko parę słów. Oficjalnie, jak to na bankiecie. Wiedziała, że chciałbym zobaczyć Iris.

Matki i córki nie widywał od lat. Wtedy obiecał, że nigdy nie będzie się narzucał, i dotrzymał słowa. Z jednym wyjątkiem: w dniu, gdy ukryci z Ilsa w tłumie naprzeciw synagogi patrzyli na Iris w ślubnej sukni i na Annę, wspartą o ramię męża i machającą ręką odchodzącemu z domu dziecku. Anna. I ten mężczyzna nie mający powodów, by wątpić, że Iris jest z jego krwi.

— Pięknie tańczyli — powiedział. — Idealna para. Zakochana para. — Ostatnie słowa wymówił cicho i jakby w zadumie. — Jej mąż musi nieźle prosperować. Chirurg plastyczny. Iris miała na sobie niezłą biżuterię. I ta kreacja od Lei — aksamit i atlas. Lea już wcześniej mi doniosła. — Uśmiechnął się, pokręcił głową i spytał poważnie:

— W sam raz okazja, by poplotkować z własną kuzynką o własnej córce, nie uważasz? Gdyby nie Lea i jej dom mody, nawet nie miałbym z kim poplotkować.

— Zapomniałbyś już o tym, Paul — skarciła go delikatnie.

— A ty zapomniałaś o swoim synu?

— Mój syn nie żyje! Twoja córka żyje i zatańczyła sobie w aksamitnej kiece! Zagryzł wargi. Faktycznie, podłe to było z jego strony.

— Przepraszam, wiem, że nie mam prawa ich porównywać. Wybacz, Ilso.

— Nie masz za co przepraszać. Po prostu nie lubię widzieć cię w takim stanie.

— Przynajmniej wiem, że jest szczęśliwa. Przypomina mi trochę moją matkę. Sam nie wiem, czemu? Wzrost, figura, oczy... przejrzyste, choć czarne i jakby zbyt duże w stosunku do twarzy. Szkoda, że jej wtedy nie widziałas. Istna replika... Nie wiem, jak ci to opisać.

lisa pomyślała, że Lea powinna jednak zachować swoje ploty dla siebie. Kiedyś sama będzie musiała jej to powiedzieć. Mimo tak odmiennych charakterów: lisa — chłodna, wykształcona, analityczna profesjonalistka, Lea — dynamiczna, cwana gaduła, umiejąca owinać sobie każdego wokół palca — były dobrymi przyjaciółkami. To Lea była pierwszą jej kumpelką w nowej ojczyźnie. lisa nigdy nie zapomniała stosów ciuchów, które Lea kazała jej przyjmować bez zapłaty. Piękniejszych niż wszystkie, jakie widziała w życiu. Ale hojność nie była jedyną zaletą Lei. Potrafiła być dyskretna i lojalna. To właśnie lojalność wobec Paula tak mocno je połączyła.

Lea wiedziała o córce Paula, na długo zanim poznał Ilse. Nie wiedziała, dlaczego właśnie na Leę scedował tę tajemnicę i nigdy go o to nie pytała. Podejrzewała, że po prostu musiał komuś to wyznać. Teraz miał dwie powiernice.

Za to Lea uwielbiała poruszać ten temat.

— Piękna z niej kobieta — powtarzała. — Oczywiście mam na myśli matkę, nie córkę. Gdy przychodzi do mojego salonu, nie mogę oderwać od niej oczu. Wiem, że to głupie gapić się tak na kogoś, kto nie wie, że ja coś o nim wiem, ale...

lisa słuchała tego z odrobiną niesmaku, czując coś nieprzyzwoitego we własnej ciekawości. Wsluchiwała się w słowa Lei, choć wiedziała, że nie powinna.

— Gdy Paul dowiedział się o dziecku — pięć, może sześć lat po ślubie Anny — błagał ją, by się rozwiodła. Odmówiła. Powiedziała, że sumienie jej nie pozwala. Kochała swego chłopca. Mieli syna. Jak mogła złamać życie porządnemu człowiekowi? Lepiej, żeby nigdy się o tym nie dowiedział.

Lea uwielbiała dramatyzm i romantyczny aspekt całej sprawy.

— Wspominał mi kiedyś o tym — hamowała ją w takich chwilach.

— Tak, to już stare sprawy. Teraz przesładuje go wspomnienie córki — Lea nie dawała za wygraną. — Bardzo chciał mieć dzieci. Żał mi go. Tacy jak on powinni mieć dzieci.

Paul znów podszedł do kominka. Płomienie nabrały pomarańczowej barwy, bierwiona zatrzeszczały, a pokój wypełniła woń sosnowego igliwia. Ilse brała ochota, by powiedzieć tym smukłym, odzianym w czarną marynarkę plecom: „Wiem, że zjawiłam się zbyt późno. To ja powinnam dać ci dziecko, może nawet kilkoro. Tyle, ile chciałbyś”.

— Paul, już wpół do trzeciej — powiedziała zamiast tego.

— Goście niedługo przyjdą.

— Pamiętam — pochylił się i musnął jej policzek. — Muszę zająć się przygotowaniami.

Dzień Dziękczynienia był jego ulubionym świętem. Uparł się, że w tym roku to on będzie pełnić honory domu, choć Lea i jego druga kuzynka, Meg, miały inne zdanie. Lea mieszkała o kilka przecznic dalej, w wytwornej, utrzymanej w federalnym stylu kamienicy z secesyjnym świetlikiem nad pomalowanymi na zielono drzwiami, mosiężną kołatką i ustawionymi przy stopniach rododendronami w wazonach. Meg i jej mąż, Larry Bates — oboje weterynarze

— zaszyli się w New Jersey na zupełnym wygwizdowie, w wykończonym od siekiery domostwie.

Ale to Paul postawił na swoim i dzisiaj on miał być gospodarzem.

Wynajmował piętro w starej, przedwojennej kamienicy i czuł się tam jak w domu. Wynajął je przed laty i pomimo przepastnych pokoi i kilometrowych korytarzy nie odczuwał pustki ani ogromu. To, co zgromadził, zastępowało mu bliskich. W bawialni nad kominkiem wisiał świetlisty Monet — jego pierwszy liczący się zakup. Rudy perski dywan odziedziczył po dziadkach. W rogu pokoju zrywał się do skoku kryształowy koń ofiarowany mu przez jego niemiecką rodzinę, zanim jeszcze puścili ją przez komin. Długi stół z mahoniu nabył niegdyś w Londynie, a teraz pokrywała go zastawa na dwanaście osób. Zauważył z satysfakcją, że Katie — jego gosposia — wybrała tę od dostawcy Jej Królewskiej Mości i ułożyła dokładnie tak, jak zawsze życzyła sobie Marian. Trzy bakaratowe kieliszki przy każdym nakryciu. A na samym środku jego ukochany róg obfitości wypełniony owocami, liśćmi i ziarnem.

Powinien udać się do kuchni i podziękować Katie. Właściwie nie potrzebował już ochmistrzyni. Wystarczyłaby mu pokojówka do ścierania kurzu raz w tygodniu, bo i tak stołował się u lisy lub w swoim klubie. Często wracał od lisy po północy. Wolał nie myśleć, co sądzi o tym pobożna i zasadnicza Katie. Ale przywykli do siebie i nigdy nie wspomnieliby słowem o wymówieniu. Po tylu latach to był i jej dom.

Odwiędził kuchnię, zamokął na widok rumianego indyka, chrupkich ciasteczek polanych żurawiną — prosto z piekarnika, pogratulował Katie, buchnął w mankiet zatrudnioną na ten wieczór podkuchenną i poszedł sprawdzić, czy pozostałe pokoje też wyglądają odpowiednio.

Na fortepianie miały stać kwiaty. Miały, a więc stały. Katie i o tym pamiętała. Herbaciane róże, prosto z kwaciarni. Wieczne światło miało padać ukośnie na jedwabne obicia i wyblakłą od starości makatkę. Padało. Ładny pokoik. Skromne gniazdko nowożeńców, zakładając, że nikt nie spyta, ile kosztował wtedy każdy z tych sprzętów. Ile ścienny zegar w obudowie z sandałowego drzewa, ile późnogeorgiański kandelabr. Ile akwarele pędzla Winsłowa Homera i karaibskie palmy gnące się pod naporem wichury. Pokój przybrał z czasem obecny, idealny — przynajmniej w mniemaniu Paula — kształt i nic w nim nie zmieniano, może z wyjątkiem obrazu, który przed miesiącem zawiesił sam na ścianie z oknem.

Spojrzał na płótno. Przedstawiało nagą, ciężarną kobietę. Włosy miała czerwone i leżała rozwalona na stosie fioletowych poduszek. Kupił go w Monachium, w tych międzywojennych czasach, gdy brał go dreszcz na widok maszerujących przez miasto brunatnych bandziorów. Pamiętał do dziś, jak zasuwali bocianim krokiem przy owacjach zidiociałych obywateli.

Zaraz potem — jakby dla kontrastu — przypomniała mu się szara ze strachu twarz ubranego w tuzurek właściciela galerii.

— To nie jest prawdziwy Klimt, panie Werner. Człowiek z pana klasą nie powinien kupować takiej nędznej podróbki. — Właściciel mówił to szeptem i jakby z wyrzutem.

Ale Paul Werner wiedział, że to „podróbka” i wiedział, dlaczego ją kupuje. Chodziło mu o to białe, czerwonowłose, spoczywające na poduszkach ciało. Wiedział też, że dla Marian będzie to istna pornografia nie pasująca do jej buduaru, więc zamiast się z nią spierać, powiesił obraz w swoim gabinecie. Teraz powędrował on na główną ścianę i ilekroć patrzył nań, coś go brało. Coś, o czym od dawna nie myślał i czego od lat nie odczuwał. Głupia sprawa, w jego wieku.

Iris miała rację. Iris czy nie Iris — nie powinien iść na ten bankiet. Powinien wziąć się w garść i nie iść.

Świąteczny zgiełk wypełnił dom. Od dawna jego ściany nie rozbrzmiewały takim gwarem. Marian przez ostatnie lata nie przyjmowała gości. Teraz, przy suto zastawionym stole, pełniąc obowiązki gospodarza, czuł szczególną radość, widząc Ilse na krześle pani domu. Dziś wszystko będzie jawne i oficjalne. Dziś przedstawi ją wszystkim, a wszyscy zrozumieją, że skoro jego żona spoczywa od lat w śpiączce, wolno mu mieć tę, którą kocha.

Katie stanęła na wysokości zadania. Indyk nadziewany ostrygami, biszkopty prosto z piekarnika; suflet był chrupki, ćwikła piekła w zęby, a sos chrzanowy wyciskał łyżyczym tropikalne danie splukiwane starymi rocznikami win. Na deser szampan, tradycyjna szarlotka z dyni i domowy specjał Katie: migdały w czekoladzie.

Goście najedzeni, chętni do rozmów, rozproszyli się po bawialni, bibliotece i hallu przytulnym jak każdy z pokoi.

Gdy Katie pojawiła się z tacą pełną likierów i brandy, Paul, nie zważając na sprzeciwy, wyjął ją z jej rąk.

— Napracowałeś się, Katie, i pewnie na ciebie spadnie całe mycie. Pozwól, że teraz ja powalczę.

Lubił być gospodarzem. Zapalono światła, bo o tej porze w listopadzie bywa ciemno. Wiatr uderzył w szyby, ale świadomość nadciągającej gdzieś za oknami zimy dodała mu otuchy. Przechadzał się ze srebrną tacą z pokoju do pokoju, zamieniając z każdym kilka słów, słuchając uważnie i patrząc, czy dobrze się bawią.

To on był łącznikiem między nimi lub to oni dzięki niemu kiedyś się połączyli.

Lea, jej mąż Bill i córka Meg, Lucy, grali w inteligencję troje na jednego, a przeciwnikiem był mąż Meg, Larry. Paul śledził przez chwilę ich zmagania, ale szybko zorientował się, że gracze interesują go bardziej niż rozgrywka. Znał swoją manię przyglądania się ludziom. Czasami folgował jej nawet podczas wielogodzinnych, do niczego nie prowadzących konferencji. Teraz jego uwagę przykuł kontrast między trójką światowych nowojorczyków, a pocziwymi, prostymi zasadami Larry'ego Batesa, wiejskiego weterynarza. Oczywiście, duszą gry była Lea. Błyskotliwa i dynamiczna — w czym przypominała Ilse, ale nie Meg, która znacznie szybciej się zestarzała. Z Leą czas obchodził się łaskawie. Jej perkaty nosek — gdy była mała, rodzice nazywali ją pieszczotliwie „małpeczką” — był tak chytrze

przypudrowany, że nikt nie pomyślałby, iż używa kosmetyków. Umiała mieć klasę i to tak, by nie rzucało się to w oczy. Skromna, ale z najlepszej wełny spódniczka, biała koronkowa, na pewno ręcznej roboty bluzka, odrobina złotej biżuterii; wszystko od niechcenia, ale w dobrym stylu.

Uderzyło go, że Lucy — choć córka Meg — w szarym wełnianym kostiumie, gęsto okraszonym srebrnymi drobiazgami, też jest bardziej z plemienia Lei. Była świeżo po rozwodzie, a część spadku po swoim cwany ojcu zainwestowała w dom mody Lei, którego była teraz współwłaścicielką. Nic w niej z matki. To po ojcu odziedziczyła czujne, pozornie uwodzicielskie spojrzenie, puszczone spod powiek o długich rzęsach.

Paul pomedytował chwilę nad Lucy i nad odmiennością ludzkich charakterów i ruszył na poszukiwanie Agnes, najmłodszej córki swojej kuzynki.

Znalazł ją w bawialni, wpatrującą się w akt ciężarnej kobiety. Sama malowała, więc pewnie rozpoznała autora, ale, znając powikłane układy w swojej rodzinie, domyślił się, że ukryła się tutaj nie po to, by studiować dzieło, lecz by uwolnić się od obecności swojej siostry. Agnes uciekła od najbliższych na najdalszy koniec Ameryki i mieszkała w kupionym za własne oszczędności górskim domku gdzieś między Taos i Santa Fe. Wciąż miała w sobie coś z dziecka, które chciałoby ulepić babkę, nie wchodząc do piaskownicy, gdzie bawią się inne bachory. Rozpuszczone włosy sięgały jej poniżej ramion, a jej strój stanowiły sandały, binokle, siermiężna spódnica, luźna bluzka i inkrustowany turkusami i srebrem pas Indian Navajo.

— Nie masz ochoty na drinka? — spytał.

— Nie piję. Skąd to masz? Ostatni raz, gdy tu byłam, jeszcze tu nie wisiał.

— A kiedy tu byłeś? — uśmiechnął się. — Chyba przed czterema laty.

Naprawdę pamiętasz ten pokój?

— Pamiętam to, czego tu nie było.

— Aha. Trzymałem go pod kluczem. Podoba ci się?

— Niezły. Przynajmniej jak na twój poziom. Podrabiany Gustaw Klimt?

— Tak, chyba kopia. Wątpię, czy facet, który to malował, wiedział, kogo kopiuje.

— A czy to ważne? Wszystko — poezja, architektura, cała sztuka — powstaje z tego, co było przed nami. Każda kopia jest oryginałem. A kim jest ta lisa? — zapytała ni w pięć ni w dziesięć.

— Ilsa? — uniósł brwii - Przyjechała tu z Niemiec zaraz po wojnie.

— Tyle i ja wiem — obruszyła się Agnes. — Przecież siedziałam przy niej podczas kolacji. Chcecie się machnąć?

— Agnes, przecież ja mam żonę!

— To też wiem. Tylko że podobno całkiem z nią już kiepsko. Więc gdy odejdzie, żeń się z Ilsą i to zaraz, zanim cię puści, Paul.

— Dzięki za radę — powiedział nieco oschłym tonem. Rozbawiło go jednak, do jakiego stopnia krewni lubią udzielać rad, nawet gdy nikt ich o to nie prosi.

— Dobrze ci radzę. Bombowa baba, naprawdę bombowa.

— Też tak sędzę. A skoro mowa o małżeństwie, jak tam u ciebie? Wiem, że jesteś młodsza ode mnie o dobre dwadzieścia lat, ale...

— Dwadzieścia dwa, jeśli chodzi o ścisłość. Dałbyś lepiej tego drinka. Może być brandy.

Przyniósł jej drinka i ruszył do biblioteki, gdzie Meg i jej syn Timothy dyskutowali z Ilsą.

Timothy Po wers był od kolebki ulubiericem Paula. Wyrósł na wspaniałego chłopaka: wysoki, przystojny, zdrowy, niezły w sporcie, ale i łeb miał nie od parady. Teraz, po trzydziestce, zachował wszystkie te cechy i mało przypominał rodziców, nie mówiąc o jego siostrach bliźniaczkach. Od kilku lat wykładał literaturę na różnych uniwersytetach, głównie na Środkowym Zachodzie, więc Paul rzadko go widywał.

— Dobrze, że jesteś, Paul — powiedział Timothy. — Właśnie rozmawialiśmy o obozach dla dipisów* po wojnie.

— Gdyby nie brytyjska blokada, od razu wyjechałabym do Izraela; wtedy nazywało się to jeszcze Palestyna — wtrąciła się Ilsa. — Właśnie tam chciałam jechać.

Zacisnęła dłonie i tylko Paul zauważył i zrozumiał ten gest. Zawsze robiła tak, gdy wspomniano tamte czasy. Po chwili rozluźniła się i mówiła dalej:

— Ufaliśmy Francuzom, ale to Franco... trudno uwierzyć, prawda?...To właśnie Franco wpuścił tysiące Żydów do Hiszpanii i nie zgodził się ich wydać nazistom. Za to Francuzi posłali ich prosto do gazu.

* Dipisi — (z ang. D.P.-s — Displaced Persons). **Osoby** wywiezione podczas II wojny światowej z własnych krajów, ewakuowane i **reewakuowane** z Niemiec przez aliantów z obozów i miejsc przetrzymywania.

— My tu też zachowaliśmy się wtedy parszywie — mruknął Paul. . — Przecież Roosevelt współczuł Żydom — zareplikował Timothy.

— Głównie w słowach — odparł Paul. — Tylko że ani on, ani Churchill nie zgodzili się na zbombardowanie linii kolejowych, którymi wieźli ich do obozów zagłady. Weizmann* molestował Edena**, a tamten kręcił głową. Eden uwielbiał Arabów. Pewnie dlatego, że tak malowniczo wyglądali na wielbłądach.

— Niesamowite, co mówisz — powiedział Timothy. — Dla mnie to coś zupełnie nowego.

Dla Paula to nie było nic nowego. Był wystarczająco stary, by nie dziwić się ludziom nie mającym bladego pojęcia o tamtych czasach.

— Interesują mnie te sprawy, Paul. Już dawno powinienem był odwiedzić Izrael. Ty pewnie byłeś tam?

— Dwa razy. Nawet w czterdziestym ósmym, gdy powstało to państwo.

— Daj mi znać, gdy znów się wybierzesz. Pojedziemy razem.

— Wybieram się. Może już w przyszłym roku.

— Dla mnie to czarna magia, od kiedy przed trzema laty zaczęli znów się łać o ten Kanał Sueski.

— To bardzo proste. Nie chcieli, żeby Nasser objął przywództwo w świecie arabskim i — jak sam to zapowiadał — zepchnął Izrael do morza.

— Ciekawe sprawy — ciągnął Timothy. — Przecież mój dziadek był Żydem, choć nigdy nie zaprzętałem sobie tym zbytnio głowy. U nas w rodzinie nigdy się o tym nie rozmawiało, więc skąd miałbym wiedzieć?

Fakt. Wujek Alfie nigdy nie rozmawiał o „takich sprawach”, co nie przeszkodziło mu utopić niemało grosza w żydowskich organizacjach dobroczynnych. Czy Meg zaczęła wiercić się w krześle dlatego, że jest jej niewygodnie, czy może z innych powodów? Co ją tak wzięło? — zdziwił się Paul. — Przecież oboje jesteśmy wnukami tej siwowłosej damy w czarnej, atlasowej sukni, wyniosłej babci Angeliki z Nowego Orleanu i równie wyniosłych DeRiverów

* Wizmann Chaim (1874—1952) — pierwszy prezydent Izraela. W latach 1906—1946 przebywał w Anglii, pełniąc, jako jej obywatel, liczne funkcje publiczne i doradcze. W okresie II wojny światowej był ekspertem brytyjskiego Ministerstwa Zaopatrzenia Wojennego.

** Eden Anthony (1897—1977) — brytyjski polityk i premier w latach 1955—1957. Podczas II wojny światowej kierował polityką zagraniczną w gabinecie Winstona Churchilla.

z Savannah i z Charlestonu — żydowskich rodów, które osiedliły się tu na sto lat przed powstaniem Stanów Zjednoczonych. I wszystko to, niczym rzeka o odwróconym biegu, kończyło się na Meg. Oczywiście, po matce miała równie zacnych przodków. Mocno musiała to przeżywać, gdy była dzieckiem. Jak mocno, tylko ona wie. On wiedział za to, że ostatnią z ich linii jest Iris. Iris, nieznana tu nikomu...

— Daj mi znać, gdy będziesz jechał — przypomniał mu Tim.

— Oby wszystko się tam ułożyło — dodała z niepokojem jego matka. — Na razie to bardzo niebezpieczny kraj.

— Długo jeszcze nic się nie ułoży — wtrąciła cicho lisa. — Donoszą mi o rzeczach, które nie trafiają na pierwsze strony gazet. O zamachach egipskich fedainów, o ludziach zastrzelonych, gdy wracali z pracy, o bombach podkładanych na targowiskach...

— Ma pani tam rodzinę? — spytała Meg.

— Ja nigdzie nie mam rodziny.

Zapadła cisza. Paul spostrzegł, że Meg zbladła. Potem usłyszał z ulgą dochodzący z sąsiedniego pokoju wybuch śmiechu. Lisa podniosła się z fotela.

— Idę zobaczyć, co wyprawia ta Lea — powiedziała. Timothy ruszył za nią, pozostawiając Paula i Meg samych.

— Wspaniała kobieta — zaczęła Meg. — Rozmawialiśmy przez godzinę i wydaje mi się, że znam ją od wieków. Musisz się z nią ożenić, Paul.

Rozdrażniło go, że w odstępie pół godziny ktoś znów udziela mu identycznej rady.

— Czy mam żenić się z każdą wspaniałą kobietą, która się nawinie?

— Przestań się zgrywać. Nie udawaj, że nie jesteście z sobą od lat. Myślisz, że nic nie wiem o tym gniazdku na Zachodniej Osiemdziesiątej? — dokończyła ze śmiechem.

— O czym ty gadasz, Meg? — zarumienił się jak przyłapany na gorącym uczynku sztubak.

— A czy ja coś gadam? Po prostu mamy wspólnych znajomych, a ci przypadkiem mieszkają drzwi w drzwi z Ilsa. Napatrzyli się przez lata, jak wchodzisz i wychodzisz. Przyznasz, że trudno pomylić cię z kimś innym. Zresztą, co ja tam wiem? — zachichotała.

Paul też poszedł w jej ślady.

— A ja myślałem, że mieliśmy wspaniałą kryjówkę. Tylko ani pary z ust.

— Kogoś ty się bał, Paul? Mnie? — W głowie Meg zabrzmiał Wyrzut. Tak, to właśnie jej się bał, ale teraz zbył to wzruszeniem ramion.

— Przecież Marian żyje, więc jak mógłbym...

— Wszyscy wiemy, że wegetuje od lat. Paul... sam wiesz, że ja nikomu nie życzę śmierci, ale... może to byłoby dla niej i lepsze... Więc jeśli tak się złoży, pamiętaj... pamiętaj, że po tylu latach naprawdę zasługujesz na taką, z którą byłoby ci dobrze.

Pomyślał, że już miał kiedyś taką, ale zacisnął zęby i podziękował Meg za radę.

Z hallu dobiegały dźwięki ubierających się pośpiesznie gości. Meg spojrzała na zegarek.

— Ale się zasiedziałam! Wspaniale było, Paul. — Ucałowała go w policzek. — Obiecuj mi, że gdy przyjdzie czas, zaprosisz mnie na wasze wesele.

— Oboje cię zaprosimy.

— Spodobałaś się im — powiedział lisie, gdy dom był już pusty.

— Wszyscy pytali, kiedy się wreszcie pobierzemy.

— Jacy wszyscy?

— Konkretnie Meg i Agnes.

— Przestań myśleć o wszystkich. Pomyśl o nas.

— Przecież my też tego chcemy.

— I cóż to zmieni? Czy nie jesteśmy razem?

— Jesteśmy, ale chciałbym, żeby to było oficjalne. Chcę tego, od kiedy uwolniłaś się od przeszłości. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli... Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

— Rozumiem, Paul.

Nalał brandy do dwóch szklanek i zasiedli na sofie, by oplotkować party. Całkiem jak stare małżeństwo po wyjściu gości.

— Miłą masz rodzinę — zaczęła lisa. — Zwłaszcza Meg. Zaczna kobieta. Nie dziwię się, że tak jesteś do niej przywiązany.

— Dla mnie była zawsze jak siostra.

— Czemu nie poznałeś nas wcześniej?

— Może to głupie, ale po prostu nie chciałem, dopóki żyłem z Marian, przynajmniej dopóki żyliśmy pod wspólnym dachem. Wiesz, że Meg domyślała się tego o nas? Wiedziała od lat.

Usa roześmiała się.

— Pojedziemy do nich na Boże Narodzenie — powiedział.

— Poczujesz się tam jak w powieściach Dickensa.

— Powiedz lepiej, kto był Żydem w twojej rodzinie.

— Ojciec Meg. Mój wujek Alfie. Zamienił tańs na anglikańską koloratkę zaraz po ślubie z Emily, tylko że ta koloratka trochę uwierała go pod szyją. Zresztą to jego sprawa, nie moja. Był wspaniałym gościem i bardzo go lubiłem. Czasem brak mi go. Brak mi całego tego pokolenia.

Podniósł szklanke i wpatrywał się w bursztynowy płyn, jakby na dnie odbijały się twarze dawno utraconych ludzi.

— Meg miała ciężkie życie. Nie tak ciężkie jak ty, ale inaczej ciężkie. Jej pierwszy mąż, Donal Powers, był milionerem. To stare dzieje. Był rekinem rynku, a zaczynał od szmuglowania rumu podczas prohibicji. Uchodził za dżentelmena, ale tak naprawdę był bandziorem. Padł i zaczął nowe interesy — tym razem z Niemcami za wczesnego Hitlera, ale szybko połapał się, że nie tędy droga. Krótko mówiąc, był skurwysynem. Wiem, że o zmarłych tak się nie mówi, ale taka jest prawda.

Przerwał. Przez mózg przelatywały mu różne złe wspomnienia.

— Bomba wybuchła w domu Lei podczas rodzinnego obiadu. Wujek Dan obchodził siedemdziesiąte urodziny, a było to w 1938 roku, tuż po Kryształowej Nocy. Siedzieliśmy wszyscy wstrząśnięci, trochę pochlipywaliśmy, a wtedy Donal powiedział, że z Hitlerem trzeba się dogadać, bo to on będzie górą. Poza tym Hitler zaprowadzi wreszcie porządek, więc można mu ufać. Powiedział też, że może nie obyło się bez niewinnych ofiar, ale gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. „Zawsze tak jest w historii” — dokończył. Rozpieprzył wujkowi Danowi całe urodziny. Pamiętam, jakby to było dziś. Nigdy w życiu nie korciło mnie tak, by przyłożyć w gębę człowiekowi. Meg też poczuła, że ma tego dość. Na drugi dzień zostawiła go. Zabrała piątkę dzieciaków i wyniosła się z domu. Dawno powinna była to zrobić. Ale pewnie cię nudzę?

— Nie. Powiedz, co było potem.

— Rozwiedli się. Zaczęła studiować weterynarię, poznała Larry'ego i pobrali się. Są wspaniałym małżeństwem. Od Donala nie wzięła ani centa, nawet na własne studia. Ani złamanego centa!

— Chyba domyślam się, kto jej płacił.

— Ja też się domyślam. Pieniądze są po to, by pomagać ludziom w potrzebie.

— I za to cię lubię, Paul. Kiedy ostatni raz ci to mówiłam?

— Cholernie dawno, więc możesz mi to teraz powtórzyć.

— A więc jesteś najlepszy, najzacniejszy, najmądrzejszy, najmilszy i do tego całkiem przystojny facet. Istny dar z nieba. A na dodatek kupujesz mi brylatny.

To ostatnie było przejrzystą aluzją, bo zdrowo musiał się namęczyć, nim przyjęła te kolczyki. Teraz miała je w uszach i pasowały jak ulał do jej siwawych włosów.

— Powiedz mi coś o tej nimfie — tej artystce. Miła, ale jakaś najeżona. Lesbijka? Tylko mów szczerze, Paul.

— Niewykluczone — mruknął Paul. — Donal spisał ją na straty. Nie lubił takich wolnych dusz. Ona też specjalnie za nim nie przepadała. Zresztą wiedziała, skąd pochodzą jego pieniądze.

— Lucy chyba nie robiło to zbyt różnicy? Pewnie niejednemu złamała serce. Niezły z niej wamp, prawda?

Paul lubił te gry, w których lisa zawsze bezbłędnie trafiała w dziesiątkę.

— Przyznasz, że jest dobra. Wielu mężczyzn chętnie dałoby się jej pożreć.

— Nie wątpię. A Timothy? Zupełnie inny. Czy nie sprawia wrażenia nawiedzonego proroka? Takiego z biblijnej pustyni?

— Mnie też zawsze wydawał się najciekawszy z całej rodzeństwa. Jego brat pracuje w Departamencie Stanu, jest na placówce. Też bystry i miły, ale bardziej sztywny niż Tim. Kochany ten Tim, prawda? Musi być świetnym wykładowcą — otwarty, nieskrępowany. Swoją część spadku przekazał Agnes. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Ona też, ale przekonał ją jakoś, że niezamożna kobieta, do tego malarka o niepewnych dochodach, musi mieć zabezpieczenie. Meg była załamana, kiedy sądziłem, że głupio zrobił, ale trochę mi chłopak zaimponował. Skoro twierdził, że to brudne pieniądze... On w ogóle zakłada, że majątku nie powinno się dziedziczyć. Teraz sama widzisz, że trudne te dzieci Meg.

lisa wstała i przez chwilę spoglądała w mrok za oknem.

— Dzieci to zawsze trudna sprawa — wymówiła to z bólem i wyczuł, że myśli o własnym synu, którego śmierć była też dla niej „trudną sprawą”.

Odwróciła się i znów była w formie.

— Wiesz, że gdyby strzelić z tego okna z łuku, strzała wpadłaby prosto do mojego mieszkania? — Spojrzała mu w oczy. — Aż nie chce mi się wierzyć, że to już czternaście lat.

— Od dawna mówię ci, że powinnaś się stamtąd wyprowadzić. Za małe i za ciasne jak dla ciebie.

— A to twoje? Jak można mieszkać w takich czeluściach? Nieswojo się tu czuję.

— Jakoś się przyzwyczaiłem — powiedział i dodał w myślach, że z czasem i ona się przyzwyczai.

Podeszła do kominka i przyjrzała się spoczywającej na marmurowej płycie parze ptaków. Były z chińskiej porcelany, pstrokatej jak skrzydła sówki.

— Bardzo ładne.

— I bardzo stare. Dynastia Yuan. .

— Któż by pomyślał? A to? Chyba nefryt?

W małej, zawieszanej na ścianie gablotce stały figurki: ciemnozielone, kremowe, różowe— wszystkie z nefrytu.

— Ładne, prawda?

— Piękne! I pewnie nieźle się kurzą. u Rozbawiło go to. Spodobała mu się ta uwaga w ustach tak skądinąd subtelnej kobiety. Pod tym względem zupełnie do siebie nie pasowali. lisa nie miała za grosz żyłki kolekcjonera.

— Wiesz, Paul, gdyby to ode mnie zależało, wystarczyłoby mi łóżko, ale tak miękkie, żeby można się było w nie zapaść, do tego kilka krzeseł, biurko do pracy, jakiś stolik, no i regał na książki. Może jeszcze kilka tekturowych talerzyków na wszelki wypadek. Wielu ludzi chciałoby tak żyć, tylko że nie może.

— A ty byś mogła?

— Ja tak, ale ty nie.

— Masz świętą rację. Ja nie chcę mieszkać w Izraelu, w kibucu ani gdzie indziej. Ja umiem tylko zdobywać dla nich środki — dokończył jakby z usprawiedliwieniem.

— Wiem, Paul. I wiem, jak wiele ich zdobyłeś. O wiele więcej, niż sam się przyznajesz.

Miała rację. O wielu rzeczach wiedział tylko on jeden. Przypomniały mu się mroczne czasy w 1948 roku, gdy młode państwo zostało zaatakowane ze wszystkich stron przez Arabów i gdy konieczność zdobycia broni była tak paląca, że kupowało się ją od każdego — nawet od rządzącej nowojorskimi nabrzeżami mafii. Paul wolał nigdy nie mieć nic wspólnego z tym towarzystwem, ale czy sam Roosevelt nie ułaskawił gangstera i nie posłał do Italii, by tam pomógł Amerykańskim Chłopcóm w dniu desantu?*

lisa uniosła filiżankę z kawą i spojrzała przez nią na Paula jak przez peryskop.

* Paul czyni aluzję do Lucky'ego Luciano, jednego z przywódców Cosa Nostry, skazanego na wieloletnie więzienie i wydalonego na Sycylię. Rola amerykańskiej i sycylijskiej mafii w przygotowaniu lądowania aliantów we Włoszech w 1943 roku nigdy nie została oficjalnie potwierdzona ani zdementowana przez Stany Zjednoczone.

— Wspaniale było. Ale powiedz, czemu nigdy nie wspomniałeś Meg o twojej córce? Przecież jej też ufasz?

— Nie wiem. Może dlatego, że jej rodzice żyli jeszcze, gdy to się zdarzyło. No i Marian... — dodał niezbyt pewnym głosem. — To tak, jak listy, które trzyma się do śmierci gdzieś w biurku.

Zegar szczęknął i mosiężny gong wybił wpół do którejś. Milczeli, milczeli długo.

— Paul, co ty przede mną ukrywasz?

— Nic, a niby czemu? — spytał jak wyrwany ze snu.

— Nie wiem, co. Wiem, że przez cały dzisiejszy wieczór nie byłeś w formie.

— Daj spokój. Sama powiedziałaś, że było wspaniale.

— Im było wspaniale, ale nie tobie, Paul. Na tyle cię znam.

— Pani doktor prześwietli pacjenta nawet bez aparatury — spróbował obrócić wszystko w żart.

— Prześwietli. Zwłaszcza mózg. Mów, o co ci chodzi. Iris? Zegarek na rękę tykał jak opętany, równo z tętnem.

— Kogo się wstydzisz? Mnie?

To nie był wstyd. Były kompleksy, których nie chciał ujawnić nawet przed Ilsa. Po co ma ją nudzić? Pamiętał czasy — nie aż tak dawne — gdy jego rówieśnicy zostawali ojcami, a on też marzył, by poklepać kiedyś po plecach kilku chłopaków w dresach i baseballowych czapczkach. Skończyło się na córce z nieprawego łoża. Kim właściwie była dla niego? Podglądał ją ukradkiem. Ile razy? Dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Zapamiętał bystry wzrok i miły głos.

— Iris dziwnie mi się przyglądała, gdy rozmawiałem z jej matką — wyrwało mu się nieopatrznie. — Na co tak patrzyła? Na moją twarz, zachowanie? Przecież zachowywałem się poprawnie? Dziwnie patrzyła, jakby wilkiem. Chyba mnie nie lubi.

Ilsa milczała. Oczywiście, większość kobiet powiedziałyby w tej sytuacji: „Przesadzasz, coś ci się przywidziało”. Tylko że Ilsa знаła życie i znała jego na tyle, by wiedzieć, że nie zmyśla.

— Nie wszyscy lubią wszystkich. Chyba zdążyłeś zauważyć. Zdążył. Zauważył, i to mocno. Potrząsnął głową jak pływak

otrzepujący wodę z oczu i włosów po wyjściu spod powierzchni wody.

— Ale przynajmniej z jej mężem pogadałem sobie. Spodobałby ci się. Wiesz, że on też pochodzi z Wiednia?

— Ja akurat z Monachium. To nie jest tak blisko. Spójrz na globus. Oboje jesteśmy z Europy... z tamtej, hitlerowskiej. — Poczul, że wchodzi na cienki lód. — Gadaliśmy o biznesie. Przedstawiono

mnie jako bankiera, więc spytał, w co powinien zainwestować. Mówił, że dla niego takie sprawy to czarna magia. Zdaje się, że podobnie jak dla większości lekarzy, przynajmniej tych z prawdziwego zdarzenia. Nie mają na to czasu, zresztą sama o tym wiesz.

lisa patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem i Paul spytał, o co jej chodzi.

— Chcesz wiedzieć, o co? A więc o to. Czemu poszedłeś na ten bankiet? Rozmawialiśmy o tym przez rok i myślałam, że strasznie chcesz zobaczyć córkę. Źle myślałam. Ty po prostu strasznie chcesz wtrącać się w cudze sprawy. Pomagać sobie i pomagać innym. Teraz słyszę, że chcesz pomagać jej mężowi. Twoja sprawa, Paul.

— Żadna moja sprawa, to mój biznes!

— Nie tylko biznes i nie udawaj, że sam o tym nie wiesz. Kim właściwie jesteś? Przekupniem zwołującym klientów katarynką? To śmieszne, Paul. — Wymówiła to szeptem, ale twardo. — Nie dzwoń do niego. Powiedzmy, że zapomniałeś.

— Chyba masz rację — przytaknął po chwili milczenia. Dobrze mu zmyła głowę.

— Wiem, że mam rację.

Popatrzył na przeciwległą ścianę. Miedziane włosy i mleczna skóra lśniły w półmroku. Otrząsnął się i wstał.

— Dałem Katie wychodne aż do poniedziałku. Przenocujesz u mnie? Pierwszy raz.

— Nie pójdziemy do mnie?

— Nie pójdziemy. I nie myśl, że tylko ty umiesz czytać w cudzych myślach. Ja też umiem w twoich. Wiem, że podle się czujesz w tym mieszkaniu i wiem, że już wkrótce tutaj zamieszkas. Może powinnaś się zacząć trochę do niego przyzwyczajać.

— Za dużo przepychu. Aż dech zapiera.

— Przepychu? Przecież to mój dom. Czuj się jak u siebie.

Przy końcu hallu były dwa przeciwległe pokoje. Światło z korytarza sączyło się do tego różowo-białego z podwójnym łóżem pokrytym koronkowymi poduszkami. Toaletka przykryta narzutką w kwiaty, nad nią lustro w połączanej rokokowej ramie, po bokach okna zasłonięte misternie upiętymi kotarami z tafty.

Paul zauważył wyraz twarzy lisy.

— Mówiłem ci, że Marian miała od lat osobną sypialnię. Moja jest naprzeciw.

Zaprowadził ją do drugiego pokoju, równie obszernego, choć całkiem innego. Całą ścianę pokrywały półki z książkami. Drugą

obrazy amerykańskich naiwnych realistów. Umeblowanie składało się z fotela do lektury, kanapy do rozprostowania kości i prostego, polakierowanego na granatowo łóżka.

— Ciasne, ale własne — powiedział Paul. — Za to mam tu przestronnie.

— Ładne fotografie. — Lisa spojrzała na zdjęcia stojące przed książkami. — Kto to jest?

— Moi rodzice. A tamta, to moja ciotka Hennie. Była dla mnie drugą matką. A ci, to kumple z Yale podczas wręczania dyplomów. Z kilkoma do dziś mam kontakt. Tamten, to mój kuzyn. Zginął we Francji podczas pierwszej wojny światowej.

— Istny album rodzinny. Wiesz, że niewielu ludzi przywiązuje dziś do tego taką wagę?

— Taki już jestem.

Nie wiedział, czemu taki już jest. Może to dziwactwo, ale zawsze poczuwał się do wspólnoty z rodziną.

Jeszcze w ogólniaku zaczęły nachodzić go pytania, dlaczego jest sobą i czemu znalazł się tutaj. Czy była to decyzja przodków podjęta przed wiekami? Czy Iris jest dlatego, że jej matka, żalosna emigrantka z Polski, wpadła mu w oko? Czy dzieci Iris są dlatego, że Hitler zmusił ich ojca do ucieczki z Wiednia?

Głupie pytania. Przecież dziś każdy szuka swoich korzeni.

— Słuchaj, Ilso — wyrwało mu się nagle. — Wiesz, że mój wnuk przystąpi za kilka dni do Bar Micwy? Rozumiesz to?

— Rozumiem, Paul, i wiem, jak cię to trapi — pogładziła go po dłoni — ale przestań się wreszcie tym zadrećcać. Czasami aż boję się ciebie. Igrasz z ogniem... balansujesz na linie; sama nie wiem, jak to nazwać. Obiecuj mi, że więcej nie będziesz. Proszę cię, Paul.

— Rzadko to robię. Od lat mi się to nie zdarzyło. Obiecuję, Ilso

— dodał z wymuszonym uśmiechem.

— Katie wspominała coś o jakichś kanapkach. Zaraz je przyniosę i poczujemy się jak w motelu. Pamiętasz naszą pierwszą noc w Black Forest?

— Jak mógłbym zapomnieć? — Dostroił się do jej humoru.

— Puchowe łóżko, pełny komfort. Szkoda, że dziś tu takiego nie mamy.

— Ale na wino chyba sobie zasłużyliśmy?

— Wino zostaw mnie. Tylko ja wiem, gdzie je znaleźć.

— Ostrożnie z tym winem, mój luby. Sam wiesz, jak na mnie działa.

Jak mógłby nie wiedzieć? Działo na nią błyskawicznie, a potem była bardzo, bardzo czuła. Znow młoda, a sprężystość i krzepkość jej ciała udzielały się i jemu. Jakie to piękne, że seks i miłość mogą trwać tak długo!

Strasznie ją kochał: jej cięty humor, jej szczerość i sposób, w jaki go kochała. Wybaczał jej nawet, gdy czasami zwracała się do niego: „mój luby”, co w innych ustach było pozerskie, ale gdy wymawiała to z cudzoziemska — ni to chrapliwie, ni mrużąc — mógł słuchać tego w nieskończoność.

— Chyba jednak sam skoczę po te kanapki — powiedział z determinacją. — A ty zrzucić tymczasem te łaszki, bo czas jest cenny. Zaraz wracam.

ROZDZIAŁ 3

Podmuch świeżego wiatru zerwał żółte płatki kwitnącej akacji i rozsypał je po tarasie. Iris pomyślała, że nawet z zamkniętymi oczami można odróżnić wiosnę od równie ciepłego jesiennego popołudnia. Choćby po zapachu wilgotnej ziemi i świeżo podlanych pelargonii w doniczkach na ceglanym murku. Na chwilę przymknęła oczy, by się o tym upewnić. Otworzyła je i raz jeszcze powiodła wzrokiem po szkarłatnych kwiatach, młodych brzózkach oddzielających basen od kortu tenisowego, wreszcie po ogrodowym parasolu, rozpostartym niczym spadochron pod błękitnym i gładkim jak jedwab niebem. Odetchnęła głęboko. Doznała rzadkiego i upojnego poczucia bezpieczeństwa i optymizmu. Warto żyć dla takich chwil.

— Synoptycy zapowiadają na jutro piękną pogodę — oznajmiła Pearl przez okno kuchni.

— I chwała im za to. Będziemy mogli podać drinki i przekąski w ogrodzie. Będzie tu większy tłum, niż przewidywałam. Ale przynasz, Pearl, że nieźle to wygląda.

— Duża sprawa! — Pearl aż zatrzepotała czarnymi kędziorami. — Nie ma to, jak widzieć szczęśliwą rodzinę.

Ella Mea też by tak powiedziała, ale wróciła już do swojej rodziny w Południowej Karolinie. Iris brakowało Elli Mei, jej serdeczności, siły i trzeźwych rad.

— Istne weselisko — pokiwała głową Pearl.

Wynajęci mistrzowie patelni zdążyli już zatarasować kuchnię tonami akcesoriów przygotowanych na jutrzejszy ranek. Część stołów zdołali nawet pokryć purpurowymi obrusami. Nakrycia były cytrynowe, pod kolor przygotowanych kwiatów: żółtych tulipanów

i fioletowych irysów. Dwa kwitnące krzewy białych azalii oczekiwały w cebrzykach przy wejściu.

Iris pomyślała, że ludzie tak bardzo tęsknią do odświętności, bo w takich dniach życie codzienne ulega zawieszeniu, wszyscy są szczęśliwi, a niebo błękitniejsze. Wszyscy, nie wyłączając Thea. Zaprosił mnóstwo znajomych z nowojorskiego szpitala i tych z miejscowej przychodni. Papa dołączył własną, równie długą listę. W końcu to Bar Miewa jego najstarszego wnuka, więc jak mógłby pominąć któregoś z krewnych? Miał niewyczerpane zasoby dalekich kuzynów i kuzynek, takich, których widuje się jedynie na tego typu okazjach lub na pogrzebach. To ostatnie porównanie — nie wiedzieć czemu

— lekko ją rozbawiło. Ale dla papy rodzina nie była niczym do śmiechu. Ostatni szmondak — jeśli tylko mógł wylegitymować się wspólnym przodkiem, choćby i dziesiątej wody po kisielu — był dziś serdecznie oczekiwanym gościem.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem, co nieomylnie oznaczało przybycie Steve'a. Stał jak wryty w hallu i powiódł wzrokiem po imponującej scenerii: okrytych purpurą stołach w bawialni i majestatycznych srebrnych świecznikach, które Anna uparła się wypożyczyć na tę okazję.

— Stary w domu?

— Ojciec jeszcze nie wrócił.

— Kiedy będzie?

— Chyba niedługo. Czy coś się stało?

— Nic. Po prostu muszę z wami pogadać.

W głosie chłopca brzmiała podejrzana niecierpliwość. W Iris odezwała się przekłeta matczyzna natura i postanowiła być nieustępliwa.

— Nie możesz mnie powiedzieć? — Zauważyła, że waha się, więc przeszła do frontalnego ataku. — Czy to coś ważnego?

— Nawet bardzo ważnego.

— Więc wejdź i usiądź. — Przymknęła za nim drzwi biblioteki.

— Jeśli to aż tak ważne, zatelefonuję do ojca.

— Wolałbym powiedzieć ci o tym bez ojca.

Przeszedł ją dreszcz. O co mu chodzi? Czy coś go boli? Odkrył, że staje się mężczyzną? Znalazł coś tajemniczego na swym ciele?

W jednej chwili całe szczęście, cała złotoróżowa błogość wyparowała z Iris.

— Steve, przestań trzymać mnie w napięciu! Mam sto tysięcy rzeczy na głowie, a do jutra jeszcze daleko.

— Właśnie o to mi chodzi. Ja też myślałem cały dzień. Dzień i pół nocy — ruszył z kopyta. — Myślałem i doszedłem do wniosku, że... że nie mam na to ochoty. Nie mam ochoty, nie chcę, nie mogę!

Iris zdrewniała. Tym razem dreszcz przeszedł od czubków palców po szczyt czaszki i spłynął kręgosłupem.

— Chyba się przesłyszałam. Czego nie chcesz? — Nawet nie mogła spojrzeć mu w oczy. Patrzył gdzieś hen nad jej głową.

— Bar Micwy! Całej tej zgrywy. Nie chcę, żeby gapili się na mnie jacyś obcy ludzie. Przecież większości z nich nigdy nie widziałem na oczy.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Chłopak stremował się i tyle. To często zdarza się w ostatniej chwili. Biedne dziecko. Zauważyła, że nad wycięciem podkoszulka zaczyna mu się już formować jabłko Adama.

— Oh, Steve! Wiem, co czujesz. Ale przecież znasz część z nich, a ci, których nie znasz, przyjdą tu po to, żeby ciebie poznać. Chcą spędzić z tobą ten wielki dzień.

— Nieprawda! Myślisz, że nie wiem, że ty i stary łąziliście na cudze Bar Micwy tylko dlatego, że was zaproszono i nie wypadało wam odmówić?

— Może czasem i tak, ale bardzo rzadko.

— Nie tak rzadko. Zawsze potem mówiłaś, że wynudziłaś się jak mops.

— Więc może częściej niż rzadko. Ale to głupi argument, Steve. Sam przyznasz, że to żaden argument.

— A cała ta zgrywa? Popatrz, jak wygląda nasz dom. Jeden wielki szpan.

— Szpan? Skromne przyjęcie. Przekąsimy coś w ogrodzie, a żeby było nam milej, zamówiliśmy trochę kwiatów. No i zaprosiliśmy nieco przyjaciół. Przyjaciół, którzy chcą złożyć ci życzenia w tak ważnym dniu.

— Dla mnie to żaden ważny dzień. Czuję, że jeszcze słowo i straci cierpliwość.

— Słuchaj, Steve, jesteś zgrzany, zmęczony i rozindyczony. Idź na górę, weź prysznic i wyciągnij się. A jeszcze lepiej, jak pójdziesz do ogrodu i pomocujesz się trochę z Jimmym i Filipem. Może wybiją ci te głupoty z głowy? Prysznic weźmiesz później.

— Chyba nie słuchałaś, co mówię. — Spojrzał jej w oczy. — Czy ty nic nie kapujesz? Przecież powiedziałem ci, że nie mam na to ochoty. Nie rozumiesz?

— Steve, przestań gadać od rzeczy!

— Więc przejdźmy do rzeczy. Zaczniemy od tego, że nie wierzę w Boga.

— Steve, to nie jest pora na dyskusję o teologii! — Teraz już na serio wpadła w złość. — O Bogu mogliśmy porozmawiać sobie mnóstwo razy, ale dziś, właśnie dziś... nie musisz mi tego robić.

— Sądzę, że właśnie dziś jest niezła pora na to.

Wstał, przeszedł przez pokój, postął przy szklanych drzwiach, przyglądając się akacji wciąż tracącej żółte kwiatki, podszedł do fortepianu i przebiegł palcami po klawiaturze ostrym decrescendo. Znów spojrzał jej w twarz.

— Jak inteligentny człowiek może wierzyć w te przesady? W miłosiernego Boga. — Jego wysoki, wciąż jeszcze dziecięcy głos kipiał ironią. — Ładne mi miłosierdzie! Po Holocauście, po tym wszystkim, co zrobiono z rodziną starego. Myślisz, że on w to wierzy? Nie wierzy. Po prostu mydli oczy swoim dzieciom. Ktoś gadał coś komuś na Górze Synaj, ktoś ustanowił jakieś prawo po wsze czasy, ktoś ustalił, co wolno, a czego nie wolno. Czemu ja mam to przyjmować? Co dobre dla mnie, może być złe dla jakiegoś innego faceta. Chcesz, żebym wierzył w te stare klechdy w wieku nauki, gdy lada dzień wylądujemy na Marsie?

Stał z rękami w kieszeniach, zuchwały i bez śladu łez w oczach. Pocziwa buzia zastygła w kamiennym grymasie. Iris pomyślała, że ma przed sobą dorosłego mężczyznę. Dorosłego i mocno doświadczonego. Jak stawić czoło tak zdeterminowanej i nieoczekiwanej rebelii? Co robi, jeśli on naprawdę nie zechce jutro pójść do synagogi? Święty Boże! Co powie rabin, co pomyślą wszyscy? A te plotki w klubie i w supermarkecie! Co z jego reputacją! A co powiedzą tamci? Wzrok Iris pobiegł ku przymkniętym drzwiom biblioteki, za którymi rozkładano właśnie na stołach karteczki z nazwiskami zaproszonych gości. Co z tamtymi zaproszonymi aż z Chicago i Bostonu? Ładnie, bardzo ładnie!

Wzięła się w garść i powiedziała wyważonym tonem:

— Skoro mówimy o nauce, to pewnie nie znasz słów Einsteina. To właśnie on powiedział, że im więcej wie o wszechświecie, tym bardziej podziwia jego wielki porządek. Dobrze... wiem, że Einstein nie był praktykujący, że nie chodził do synagogi, ale wierzył w uporządkowany świat, którym kieruje jakaś — nazwijmy ją boską — ręka. Dla niego Bar Miewa to nie była zgrywa, coś, czego nie dałoby się pogodzić z nauką. Na pewno nie... Wierz mi, Steve — dokończyła

niewielkim błagalnym głosem — Einstein, gdyby tu był, powiedziałby ci: „Idź tam i wypełnij swą powinność”.

— Opowiadał ci o tym? — spytał Steve, unosząc ironicznie brwi.

— A jeśli nie, to skąd wiesz, że tak by powiedział?

Tylko spokojnie. Trzymaj się, Iris. Najważniejsze to nie okazać złości.

— Wiem, że bolał nad tym, ku czemu zmierza ludzkość. Rozumiał, że tradycja to nie żaden fanatyzm, lecz moralne zasady: dotrzymywanie słowa, okazywanie szacunku, przestrzeganie przykazań — że ma to sens. Że dzięki temu żyjemy godnie. Obiecałeś wielu ludziom, Steve, że jutro o dziesiątej rano będziesz w synagodze i bardzo, ale to bardzo nieładnie by wyszło, gdybyś nie dotrzymał obietnicy.

— Słyszę, że ostro dyskutujecie — zawołał Theo, który właśnie wszedł do hallu. Spojrzył na Steve'a, potem na Iris i znów na Steve'a.

— O co tak się spieracie? Słysząc was aż za drzwiami.

— Nie spieramy się. Po prostu dyskutujemy... — zaczęła Iris i nagle zabrakło jej słów. Błagała w myślach, by nic nie zniszczyło tego dnia i aż zacisnęła dłoń. Uświadomiła sobie, że wygląda to teatralnie i ukryła je za sobą. Bezradne dłoń. Bezradne jak ona sama.

— Steve mówi, że nie chce iść na Bar Micwę.

— Czego nie chce? O czym ty, do licha, gadasz?

— Pyta, jak Bóg mógł dopuścić do Holocaustu. Może ty mu to wytłumaczysz, Theo — dokończyła łamiącym się głosem.

— Teraz mnie o to pyta? Ile lat uczył się religii? Chyba coś tam na ten temat mówiono?

— Powiedziałam mu... — Iris próbowała dobrać słowa — powiedziałam mu, że może jest to pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

— Tak jak na pytanie, ile demonów mieści się na końcu szpilki — rzucił Theo.

— Słuchaj, Steve. Pogadamy o tym innym razem. A jutro spełnisz powinność. Jedną z najważniejszych w twoim życiu.

— Może dla ciebie, ale nie dla mnie — mruknął syn.

— Dla mnie czy dla ciebie, ale spełnisz ją, mój chłopcze.

— Wszyscy potrafią chrzanić — ciągnął Steve, ignorując słowa ojca — ale czy zrobili coś, by zmienić świat? Popatrz na slumsy, popatrz na tę wojnę, na los Murzynów na Południu, na te jatki w Wietnamie. Popatrz i posprzątaj. To będzie religia!

— Dobra, ale najpierw to ty posprzątasz w swoim pokoju. Bo na razie przypomina chlew.

— I tylko to się liczy? Nie moje myśli, nie moja godność, a kilka brudnych skarpetek na podłodze?

— W czystych skarpetkach też można żyć godnie.

Dwóch mężczyzn mierzyło się wzrokiem. Iris znów zacisnęła dłonie i czuła, jak opadają jej ręce.

— Przestańcie, błagam was, przestańcie — wyszeptała. — Co ma do tego świat, co ma do tego pokój?

— A więc — podsumował Theo — dziś wieczór i jutro rano jesteś w synagodze, a jutro po południu widzę cię tu uśmiechniętego i zachowującego się jak przystoi cywilizowanemu gospodarzowi. Dyskusja skończona.

— Popatrzcie tylko! Poszła na to tona czekolady i druga cytryn! Drzwi otworzyły się i Laura, istna królowa piekarnika, wniosła

dumnie uginającą się od wypieków tacę. — Czujecie ten zapach?

Tuż za nią ukazały się rozpromienione twarze Josepha i Anny. Anna też ułożyła swoją tacę na stole.

— Iris? Płakałaś? Co się stało?

— Mamy mały problem — wyręczył ją Theo. — Właściwie to mój problem, papo. Nasz syn postanowił nie przystępować jutro do Bar Micwy.

— Co takiego? — Joseph wytrzeszczył oczy. — Chory? Otoczony kręgiem dorosłych chłopiec jakby zmałał i zapadł się

w sobie. Krucha sylwetka nie pasowała do dorosłej miny — bardziej spanikowanej niż zadziornej, co wcale nie poprawiło nastroju Iris. Może to jej ojciec powinien z nim porozmawiać? W końcu co dziadek, to dziadek. Sprzeczne myśli kłębiły się jej w głowie.

— Dość tych żartów — powiedział Joseph, dotykając dłonią czoła Steve'a. — Co ci jest? Przecież czuję, że nic. Gorączki nie masz. Nerwy? Zaraz wiedziałem. Pójdziemy sobie do ogrodu, usiądziemy i pogawędzimy. Na nerwy nie ma jak cień.

Wziął Steve'a pod ramię i ruszył z nim w stronę drzwi.

— Żaden cień! — krzyknął Steve cofając rękę. — Najlepiej mi zrobi, jeśli jutro nie pójde na tę waszą Bar Micwę, w którą i tak nie wierzę.

— Waszą? — powtórzył jak echo Joseph. Nie dość, że przez pół życia sam wyzwał się od podobnych przesądów, to jeszcze na koniec rodzony wnuk nie chciał iść do j e g o synagogi.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Papa też jakby nagle się skurczył. Zlustrował Steve'a od płowej czupryny po rozwiązana sznurówkę tenisówki, a potem z powrotem.

— A więc — wycodził po długim namyśle — może powiesz nam, jak to wszystko sobie wykoncypowałeś i czemu czekałeś z tym do ostatniej chwili, by teraz nas pognać?

— Od dawna o tym myślałem. Zaskoczyło mi, gdy dziś wracałem ze szkoły i wiem, że po prostu nie mogę. Wystarczy?

Joseph skinął głową i przysunął sobie krzesło.

— Dobrze, a więc powiedz, co ci zaskoczyło?

— To, że nie wierzę. Przecież mówię dziadkowi, że nie wierzę. Jak mogę wierzyć, skoro Boga nie ma?

— Dobrze, załóżmy, że go nie ma. Ale jak mi to udowodnisz, Stevie Stern?

— A jak mi dziadek udowodni, że on jest? Dziadek wierzy, bo dziadek jest stary i boi się, co będzie z nim po śmierci.

Iris poczuła, że teraz nie syna, ale ojca wypada bronić.

— Jak śmiesz, szczeniaku, mówić tak do własnego dziadka! — krzyknęła.

— A czy ja mu zabraniam, Iris? — spytał Joseph. — Co innego Laura. Laura nie powinna w jej wieku słuchać takich rzeczy. Weź, Lauro, te ciasteczka i zanieś je do kuchni.

Papa nie lubił, gdy przy dzieciach wyrażano się źle o Panu Bogu. Z kolei nie wytrzymał Theo i teraz on włączył się do dyskusji:

— Rozumujesz jak dorosły intelektualista, Steve. Szanowałem cię za to i, jak pamiętasz, zawsze pozostawiałem ci wolną rękę. Więc słuchaj: czy mówi ci coś nazwisko Nietzsche?

— Mówi. To on powiedział, że Bóg umarł.

— Tak, ale chodziło mu o to, że to ludzie stracili wiarę we wszystko i że pozostała im tylko pustka... próżnia. Przewidywał, że tę próżnię wypełnią ludzie podli, tacy, którzy wierzą tylko w moc. Jak hitlerowcy. Nietzsche twierdził, że potrzebujemy Boga.

Widać było, że Theo podjął wyzwanie. Teraz walczył o ład, porządek i o własną rodzinę. Iris wiedziała, że broni też Josepha i była mu za to wdzięczna.

Steve zwił między palcami listek zerwany ze stojącej na fotepia-nie roślinki. Nie było go stać na kontrargument.

— Ale po co to wszystko? — spytał, wskazując ręką na stoły w jadalni. — Wyżera i popijawa. Nic więcej.

— Przesadzasz — odezwała się wreszcie Anna. — Twoja matka jest bardzo oszczędną kobietą.

— Tato chciał zamówić filharmonię, ale mama zadowolila się kwartetem smyczkowym — mruknął pod nosem Steve.

Napięcie trochę zmalało, a Steve jakby zaczął mięknąć. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

— Nie mogę — wyrzucił z siebie Steve.

— Więc spróbuj zrobić to dla nas, synku. Nieważne, co tam sobie myślisz, ale zrób to po prostu dla nas... no i dla siebie — poprawiła się Iris.

Theo oparł dłoń na ramieniu syna. Wyczuwała z odległości jej drżenie.

— Dość tego — powiedział. — Matka nie prosi o nic trzynastoletniego gówniarza. — Przerwał i rozejrzał się wokoło, jakby czekał na oklaski. — Dyscyplina! Powtarzałem to słowo nie raz w tym domu. Powtórzę i dziś. W tym kraju rodzice zaczynają bać się własnych dzieci. Ich sprawa. Ja się nie boję i nie boję się im rozkazywać. Dla moich dzieci żywię miłość i szacunek i zakładam, że są to uczucia wzajemne. Za to — spojrzął na Steve'a — wymagam posłuszeństwa. Póki co, to ja jestem tu głową rodziny. Dlatego jutro przystąpisz do Bar Micwy jak każdy żydowski chłopiec.

— Mam gdzieś żydowskich chłopców. Równie dobrze mogę być Arabem.

— Boże, dobry Boże! — szepnęła Anna.

— Arabem? — krzyknął Theo. — Czemu nie hitlerowcem? Najlepiej od razu esesmanem!

— Spokojnie, Theo — pokręcił głową Joseph. — Według mnie, twojemu synowi potrzebny jest dobry klaps w cztery litery.

— Też tak czasem myślę.

Po co to wszystko? Po co to jasne niebo za rozsuwanymi szklanymi drzwiami, po co ten trawnik, po co rododendrony w donicach? — pomyślała Iris i nagle zaszlochała.

— Uspokój się, Iris — powiedziała Anna. — Steve przenocuje ' dziś u nas. Porozmawiamy sobie. Tak będzie lepiej. Niech już odpuści

tę synagogę dziś wieczór. Chłopak wystraszył się, a jutro rano będzie w formie. Prawda, Steve? Skocz na górę, weź piżamę, podkoszulek, dzinsy, co tam jeszcze chcesz, a jutro rano podwieziemy cię i zdążysz się przebrać.

— Ale ja nie chcę być tu ani dziś, ani jutro! ' Ella Mea — pomyślała Iris. — Tylko Ella Mea potrafiłaby utrzyć

mu nosa. Właściwie tylko ją kochał. No, może oprócz mamy.

— Chodź, Steve — powiedziała Anna. — Pójdziemy razem do twojego pokoju.

— Ale jutro już tam nie zajrzę — Steve trzymał się mocno.

— O tym, co będzie jutro, porozmawiamy jutro. Na razie jest dziś.

Dziwne, ale to właśnie Anna pozwoliła wyjść chłopakowi z twarzą z rodzinnej katastrofy. Poszedł na górę po rzeczy. Wszyscy czekali, patrząc milcząco jeden na drugiego. Pierwszy odezwał się Theo.

— Najważniejsze, że wreszcie się ruszył. Nie wiem, co go napadło. Dobry chłopak, ale ta mina... ta pogardliwa mina?

— Spietrał się i tyle. To jeszcze dzieciak, Theo. Kto jak kto, ale ja go znam.

— Przestałabyś lepiej chrzanić, Iris. Przepraszam, Anno. Ciężki miałem dziś dzień.

— Za co mnie przepraszasz? Ja też znam to słowo. Pogadam z nim i jutro rano wszystko będzie w porządku. A wy zjedzcie sobie coś wreszcie i wyśpijcie się porządnie.

* * *

Anna dotrzymała słowa. Zadzwoiła punktualnie o siódmej rano.

— Joseph i Steve zaraz wyjeżdżają. Joseph dopilnuje, by Steve ubrał się przyzwoicie. Poszło gładko, ale nie radzę wam z nim dyskutować. Co mądry w wiek zbuduje, głupi w mig zrujnuje.

— Mama jest wielka! — krzyknęła w słuchawkę Iris. — Jak się to mamie udało?

— Sza, Iris. Mama nie ma czasu na głupie pytania. I jeszcze jedno, ale teraz słuchaj uważnie: on będzie w synagodze, ale nie będzie na party. Powiemy, że poczuł się źle i musiał zostać w łóżku.

— Lepszy rydz niż nic — powiedziała do Theo, odłożywszy słuchawkę.

— Gorzki ten rydz, diabelnie gorzki.

Koniec końcem, Sternowie ubrani odświętnie ruszyli do synagogi. Laura uczesała jasne włoski jak piękna pani prezydentowa. Przyszły małżonek zbankrutuje przy takiej — pomyślała nie bez wzruszenia Iris widząc, jak Laura przepasuje się w talii błękitną, jedwabną szarfą. Jak bardzo różnią się jej dzieci! Może i ona powinna mieć cztery odmienne osobowości?

W synagodze Steve nie przyniósł im wstydu. Modlitwę miał wykutą na blachę, a tekst o miłosierdziu to była dlań pestka. Iris w pierwszej ławce, otoczona młodszym przychówkiem, czuła, że wszyscy razem też nieźle się prezentują. Ona w jedwabnej sukience

— młoda zieleń w kwiatuszki — którą Anna kazała jej zamówić u Lei. „W taki dzień powinnaś się pokazać” — przekonała ją. Jimmy, prawie dorosły, a mały Filip patrzył z podziwem, gdy dziadek przekazał ojcu zwój Tory, a ten z kolei wręczył go Steve'owi. Ją też powinien przejąć dreszcz, gdy święty zwój przeszedł z pokolenia w pokolenie, ale zdrząła tylko raz, gdy Joseph i Theo wymienili niespokojne spojrzenia nad głową jej syna. Czuła, że pocą się jej dłonie, sztywnieje kark i truchlała na myśl, że lada moment wydarzy się coś strasznego. Ale wszystko poszło dobrze i po chwili aż zwiotczała od bezgranicznej ulgi. I czego było się bać? — pomyślała. — A więc jednak jesteśmy porządną rodziną. Porządną, szczęśliwą rodziną, której dobrze się wiedzie.

No i po Bar Micwie. Teraz stali w przedsionku synagogi, przyjmując gratulacje. Goście podchodzili do Steve'a, poklepywali go po plecach podziwiając, że mimo choroby świetnie się trzymał w tak wielkim dniu. Party też się udało. Dopisała pogoda, kucharze, a zwłaszcza Joseph i Anna ściskający się ze wszystkimi zaproszonymi gośćmi tak wylewnie, że nikt nie spostrzegł kwaśnych min Thea i Iris.

Wreszcie goście wynieśli się, stoły uprzątnięto, dom zaczął układać się do snu, a Iris i Theo włożywszy pantofle powiedli wzrokiem po ścianach biblioteki. Dzień dobiegł końca; tak długo oczekiwany i tak koszmarny. Dobiegł końca i pozostawił po sobie tylko bukiety kwiatów i resztki w lodówce. No i poczucie zagubienia.

Theo wyciągnął się w fotelu, próbując ukoić pulsowanie w głowie jego miękkim oparciem. Zastanawiał się, jakie to egzorcyzmy odprawili ubiegłej nocy jego teściowa i teść, ale im dłużej myślał, dochodził do wniosku, że na dłuższą metę nic to nie zmieni.

Steve. Kim on właściwie jest? — Zacisnął powieki tak mocno, że zaczęły piec go oczy. — Steve, Jim? Młodzi Amerykanie. Wyżsi i twardsi niż ci, których pamiętał z dzieciństwa. Bardziej rozluźnieni i bardziej pewni siebie. Moja matka nazwałaby to arogancją. Bardzo inni. Ich europejscy przodkowie zdziwiliby się na ich widok.

— Uśmiechnął się na samą myśl o tym. — Co to sprawiło? Długość geograficzna? Czy przepłynięcie oceanu czyni człowieka innym?

Uśmiech zgasł mu na ustach. Przecież Steve jeszcze przed wczorajszą awanturą nie bardzo pasował do takiego wizerunku. Często mówił jak dorosły człowiek. Dorosły i bardzo mądry. Może to prawda, że trzynastoletni szczeniak jest już mężczyzną... Może tak ma być. Kto by nie chciał, żeby jego dzieci szybko weszły w prawdziwy świat? Każdy by chciał. Tylko czy wejdą w ten porządek?

Zaczął odliczać na palcach swoje potomstwo. Laura — mała kobietka, pewnie strasznie rozpuszczona, ale tak urocza, że nie sposób jej czegokolwiek odmówić. Filip. Filip to jeszcze dzieciak i nieprędko umknie spod matinej spódnicy. Jimmy. Z Jimmym nie będzie problemów. Theo nie miał wątpliwości, że Jimmy pójdzie w jego ślady. Steve? Właśnie, Steve! Bystry umysł, żywe srebro. Nie, Steve na pewno nie pójdzie w jego ślady. Co do tego nie było wątpliwości nawet przedwczoraj. Bóg raczy wiedzieć, co mu pisane. Zapalczywy. Zapalczywy i niespokojny jak jego matka.

Theo spojrzął kątem oka i spostrzegł, że wyciągnięta na sofie Iris tylko markuje sen. Biała, czysta, poczciwa i łagodna twarz. Wspaniała kobieta. Ale bezbronna, strasznie bezbronna. Czasami nie mógł dociec, jak przeszła taka przez całe dzieciństwo.

Kochał ją. Skoczyłby za nią w ogień. Gdy się pobrali, może nie uwielbiał jej, ale było mu z nią dobrze. Namiętności mijają. Nie ufał namiętnościom. Wołał przyjaźń i zaufanie. Niestety, Iris — choć zżymał się na samą myśl o tym — uwielbiała go, a to było niepokojące. Ilekroć widział to w jej oczach, nie wiedział, czy podoła odpowiedzialności.

— Mówił, że tradycja nie ma sensu — odezwała się Iris. Powrót do czasu teraźniejszego zniszczył kunsztownie snute wspomnienia i Theo nie wytrzymał:

— Najchętniej posłałiby nas wszystkich na śmietnik! Rewolucja. Tylko to im w głowie. Grzmocą na gitarach i myślą, że protestują. Przeciw czemu? Nie wiedzą, główniarze, że wygrali los na loterii. Pomyśleć, że jego przyrodniego brata wykończyli w Wiedniu.

Iris zeszywniała. Widać to było po zaciśniętych szczękach. Nie rozumiała — chyba nigdy nie zrozumie — że stracił tam całą pierwszą rodzinę. Zresztą nie powinien był do tego wracać. Przecież nie o to chodziło.

— A czy prosił cię o pomoc? Może brak mu czegoś? — spytała.

— Przestań psychologizować. Słyszałaś, co powiedział twój ojciec? Brak mu klapsa w dupę. Rozwydrzony szczeniak.

— Sam wiesz, że tak nie jest, Theo. Papie też nie o to chodziło. Steve jest zbyt mądry i zbyt wrażliwy na te metody. Po prostu zagubił się. Boże, jakie to wszystko straszne. Głowa mi pęka.

— Mnie też. Najchętniej padłbym na łóżko i przespał cały tydzień. Tyle że do rana nie zmrużę chyba oka.

Biedny Theo — pomyślała.

— A właściwie komu była potrzebna cała ta Bar Miewa? Przecież sam mówiłeś, że rytuał nie ma sensu. Podobno chodziłeś do synagogi tylko dla mojego towarzystwa, co szczerze doceniam. O ile pamiętam, powiedziałeś mi to podczas naszej pierwszej nocy.

— Nic nie rozumiesz. On miał wykazać dziś odpowiedzialność: klasę, szacunek dla rodziny, dla twoich rodziców, Iris. Miał wykazać charakter.

— Ciekawa jestem, jak mama go do tego przekonała. Zdążyła mi tylko szepnąć, żebyśmy mu dali święty spokój. „Nie dręczcie go”

— tyle mi powiedziała. „Ten chłopak ma zasady, mocne zasady, wyrośnie na mężczyznę”.

— Zasady? Oby — mruknął Theo i spojrzawszy w przyszłość, która jawiła mu się jako mroczny tunel, poczuł się straszliwie zmęczony.

— Oby — powtórzył. — On ma zasady, a my mnóstwo roboty, ciężkiej roboty, której nikt za nas nie odwali. — Mówiąc to myślał, że ten chłopak wymaga pracy i cierpliwości. Kto mu tak zamącił w głowie? A może chce po prostu zademonstrować swoją niezależność?

Ujął jej dłoń i jakby chcąc załagodzić cierpkość ostatnich słów, powiedział:

— Chodź, Iris. Ciężki mieliśmy dzień. Pora się położyć.

Z czasem wszystko wróciło do normy. Milcząca umowa zakładała, że w ich domu nie będzie się wspominać Bar Miewy. Żadnych fotografii. Po prostu tak, jakby nic takiego nie było.

Steve wiedział, że to, co zaszło tamtej nocy między nim i babcią, jest znane rodzicom. Domyślał się, że wiedzą, co mu wtedy przeczytała. W pokoiku na poddaszu, gdy dziadek zmęczony poczłapał do łóżka; wtedy ona zdjęła z półki książkę i podała mu ją.

— Patrz, jaka piękna. Dostałam ją od twojego dziadka bardzo dawno temu. Napisał to Lew Tołstoj w 1891 roku, a tytuł brzmi „Kim jest Żyd”. — Zaczęła czytać cichym, równomiernym, wzbogaconym o jakiś egzotyczny wschodnioeuropejski akcent głosem: „Jest więc źródłem i studnią, z której wszystkie narody czerpią swoje religie i wiary. Jest odkrywcą wolności. Jest symbolem społecznej i religijnej tolerancji”.

Czytając stawiała między wydrukowanymi słowami pauzy różowym, wypielęgowanym paznokciem, jakby chcąc podkreślić ich

znaczenie. Słuchał i domyślał się, co chciała powiedzieć jego rodzicom: „Musicie zrozumieć tego chłopca. On nie jest aspołeczny. Wierzę, że dotrą do niego te słowa”.

Słowa naprawdę brzmiały wspaniale i widać było, że wyszły spod wielkiego pióra, ale nie one go poruszyły. Babcia rozmawiała z nim długo, chyba do pierwszej w nocy i znać było po niej zmęczenie. Za dnia, w puszystych fryzurach, pastelowych sukienkach, przemykając na wysokich obcasach, w niczym nie przypominała babć jego szkolnych kolegów. Teraz, w świetle nocnej lampki, widział zmarszczki pod jej oczami i po raz pierwszy uświadomił sobie, czym jest starość.

Nagle zaprzestała ciętych kontrargumentów, jakby ich moc wyparowała wraz z jej siłami, spojrzała mu w oczy i szepnęła:

— Steve. Ja ci już więcej nie powiem. Reszta zależy od ciebie. Wstała i gdy wychodziła z pokoju, jej twarz powiedziała mu więcej

niż wszystkie przeczytane słowa o tym, jak ważna jest dla niej ta jutrzejsza ceremonia. Poczł nagły przyływ współczucia i już wiedział, co musi zrobić.

Zacna była z niej kobieta! Ucałowała go, pobłogosławiła, a i jemu udzieliła się jej wielkoduszność.

Noc była wiosenna, niebo czyste, dom pogrążony w mroku i spokoju. Steve wstał z łóżka i otworzył szerzej okno. Srebrna mgła pokrywała bliską, o wyciągnięcie ręki, akację. Tuż za nią, na skraju ogrodu, pnie drzew pachniały kuszącą wilgocią. Z okapu kapła woda — kropla po kropelce. Stał i wdychał chłodne nocne powietrze. Wypełniało mu płuca, a gdy poczuł się odnowiony, powiedział głośno:

— Dokażę wielkich rzeczy. Jeszcze nie wiem jakich, ale wiem, że dokażę.

ROZDZIAŁ 4

— To Meg — poinformował Ilse Paul, odłożywszy słuchawkę. — Mówi, że Tim też wybiera się do Izraela. Jakiś obóz ze studentami w czasie zimowych świąt. Przyjedzie, gdy my będziemy wyjeżdżać, ale może zdążymy się zobaczyć. Dałem Meg nasze zamiary w hotelu „Król Dawid”.

— Tim? Ten młody, którego tak interesowała żydowska krew we własnym rodowodzie?

— Powiedzmy, że jej domieszka. Malownicza, ale nie wywołująca starych kompleksów.

Timothy'ego nie widział od trzech lat i trochę się za nim stęsknił. Ciekawe, jaki jest teraz. W końcu to syn Meg. Warto sprawdzić, jak ma się dobry uniwersytet do błyskotliwej inteligencji odziedziczonej po ojcu-cyniku. Przesada — mieli i matkę, prostą, zacną i po staroświecku dobrą Meg.

— Chciałbym pokazać mu ten kraj. Twój kraj, ale trochę i mój.

— Wciąż nie chce się mi wierzyć, że jedziemy tam razem. Wiesz, jak od dawna o tym marzyłam?

— Nie wiem, ale zawsze coś czułem — uśmiechnął się. — Nieraz wspominałaś o tym.

— Trzeba to oblać. Od dawna trzymam na tę okazję w lodówce butelkę szampana.

W niszy swojej garsoniery przygotowała nakryty stół, a na nim fajansowe nakrycia i stokrotki w wiklinowym koszyku. Uwertura do *Czarodziejskiego Fletu* popłynęła z przyciszonego gramofonu, a wraz z nią dyskretny aromat kawy, dania z piekarnika i czegoś, co kojarzyło się z rozmarynem i tymiankiem. Wywęszył, że będzie to

coś prosto z patelni. A jeśli nawet nie, coś prosto spod ręki lisy, która znalazła się na przyprawach.

— Mogę w czymś ci pomóc? — spytał, choć wiedział, co odpowie.

— W niczym. I tak tu ciasno. Siedź sobie i odpoczywaj.

i, i Pomyślał, że umie udawać, że odpoczywa! A przynajmniej umie poskramiać to, co go przygniatało. Straszny rok — rok, który zaczął się w listopadzie, gdy cała Ameryka wpatrywała się w ekrany telewizorów, oglądając konia bez jeźdźca zmierzającego za przykrytą gwiazdami i pasami trumną zastrzelonego prezydenta na cmentarz w Arlington. To nie był koniec; to był początek roku. Powiódł wzrokiem po wzorzystym dywanie lisy. Wyczuł, że idą złe dni i że Ameryka doświadczy ciężkich czasów. Gdzieś, daleko na Wschodzie, w państewku, które Francuzi nazywali kiedyś Indochinami, drżała ziemia. W państewku, któremu pożyczylimy najpierw pieniądze, potem doradców, a teraz cały rocznik amerykańskich poborowych.

To też łączyło się z Timem, którego nazwisko pojawiała się w prasie, ilekroć na uczelniach lub na ulicach protestowano przeciw wojnie w Wietnamie. Paul w zasadzie zgadzał się z argumentami Tima, choć drażniła go ich demagogia. Ale młodzi mają prawo do buntu i niepokoju. Dla Paula nawet trzydziestolatek był młodym.

Teraz czuł dreszcz słysząc, że to sam Kennedy po kompromitacji w Zatoce Świń* powiedział, że w Wietnamie tak łatwo im nie pójdzie. Przecież doradcy wojskowi powtarzali mu, że nie obejdzie się bez trzystu tysięcy żołnierzy! Czy Eisenhower nie ostrzegał w pożegnalnym przemówieniu, czym jest wojna w Azji? Czy nie mówił, że będzie to tragedia? Ale kto słuchał wtedy Eisenhowera? Wszyscy patrzyli w przyszłość Ameryki.

Miał i inne powody, by czuć się podle. Marian tak długo balansowała między życiem a śmiercią, że ta śmierć, przed trzema miesiącami, powinna właściwie przynieść mu ulgę. Ale jej ostatnie dni skruszyłyby każde serce. Nawet jego, choć od lat nic ich nie łączyło. Może z wyjątkiem tylu lat, które teraz mocno bolały. Musiały boleć. Zawsze tak bardzo starała się wypełniać małżeńskie, przekazywane jej z matki na córkę obowiązki, które znał na pamięć. Nawet w obliczu śmierci — czy ona w ogóle żyła? — podkurczyła nogi jak rodząca

* Zatoka Świń — miejsce lądowania morskiego desantu kubańskich, wspieranych przez CIA, emigrantów w kwietniu 1961 roku. Prezydentowi Kennedy'emu zarzuca się dwuznaczną postawę wobec operacji, a tym samym spowodowanie prosowieckiej opcji Fidela Castro po nieudanej inwazji.

kobieta, demonstrując obwisły brzuch, zaciskając kurczowo palce i roniąc łzy na worki pod oczami. Stał i przyglądał się. Przypomniała mu się jej duma. Trzy razy w tygodniu do fryzjerki! O ósmej do śniadania w odprasowanej sukience i w makijażu równie niepokalanym jak jej podomka i puchowe pantofle wieczorem — przynajmniej do pewnego momentu. — Dość tego, Paul. Za dużo pamiętasz. Czemu aż tyle pamiętamy?

Tak, czas było ruszać w drogę.

W Izraelu miał kilka ważnych interesów. Od dawna posyłał tam czeki dla nowych osadników i dla tych, którzy ściągali swoje rodziny z jakiejś egzotycznej Persji. Ci drudzy — zamożni kupcy z Teheranu

— umieli prowadzić banki, handlować dywanami, ale w większości kompletnie gubili się w realiach nowego kraju. Chciał przekonać się na własne oczy, jak im się wiedzie, na co idą jego pieniądze i czego im tam brakuje.

— Podaj talerz — poprosiła lisa, kładąc na stół półmisek z jagnięcym udem i przybranymi zieleniną ziemniakami prosto z piekarnika. — Otwórz wreszcie to wino. Co ci jest? Nie musisz mówić, chyba że chcesz.

Właściwie nie chciał.

— Nic mi nie jest. Tak sobie myślę, patrząc po tej twojej garsonierze. Przydałoby ci się tu coś ładniejszego.

— Dziękuję, ale polubiłam to, co mam.

Czasami kupował jej rozmaite precjoza. „W końcu tak często tu bywam — mówił, gdy protestowała — że uznajmy to za egoizm”.

Kwiaty kupowała sama, bo miała „zieloną rękę”. Bluszcz wił się wzdłuż okna, a paprocie wypełniały łazienkę, bo — jak mu wyjaśniła — paproć lubi wilgoć, parne powietrze i odrobinę prysznicu. Za to on zafundował witrażowe lampiony, zdobiące ściany akwarele, srebrną angielską paterę i poźółkłą mapę amerykańskich kolonii, a także fotografie dziewiętnastowiecznego Nowego Jorku: Washington Square ozdabiany przez kamieniarzy, murarze wnoszący Flairton Building, Piąta Aleja w kocich łbach z ogródkami przed każdą posesją.

— Skoro Marian nie żyje — Paul pomyślał o przyszłości

— moglibyśmy przenieść trochę tych rzeczy do mnie. Poczekamy rok i pobierzemy się. Zresztą, po co rok? Może zaraz po powrocie z Izraela?

— Kiedy tam jedziemy?

— A kiedy będziesz gotowa?

— Gdy tylko kupisz bilety. Po co pytasz? Zastępstwo w szpitalu już załatwiłam.

Nie musiał pytać. W przeciwieństwie do zawsze przerażonej podróżą Marian i zawsze przerażonej o garderobę Lei, lisa nie przypominała pod tym względem większości kobiet. W każdej chwili mogła ruszać w drogę. Wystarczyło jej wrzucić nieprzemakalny płaszcz, mocne buty, sukienkę i bluzkę do pierwszej z brzegu walizki. I tak wyglądała w tym wszystkim lepiej niż każda inna baba.

— Jedziemy jutro — powiedział i poczuł, że spada z niego cała „chandra”.

Paul powiódł wzrokiem przez okno hotelu „Król Dawid” i zakreślił dłonią łuk nad Jerozolimą. lisa, po której nie było znać śladów podróży, też wolała patrzeć niż troszczyć się o bagaże.

— Linia demarkacyjna biegnie z północy na południe — mówił Paul. — Tam jest Góra Skopus, a na niej szpital Hadasz i Uniwersytet Hebrajski. Tyle że jeden bez pacjentów, a drugi bez studentów. — Pokiwał smutno głową. — Tylko izraelskie patrole mogą się tam zapuścić. Co dwa tygodnie jedzie tam konwój z darami pod flagą ONZ. Jeszcze dalej masz starą Jerozolimę, teraz w posiadaniu Arabów. Zburzyli całą dzielnicę żydowską zbudowaną w czasach króla Salomona. Sześćdziesiąt synagog poszło w gruzy.

Nagle uświadomił sobie gniew i smutek, z jakimi to mówi.

— Wyrwali płyty nagrobne z cmentarza na Górze Oliwnej i brukowali nimi ulice. — Słowa zamarły w ciszy.

Dochodził wieczór, a niebo w kolorze lawendy zasnuwały mgliste obłoki. Nagle rozległy się dzwony, najpierw jeden — samotny i tęskny, tuż pod oknami ich pokoju — potem drugi, trzeci i kolejny, jakby na wezwanie. Paul pomyślał, że dzwonią na wieczny odpoczynek, bo przecież wszystko tam w dole było historią i nie kończącym się cyklem pokoju i przemocy.

— Pokażesz mi to wszystko — powiedziała lisa. — Musisz mi to wreszcie pokazać. — Zrozumiał, jak długo zwlekał, nim wreszcie znaleźli się tu razem.

I tak zaczął się ich pobyt w Jerozolimie. Rankiem zwiedzali miasto. Żaden najgorliwszy uczeń z zapadłej prowincji nie nabiegał się po nim tak jak oni. A przynajmniej nie z takim entuzjazmem. Ilsa

dowiedziała się, że wielkie kamienne płyty z mauzoleum — zupełnie takie, jak na elewacji ich hotelu — pochodzą z grobowca Heroda Wielkiego. Dowiedziała się od Paula, że otaczające stare miasto mury zbudował w szesnastym wieku turecki sułtan Sulejman Wspaniały, ale ich fundamenty kładziono w czasach cesarza Hadriana, a z kolei fundamenty, na których kładziono tamte...

Zaprowadził ją na wzgórze Herzla*, gdzie spoczywa ten, który wyśnił, a może założył państwo Izrael. Pięćdziesiąt lat po śmierci Teodora Herzla przywieziono tu z Wiednia jego prochy, by leżały w wymarzonym przez niego żydowskim państwie. Zaprowadził ją na Wzgórze Pamięci, do mauzoleum, w którym odczytywane są imiona i nazwiska wszystkich dzieci — ofiar Holocaustu.

— Chcesz... — zawahał się. — Chcesz, żebyśmy tam weszli?

— Myślisz o Mariu? — spytała. — Nie, nie chcę. Nie chcę tam słyszeć imienia mojego syna.

Odwrócili się, ujął jej dłoń i zeszli ze wzgórza.

Niektóre przedpołudnia spędzali osobno. Paul wśród ekspertów, finansistów, polityków i urzędników odpowiedzialnych za dystrybucję zagranicznych funduszy. Lisa w szpitalach, przychodniach, domach dzieci i starców, w przytułkach dla ubogich.

— Ileż tu jest roboty! — wołała od drzwi, gdy wieczorem spotykali się w ich hotelowym pokoju. — Ci nowi z krajów arabskich nie mają pojęcia o higienie, nawet nie widzieli szczoteczki do zębów. Mają tu lekarzy, nawet mnóstwo, ale to wszystko za mało.

Po kolacji chodzili na koncerty, bo było kogo tu posłuchać, a światowej sławy wirtuozi ściągali tu tłumnie. Często woleli jednak przejść się po mieście i przyjrzeć się ludziom: Arabom, chrześcijańskim pielgrzymom, francuskim zakonnicom w przypominających żaglowce kornetach, greckim patriarchom w dyndających im u szyi kutych z litego metalu krzyżach, starym pejsatym chasydom w szerokich pilśniowych kapeluszach i w czarnych chałatach, no i, jak zawsze i wszędzie pod słońcem, turystom trzaskającym lejkami.

Pierwszy raz byli razem, i to tak daleko. Czasami urywali się na weekendy, gdy Marian grzała się w słońcu Florydy. Tu wszystko było nowe, podniecające, dzikie i wolne. Paul przyglądał się lisie maszerującej w płaskich czółenkach, wiążącej po piracku chustkę na głowie, gdy nadciągała ulewa, lub puszczającej do niego oko sponad szklanicy

* Teodor Herzl (1860—1904) — żydowski pisarz i publicysta, zamieszkały w Wiedniu. Twórca wyłożonej w eseju *Der Judenstaat* idei państwa żydowskiego.

wińska przy stoliku. Czuł się jak szczeniak. Szczeniak, któremu udało się poderwać taką dziewczynę! Mądrą, z ikra, doświadczoną, a do tego z poczuciem humoru. Nie najmłodsza? On też niemłody. Grunt, że odliczał godziny, nim, jak co noc, pójdą razem do łóżka.

W drugim tygodniu pobytu postanowili wyrwać się w kraj.

— Mamy jeszcze trzy dni — przekonywał ją. — Skoczmy sobie przez pustynię do Eilatu. Autobusem wleklebyśmy się tam w nieskończoność. Wynajmę samochód i wystartujemy przed świtem.

Na południe do Berszaby, a stamtąd przez Pustynię Negew do samej Zatoki Akaba. Berszaba raniem przypominała podłe miasteczko z westernów.

— Wystarczyłoby przesadzić tych chłopaków z furgonetek na mustangi i czulibyśmy się jak w Hollywood — powiedziała lisa.

Paul delikatnie nadmienił, że Berszaba miała warowne mury już w czasach Abrahama.

Za to teraz była spalonym przez słońce pustkowiec. Tamaryszki i akacje oddzielały arabskie rudery od piaszczystego targowiska, gdzie wielbłądy, kozy i owce wymieniano na kawę, cukier i tkaniny sprzedawane z metra. Mężczyźni w burnusach, kobiety w czarczafach

— wszystko to skojarzyło się lisie z obrazami surrealistów. Naokoło pustynia, a na niej koczownicy pod namiotami z czarnej kozłej skóry.

Minęli chłopczyka pasącego wielbłąda uwiązanego za nogę do przydrożnego kamienia. Chłopczyk gapił się i pomachał im ręką. Nic z tego nie rozumiała.

Zbliżał się grudzień, a tu niebo było wciąż płomiennie jasne. Za to góry na horyzoncie miały kolor purpury.

— Dojeżdżamy do sławnych kopalni króla Salomona — powiedział Paul, wskazując palcem przez przednią szybę. — Widzisz te skały? To salomonowe kolumny.

— Mario zawsze chciał je zobaczyć.

Od wyjazdu z Ameryki nie wspomniała o nim — pomyślał Paul.

— Może nie powinienem jej tu przywozić? Trzeba było się uprzeć. Zabrać ją do Hiszpanii, do Grecji, gdziekolwiek. Ale teraz interesowało ją tylko dotarcie do Eilatu i lunch.

— Z tego, co pamiętam, najsmaczniejsze ryby serwują nad zatoką. Chyba też konasz z głodu?

W Eilacie mocno dmuchało, ale głównie na nadbrzeżne palmy. Paul wynajął motorówkę z przezroczystym dnem i wybrali się na rafę koralową, gdzie lisa rozpoznała wszystkie gatunki ryb, o których Paulowi nawet się nie śniło.

— Na medycynie wkuwaliśmy biologię — pocieszyła go.

— A my, biznesmeni, historię. Pewnie pani doktor nie wie, że z tego portu Salomon eksportował miedź. Za złoto z Afryki.

— To stąd? Dziwne — jej głos przeszedł w szept. — Wiesz, że gdzie tu nie spojrzę, czuję się jak przybysz, a równocześnie jak ktoś, kto był tu już kiedyś. Dawno, bardzo dawno temu. Nie wiem, jak ci to powiedzieć... — Przez chwilę wpatrywała się w zachodzące słońce. Spostrzegł, że jej oczy też są podobnej barwy.

Późnym popołudniem wyruszyli znad zatoki boczną drogą. Ruch był tu niewielki: furgonetki, zatłoczony autobus, kilka wynajętych — jak ich — samochodów. Miło było słuchać bezpiecznego mrużenia silnika.

— Zawsze morzy mnie senność po zachodzie słońca — lisa ziewnęła i zapadła się w fotel.

— Zdrzemnij się.

To był długi dzień i mieli co wspominać. Pomyślał, że w sumie dobrze się stało, iż tu przyjechali. Ze wszystkich podarunków, które jej dawał, ten był najcenniejszy i chyba tego najbardziej potrzebowała. Właściwie niewiele jej trzeba. Wszystko ją cieszyło. Perski kot kupiony w sklepie ze zwierzętami urastał do rangi przyjaciela, tani zegarek na skórzanym pasku wspominała latami. Dla większości znanych mu kobiet takie upominki były śmieciem w eleganckim opakowaniu.

Tak, dobrze im było razem.

Wiedział, że pora wracać. Wiedział, a nawet czuł, że już najwyższy czas. Podróże mają swój rytm: oczekiwanie, przyjazd, gorączka zwiedzania, a potem akcja opada i znów tęskni się za domem.

— Wiesz, że całkiem zapomniałem? Przecież Tim miał spotkać się z nami w hotelu... — Nie dokończył. Zakręcił kierownicą i z piskiem opon zjechał na pobocze. lisa zakłęta, ale gdy zobaczyła to, co on, zaczęła krzyczeć:

— Paul! Boże, co to jest?

Autobus leżał w płytkim wąwozie roztrzaskany w drobny mak. Podwozie szczyrzyło zęby ku niebu, koła wciąż obracały się rozpędem, a naokoło leżały resztki rozbitych szyb. Ci z samochodu i furgonetki przed nimi pewnie też przed chwilą to spostrzegli, bo wciąż zaciskali kurczowo ręce na kierownicach, jakby nagle urwisko zablokowało im drogę.

Zaciskali, milczeli i nagle, jakby na rozkaz, wszyscy wyskoczyli z wozów i znów zamarli.

— Co tu się stało? — ktoś szepnął.

Ktoś inny zaszlochtał, ktoś jęknął, ktoś krzyknął, a Paulowi przypomniła się tamta wojna, gdy leżał między zasiekami na ziemi niczyjej.

— Coś trzeba z nimi zrobić! — krzyknął ktoś wtedy, a może teraz. Stali jak sparaliżowani.

A potem zaczął się sądny dzień.

Z przedniej szyby pozostała rama i ostre jak noże kawałki szkła, przez które ktoś próbował się przecisnąć.

— Gdzie się pchasz, Sam? — krzyknął kierowca do chłopaka na bocznym siedzeniu. — Narzędzia... masz tam z prawej... wywal najpierw to szkło... tylko szybko, Sam!

Drzwi awaryjne — Paul zareagował jak automat. Otworzyć drzwi awaryjne... W tych autobusach mają je z tyłu... Spokojnie... szarpnąć i otworzyć. Szarpnął raz, potem drugi. Drzwi awaryjne nadawały się na złom, jak cała reszta autobusu. Acetylenu, a nie ręki trzeba było na nie. Pobiegł do przednich drzwi.

Tymczasem ten z furgonetki zdołał jakimś cudem wspiąć się na chyboczącą maskę i balansując na jednej nodze próbował otworzyć przednie drzwi.

— Nie wyrobie! — krzyknął. — Te skurwysyny mają wewnętrzną blokadę. — Hej! Czy ktoś z was jest w stanie otworzyć to od środka? — zawołał przez zbitą szybę. — Takiego wała — udzielił odpowiedzi sam sobie. — Przyblokowane fotelem kierowcy. Sam! Gdzie się, do jasnej mamy, szwendasz!

— Przecież tu stoję — odpyskował chłopak.

Paul spostrzegł, że Sam ma już na rękach grube rękawice i jakieś narzędzie do cięcia szkła. Z wprawą młokosa wpełzł do kabiny i zaczął ostrożnie wycinać resztki potrząskanej szyby, przekazując je przez czyjeś ręce Paulowi.

Jak na komendę wszyscy weszli do akcji. Iśa wyciągnęła z ich auta apteczkę pierwszej pomocy i pobiegła do autobusu. Ktoś zatrzymywał nadjeżdżające z naprzeciwka wozy, ktoś inny zawracał je z powrotem, bo każdy wyjeżdżający z zakrętu mógłby zamienić wypadek w istny kataklizm.

— Szybko! Pogotowie i policja! Szybko! — krzyknął Paul pierwszemu nadjeżdżającemu kierowcy.

Tymczasem jeden z pasażerów autobusu zdołał przecisnąć się przez otwór, który jeszcze niedawno był przednią szybą. Robotnik w drelichowym kombinezonie, sapiący i szlochający, ale chyba nic mu nie dolegało.

— Kierowca zabrał mnie na łebka... usiadłem na przednim siedzeniu i gdy dostał kulą, zdążyłem złapać się ręcznego hamulca. To mnie uratowało, gdy dachowaliśmy... Boże, co ja mówię! Przecież tam byli ludzie... Co z nimi jest?

— Do diabła z taką apteczką! — krzyknęła lisa.

Tych ludzi trzeba wyciągnąć. Pomoc jest o minutę, o chwilę. W ułamku sekundy Paulowi przypomniał się rok 1917 i ofensywa gdzieś na południu od Armentieres, jakby to było wczoraj. Spróbował wdrapać się na maskę.

— Podeprzyj mi stopę... o tak... żebym mógł tylko chwycić boczne lusterko.

— Paul, złaż! To już nie na twoje lata.

— Podeprzyj, powiedziałem!

Sięgnął lusterka. Pomyślał, że nie będzie łatwo, ale chyba wyrobi. Zobaczymy, czy cały ten tenis na coś się przydaje?

Mały Sam działał w autobusie. Spojrzał mu w twarz przez boczną szybę.

— Panie, tam jest dno! Jedni leżą na drugich, a wszyscy na podłodze. Większość chyba trupy. Mówię panu, że to dno.

— Mógłbyś kogoś z nich wyciągnąć? Przynajmniej dzieciaki. Spróbuj mi je podać, a ja je zniosę.

— Josh? Chodź tu, Josh! Bierz ich, a ja ci będę podawał.

— Idę, Sam! — krzyknął jakiś Josh. — Już tu jestem.

— Za gruby jesteś, a tu strasznie ciasno. Niech wejdzie ten stary.

— Jestem Paul. Przydam ci się tam?

— Poczekaj... jeszcze wlaźłbyś na któregoś z nich.

Krzyki nagle ustały i przeszły w jęki i skomlenia, wróżące gorzej niż pierwszy wybuch hysterii. Po chwili w oknie ukazała się dziewczynka z krwawiącym czołem, okiem i policzkiem.

— Tam jest moja mama — chlpała. — Jej coś jest... może zemdlą... idźcie po moją mamę!

Paul pomógł jej wydostać się z autobusu, owinał ją w koc i podał jej chusteczkę, by wysiąkała nosk. Drżała w jego ramionach.

— ... Jechali za nami... autobus pełen mężczyzn... chyba egipczy fedaini. Przyglądałam im się... wyprzedzili nas, zwolnili... jak przy zabawie w berka. Chcieli, żebyśmy się z nimi zrównali... Baliśmy się... wiedzieliśmy, że coś z tego będzie. A potem... potem zaczęli strzelać do naszego kierowcy, a ja i mama...

— Wszystko będzie dobrze, wiemy, co było potem, zaraz przyjedzie pomoc — bełkotał Paul.

Niech Bóg ich skarże, niech piekło ich pochłonie! , — Zostaw ją pan — twarz Sama znów pojawiła się w oknie. — Mam tu matkę z dzieckiem.

— Śmiało, mała — ponaglił Paul. — Trzymam cię za rękę, a tam odbierze cię Josh. Josh! Jesteś tam?

I tak powoli, jednych po drugich, przekazywali sobie kolejnych, zdradzających — przynajmniej w nadziei Paula — oznaki życia, aż przybyła pomoc i trochę doszedł do siebie. Przybyła zadziwiająco, jak na tę odległość, szybko. Nagle pojawiły się trzy ambulansy, policja i ratownicy z pochodniami. Zablokowano ruch i odsunięto grupkę gapiów, z których większość aż rwała się do pomocy. Może kogoś podnieść, może przenieść, może dać własny koc, może szklankę wody albo łyk whisky, która też jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Głównie turyści, niektórzy lekarze, w większości nie umiejący słowa po hebrajsku, ale czy pomoc wymaga wspólnego języka? Paul pomyślał, że nie wymaga, podobnie jak podłość. Językiem podłości jest zapłakana twarz, grubiariski rozkaz, szloch i przekleństwo.

Gdy upalono tył autobusu, mógł wreszcie wspiąć się do wnętrza. Tak pewnie wyglądał chaos. Żywi wspinali się po fotelach, po rannych, a może już po martwych, by tylko prędzej się wydostać. Deptali karoserię, wy tłukli resztki szyb. Z tych po drugiej stronie zostały tylko nędzne okruchy. Dostał nawet w ramię jednym, gdy podawano mu kolejne dziecko. Wychodząc trochę krwawił.

— Co ci się stało? — spytała lisa, gdy ułożyła już dzieciaka na ziemi. — Zdejmij koszulę. Przecież widzę, że dostałeś prosto w tamtą bliznę.

— Pół cala wyżej — poprawił ją. — I przestań panikować. Zadrapanie.

Faktycznie, było to zadrapanie w porównaniu z kulą, którą poczęstował go niemiecki snajper, gdy w czterdziestym piątym Amerykanie wchodzili do Paryża. Z trudem pohamował idiotyczny śmiech. Może przyciąga wojny jak magnes opłki żelaza?

lisa zdezynfekowała mu ranę jakimś świństwem z ambulansu i teraz bandażowała go beznamiętnie i fachowo.

— Trzeba będzie to zszyć. Rana w bliznie nigdy sama się nie zagoi. Zwłaszcza na tak zapapranej bliznie. Ile razy powtarzałam ci, żebyś coś z tym zrobił?

— Może podyskutujemy o tym w Ameryce. — Czuł, że traci cierpliwość. — Zajmij się lepiej tamtymi.

Młody chłopak kuśtykał szosą, przyciskając lewy obojczyk, spod którego zwisało bezwładne ramię. lisa poderwała się na jego widok.

— Opaska uciskowa! Szybko opaszkę! — Popędziła do karetki i wróciła z niczym.

— Nawet opasek nie mają. Paul, dawaj pasek!

Owinęła nim ramię chłopca, zaprowadziła go do karetki i krzyknęła do kierowcy:

— Szybko do szpitala, bo straci rękę. Jest w szoku. Gazem! Na poboczu przysiadła kobieta i tuliła dziecko, którego różowa

twarzyczka była rozcięta od oka po policzek. Kołysała go powtarzając monotonie: „Nie chcę żyć. Nie chcę już żyć”. Brzmiało to jak piosenka, jak radiowy przebój, jak makabryczna kołysanka. „Gdzie moje dziecko? Coście mu zrobili?”.

Paul obszedł autobus. Podczas dachowania bagaże wysypały się przez okna i teraz wszystko to leżało porozrzucane w rowie: marchew w nylonowej siatce, para nowych butów w otwartym tekturowym pudełku, fortepianowe nuty dla początkujących.

— Sukinsyny! — powiedział głośno, zaciskając pięści.

— Pan z Ameryki? — spytał ktoś po angielsku. Paul skinął głową. Nie miał ochoty na konwersację.

— Więc pewnie to dla pana nowość. My mamy tu to na co dzień. Tak, na co dzień! — Głos nieznanego przybrał na siłę.

— My chcemy jedynie prawa do życia. A oni właśnie tego nam odmawiają. To dziecko — wskazał ręką. — Czym sobie na to zasłużyło? A my, a ktokolwiek z nas? Kurestwo — dodał i ruszył w swoją stronę.

Paul stał i przyglądał się marchwi w nylonowej siatce. Rowem przemknęła egzotyczna jaszczurka z czerwonym łebkiem. Powiew wiatru porwał nuty dla początkujących pianistów i cisnął je na szosę.

Podeszła zapłakana lisa.

— To rzeźnia — westchnęła. — Pracowałam lata w pogotowiu, ale czegoś takiego nie widziałam.

— Pewnie nie byłeś na wojnie.

— A czy to nie jest wojna?

Chwilę milczała i spytała, jak z jego ręką.

— Trochę piekło, ale już przechodzi. Miałem niezłą sanitariuszkę

— uśmiechnął się.

— Sanitariuszkę? Tu najlepszy lekarz nie pomoże. Dwie kobiety mają złamane kręgosłupy. Będą sparaliżowane do końca życia. Jedna

z nich ma troje dzieci. Płakały. Myślały, że ich mama nie żyje. Dla nich to już żadna różnica.

Policja przywracała ruch na szosie, a karetki zjeżdżały na pobocze.

— Blokujemy im ruch — powiedział Paul. — Nic tu już po nas, pora w drogę. Zapalał, gdy zbliżył się policjant.

— Pytamy wszystkich, czy nie podwieźliby części tych ludzi. Zgodzi się pan?

— Oczywiście. Mamy dwa wolne miejsca do samej Jerozolimy.

Dwóch mężczyzn usadowiło się na tylnym siedzeniu. Byli poplamieni krwią i rozczochrani, ale nie widać było po nich kontuzji, z wyjątkiem siniaka nabrzmiewającego teraz na szczęce tego młodszego, lisa spytała, czy coś go boli.

— Trochę jestem potłuczony — wymamrotał.

— Mogę dać panu najwyżej aspirynę. Dwie tabletki. Zatrzymamy się gdzieś przy drodze, by mógł pan popić.

— Chyba wszystkim nam by się to przydało — wtrącił Paul.

— Niekoniecznie wodą.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy musieli odreagować. Tamci to, co przeżyli — oni to, czego byli świadkami.

Dopiero gdy usiedli w przydrożnej budzie przy przedpotopowym stole, zamówili kawę i zaczęli mówić.

— Zmarłaś? — spytał lise Paul widząc, że rozciera rękę.

— To nerwy. Zawsze to mam.

— Możecie wysadzić mnie za Berszabą? — spytał starszy.

— Oczywiście, jeśli tamtędy państwo jadą.

— Nie jesteście razem? — spytał Paul przytakując i przyglądając się młodszemu, który wciąż przyciskał chusteczkę do szczęki.

— Nie. Nawet się nie znamy. Mam tu sklepik. Dosłownie parę kroków stąd. — Westchnął, zamieszał kawę i znów westchnął, jakby chciał coś dodać. Wreszcie wyrzucił to z siebie:

— Mój dziadek przyjechał tu w dziewięćset szóstym razem z Ben Gurionem*. Przez dwa tygodnie płynęli tu z Rosji przybrzeżnym parowcem. — Mówił jednostajnie, jakby sam do siebie. — Zaczynał jako robotnik rolny. Arabowie najeżdżali na farmy, więc musieli się

* Dawid Ben-Gurion (1886—1973) — pierwszy premier Izraela (1948—1953)¹. (1955—1963). Zwolennik reform gospodarczych, kolektywnego rolnictwa i pojednania Żydów i Arabów.

bronić. Tak powstawała Hagana*. To byli nasi pierwsi obrońcy. Dobrze się stało, bo mieliśmy już Haganę, gdy Arabowie zaatakowali nasze państwo. Wielkie mi państwo. Pół roku istnienia i amerykańskie pieniądze. Pół roku? Co ja mówię? To było kilka godzin życia.

— Znam to — przytaknął mu Paul. — Byłem tu wtedy.

— A widział pan tych egipskich oficerów, których braliśmy do niewoli? Mieli swastyki na rękawach i *Mein Kampf* po arabsku w kieszeniach.

— Tego nie widziałem.

Usa zadrżała. Paul położył rękę na jej dłoni, by to zamaskować.

— To pańska żona?

— Tak, to moja żona.

Młodszy odłożył chusteczkę i włączył się w łamaną angielszczyznę:

— Oni znów szykują się do wojny. To wszystko, cały ten terror, ma nas zmiękczyć. Rolnicy muszą chodzić w pole z karabinami. Mój kuzyn miał syna. Ten syn miał czternaście lat. No i zastrzelili go, gdy wracał sobie do domu. Ten syn napisał kiedyś wiersz, że Izraelici i Arabowie powinni żyć w pokoju. Prawdziwy wiersz... do rymu.

Przez chwilę wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

— Jedziemy — oświadczyła lisa. — A w domu prosto do doktora, bo paskudnie wygląda ta pana szczeka.

Zapłacili, ruszyli i znów nikt nie odzywał się słowem. Młodszy chyba zapadł w sen, a starszy — sądząc z odbicia w lusterku Paula

— wpatrywał się w gęste od kurzu powietrze i może rozmyślał o swoim dziadku, który przybył tu z Ben Gurionem. Wyszadzili ich kolejno. Starszego później.

— Życzę panu lepszych czasów — powiedział na odjeździe Paul

— i żeby już nie było takich dni.

— Musi być gorzej, by było lepiej — powiedział młodszy, podnosząc rękę na pożegnanie. — Nie ma wyboru, jak tu mawiamy.

Był już zmierzch. Słońce zapadało za czerwone dachy, tarasowe wzgórza i za to na widnokręgu, na którym wznosiła się Jerozolima. Paul spojrział na Ilesę wpatrzoną w to właśnie wzgórze. Spostrzegł, że podobnie jak on jest u kresu wytrzymałości.

* Hagana — początkowo tajna żydowska organizacja samoobronna, broniąca Żydów przed Arabami w 1936 roku. W przeciwieństwie do akceptujących terroryzm organizacji Irgun i Stern po roku 1948 przekształciła się w część sił zbrojnych Izraela.

— Widziałeś tego młodszego? — spytała nagle. — Widziałeś, co miał w oczach?

— Nie za bardzo.

— Nie widziałeś? Miał łyzy, gdy mówił o tym chłopcu i o jego wierszu. Takie oczy! Piękne, mądre i siwe. Mario też miałby takie, gdyby żył.

Paul nic nie odpowiedział. Wjechali na przedmieścia, przemknęli wzdłuż ogrodów willowej Rehawii i zajechali przed hotel. Przypomniawszy sobie, że właśnie dziś wieczór mieli otrzymać wiadomość od Tima i bardzo na to liczył. Wreszcie spojrzawszy w jakąś żywą twarz, poklepił krzepkie bary, odpowie na wylewny uśmiech. Tak, Tim miał charyzmę. Paul nie lubił tego nadużywanego słowa, ale w tej chwili żadne lepsze nie przychodziło mu do głowy. Kto jak kto, ale Tim potrafi pokierować rozmową przy kolacji, a rozmowa zakrapiana kilkoma kieliszkami wina była tym, czego jemu i lisiemu było teraz najbardziej potrzeba.

W recepcji czekała wiadomość. Tim spotka się z nimi o siódmej na kolacji, chyba że mają inne plany.

Recepcjonista przyjrzał się podejrzliwie rozdartemu rękawowi marynarki Paula i poplamionemu, zmiętoszonemu zakietowi lisy. Paul wołał ubiec pytanie.

— Uczestniczyliśmy w paskudnym wypadku drogowym — powiedział. — Terrorysty. Ostrzelali autobus...

— Mówili w radiu — recepcjonista westchnął bez cienia emocji. — To już trzeci zamach tej zimy. Czasami podkładają miny i wtedy cały autobus wylatuje w powietrze.

— Kiedy to się skończy? — spytała lisa, jakby licząc, że odpowie jej ten blady, przyglądający się własnym paznokciom młody człowiek za ladą.

— Bóg raczy wiedzieć.

Poszli na górę, by wziąć prysznic i przebrać się.

— Opatrunek zmienię ci rano — powiedziała lisa. — Chyba że bardzo cię boli.

— Można wytrzymać.

— Stare rany — musnęła wargami jego usta. — Wojenne rany.

— Przynajmniej znów walczyłem po właściwej stronie. Wtedy przeciw hitlerowcom, dziś przeciw terrorystom. A skoro o ranach mowa — zażartował — włóż tę czerwoną bluzkę. I coś jasnego. Dlaczego mamy nosić żałobę? Ci tutaj mają takie rzeczy na co dzień i nie noszą żałoby, zauważyłaś? Kiedy mieliby to robić?
Muszą

pracować, słuchać muzyki, śmiać się, kochać. Inaczej chyba by oszaleli.

— Jak zawsze masz rację. A więc mówisz, że mam ubrać tę czerwoną?

Gdy zeszli do hallu, Tim już czekał. Jego wysoki wzrost i płowa broda rzucały się w oczy. Ruszył ku nim z wyciągniętymi rękami i uściskał Paula.

— Dobrze, że jesteś. Już się bałem, że się rozminiemy. Wyjeżdżamy pojutrze.

— Jakże mógłbym nie być? Też się za wami stęskniłem. A co u was? Wyglądacie wspaniale.

Paul nie podzielał jego optymizmu. Lisa jakoś zdołała ukryć pudrem i szminką trudy dnia, ale on na pewno wyglądał nie najlepiej.

Już chciał powiedzieć: „Wybacz, podle wyglądamy, mieliśmy parszywy dzień”, ale postanowił nie wspominać o tym wszystkim przy kolacji.

— Chodźmy do restauracji. Nieźle tu karmią, a ty pewnie jesteś głodny.

Usiedli w rogu. Paul zamówił coś mocniejszego i przez chwilę taksowali się wzrokiem.

— Dobrze, że jesteś, Tim — powtórzył. — Miło zobaczyć jakąś bliską twarz, zwłaszcza po tylu latach. Jesteśmy tu od miesiąca i już tęskno mi za domem.

Uświadomił sobie, że mówi od rzeczy. Może to nerwy.

— Co u Meg? Widziałem się z nią w przelocie przed wyjazdem i była w dobrej formie. Mówiła, że musi zabrać się za ten ganek od podwórza.

— Matka nie może żyć bez pracy. Chyba znalazła swoje miejsce: dom, drzewa, zwierzaki, no i robotny chłop.

— Cóż w tym złego? Też bym tak chciał.

— Naprawdę? Tyle się dzieje w świecie, że aż nie wypada zakopać się w jakiejś mysiej dziurze. No, ale skoro ją to bawi...

— Przecież należy jej się trochę szczęścia — odparł Paul nieco zaskoczony. — Tak jak każdemu z nas.

Po tylu latach życia z tym łajdakiem, tak do niej pasującym jak Szwecja do Tybetu — pomyślał i spytał:

— A tak w ogóle, dużo już tu zwiedziłeś?

— Nie żałuję nóg. Zaliczyłem Haifę, Tel-Awiv, Galileę. Jerozolimę zostawiam sobie na koniec. Spędzę tu ostatni tydzień przed odlotem do domu.

— Więc jeszcze się trochę nachodzisz. I co myślisz o tym kraju?

— Co myśle? Fascynujący. Rozmawiałem z wszystkimi. Ciekawi ludzie. Zwłaszcza Arabowie.

— Arabowie? — spytała lisa. — Przed kilkoma godzinami natknęliśmy się na nich... Może nie na nich, ale na ich ślady.

— Ilso — poprawił ją Paul, trochę zirytowany, że wraca do tego tematu — skąd wiesz, że to byli Arabowie? Może Egipcjanie?

— Dobrze, może Egipcjanie. Cóż za różnica? — W jej oczach zalśnił zły ogień.

— O czym mówicie? — Tim powiódł po nich zdziwionym wzrokiem.

— Wybacz, Tim. Jesteśmy trochę roztrzęsieni. Nie chciałem ci o tym mówić, więc może krótko.

Niechętnie, w kilku zdaniach, streścił wypadek na szosie pod Eilat. Mówiąc czuł przyspieszone bicie serca, jakby raz jeszcze brał w tym udział.

— Zamiast wina powinienem był zamówić coś mocniejszego

— dokończył, gdy kelner odkorkował butelkę. — Chyba nie zasną bez podwójnej whisky.

— Nic na to nie poradzisz — Tim pokiwał ze współczuciem głową. — Wiem, że to straszne. A politycy mają to gdzieś. Ci i tamci!

— Ci i tamci? — spytał Paul. — Przecież ci z Izraela chcą tylko pokoju. To nie oni ostrzeliwiają autobusy i zabijają pracujących w polu farmerów?

— Oczywiście, że nie. Ja też nie jestem za rozlewem krwi. Ale czy nie uważasz, że trzeba... zrozumieć argumenty tych pokrzywdzonych?

— spytał jakby z wahaniem.

Pokrzywdzonych? Kto tu był naprawdę pokrzywdzony? Chyba raczej te niedobitki z obozów zagłady. O czym ten facet mówi?

— zachodził w głowę Paul.

— O tych, których też wygnano z ich ziemi i... — ciągnął Tim.

— Przestań pleść bzdury, Tim. Byłem tu wtedy. Jeśli ktoś ich wygnał, to ich arabscy przywódcy. Izraelskie władze rozdawały ulotki, nawoływały przez głośniki na samochodach, by nie opuszczali domów, zostali i żyli w spokoju.

— Może i tak było, ale wszyscy twierdzą, że...

— Wszyscy? Jacy wszyscy? Nie wiem, co „twierdzą”, ale ja słyszałem na własne uszy, jak ich arabscy przywódcy kazali im stąd uciekać. Z Haify wiali na łodziach.

Ilsa dotknęła jego dłoni. Pomyślał, że właściwie to ona powinna była się unieść, a on opanować emocje. Przeszedł na rzeczowy ton:

— Byłem wśród tłumów przed muzeum na Bulwarze Rotszylda w Tel-Awiiwie w czterdziestym ósmym, gdy proklamowano państwo Izrael. ONZ przegłosowała podział Palestyny. Jordania dla Arabów, Izrael dla Żydów. Byłem dumny, że to Ameryka, mój kraj doprowadził wtedy do tego.

Timothy przeciągnął się w krzesle, jakby sugerując, że cały ten temat zaczyna go nużyć, jeśli nie odstręczać.

Paul czuł, że musi mu to wyjaśnić i ciągnął dalej:

— Wszystko odbyło się zgodnie z prawem, prawem międzynarodowym.

— Nie wszystko, co zgodne z prawem, jest sprawiedliwe — odparł Timothy. I Mierzyli się wzrokiem sponad nie tkniętych talerzy. Intymna kolacja zamieniła się w polityczną dyskusję. Paul spuścił oczy i spojrzał na odcisnięte na białym obrusie czerwone kółko. Przypominało mu krew.

— Sprawiedliwe? — spytał gorzko. — A gdy Brytyjczycy odsyłali stąd do obozów dla przesiedleńców w Niemczech czy gdzie indziej niedobitki Holocaustu, to było zgodne z prawem czy sprawiedliwe? Szkoda, że nie widziałeś, jak pędzili ich niczym bydło na statki. Ja akurat widziałem.

— Rozumiem twoje wzburzenie — przerwał mu Tim. Powiedział to chłodno i z wyższością, a może Paul był po prostu wykończony i tak mu się tylko wydawało.

— Ale nie było złudzeniem zawrozenie tamtej kobiety tulącej dziecko przy szosie. „Nie chcę żyć, nie chcę już żyć”.

— Wiem, że miałeś ciężki dzień — powiedział Tim. — Wiem, że czasami niewinni cierpią razem z winnymi, ale czy to coś nowego? Zawsze tak było w historii. Wierz mi, Paul.

Czuł pulsowanie w skroniach. Przed laty w Nowym Jorku patrzył przez stół w twarz ojca tego młokosa. Pamiętał jak dziś kryształowy wazon, kwiaty, pierścionki na palcach Lei, przerażone twarze.

Tyle, że ojciec Tima nie mówił o „niewinnych”, lecz o „wiórach”, które lecą tam, gdzie rąbią drwa.

Rozgrzeszył ludobójstwo zupełnie jak teraz tak niepodobny do niego syn. Absurd. Przecież ten syn pogardzał ojcem i jego majątkiem, przecież był czarującym, promieniującym wiedzą intelektualistą. Zupełny absurd.

— To bez sensu — powiedział głośno.

— Jeśli masz na myśli tę naszą rozmowę, to zgadzam się, że jest bez sensu. Emocjami nie zmienisz ludzkich zachowań, zwłaszcza gdy wchodzi w grę tak zapalny temat jak rasizm.

Tim smarował właśnie masłem bułeczkę. Jego opanowane ruchy palców i pospolitość, z jaką nadgryzł chrupką skórkę, wydały się Paulowi celową złośliwością. Zawiesił głos i napełnił sobie kieliszek. Od dawna nie wypił tyle, czuł, że maści mu się w głowie, ale nie dbał o to.

— Rasizm? — spytał. — A co ma do tego rasizm?

— Syjonizm. Przecież to też forma rasizmu. Każdy to przyzna, lisa wstrzymała oddech. Wyciągnęła rękę, jakby chciała zmierzyć się na nią z Timem.

— Nie każdy. My na przykład nie. Nie przyznajemy racji tym bredniom! Paul, słyszałeś, co on powiedział? Słyszałeś?

— Nie rozumiem cię, Timothy — próbował wciąż panować nad sobą. — lisa i ci wszyscy — wskazał dłonią okno, jakby przemawiał w imieniu całego leżącego za nim miasta — wiedzą jak mało kto, czym jest rasizm. Może ty nie wiesz, ale... twoi krewni ze strony matki, ludzie, których znałem osobiście, zginęli przez to, o czym teraz rozprawiasz. Jak możesz?

— Daj spokój, Paul — lisa podniosła się zza stolika. — Masz rację, to nie ma sensu. Po co z nim rozmawiasz? Mało nam dziś było? — Zadrżała i rozplakała się. — Idę na górę, przepraszam.

Paul też wstał.

— Wybacz, Tim. Jest wykończona. Nie mogę zostawić jej samej. Czołem. Kolacja na mój rachunek. — Powiedział to zakłopotany i ruszył za Ilsą.

W pokoju rozsunał zasłony. Objął ją mocno i razem wpatrywali się w nocne niebo, po którym gdzieniegdzie przemykały obłoki, i w upstrzoną punkcikami świateł dolinę Kidronu.

— Czy ta nienawiść nie ma końca? — spytała. — Kiedy wreszcie się skończy? Nawet ten szczeniak, twój ukochany kuzyn, nawet on...

— Nienawiść? Myślisz, że mówił to z nienawiści?

— Z niewiedzy, z obojętności wobec przemocy. Cóż za różnica?

— Tak — pokiwał głową. — Czy to nie idiotyczne, że świat, jeśli pominąć całą retorykę, widzi w kłębowisku pasji rozzierających ten mały, nieszczęsny kraj, głównie ropę naftową? Tylko to. Ojciec Tima zbił na niej majątek. Czemu miał nie popierać Arabów? Ale Tim? Kolejny nonsens. Ojciec i syn — istne przeciwieństwa, sprzeczne

motywy, a mimo to tu właśnie się spotkali. Wiesz, jak mnie to boli, Ilso? Gorzej niż boli. Znałem go, właściwie zanim przyszedł na świat. Widziałem, jak dorasta. Czemu on jest taki chłodny? Chłodny i podły. Jego matka jest ostatnią kobietą, jaką mógłbym urazić. Nie wspomnę jej o tym ani słowem, gdy znów będziemy w domu.

— I słusznie. Tylko wątpię, czy szybko zobaczysz się znów z Timem. Wróci w swój uniwersytecki świat i nieprędko się spotkacie.

— Coś mi mówi, że chyba już nigdy. Przynajmniej nie spotkam go takiego, jakim go pamiętałem — chłopaka, młodego mężczyznę.

— Poczul przygniatający smutek. Po chwili wyrzucił z siebie: — Nie mogę doczekać się powrotu. Ten dzień, ten dzisiejszy wieczór... całkiem mi to wystarczy.

— Chodź — znów przytulił ją do siebie i odwrócił od okna.

— Odpocznijmy. Chyba tego nam trzeba.

— Nie jestem śpiąca. I tak nie zmrużyłabym oka.

— Może po lampce wina? Zatelefonuję.

— Nie, Paul. To byłaby już lekomania.

— Jak uważasz. A więc może cię ukołyszę. Albo będziemy liczyć razem barany? Wyśliznęła mu się z objęć i spojrzała mu w oczy.

— Jesteś dla mnie bardzo dobry, Paul. Czasem mam skrupuły, że tak rzadko mówiłam ci, jak cię kocham.

— Nie aż tak rzadko, ale zawsze miło posłuchać. Pogładziła go po policzku i ujęła jego twarz w wiotkie palce.

— A więc, kocham cię, Paul, i chcę, żebyś zapamiętał, że mówię ci to teraz; nieważne, co się zdarzy.

— A cóż może się zdarzyć, dopóki jesteśmy razem?

— Nie wiem. Kto to może wiedzieć? Obiecuj tylko, że zapamiętasz. — Jej świetliste oczy wypełniły się łzami.

— A więc obiecuję, że zapamiętam — powiedział czule. — A teraz połóżmy się.

* * *

Rankiem Paula nawiedziła nowa myśl. Jasne, że nigdy nie zmyją z siebie wczorajszego koszmaru, ale przecież życie się toczy i odrobina przyjemności nikomu nie zaszkodzi. Może by jednak zatrzymać się przez kilka dni w Hiszpanii w drodze powrotnej? Na przykład u Ritza w Madrycie, naprzeciw Prado. Pójdą do Retiro, gdzie niańki w grana-

towych czepkach wywożą w wózkach dzieciaki, posiedzą w zimowym słońcu, poprzyglądają się młodym zakochanym parom, zjedzą tapas na Plaza Mayor.

Pod pretekstem pilnego spotkania z przedstawicielem urzędu do spraw imigrantów wymknął się po bilety na samolot do Hiszpanii i rezerwację pokoju u Ritza. Wracał uszczęśliwiony na samą myśl o niespodziance, jaką sprawi jutro lisie na lotnisku.

Szedł rozluźniony ulicą Króla Jerzego, podziwiając prosperujące sklepy, restauracje, całe to miasto, które pomimo oblężenia rozkwitało. Mijał sklepik jubilera, gdy jego wzrok przykuły srebrne bransoletki i pierścionki kuszące spod szyldu: A. HEMMENDINGER I BRACIA. Właściwie przez cały pobyt nie kupili tu nic, a chyba wypadało mieć jakąś pamiątkę z wycieczki. Choćby ludową biżuterię z Jemenu. Sam w tym nie gustował, ale czuł, że lisie spodoba się. Wiedział, że takiej topornej bransolety nie zdejmie z ręki nawet ubierając szpitalny fartuch. Wszedł do sklepiku.

Właściciel — bez wątpienia któryś z braci Hemmendingerów — był w podeszłym wieku, na rzemyku dyndało mu pince-nez, akcent miał europejski, a manieri wytworne. Podał Paulowi całą tacę bransoletek; gdy Paul już chciał wyjść, wybrawszy pierwszą z brzegu, przystanął na widok czegoś, co spoczywało w oszklonej kasetce.

Łańcuszek z plecionego złota — w sam raz na szyję kobiety — a na nim miniatura przedstawiająca też kobietę, młodą i piękną. Ktoś namalował ją na kości słoniowej; naokoło biegły brylanciki. Paul przystanął i wytrzeszczył oczy.

— Piękne, prawda? To mój skarb. Prawdziwy skarb. Proszę tylko dotknąć. Śmiało!

Paul poczuł ciężar medalionu. W dotyku przypominał jedwab lub szlachetne drewno i widać było, że wyszedł spod ręki mistrza klasy Celliniego lub Faberge'a.

— Sądząc po ornamencie, około 1870? — spytał. — Dobrze trafiłem?

— Powiedzmy, że trzydzieści, czterdzieści lat później. W Wiedniu przed pierwszą światową panie nosiły takie na balach. Oczywiście, te z wyższych sfer. Dworska biżuteria. Sama szkatułka! Może ktoś z dworu Franciszka Józefa kupił to dla młodej oblubienicy lub kochanki. Nie sądzi pan?

Złoto grzało przyjemnie dłoń Paula.

— Tak, prawdziwe arcydzieło.

— Widzę, że z pana koneser. Dobrze trafiłem? — zrewanżował się staruszek.

— Koneser? Znam się trochę na obrazach i meblach, ale czysto po amatorsku.

— No to proszę słuchać. To są białe brylanty, niebieskobiałe — najwyższa klasa. A warkocz? Dobremu złotnikowi zajmie i dziś miesiąc splecenie czegoś takiego z nici. A miniatura? Chyba sam pan widzi, spod jakiej ręki wyszła?

Pan Hemmendinger był bliski ekstazy.

— Tak, to piękne — Paul włożył wisiołek z powrotem do szkatuły. — Tylko że ja i moja dama rzadko bywamy na balach.

— A po co zaraz bal? Przecież to zwykła złota ozdóbka, w sam raz do wieczorowej sukni. Czy ja pana zmuszam? Czy ja tu jestem od zmuszania? Leży to sobie spokojnie od ćwierć wieku, od kiedy przyjechałem tu z Wiednia, więc niech jeszcze sobie poleży.

Paul poczuł, że wzbiera w nim ciekawość. Ten człowiek miał w sobie coś magnetycznego.

— Dlaczego trzyma go pan tu aż przez ćwierć wieku?

— Powiedzmy, że jestem sentymentalny. Powiedzmy, że chcę, aby to trafiło w dobre ręce.

— A skąd pan wie, że to moje są odpowiednie? — spytał rozbawiony.

— A jak ja mam panu na to odpowiedzieć? Może impuls, może przecucie. Tego nikt nie wyjaśni. Ani pan, ani ja. Ale to wcale nie znaczy, że i tak nie bywa.

— Pewnie kosztuje to fortunę?

— Kosztuje tyle, ile jest warte i ani centa więcej. A cenę masz pan na metce. O tu, u dołu.

— Nie za drogo, panie Hemmendinger? — spytał Paul, przyjrząwszy się cenie.

— Za drogo? W tym mieście jest jeszcze kilku wiarygodnych rzeczoznawców. Jak pan chce, może sobie pan to wziąć, pójść i sprawdzić.

Paul wciąż się wahał, ale pan Hemmendinger przeszedł do ataku.

— To wszystko ma swoją historię. Pan spocznie, a ja panu opowiem. Ja jestem jubiler. Jeden z najlepszych sklepów przy Ringstrasse. Z dziadka na ojca, a z ojca na mnie. W Europie nic niezwykłego. Gdy przyszły te czasy... czy ja muszę panu wyjaśniać, jakie czasy? Pan sam wie, o czym mówię.

— Wiem — przytaknął Paul.

— A więc, gdy przyszły te czasy i wiedziałem, że pora emigrować, zacząłem zbierać brylanty. Miałem szczęście... miałem wielkie szczęście, że udało mi się je wywieźć. Szczęście lub — jak kto woli — znajomości. Nieważne jakie. Więc chodziłem sobie po dawnych klientach i kupowałem. Prawie wszyscy chcieli gotówkę.

Paul wiedział, że gotówka była konieczna na łapówki. Kto znał przekupnego hitlerowca, mógł wiele załatwić. Może nie każdy, ale i tak się zdarzało.

— Ja miałem dostęp do najlepszych wiedeńskich domów. To byli moi klienci. Moi, a przedtem mojego ojca i dziadka. No i tak właśnie nabyłem ten — westchnął Hemmendinger. — Arystokratyczna rodzina. Oczywiście żydowska. Skąd go wzięli, nie wiem. Może od jakiegoś szlachcica, który zgrał się i poszedł z torbami. Dom mieli w wielkim stylu. Frau Stern to była prawdziwa dama, i czego oni tam nie mieli! Klatka schodowa z marmuru, obrazy, srebra — wszystko, co dusza zapragnie. Bardzo się śpieszyli, a zwłaszcza chcieli wysłać za granicę młodych. Wnuka i synową. Syn już był we Francji, w drodze do Ameryki, a ona miała dołączyć do niego z dzieckiem. Nie wiem na pewno, ale zdaje się, że im się nie powiodło. Chyba ich złapali.

— Stern? — spytał Paul.

— Stern. To pospolite nazwisko.

— W Ameryce też.

— Pamiętam ten ich dom. Syn skończył właśnie medycynę. Miał na imię Teodor. Chciał zostać chirurgiem... plastycznym. Jak oni byli z niego dumni! Stary Stern, gdy o nim mówił, aż bujał się na taborecie. Pan wie, że nawet sprzedałem mu zaręczynowy pierścionek? Doktor Teodor Stern.

Paul poczuł, że robi mu się na przemian zimno i gorąco.

— I nie wie pan, co się z nim stało?

— Ktoś kiedyś mówił, że podobno osiadł w Nowym Jorku. Pan go może zna?

— To głupie, ale znam kogoś o takim nazwisku.

— Tak, to głupie. Głupie jak cały ten świat. Głupi i mały.

— Zwłaszcza mały. — Paul poczuł klucie w karku.

— A więc jak? Bierze pan ten naszyjnik? Jeśli nie, schowam go. Pana strata.

— Proszę nie chować. Chyba go wezmę.

Pobiegł do hotelu z dwoma owiniętymi w bibułkę pudełeczkami, lisa czytała właśnie „Jerusalem Post”, gdy wręczył jej srebrną bransoletę. Ale to ten prawdziwy skarb wypalał mu dziurę w kieszeni.

Cieszył się nim jak nową zabawką, którą każdy gówniarz chce od razu pochwalić się na podwórku. Po co czekać do kolacji? Dał jej i drugie pudełeczko.

— Paul, nie za dużo na raz? Przecież bransoletka wystarczy. Śliczna jest.

— Pamiątka z podróży. Sama byś taką kupiła. Popatrz lepiej na to drugie. To coś ode mnie i chcę, żeby było twoje. Otwórz!

Byłoby normalne, gdyby oniemiała na widok mieniącego się na czarnym aksamicie złotniczego arcydzieła. Ale to on oniemiał, na próżno oczekując z zapartym tchem zachwyty na jej twarzy. Czyżby sprawił jej ból? Dlaczego przez moment zacisnęła usta i ściągnęła brwi?

— Piękne — krzyknęła zaraz. — Paul, naprawdę nie powinieneś!

— Czego nie powinienem? — roześmiał się. Jej tradycyjny sprzeciw uspokoił go. — Pozwól, że sam ci go założę, ale najpierw zdejmij ten sweter.

Stała przed lustrem w samych szortach. Złoty warkocz pasował do jej szyi jak ulał, a medalion lśnił między jej piersiami.

— Paul, w życiu nie widziałam czegoś tak pięknego. Naprawdę nie powinieneś...

— A kto mi zabroni kupować prezenty żonie? Mojej żonie, mam nadzieję, już niedługo.

— Nikt... tylko, że... strasznie to kosztowne.

— Przecież wiesz, że nie lubię słuchać takich głupstw.

— Wiem — przytaknęła ze skrucą. — Po prostu taka już jestem. Coś mu tu jednak nie grało. Czuł, że coś jest nie tak. Jej potulność?

W sam raz słowo. Może to wciąż ten wczorajszy dzień. Nie wychodzi się z takich rzeczy przez noc. Czasami nigdy się nie wychodzi. Wirujące w powietrzu koła autobusu, jęki konających — on też nigdy się od tego już nie uwolni.

Reszta dnia minęła przyjemnie. Jakby za milczącą zgodą nikt nie wspominał o tym, co wydarzyło się wczoraj. Wieczorem znów zeszli do restauracji.

Kobieta przy sąsiednim stoliku spojrzała zawistnym okiem na naszyjnik lisy, co Paulowi sprawiło niekłamana satysfakcję. Rozmawiali o drobiazgach: o miejscowych przebojach, arabskiej kuchni, o pogodzie. Tylko że lisa była wciąż przyciszona i jadła niewiele. Próbował rozweselić ją imitując Herr Hemmendingera, jego pincenez, staroświeckie maniery, pomijając jedynie wszystko, co dotyczyło doktora Teodora Sterna. Sam nie wiedział, czemu to pomija, ale czuł, że tak będzie lepiej.

— Chyba już czas się położyć — zasugerował. — Jutro skoro świt musimy być na lotnisku.

Stłumił uśmiech, bo ukrywaną przez cały dzień hiszpańską niespodziankę postanowił zachować na jutro.

W pokoju szybko spakowali się, a potem on zajął się czasopismami, a ona manikiurem. Ciszę zakłócał tylko szelest przerzucanych stron. Skończył lekturę, spojrzał na Ilse, poczuł wolę bożą. Pochylił się, by ucałować jej szyję, wciąż uwieczoną naszyjnikiem. Nawet nie uniosła głowy, tylko przełożyła zmywacz z prawej do lewej dłoni i przejechała pędzelkiem po paznokciach.

Rozpiął jej naszyjnik i zażartował:

— Będiesz go nosić do opery. Od przyszłego sezonu wynajmujemy łożę. Wystroimy się i będą nas podziwiać.

Odłożyła zmywacz i odwróciła ku niemu zapłakaną twarz.

— Paul. Jesteś kochany, ale ja nie mogę, naprawdę nie mogę.

— Czego nie możesz?

— Nie mogę, naprawdę nie mogę — powtarzała, przytuliwszy się do niego i rosząc jego policzek.

— Ilso? Co się stało? Co się, na Boga, z tobą dzieje?

— Nie wrócę z tobą do Ameryki.

— O czym ty mówisz? — wykrztusił z siebie.

— Po tej kolacji... po tej makabrycznej kolacji z tym twoim kuzynem do rana nie spałam. Wstałam i do świtu wpatrywałam się w okno... próbowałam wszystko to przemyśleć i aż mną trzęsło. Wiesz czemu? Ja wcale nie chcę tu zostać. Nie chcę, bo cię kocham... i chyba sam wiesz, jak bardzo, Paul. — Szlochała, gładząc dłońmi jego twarz.

Odsunął ją delikatnie i spojrzał w jej zapłakane oczy. Przez chwilę nie był w stanie wymówić słowa, wreszcie spytał z niedowierzaniem:

— Nic z tego nie rozumiem. A więc chcesz czy nie chcesz wracać ze mną?

Odwróciła się i powiedziała szeptem:

— Nie. Mój dom jest tutaj.

Poczuł piekący, przejmujący ból, jakby dostał nożem. Zacisnął zęby i zdobył się tylko na szorstką maksymę:

— Dom jest tam, gdzie ci, których kochamy.

— Masz rację... masz rację i właśnie dlatego tak mi jest źle. Zawsze będzie mi źle, chyba że ty... — próbowała opanować drżący głos — też postanowisz znaleźć dom tam, gdzie ci, których kochasz.

Patrzył na spływające po jej policzkach łzy i żadna odpowiedź nie przychodziła mu na myśl.

— O świcie patrzyłam, jak wschodzi słońce. Na ciebie też patrzyłam. Spałeś i pomyślałam, że bez ciebie chyba umrę. Chyba że... chyba że też tu zostaniesz.

— Nie wierzę w takie śmierci — powiedział, tłumiąc wzbierające gdzieś w klatce piersiowej klucie.

— Czy tak strasznie ciężko byłoby ci tu zostać?

Targały nim sprzeczne uczucia: szok, smutek, współczucie i złość na los, który tak strasznie wszystko to pogmatwał. Los, czy jak to nazwać.

— Zapominasz — powiedział, gdy wreszcie odzyskał mowę — że urodziłem się w USA i że walczyłem za ten kraj w dwóch wojnach.

Usłyszał echo własnych słów, a wraz z nim jakby kojącą nostalgię. Przypomniał mu się cmentarz w Nowym Orleanie, gdzie spoczywały prochy jego przodków mieszkających tam, gdy nikomu jeszcze o USA się nie śniło. Pokręcił głową i szepnął:

— Nie mogę, Ilso. Naprawdę nie mogę.

— Miałam odrobinę nadziei — odparła, ocierając oczy. — Sama nie wiem, dlaczego? Nasze losy inaczej się ułożyły... — Nie była w stanie dokończyć.

Czuł, że serce mu pęknie. Tak niewiele godzin upłynęło od kupna naszyjnika i biletów do Hiszpanii. Nie, to niemożliwe!

— Dom? — powiedziała lisa. — Ty nigdy tego nie zrozumiesz. Najpierw uciekaliśmy z Rosji przed komunistami, potem przed Hitlerem, a on szedł za nami aż do Włoch. Wyjechałam do Ameryki tylko dlatego, że Anglicy nie wpuściliby mnie tutaj, gdzie naprawdę jest moje serce.

W pokoju zaległa długa cisza. Z korytarza dobiegały głosy turystów wymieniających uwagi o bagażach i godzinie odlotu. Bilety w kieszeni ciążyły Paulowi niczym młyński kamień.

Zareagował w swój wypróbowany, niezawodny sposób: stłumił słabość, zebrał rozbiegane myśli, nakazał rozsądkowi zapanować nad emocjami. Krótko mówiąc, wziął się w garść.

— A więc słuchaj, Ilso. Chyba rozumiem, co się z tobą dzieje. Wczorajszy koszmar wytrącił cię z równowagi. Uważasz, że nie możesz wyjechać z tego kraju, bo to byłaby dezercja. Dobrze myślę?

Przytaknęła, ale nie pozwolił jej dojść do głosu.

— A więc uważasz, że twoje rodzinne losy, a zwłaszcza twoja profesja nakazują ci zostać tu, gdzie jesteś potrzebna, gdzie możesz nieść pomoc i wypełniać swoją powinność...

— Powinność? — przerwała mu. — Przecież to moja wola, moja pasja!

— Ślicznie. Ślicznie i bardzo szlechetnie. Tylko że ja też chcę nieść pomoc. Niosłem i będę niósł. I wcale nie muszę tu mieszkać, by to robić. Niewiele zdziałasz samym swoim pobytym tutaj, pani Ilso Hirschfeld!

Wzrok lisy znów powędrował za okno, na układającą się do snu Jerozolimę.

— Wiem, że Ameryka to twój kraj. Ale ten był moim od czasów, gdy Mario miał osiem lat i chcieliśmy tu przyjechać. Opowiadałam ci o tym. Gdyby inaczej wszystko się potoczyło, może teraz mieszkalibyśmy razem tutaj. Paul! Zrozum, że ja jestem skazana na to miasto. Uwierz, bo inaczej ci tego nie wyjaśnię. Po prostu nie potrafię wsiąść do samolotu i wsiąść na innym lotnisku. Musisz mi uwierzyć...

Ból ustał, ale czuł dreszcze, bo jedyne, co mógł jej na to powiedzieć, to to, że jest Amerykaninem i jego jedynym krajem jest Ameryka.

— Paul, o czym ty mówisz? — szepnęła.

— Czy znów walimy głową w mur? Czy mam cię prosić? — Głos mu się łamał. Uchwycił jej ręce i przycisnął sobie do obolałego serca.

— Nie rób tego... nie rób tego mnie i sobie, Ilso.

— Wiesz, że tego nie chcę. Ja po prostu muszę.

— Porozmawiajmy spokojnie — znów spróbował argumentu.

— Z czego chcesz tu żyć? Za idee mało dziś płacą.

— Dam sobie radę. Zatrudnię się w przychodni. Wiesz, że nigdy specjalnie nie zależało mi na pieniądzach.

— Wiem — odparł ponuro i nagle wzięło go na śmiech: — Nie będziesz miała okazji go ponosić — powiedział i uniósł naszyjnik z łożka.

— Nie będę miała. Zanieś go lepiej do tego jubilera.

Znów uklucie w piersiach. Ważył na dłoni złoty warkocz i obłe brylanciki, teraz szorstkie jak sierść głaskanego pod włos kota.

— Nigdzie ich nie zaniosę. Są twoje i ty pewnego dnia też to zrozumiesz i wrócisz do mnie.

— Ja już wszystko rozumiałam. Gdybym nie rozumiała, aż tak bardzo nie krwawiłoby mi serce.

Wziął ją w ramiona, przytulili się do siebie, a potem usiedli i znów spierali się o coś, co w sumie nie miało najmniejszego sensu.

— Przestańmy się kłócić — przerwała. — To nic nie zmieni, naprawdę nic. Dlaczego mamy się tak rozstawać?

Wieczór przeszedł w noc. Powiedzieli już sobie wszystko; powiedzieli, poprosili, wyjaśnili. Leżeli w łóżku, jedno przy drugim, słuchając tykającego budzika.

Wreszcie nastał chłodny świt, a biała tarcza słońca ukazała się na obojętnym, bladym niebie. Spakowane, przepasane rzemykami walizki spoczywały przy drzwiach. Samolot odlatywał w południe z lotniska na północ od Tel-Awiwu.

— Nie odprowadzaj mnie — powiedział. — Chyba nie wytrzymam tego.

— Ja też.

Miał miejsce przy oknie i wyginał szyję patrząc na to, czego już pewnie nigdy nie zobaczy. Samolot zakołował i ruszył w niebo. Domy przypominały dziecinne klocki. Jedne ułożone rzędem przy szosie, inne rozsypane po pomarańczowych gajach na równinie. Gdzieś z tyłu umykały wieżowce Tel-Awiwu i hotele uczone śródziemnomorskiego wybrzeża. Z lewej cienka kreska oddzielała fale od lądu. Z prawej widział przez łzy zamglone wzgórza Judei.

ROZDZIAŁ 5

Ten pierwszy rok jakoś przetrwał. Krok po kroku, potem coraz szybciej, aż wreszcie wpadł w rytm dnia. Początkowo bolało, gdy budził się w środku nocy lub gdy idąc na spotkanie uświadamiał sobie tę prostą prawdę, że lisy już nie ma. Jej fizyczny brak doskwierał bardziej niż wspomnienie: kochanka, a do tego dobry kumpel. W takich chwilach myślał, że nigdy jej tego nie wybaczy. Z czasem zaczął dostrzegać inne rzeczy, zwłaszcza gdy śnieg w Central Parku zaczął topnieć, wiatr przebijający się przez spaliny przypominał, że to już kwiecień, a trzy dzwoniące równocześnie na jego biurku telefony na gwałt dopominały się o niego. W takich chwilach rozumiał, czym jest przywiązanie do miejsca. Ona była „przywiązana” do Jerozolimy, a on do tego miasta. Równie dobrze mógłby osiedlić się na księżycu.

W końcu — choć nie było to łatwe — powiedział sobie, że życie jest walką, a w walce czasem przegrywa się, by znów wygrać. Mało razy przegrywał? Życie nie rozpoczęło się od lisy i na niej się nie skończy. Grunt, żeby nie zgorzknieć. Gorycz truje serce i niszczy ciało.

Myśl była niezła, ale trudna w praktyce, zwłaszcza w dniu, gdy musiał wreszcie udać się do jej garsoniery, wejść i czekać na nową, rozdygotaną ze szczęścia właścicielkę. Od rana tłumił gniew, żal, zwątpienie za to, że coś takiego mu zrobiła. Stopniowo przypominał sobie jej wolę, upór, nienawiść do wszelkiej krzywdy i w końcu przyznał jej rację.

Z garsoniery, w której byli kiedyś tak szczęśliwi, pragnął wziąć tylko jedno: jej fotografię.

Odnowił stare znajomości i nieliczne więzy rodzinne. Czasami wsiadał w wóz i jechał do Meg, czasem wpadał do Lei i Billa na podwieczorek lub wyciągał Leę na lunch z jej domu mody.

Zawsze byli ze sobą szczerzy, więc powiedział jej całą prawdę o Timie. Ale Leę bardziej interesowała lisa i spytała go, czy nie rozsypało im się z jego winy i czy przypadkiem nie zanudził jej „tym, co wiesz, Paul”.

— Oszalałaś, Lea? — rzucił rozdrażniony. — Błagałem ją, by wróciła ze mną. Przegadaliśmy całą noc w tym hotelu. I przestań się we mnie wpatrywać... widzę, że mi nie wierzysz!

— Wierzę. Widzę, że nie bujasz. Zastanawiam się, co w niej tak silnie tkwiło. Może sama o tym nie wiedziała?

— Zawracanie głowy.

— Przestań się wściekać. Po prostu myślę sobie na głos. Zaczęło się od tego bankietu i może pomyślała, że ty znów...

— Lea! To było raz i sto lat temu. Czy nie rozumiesz, że chciałem zobaczyć własną córkę?

Lea milczała i w skupieniu mieszała śmietankę w filiżance kawy. Czy lisa naprawdę tak się przejęła jego rodzinnymi problemami? Czy to miało być przyczyną? Nie, przyczyną był Izrael i jej rodzinne dzieje. Nic innego.

— Przecież nie mogłem zmusić jej, by ze mną wróciła. — Przerwał i uświadomił sobie, że rzuciły go tylko dwie kobiety i to te, które naprawdę w życiu kochał. Było to tak śmieszne, że aż wykrzywił usta.

— Co cię tak bawi? — spytała Lea.

— Nic... też sobie rozmyślam. Wiesz, że lisa była... jest wspaniałą kobietą? Chyba nigdy się od niej nie uwolnię.

— Pisuje do ciebie?

— Oczywiście. Nawet o własnych pacjentach.

Znów uśmiechnął się przypominawszy sobie ich nowojorskie, kolacje, podczas których opisywała mu — czasem humorystycznie, czasem tragicznie — wszystkich dziennych pacjentów. Umiała opo- 1 wiadać nie nudząc i zawsze trafiając w sedno. Teraz tamte rozmowy przypominały mu jej listy i po powrocie do domu zaraz patrzył na stolik w hallu, czy nie leży na nim duża biała koperta. Posyłała mu też zdjęcia wywołane w ulicznym automacie; na jednym z nich mieszkanie, które Bóg wie jak wychodziła w tym zatłoczonym mieście. Pełne ' książek i roślin — cała lisa. Na jednym ze zdjęć była sama — w białym ' kitlu, dzierżąca dumnie parę bobasów. *Mój wychów* — napisała na odwrocie. — *Ojciec zginął w Libanie, matka była zbyt słaba, by je wykarmić.*

Pisywała pocieszne historie o tym, jak musiała wyklócać się w nowym języku z farmerami i przekupkami na targowiskach. Czasami

pisala, ze cierpi, tęskni, kocha i wierzy, ze gdy on wszystko to sobie przemyśli, też tu przyjedzie.

To ostatnie zawsze wprawiało go w złość. Dlaczego to on, a nie ona ma coś sobie przemyśleć?

— Z tego, co pisze, wynika, że pracy jej tam nie brak — zaspokoił wreszcie ciekawość Lei. — Nowych przyjaciółek chyba też.

— Dziwisz się? Przecież lisa wszędzie je znajdzie.

— Wcale się nie dziwię. Dziś pani dozorczyńni, jutro pani minister. Dla niej to żadna różnica: to i to człowiek. Ale ma tam chyba lepsze wejścia. W ostatnim liście wspominała o armii i o wywiadzie, a to już grube ryby. Ciekawe, czy sama... zresztą nieważne.

— Ciekawe, czy ma tam chłopca?

— Gdyby miała, napisałaby mi o tym.

— Jasne, że tak — Lea spojrzała mu w oczy. - Wiem, że zawsze byliście wobec siebie uczciwi.

— Chce, żebym ją odwiedził.

— I odwiedzisz?

— Może... Sam nie wiem. Tylko tego mu brakowało. Związać się na nowo tylko po to, by znów się rozstać. Nigdy. To już nie na ich lata.

— Na razie się nie wybieram.

— Nie musisz. Masz czas, mnóstwo czasu. Przyglądali się sobie i równocześnie wybuchnęli śmiechem. Kto jak kto, ale oni wiedzieli, jak szybko ten czas upływa.

We wrześniu znajomi Paula zaprosili go do letniskowego domku na Long Island. Pewnego ranka postanowił poszaleć na nartach wodnych; przy skręcie dostał linką w ramię i padł.

— Paskudnie to wygląda — powiedział gospodarz, tamując mu krew bandażem.

— Zawiozę cię do Nowego Jorku. Powinien to obejrzeć lekarz — zdecydował pomimo protestów Paula.

— Zwyczajnie draśnięcie — Paul nie chciał psuć wszystkim weekendu. — Pechowa ręka. Najpierw w Paryżu, potem w Izraelu, teraz na Long Island.

Zawieźli go do przychodni, gdzie młody stażysta zalał mu ranę riwanolem, przysypał dermatolem i kazał iść do porządnego fachowca.

— Zrobiłem, co do mnie należy — powiedział na pożegnanie
— ale czemu od razu nie poszedł pan z tym do chirurga?
— Wtedy, w Paryżu mieli ciekawsze przypadki na głowie.
— Rozumiem. Ale potem chyba też to panu dolegało?
— Zwłaszcza raz. Gdy wyrznąłem się o kredens.
— Kredens, nie kredens. O zdrowie trzeba dbać. Zna pan porządnych chirurgów plastycznych w tym mieście? Jeśli nie, służę nazwiskiem. Dużej klasy specjalista.

— Skoro pan poleca...

— Polecam. Dam panu trzy nazwiska. Wybór należy do pana. W domu odłożył to na lepsze czasy. Wkrótce zaczęła go drażnić

koszula, a pewnej nocy, gdy przewrócił się na bok, poczuł, że cała poduszka jest lepka. Zrozumiał, że dość z tym oślim uporem i że trzeba wreszcie coś z tym zrobić.

Jak to powiedział ten doktorek? — Dużej klasy specjalista. Pewnie ręka nie wymaga aż takiego mistrza. Nieźle ośmieszysz się, przychodząc do takiego z byle głównem. Ale skoro powiedział, że to chirurg plastyczny? Chyba za coś im płacą?

Ten „chirurg plastyczny” wciąż mu się z czymś kojarzył. Nie mogąc zasnąć, zaczął sobie przypominać. Co robi chirurg? Operuje, więc pewnie odkaża narzędzia na kuchence. Kuchenka... ogień... „Igrasz z ogniem”... Kto to powiedział? lisa? A jeśli nawet?

Bzdury. Przecież ogień i ryzyko to męskie sprawy. Jakie zresztą ryzyko, jeśli dobrze to przeprowadzi? Kusiło go to pomimo niepokoju. Cóż z tego, że tamten jest mężem jego córki? Czy lekarz nie puści czasem pary o rodzinie? Słówko, dwa — więc może warto zaryzykować?

Budzik tykał w ciemności: Tik-tak, tik-tak. Tik-nie, tik-nie

— zrzędził głos lisy. Nie ma jej tu, więc nie będzie mi rozkazywać

— przełamał wątpliwości Paul. Przebudził się, zapalił lampę przy łóżku i wykrecił numer. Nacisnął widelki. Doktor Teodor Stern praktykował w Nowym Jorku, a więc nie tak daleko. Zresztą, czym jest odległość? Prześpi się i jutro raz jeszcze przemyśli to sobie.

Przespawszy się, zamówił rankiem wizytę u doktora Sterna.

— Tu dostałem od niemieckiego snajpera w Paryżu — wyjaśnił Paul. — Będzie dobre dwadzieścia lat.

Dopiero teraz, po wyjściu z pokoju zabiegowego, mógł wreszcie przyjrzeć się doktorowi Sternowi siedzącemu za biurkiem. Liczył się ten człowiek. Ramię było pretekstem. Stern zamyślił się i zrobił to z klasą. Z dużą klasą. Takich mężczyzn wyczuwa się na pierwszy rzut oka, niezależnie od profesji. Przyjazny, ale nie żeby zaraz poklepywał po plecach. Mądry, ale nie przemądrzały.

— I tyle lat nic pan z tym nie robił? — spytał. — Powiem szczerze: nieźle pan to spaprał.

— Ja też powiem szczerze. Jest pan drugim lekarzem, który mi to powiedział. Ten pierwszy śpieszył się do Berlina. Ja też.

— Pan też? — przyjrzał mu się Stern. — Przepraszam, ale sądząc z pana wieku, nie wzięli pana z poboru?

— Sam się zaciągnąłem do komisji badania zbrodni wojennych. Szliśmy za chłopakami. Skok przez Kanał — Normandia — Paryż

— prosto do samej Rzeszy.

Wyrecytował to rutynowo, a równocześnie rozglądał się po gabinecie. Meble z nie podrabianego orzecha, tapicerka z prawdziwej skóry, Iniane firanki. Domowo, ale zamożnie. Dyskretnie przeniósł wzrok na dużą fotografię nad głową doktora Sterna. Iris — rozluźniona, w asyście trzech chłopców i dziewczynki — na tle kwitnących krzewów. Pewnie azalie. Dziewczynka jasnowłosa i promienna. Pewnie włosy odziedziczyła po Annie, bo przecież Iris i Stern byli brunetami. Błądził okiem po fotografii, aż zatrzymał wzrok na radosnej twarzy młodej matki. Ubrana była w sweter z białym wykładanym kołnierzem, ramieniem otaczała najmłodszego z chłopców.

— I pewnie nie dotarł pan do Rzeszy? — spytał Stern.

— Chciałem, ale przez to ramię odesłali mnie do domu. Przez to cholerne ramię! — krzyknął, by zatuszować myszkowanie po ścianach, które pewnie nie uszło uwadze doktora.

— Ja szedłem z Brytyjczykami — pokiwał głową Stern. — Też mi się śpieszyło, by tłuc tych hitlerowskich skurwieli. I nawet mi się udało.

Obaj przez chwilę milczeli.

— Było, minęło — przerwał ciszę Paul, chcąc przepędzić zmoreę.

— Wspaniale wydzwignęła się z tego Europa. Plan Marshalla, ludzka wola, zadziwiająca...

— Nigdy tam nie wrócę. A już na pewno nie do Niemiec ani do Austrii. Nie chcę, by ktokolwiek pamiętał tam o mnie. Nie wypowiem słowa po niemiecku, chociaż to mój rodzinny język. Próbowałem się go oduczyć. Na sam dźwięk robi mi się niedobrze.

Żona — przypomniało się Paulowi. — Czy ten staruszek w Jerozolimie nie wspominał coś o jakiejś urodziwej blondynce i o dziecku? Czy lisa nie wspominała kiedyś czegoś podobnego o tym języku? Jak to brzmiało? „Gdyby mojego syna nie zamordowano w obozie koncentracyjnym, może pamiętałabym, że to język Goethego i Schillera”.

— Rozumiem pana.

— Kiepska sprawa — powiedział Stern, jakby budząc się ze snu. — Nie obejdzie się bez kilku dni w szpitalu. Pewnie wolałby pan w Nowym Jorku? Praktykuję też w Westchester, tam gdzie mieszkam.

— Wolałbym Nowy Jork.

— Nie ma sprawy. Moja pielęgniarka umówi pana ze mną za dwa tygodnie. Ciekawe — przyjrzał się z uwagą Paulowi — czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? Nie wiem gdzie, ale tak mi się wydaje.

— Dobrze się panu wydaje — uśmiechnął się Paul. — Kilka lat temu na bankiecie z okazji otwarcia domu starców. Zasiadałem w radzie patronackiej. Wtedy, teraz już nie.

— Tak, przypominam sobie. Jest pan bankierem i rozmawialiśmy wtedy o lokatach kapitału, z czego zresztą nic nie wyszło. Moja żona chyba pana zna? Zna lub raczej poznała pana, gdy była dzieckiem.

— Kiedyś, dawno temu, znałem jej matkę.

— Matkę? Ale chyba nie przyszedł pan do mnie tylko dlatego, że poznaliśmy się na bankiecie?

— Nie bankiet to sprawił, lecz pana renoma, doktorze — powiedział Paul, po czym, jakby w ogóle nie było tej rozmowy, spytał: — Ile jestem panu winny?

— ... Tak mało? — spytał równie naturalnym tonem, gdy Stern wymienił kwotę. — Myślałem, że więcej, ale to lekarz, a nie pacjent decyduje — dodał żartobliwie.

— Nie wybrałem sobie tej profesji, by zostać milionerem — odparł całkiem poważnie Stern.

— Miło słyszeć coś takiego w dzisiejszych czasach.

Dziwne. Przecież ten gabinet musiał go niełicho kosztować. Paul poczuł dopiero teraz pod stopami perski dywan. Jeśli ten facet naprawdę leczy dla przyjemności, musi być albo spadkobiercą niewąskiej fortuny — co raczej nie pasowało do jego biografii — albo być splukany do ostatniego centa.

Mimo to podobały mu się te jego słowa. Diabli wiedzą czemu, ale nie brzmiały świętoszko wato. Brzmiały szczerze.

— A jak z tenisem? — spytał, wstając z fotela. - Nie mogę bez tego żyć.

— Zupełnie jak ja. Ale zalecałbym kilka tygodni abstynencji.

— Pocięszył mnie pan, że tylko kilka.

Już na ulicy poczuł mieszaninę dziwnych uczuć: serce mu biło, a ciekawość robiła swoje. Zupełnie jakby ktoś odebrał ci powieść nie doczytaną do końca lub jakby przyjsć do teatru na ostatni akt sztuki. Ta fotografia Iris! Z dziećmi, a więc z jego wnukami. Zakazany owoc? Ani lisa, ani Lea nie musiały mu mówić, że źle robi. Sam to wiedział, ale było już za późno. Musi przyjąć wyzwanie, które sam rzucił.

Przyśpieszył kroku. Nawet perspektywa zabiegu dodawała mu sił. Niezły jest ten Stern. Taktowny i męski — też chciałby mieć takiego zięcia, gdyby to od niego zależało. Niebo — jak to wczesną jesienią — było matowobłękitne, w oknach kwiaciarni pojawiły się burozłote chryzantemy i aż chciało mu się pogwizdywać, gdy szedł w stronę Park Avenue.

Strasznie go w tym szpitalu rozpieszczali. Lea i Lucy wymieniały się dyżurami. Meg telefonowała każdego rana. Chłopcy z firmy posłali taką masę kwiatów, że nie było gdzie ich stawiać. Leżał otoczony stertami prasy, owoców i słodczy, których większość rozdawał towarzyszom niedoli.

Właśnie wpadła Lea z furą przekąsek; peklowana wołowina z ryżem, do tego korniszony.

— Skąd wiedziałaś, że na to mam ochotę?

— Skąd? Przecież wiesz, że nie od wczoraj się znamy.

Nie posiedziała sobie. Weszła Meg z bukietem róż prosto z ich wiejskiego ogrodu.

— Wreszcie mamy gościa do tego azylu dla psów. Za to Larry złapał grypę. — Ucałowała Paula w policzek. — I masz wyjść stąd przed świętami. Tim też przyjedzie, więc będziemy całą rodziną.

— Meg to zacna kobieta — powiedziała Lea po jej wyjściu.

— Zawsze taka była.

Cieszyło go, że tak się zaprzyjaźniły. Co je właściwie łączyło? Nic — jak Leę i Ilesę — ale wszystkie mówiły o sobie ciepło i serdecznie, a czy to nie najważniejsze?

Paul siedział w fotelu przy oknie i patrzył na East River, a za nią na dachy i kominy przyprószone pierwszym śniegiem.

Chciał coś powiedzieć — coś, co zawsze kusiło go, gdy był w tym szpitalnym pokoju sam na sam z Leą — ale ugryzł się w język i powiedział coś całkiem innego:

— Taka śnieżycą? Wcześniej jak na jesień.

— To chciałeś mi zakomunikować?

— Powiedzmy...

— Powiedzmy, że nie to. Przecież widzę, że aż cię świerzbi język. Miała rację. Świerzbił go, i to ostro.

— Wiesz, kim jest ten chirurg?

— A niby skąd?

— Nazywa się Teodor Stern... mąż Iris, jeśli nic to ci nie mówi.

— Paul! Czy ty oszalałeś? — Lea zapadła się w fotel, łapiąc z trudem powietrze.

— Nie. Zbudziłem się w nocy i wpadłem na ten pomysł. Nie mogłem się powstrzymać, po prostu nie mogłem.

— Po prostu nie mogłeś? — Patrzyła nań bez zrozumienia. — Po prostu zwariowałeś. Pomyśl, co będzie, gdy on wspomni o tym jej lub Annie. Mało masz problemów?

— Nie sądzę, żeby opowiadał w domu o swoich pacjentach. A jeśli nawet... przecież Anna na pewno mi zaufa.

— Paul, z ciebie jest istny masochista — Lea wykonała dłonią gest, od którego zadźwięczały wszystkie jej bransoletki. — Ja i Bill też nie mamy tajemnic, ale nawet jemu nie wspomniałam o tym przez całe nasze małżeństwo. A wiesz czemu? Bo to była twoja, a nie nasza tajemnica! Teraz baw się w nią sam! — zarzuciła futro, wstała i raz jeszcze spojrzała nań z wyrzutem.

— Ty chyba strasznie lubisz się umartwiać. Coś mi to mówi. Twoja sprawa, Paul.

— Wcale się nie umartwiam. Po tej rozmowie jest mi lepiej. Wiesz, że nawet jakby mi ulżyło? Nie bujam, Lea.

— I zadowolisz się tym? — Świdrowała go jasnymi oczyma. — Jesteś pewny, że gdy wyjdiesz ze szpitala, nigdy do niego nie przyjdiesz? Paul, nie idź już nigdy do niego.

— Pewnie masz rację, ale co się stało, to się nie odstanie.

— A więc wyjdź z tego szpitala jak każdy pacjent.

— Przecież jestem pacjentem.

— I zostań nim. Niczego nie zmienisz.

— Ale przy okazji dowiedziałem się, że Iris ma porządnego męża.

— Twoja sprawa. Bill na mnie czeka. Pamiętaj, Paul im mniej będziesz rozmawiać z tym doktorem, tym lepiej.

Wyszła, a Paul wodził oczyma po książce i wpatrywał się w śnieżycę, która nic dobrego nie wróżyła. O tej porze doktor Stern miał obchód. Wpadał na kilka minut, pytał o zdrowie, rzucał fachowe uwagi. Wczoraj zastał Paula na lekturze „Wall Street Journal” i wspólnie ponarzekali na podatki. Ostatni raz rozmawiali dłużej w jego gabinecie. Oczywiście, nie należało teraz rozdrapywać starych ran. Przecież Lea zawsze coś wypapla, gdy Anna lub Iris wpadną po jakąś kieckę.

Śnieżna plucha zalepiła okno tak skutecznie, że nie mógł nawet rozpoznać pory dnia. Za szybą płatki śniegu szybowały ku leżącej w dole mętnej rzece. Poczul się nieswojo, włączył telewizor i wysłuchał prognozy pogody informującej, że nad Nowym Jorkiem szaleje niespotykana o tej porze roku zawieja. Poinformowano go też, że w New Haven i na Long Island zerwało trakcję, a pasażerowie wskakiwali do ostatnich pociągów. Podobno wielu nie zdążyło i teraz szukali noclegów lub koczowali w poczekalniach. Wyłączył telewizor, zapadł w fotel i poczuł senność. Przypomniały mu się dziecięce lata, wakacje w górach, gdy tak miło było patrzeć spod kołdry w pokoiku na miotane wichurą za oknem drzewa. Zastanawiał się, czemu po tylu latach wspomina się takie bzdury, gdy drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do jego szpitalnej jedyńki.

— Byłem tu, ale chyba pan spał — powiedział doktor Stern. — Musiałem podszkolić trochę stażystów.

Wichura uderzyła we framugę okna, omal nie wyrywając jej z zawiasów.

— Klęska żywiołowa — uśmiechnął się Paul. — Prasa będzie miała o czym pisać przez następne pół wieku.

— Prawdziwy kataklizm. Podobno nawet taksówki nie kursują. Kolej podobno działa. — Przybrał poważny wyraz twarzy. — Tylko jak dojść pieszo na Grand Central? Nie dość, że sypie, to jeszcze gołoledź.

— Paskudna sprawa — przytaknął Paul. — My, biznesmeni, mamy lepiej. Siedzimy sobie za biurkiem.

— U nas też gołoledź panu nie grozi — powiedział Stern, poprawiając mu opatrunek.

Fachowe ręce — pomyślał Paul. — Delikatne, ale znać fachowca. Bardziej fachowca niż uczuciowca. Stern zmienił mu opatrunek.

— Zrobiłem, co w naszej mocy — powiedział Stern. — Może to nieskromnie brzmi, ale rękę ma pan w porządku. — Nawet do tenisa wiosną?

— Nawet. Chyba że znowu zrobi pan coś głupiego. Wyrwie szwy *gibo* ruszy na wojnę.

— Nie wybieram się.

— Ja też. Mógłbym tu chwilę posiedzieć? — spytał Stern.

Ciężki miałem dzień, a starość nie radość, — Po co pan pyta? Ja też chciałbym z panem pogadać. Niekoniecznie o mojej ręce.

— Nie o rękę? A więc o czym?

— Wiem, że to głupie... zbieg okoliczności. Rok temu podczas pobytu w Jerozolimie poznałem kogoś, kto chyba pamięta pana z Wiednia. Ten człowiek nazywał się Hemmendinger.

— Hemmendinger? Nic mi to nie mówi.

— Może chodziło mu o kogoś innego. Staruszek... jubiler. Pocieszny gość, ale bardzo dystyngowany. Spytał mnie, czy nie znam doktora Teodora Sterna, chirurga plastycznego z Nowego Jorku. Powiedziałem, że nie, ale wczoraj znów mi się to przypomniało i zacząłem kojarzyć fakty.

— To by pasowało — zamyślił się Stern. — Nazwisko, zawód... nie, ale Hemmendinger? Nic mi to nie mówi. Pozwoli pan, że zbiorę myśli.

— Mówił, że miał sklep jubilerski przy Ringstrasse. Trzecie pokolenie. Mówił, że znał pana matkę...

— Tak... coś już kojarzę. Nazwisko wyleciało mi z pamięci. Moja matka uwielbiała biżuterię. Mnóstwo kupowała w ich firmie. Potem sprzedawała... żeby nas uratować. To były straszne czasy, panie Werner. Pan nigdy tego nie zrozumie.

— Tak pan sądzi? Znam się trochę na Europie. Trochę zawodowo, a trochę dlatego, że kiedyś pomagałem uchodźcom. Zawsze kusi mnie, by pytać, jak tam to wyglądało... wtedy, gdy my żyliśmy jak u Pana Boga za piecem. Oczywiście nie wszystkich — uśmiechnął się na myśl o swoim wrodzonym wścibstwie, po czym dodał poważnie — Tylko tych, którzy chcą ze mną na ten temat rozmawiać.

— Takich jak ja — pokiwał głową doktor Stern. — W porządku, mogę opowiedzieć panu o moich losach, tylko obawiam się, że nieco pana rozczaruję. Pospolite losy. Cała moja rodzina — wszyscy, dosłownie wszyscy — zginęli w obozach zagłady. Gdy Hitler zajął Austrię, byłem akurat za granicą. Próbowałem ich wyciągnąć. Nie

udało się, więc przedostałem się do Anglii i przewalczyłem wojnę pod brytyjską flagą. Sam pan widzi, że nic niezwykłego — dodał, przyglądając się paznokciom.

— Znam te sprawy. Przez parę lat pracowałem dla Jointu*. Odwaliliśmy niezłą robotę dla ludzi, którzy chcieli się osiedlić po wojnie tu u nas, w Ameryce. Najgorzej mieli lekarze: nostryfikacja, konkurencja, ale przynajmniej pomagaliśmy im stanąć na nogi.

— Ja należałem do szczęśliwców. Ojciec jeszcze przed wojną ulokował co nieco w amerykańskich bankach. Nie było tego dużo, ale w sam raz na początek. Wzeniłem się we wspaniałą rodzinę i pomogli mi stanąć na nogi — głównie psychicznie. Stworzyli mi dom i poczucie przynależności. Pan, panie Werner — Stern zamyślił się

— nigdy tego nie zrozumie. — Pokręcił głową.

Paulowi zrobiło się głupio, że podjął tak bolesny temat.

— Przyjęli mnie i prawie usynowili — ciągnął Stern. — Moja teściowa... niewielu znajdzie pan mężczyzn, którzy wymawiają to słowo z serca — Stern usiłował zdobyć się na uśmiech — ale ja właśnie do takich należę. A więc, moja teściowa jest prawdziwie europejska... przepraszam, że tak to określam... taka jak tamte, które pamiętam z dzieciństwa. A mój teść to sól tej ziemi. Nie przesłyszał się pan. Wiem, że to staroświeckie, ale trudno.

— To piękne mieć taką rodzinę — przytaknął Paul zawstydzony, że wyciąga od przyzwoitego człowieka zwierzenia, które nie są jego sprawą.

— Teraz teść pomaga mi zdobywać fundusze na mój oddział w podmiejskim szpitalu. Ciasno tam mamy. — Stern spojrział na zegarek. — Wieczór rodzinny z głowy. Muszę zatelefonować.

— Niech pan zadzwoni stąd — powiedział Paul i widząc wahanie Sterna dodał: — Mój telefon jest do pana dyspozycji.

Znow poczuł się nieswojo i podniósł gazetę, by zamaskować nią przysłuchiwanie się rozmowie. Oszust z ciebie, Paul — szeptał mu znajomy głos. — Oszust i podsłuchiwaniec. To twoje prawo, Paul

— szeptał drugi. — Tak trzeba i nikomu nie robisz krzywdy. Kto inny postąpiłby na twoim miejscu inaczej?

Czuł, że na drugim końcu linii jest Iris i wsłuchiwał się w koniec ich rozmowy.

* Joint (w oryg. Joint Distribution Committee) — ponadpartyjna komisja Kongresu USA niosąca pomoc ofiarom drugiej wojny światowej w Europie.

— Nie... nie tak szybko — mówił Stern. — Nawet pociągi nie chodzą... Oczywiście, że zjem coś w szpitalu... Jasne, że się prześpię... stażyści mają kilka wolnych łóżek.

Dopiero teraz Paul przypomniał sobie twarz rozmówczynie i zmartwiło go, że pamięta tylko jej czarne oczy, do tego niezbyt mu przyjazne. Niezbyt przyjazne? Nonsens. Dlaczego miałyby mu być nieprzyjazne?

— Zawiało was? — pytał Stern. — Zawiało, to odkopią. Najwyżej nie pójda jutro do szkoły. Gołoledź? Tym bardziej nie pójda... Dobra, zadzwonię jutro rano... mam... mam ciepłe rzeczy.

— Tak to z żonami — uśmiechnął się, odłożywszy słuchawkę. — Zawsze panikują.

— Pan chyba nie narzeka — Paul uśmiechnął się też, żeby przedłużyć ich rozmowę. — Przeżył pan swoje, ale dotarł pan do przystani.

— Chyba tak... — zamyślił się Stern. — To moja druga żona. Druga rodzina. Tej pierwszej nie ma i już nigdy nie będzie. Mówią, że — wymówił to jakby przez sen — mężczyźni mają stałe gusta. U mnie jakoś to się nie sprawdziło. Liesel była blondynką: rozmowną i towarzyską, dość krągłą. Iris jest brunetką, poważną i... zresztą widział ją pan. Kto wie, co nami kieruje? — Stern spojrzał w okno.

A więc tęskni za tamtą — pomyślał zaskoczony Paul. — Tak jak on za matką Iris.

— Tak, nikt nie wie — powiedział cicho, nie chcąc burzyć spokoju Sterna, który wstał i zmierzał ku drzwiom. Rozstaną się i rozejdą w swoje strony.

— Serce nie sługa — dodał uśmiechając się. — Żyję dłużej niż pan, a też czasem się dziwię.

Zaskoczyło go, że Stern odwrócił się, jakby usłyszał nie banał, ale istotną naukę.

— Czasami też myślę, że to prosta sprawa. Chłop poflirtuje sobie, zakocha się, a kobieta leci w kawałki i chce się rozwodzić... Ma pan dzieci, panie Werner?

— Nie mam.

— To ma pan pecha... albo szczęście. Trudno powiedzieć. Ja mam jedno i drugie. Mamy czworo, ale problemy tylko z najstarszym. Zdolna bestia... Dumni jesteśmy z niego. Co usłyszy, zaraz zapamięta. Weźmie książkę, rzuci okiem i zaraz wie, o co w niej chodzi. Tylko że odbiło mu z tym Wietnamem — Stern pokręcił głową. — Ja naprawdę ich nie rozumiem. Ja nawet nie rozumiem mojego Steve'a!

Paul przyjrzał się uważnie stroskanej twarzy doktora. Dotąd zachowywał się jak przyzwoity lekarz wobec przyzwoitego pacjenta, a teraz, jakby zapominając o białym kitlu, wylał wszystkie żale na pierwszą osobę, która nawinęła mu się pod rękę. Chyba coś mu dolega, bo inaczej trzymałby do końca język za zębami.

— Ta cholerna wojna — powtórzył Stern. — To przez nią gadam od rzeczy.

— Wojna? A co to ma wspólnego z pańskim synem?

— Dzieci-kwiaty, miłość, pokój! Dwadzieścia tysięcy gówniarzy zbiera się, by słuchać jakiegoś naćpanego mędrca, który pieprzy im o porzuceniu uczelni. Mój syn jest na pierwszym semestrze, ale już w ogólniaku naczytał się tej makulatury. Jak zorganizować pokojowy marsz, jak dostać pałą, jak schrzanić sobie przyszłość. Zwłaszcza jeden taki ostro ich zachęcał. Nie pamiętam nazwiska, ale ciągle go cytują. Zdaje się, że ten skurwiel wykląda na uniwersytecie Steve'a. Proszę Boga, by nigdy się nie poznali. Podobno taki zacny... młody idealista!

Młody... zacny... mędrzec... ciągle go cytują — Paulowi przypomniała się Jerozolima, usprawiedliwiający terrorystów Tim, leżący w rowie autobus i jęki ofiar.

— Żona-mówi, że jestem zbyt przewrażliwiony. Ale jaki ja mam być w dzisiejszych czasach?

Pielegniarka przyniosła Paulowi kolację na tacy i Stern dokończył, tłumacząc się:

— Podobno śnieżyce wywołują u ludzi niepokój. Tak jest u zwierząt. Wybacz pan.

Paul już chciał jego poprosić o wybaczenie, na szczęście pielegniarką, chyba nowa na oddziale, przerwała im:

— Naszego pana doktora nic nie przestraszy, nawet huragan

— upewniła Paula, strzygąc rzęsami. — Nasz szef niczego się nie lęka

— dodała omdlewającym głosem.

— Z wyjątkiem pięknych pielegniarek — zażartował Stern.

— Jutro wypiszemy pana. Dobrej nocy.

— Zawodowiec! — powiedział Paul, gdy on i pielegniarka zostali sami.

— Dużej klasy. Ale ludzki gość. Można z nim porozmawiać. Nie zadziera nosa jak cała ich reszta.

— Tak, ludzki gość.

— Wie pan, z nim rozmowa to nie przesłuchanie. Ma w sobie coś ciepłego. Zazdroszczę jego żonie. Bombowy facet. Każda z nas skoczyłaby za nim w ogień.

- Paul przyjrzał się wystającym spod białego czepka kasztanowym falującym włosom, ustom pociągniętym dobrą pomadką i zachęcającym kształtom pod uszytym na miarę fartuchem. Bombowy facet — pomyślał. — Ty też jesteś bombowa.

Z ociąganiem zabrał się do kolacji, czując w żołądku dary, którymi uraczyły go Lea i Meg, i pomyślał o Sternie. Coś go niepokoiło. Choćby te „piękne pielęgniarki”, o których zazartował wychodząc. Dlaczego minął się z nią tak szybko w drzwiach? Czyżby grał na dwa fronty? Zresztą, co mu do tego? W moim życiu też można by ładnie pogrzebać. Ale Iris... przecież jest, do cholery, jego córką, a to coś znaczy. Jest, była i będzie, na dobre i na złe. Z tego, co widać, na razie na dobre. Na dobre? A skąd ta pewność? Stąd, że Stern to porządny gość. Ale co ja o nim wiem? Wiem tyle, że go polubiłem. Dość tego. Ilsa miała rację. Co mnie obchodzi Iris i ten ich Steve? Nieźle go gryzie ten chłopak. Stern pewnie wszystkiego mi o nim nie powiedział albo sam wszystkiego sobie nie przemyślał. Może lepiej zachować w pamięci Iris wychodzącą w ślubnej sukni z synagogi lub tę tańczącą na bankiecie w aksamitnej sukni od Lei. Może tak właśnie trzeba?

ROZDZIAŁ 6

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia wybrał się rano z Leą i Billem na farmę Meg. To nie były ich święta, ale był to dzień, w którym wszyscy — rodziny, przyjaciele i znajomi — zasiadają przy wspólnym stole.

Meg udało się zgromadzić trójkę swych dzieci: Agnes z Nowego Meksyku, Lucy z aktualnym partnerem, Timothy'ego, co niezbyt uradowało Paula. Uścisnęli sobie dłonie i każdy z osobna wtopił się w tłum gości.

Paulowi przypomniały się ryciny z dziecięcych lektur i stare pocztówki. Za oknem trawnik pokryty śniegiem, a tuż dalej śnieżne czapy na kamiennym murku niczym uchwycona przez falochron morska fala. Za to w bawialni dorodna choinka, a w jej blasku błyszczące świecidełka pamiętające co najmniej dwa pokolenia. Na kominku ułożone w szyku świąteczne życzenia, a niżej czerwone skarpety, z których już wkrótce każdy wyjmie swój upominek.

— Te dwie pary są dla psiorów — wyjaśniła Meg. — Penny i Dave też obchodzą gwiazdkę.

Penny i Dave byli parą starych irlandzkich spanieli-wodolazów, sypiających w małżeńskim łóżu Larry'ego i Meg. Teraz, ułożywszy się w swoim kącie bawialni, leniwie obserwowały orzechowymi oczyma spod dyndających, kłapciatych uszu tych dziwnych, zasiadających do wieczerzy ludzi.

Wiele się tu zmieniło. Starsza pani — matka Meg — nigdy nie tolerowałaby psów podczas rodzinnej kolacji. Nie było też pokojówek w szarych fartuszkach czekających na baczność, aż kucharka wniesie przygotowane przez starszą panią Meg dania. Ale reszta była jak za dawnych czasów. Został dom, choć dwie werandy zaadaptowano na

izby przyjąć, a na podwórku ustawiono psie budy. No i świąteczny stół. Pośrodku igliwie przyozdobione banieczkami i wstążkami z czerwonego aksamitu. Indyk, pieczeń wołowa, pudding a la Yorkshire, rzepa, puree w sosie cebulowym, bułeczki z piekarnika w prawdziwym domowym żurawinowym sosie ze skórką pomarańczową. Wszystko jak dawniej — przypominał sobie Paul. Do tego wino, ajerkoniak spoczywający na kredensie w bezpiecznej odległości, marcepany i nadziewane daktyle w srebrnej, odziedziczonej po babci Angelice wazie, ustawionej między dwoma srebrnymi świecznikami.

Jak mógłby tu dziś nie być? Czuł, że jest coś w tradycji i że pewne rzeczy trwają w tym zmiennym jak kalejdoskop świecie. Że są jak kotwica. Mało już takich miejsc. Dobrze, że młodsza Meg — ładnie mi „młodsza”, przecież dobiega już sześćdziesiątki — wciąż mieszka w tym domu. Dobrze, że on — jej kuzyn — też tu bywa. Przyjrzał się wszystkim przy stole. Lucy i Lea plotkowały jak najęte. Mało im przez cały tydzień w sklepie? Ukradkiem zerknął na Tima, który w pracochłonne wymiętej bawełnianej koszuli perorował na temat terroru krawatów i ciasnych kołnierzyków. Straszny z niego szczeniak — pomyślał. Szczeniacki bunt. Wtedy w Jerozolimie nawet nie zauważył, co Tim miał na sobie, a gdyby nawet, cóż go to obchodziło? Pomyślał o Tomie — bracie Tima. Nigdy nie darzył go szczególnym uczuciem, ale teraz dużo by dał, by też siedział tu z nimi. A jeśli nie z nimi, to przynajmniej nie pod ostrzałem w Wietnamie. Znow krew... znow zapach krwi.

— My się chyba nie znamy? — wyrwał go z zadumy męski głos.

— Paul Werner — wyciągnął serdecznie dłoń. — Kuzyn Meg.

— Wybaczcie — przeprosiła Meg przysiadając się. — Mam istne urwanie głowy. To pan Jordaine, Victor Jordaine, przyjaciel Tima.

— Jego nie musi mi pani przedstawiać — wpadł jej ze śmiechem w słowo nieznamy.

— Czyżbyśmy się już poznali?

— Któż nie zna banku Wernerów?

Paula jakoś niezbyt rozbawiło to nieco pochlebne wyjaśnienie.

— Wielu nie zna. Zwłaszcza ci spoza branży. Domyślam się, że pan też działa w finansach — odparł chłodno.

— W finansach i w wielu rzeczach. A tak w ogóle, jestem z Europy. To spory kawałek drogi — uśmiechnął się leniwie.

Paul, pamiętając, że obaj są tu gośćmi, podjął konwersację.

— Pewnie lubi pan podróżować?

— Niezupełnie. Tylko w interesach. Za to nie znoszę hoteli. Z reguły zatrzymuję się w wynajętych domach, skoro już muszę wyskakiwać do Paryża, Londynu, czy gdzieś tam.

Paul słuchał i próbował jakoś go zlokalizować. Mówił z lekka cudzoziemskim akcentem. Nie wyglądał na sąsiada Meg. Tamci byli wylewni i z tych stron, a jeśli nawet wynieśli się z miasta, dobrze im tu było. Przechwalali się psami, hodowali owce, klęli na upadek rolnictwa i co cztery lata zapełniali tłumnie wyborcze lokale. Ten człowiek w drogim czarnym garniturze, z mrocznym dwuznacznym uśmiechem, w niczym ich nie przypominał.

— Pan Jordaine jest naszym nowym sąsiadem — wyjaśniła na szczęście pełniąca honory pani domu Meg. — Ma tu niedaleko wspaniały dom.

— Tylko dzięki pani synowi, a mojemu przyjacielowi, który doniósł mi, że jest tu coś takiego do nabycia.

— Więc jest pan kolegą Thomasa? — spytał Paul.

— Thomasa? Nie, Tima. Thomasa nigdy nie widziałem na oczy.

Paul czuł, że to nie jego sprawa, ale ciekawość nie dawała mu spokoju. Jordaine i Tim niezbyt pasowali do siebie, postanowił jednak czekać i słuchać.

— Właściwie to nie mój dom. Wynajmuję go, dopóki nie wykończą mi czegoś własnego w Nowym Jorku. Dotąd w Stanach zawsze zatrzymywałem się w Waldorf Astoria, ale mówiłem panu, że nie lubię hoteli.

Nagle Paul stracił całe zainteresowanie. Na drugim końcu stołu rozpętała się dyskusja, w której rej wodził Tim. Właśnie uciszał mentorskim tonem pozostałych.

— Gdy zawodzi siła argumentów, pozostaje argument siły — oznajmił.

— Nie zgadzam się — przerwał mu Bill. — Też nie podoba mi się ten Wietnam i dobrze wiem, w cośmy tam wdepnęli. Tylko nie mów mi, że wysadzanie w powietrze central telefonicznych coś tu da. Najwyżej pójdzie w drzazgi cenny sprzęt, a kilka osób może przy okazji stracić życie.

— Jesteś prawnikiem i to normalne, że patrzysz na to z prawnego punktu widzenia — zareplikował Tim. — Reprezentujesz interesy właścicieli, podobnie jak większość prawników, może z wyjątkiem tej garstki, która broni za darmo interesów ludu, choć — o ile wiem — ty się do niej nie zaliczasz.

— A niby czemu ma bronić za darmo, skoro płaci podatki na ten twój lud? — nie wytrzymała Lea.

Bill polecił jej gestem dłoni, by się przymknęła, bo jak na razie potrafi sam się bronić, po czym ciągnął spokojnie:

— Na szczęście mamy jeszcze w tym kraju rządy prawa. Jeśli nie podobają ci się, poczekaj na wybory, zagłosuj i je zmień. Jasne i proste. Na tym właśnie polega ten system.

— Znów mówisz jak prawnik — Tim nie dał za wygraną. — To wszystko do niczego nie prowadzi. Młodzi ludzie — a sam się do takich zaliczam — nie chcą czekać w nieskończoność. Chcą wziąć sprawy we własne ręce.

— Ciekawe, co by na to powiedział twój brat? — spytała z gniewem Lucy. — Też jest młody, tylko że on akurat siedzi teraz w Wietnamie.

Larry, zacy Larry, pośpieszył z mediacją. Wprawdzie na pewno zdążył przywyknąć do kłótni między dziećmi swojej żony, ale mimo to Paulowi było go żal.

— Tak, ciężkie mamy czasy. Tyle sprzecznych teorii: a to efekt domina, a to pokój za wszelką cenę, a to coś tam. Pożyjemy, zobaczymy. Grunt, że mamy święta i...

Jeden z sąsiadów, zawsze będący dla Paula uosobieniem dostojnej starej rzędy, wpadł mu w słowo:

— Bo taką mamy młodzież! Ledwie przestali robić w majtki, a już myślą, że potrafią rządzić krajem. To, co dzieje się na uczelniach, to hańba. Nic z tego nie rozumiem. Ptasiego mleka im nie brakuje, więc czego jeszcze chcą?

— Na to akurat mogę panu odpowiedzieć — odparł spokojnie Tim. — Mówi pan, że nie brakuje im ptasiego mleka? Zgoda, przynajmniej niektórym z nich. Tylko ciekawe, że oni wcale go nie chcą. Przejedli się nim. Lata pięćdziesiąte skończyły się. Wyrosło nowe pokolenie. Oni po prostu kwestionują społeczeństwo, w którym żyją.

— Marksizm — rzuciła z pogardą Lucy. — Czysty marksizm. Tobie nie chodzi o wyjście z Wietnamu. Ty chcesz rozwalić ten kraj.

— Może i chcę rozwalić go, żeby go potem odbudować. Znasz to stare przysłowie? Nie usmażysz omletu, nie rozbijając jaj.

— Przestań, Tim, bo naprawdę wezmą cię za komunistę, którym wcale nie jesteś — skarciła go delikatnie Agnes. — Jesteś po prostu wolnomyślicielem.

— Oczywiście, Agnes — Tim uśmiechnął się do siostry. — Sama wiesz, że komunizm jest ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął. Nie należę do Nowej Lewicy, podobnie jak do tej starej. Jeśli coś jest mi bliskie, to raczej anarchizm. Nie potrzebuję rządu, który posyła mnie na wojnę, mówi mi, w co mam się ubrać, każe mi być czystym i innym niż moje własne ja. Tego właśnie chcą dziś młodzi: chcą być sobą i żyć spontanicznie. Wszystko sprowadza się do rewolucji kulturalnej — dokończył.

— A co ma rewolucja kulturalna do wysadzania w powietrze central telefonicznych? — zachnęła się Lucy.

— Zapewniam cię, że ja się tym nie zajmuję. Ale — jeśli chcesz wiedzieć — ci młodzi, którzy tym się zajmują, to często najlepsi z ich pokolenia: najbardziej ideowi, zaangażowani, najzdolniejsi. Gotowi postawić wszystko, nawet własne życie, by skończyć tę wojnę. Kłaniam się im do ziemi.

— Skończyłeś pieprzyć? — spytała Lucy.

— Błagam was! — jęknęła Meg.

Paul rzucił okiem na Victora Jordaine'a, najwyraźniej ubawionego całą tą sceną. Zmroziło go to, bo on sam nie widział nic zabawnego w takim stężeniu wrogości między bratem i siostrą. Czy musiało do tego dojść właśnie przy świątecznym stole u Meg? Zaciskał zęby, za to Tim siedział sobie jasnowłosy, triumfujący i pewny siebie, zupełnie jak wtedy przy stoliku w Jerozolimie. Nagle Paulowi przypomniał się doktor Stern i jego syn Steve.

— Victor! — zawołał Tim. — A czemu ty wciąż milczysz?

— Wołałem was posłuchać — odparł Jordaine z tym samym rozbawionym wyrazem twarzy. — Jestem Europejczykiem. Wietnam to nie moja sprawa. To wasze, amerykańskie zmartwienie.

— Skoro nagadaliście się do syta — krzyknął Larry — proponuję zabrać się wreszcie za ten śliwkowy pudding!

Wniesiono pudding, płomienny, przyozdobiony u szczytu gałązką ostrokrzewu, zaraz po nim ciasta i napięta atmosfera ustąpiła stopniowo błahej paplaninie o tym, że ktoś wybrał się na Wyspy Karaibskie, a kogoś innego przyjmą w lutym do Westminsterского Klubu Hodowców Psów Rasowych.

Po deserze towarzystwo rozproszyło się. Rozmiary domu pozwalały na to. Część zgrupowała się w hallu przy pianinie, na którym ktoś zaczął brzdąkać, część zasiadła przed telewizorem, a nieliczni śmiałkowie zaryzykowali spacer w kopnym śniegu, by zrzucić nadwagę. Paul, Lea i Meg zostali przez chwilę sami w małym gabinecie pani domu.

— Przykro mi za Tima — powiedziała Meg. — Mam złe przeczucia.

Nie skomentowali tego, bo cóż można było powiedzieć, więc dokończyła sama:

— Tak to jest z dziećmi. Dorastają i idą własnymi drogami. Larry zawsze mi mówi, że najważniejsze to o nic nie pytać. Odpowiedź i tak nie przypadnie ci do gustu, a zrobić też nic się nie da.

— Ale z Lucy masz chyba pociechę? — przerwała milczenie Lea. — Na mnie ta dziewczyna zawsze może liczyć.

— Cieszę się, Lea. Lucy to moje zupełne przeciwieństwo, ale zawsze było nam ze sobą dobrze.

Rozmowa przeszła na tematy neutralne. Meg zauważyła, że młoda pani Donnelly wygląda z dnia na dzień coraz okrągłej, a Lea poinformowała, że pani Jakaśtam zafundowała sobie w jej sklepie letnią kreację na Florydę. Paul, słabo zaangażowany w babskie sprawy, zmienił gwałtownie temat.

— Ten mężczyzna... Victor Jordaine? Co to za jeden?

— Och, to jakiś znajomy Tima. Wynajmuje tu niedaleko dom z klombami i krytym basenem. Mówi, że go chyba kupi. Musi mieć niezłe pieniądze. Nie wiem, gdzie Tim mógł go poznać. Nie bardzo mi do niego pasuje, prawda? A tak w ogóle — Meg zachnęła się i pokręciła głową — wiecie, co mi w nim nie leży? Przypomina mi Donalę.

Paul nie pamiętał, kiedy Meg wymówiła po raz ostatni nazwisko swojego męża, ale musiało to być strasznie dawno.

— A tobie nie? — spytała.

— Czy ja wiem? — zawahał się Paul. Obaj zimni, eleganccy, a do tego trochę impertynency. Pod innymi względami porównanie było niezbyt fair w stosunku do Jordaine'a, skoro wzbudził w nim tylko przelotną ciekawość, podczas gdy Donalem gardził z całej duszy za jego nazistowskie sympatie i za niedole, jakich przysporzył Meg.

— Tak, facet szasta forszą — przytaknęła Lea, zwracając się do Paula. — Spotkałam go tu kiedyś. Gdy dowiedział się, że „Chez Lea” to ja, wykazał takie zainteresowanie, że aż się zdumiałam. Zna wszystkie najdroższe sklepy, oczywiście, głównie w Europie, ale i u nas. Odtąd ciągle bywa u mnie i kupuje drogie rzeczy, przeważnie dla swoich dam. — Lea dosiadła wreszcie swojego ulubionego konika.

— Lucy to pocieszna dziewczyna — ciągnęła. — Umie strugać słodką idiotkę i wyciągać od chłopów sekrety z miną niewiniątka.

Dowiedziała się, że jest wolny, przynajmniej od niedawna. Tylko że albo ma inną babę w każdym mieście, które odwiedza, albo nie angażuje się na długo. Wiem to, bo kupował ciuchy za każdym razem w innym rozmiarze. Lucy też chciał poderwać, ale powiedziała mu, że nie jest w jej typie.

— Oj, żeby znalazła sobie wreszcie kogoś w swoim typie i wyszła w końcu za mąż — westchnęła Meg. — Oddałabym życie, gdyby przynajmniej za drugim razem udało się jej tak jak mnie.

Lea nie pozwoliła tak łatwo skończyć z motywem Victora Jordaine'a

— Gdybyście wiedzieli, co on kupuje! Umrzeć można. Niejedna dziewczyna skończyła, przynajmniej na widok tego, co kupił u mnie ostatnio: płaszcz — biały jak krem, miękki jak masło, a lamówka z czarnych szynszyli!

— A mnie nie spodobał się prezent od niego — odparła Meg.

— Nie obraż się, Lea, ale sama wiesz. Może to ładne, ale nie dla mnie. Poza tym to krępujące przyjmować taki upominek tylko dlatego, że Tim zaprosił go do nas na święta. Przywoici ludzie przynoszą pudełko pomadek, kwiaty, czy coś w tym rodzaju.

Lea chciała koniecznie dowiedzieć się, co dostała Meg.

— Portmonetkę z pąsowej krokodylowej skóry, inkrustowaną, z zapięciem w kształcie łabędzia. Bardzo piękna, ale po co mi coś takiego? No i pewnie kosztuje majątek.

— Już sobie przypominam! — wykrzyknęła Lea. — A więc to było dla ciebie? Kupił tego dnia chyba sześć upominków. Mówił, że wybiera się na weekend do Rzymu i nie wypada przyjechać tam z pustymi rękami. Gdybyś chciała ją zwrócić, nie ma sprawy, Meg. Firma ponosi wszystkie koszty. — Lea wybuchnęła śmiechem.

— Nic z tego. Wolałabym kupić sobie coś praktycznego. Na przykład porządny sweter. Straszny ze mnie zmarzluch.

— Za taką portmonetkę możesz kupić sobie kilkanaście swetrów

— wyjaśniła jej Lea.

Spacerowicze wrócili, porozcierali zmarznięte dłonie, otrzepali w wejściu śnieg z butów i wszyscy znów zebrali się przy pianinie, by pobyć jeszcze chwilę razem, nim każdy ruszy do domu. Meg uproszono o akompaniament, odśpiewano stare kawałki z *Oklahomy* i *My Fair Lady*, a kto nie umiał śpiewać, po prostu słuchał. Na finał Meg i Paul wykonali przy salwach śmiechu swój popisowy wygłup: „Gdy lodówka źle zamraża, kup se lody od lodziarza”.

— Mieliliśmy kiedyś taką brązową lodówkę — wyjaśniła Meg. — Trzymaliśmy ją na ganku od podwórza, a nasz lodziarz, miał na imię Elmer, pamiętam jak dziś, i pewnego razu...

Opowiadała historię, a Paul rozmyślał, jak bardzo zazdrości jej i Larry'emu. Otworzyć szeroko dom przed gośćmi, widzieć, jak odchodzą weseli i nakarmieni, a potem zamknąć drzwi i być znów razem!

Gdy wsiadali do samochodu Billa, spojrzął raz jeszcze na ich dom. Frontowe drzwi, przyozdobione okazałym wieńcem z jedliny przepasanym czerwoną wstążką, były już zamknięte. W oknach na parterze i na piętrze jarzyły się świece. Mróz był taki, że gałęzie trzaskały niczym wystrzał z pistoletu. Ale dom był ciepły i jasny jak statek na ciemnym oceanie.

Zatęsknił za Ilsa, którą zostawił gdzieś na drugim końcu świata. W Jerozolimie pewnie pada: chłodna, zimowa mżawka, jak w noc, gdy powiedziała, że nie wróci z nim do Ameryki.

Stało się.

— Miły wieczór — powiedział Bill, gdy wyjechali już na autostradę. — Ludzie też mili. Przynajmniej większość z nich.

— Barwna gromadka. Mam na myśli rodzinę Meg — przytaknęła Lea. — To chyba cudownie mieć tak liczną rodzinę. Zresztą, skąd mam wiedzieć, skoro sama nigdy nie miałam żadnej? Ale kłóć się też niewąsko i może lepiej, że na co dzień mieszkają po całych Stanach Zjednoczonych. Zauważyłam, Paul, że niewiele mieliście sobie z Timem do powiedzenia.

— To od czasów Izraela. Straciłem do niego serce. Podejrzewam, że i on do mnie.

— Głośno ostatnio o nim — wtrącił się Bill. — Mój Boże, gdyby ci ludzie ograniczyli się do gadania, nie byłoby w tym nic złego, a może wyszłoby coś dobrego. Ja tam lubię, gdy przewietrzy się czasami idee. Im mocniej, tym lepiej. Ale oni prą do konfrontacji, a tego już nie lubię. A już najmniej, gdy szczeniaki tłuką się z policją.

Paulowi przypomniał się znów syn doktora Sterna. Mój wnuk. Czy Stern wspominał, gdzie on studiuje? Czy nie tam, gdzie wykłada Timothy? Tam, nie tam — lepiej, żeby chłopak nie zadawał się z ludźmi tego pokroju, bo może paskudnie pobłądzić. Ale uniwersytety to spore instytucje, więc ścierają się na nich różne wpływy. Któż może wiedzieć? Mimo to myśl o chłopaku nie dawała mu spokoju. Utrapienie? — chyba jakoś tak mówił o tym Stern.

A więc Iris ma się czym trapić: chłopak, a do tego mąż.

Bill wymieniał przez całą drogę jakieś luźne uwagi z Lcą, a Paul, sam na tylnym siedzeniu, zapadł w zadumę, a potem w drzemkę. Wyrwał go z niej głos Bila:

— Wiesz co, Paul? Nie wiem czemu, ale ten Victor Jordaine nie bardzo pasował mi do nich wszystkich. Nie sądzisz?

— Też tak myślę — mruknął zaniepokojony. Jeszcze nie raz miał sobie to przypomnieć.

RODZIAŁ 7

Steve spojrział ze szczytu amfiteatralnej auli na setkę zastygłych w oczekiwaniu głów. Poruszyły się wraz z jego własną na widok człowieka, który właśnie stanął za katedrą. Nie był stary. Trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat. Twarz miał czerstwą, włosy jasne i obfite. Pociągłe rysy przypominały nieco Lincolna; w sumie twarz, jakiej nie sposób zapomnieć.

Podczas pierwszego semestru Steve miał okazję widzieć profesora Powersa tylko kilka razy, a i to w przelocie. Za to słyszał o nim tyle, że od razu postanowił zapisać się na te ćwiczenia.

Profesor Powers miał głos donośny, ale nie krzykliwy, a ciszy zalegającej w auli nie przerywały tym razem tradycyjne chrząknięcia, skrzypienie krzeseł i szelest notatek.

— Właśnie wróciłem z Hanoi i mówię wam, że nieźle się trzymają. Mężni, prości ludzie! Zawstydzili mnie. Zwłaszcza ci młodzi. Przyjrzyjcie się waszym ręką — krzyknął zniecierpliwiony. — Dłoniom! Popatrzmy na nasze dłonie!

Każdy, nie wiedząc po co, posłusznie przyjrzał się dłoniom.

— To w waszych rękach, dłoniach, spoczywa los Wietnamu i całego świata. — Powers wychylił się zza katedry, jakby chciał udowodnić, że własną dłonią może dotknąć dłoni każdego z nich. — Wiem, co was dręczy. Wiem, co chcecie powiedzieć. Że jesteście młodzi, że też to wiecie, ale cóż możecie zrobić. Że to pan Johnson postanowił bombardować Północny Wietnam, mordować miliony niewinnych wieśniaków, a my możemy najwyżej sobie podyskutować. Ale jeśli będziemy mówić jednym głosem, myśleć jedną myślą, jeśli odrzucimy nasze egoistyczne wartości, wtedy zmienimy świat. Musimy go zmienić!

Steve poczuł, że ogarnia go coś nowego. Kto by pomyślał, że banalne ćwiczenia z tematu „Współczesność w literaturze amerykańskiej” mogą być aż tak bliskie życia? Co innego słyszeć o profesorze Po wersie, a co innego słuchać Powersa na żywo.

Teraz wiedział, czemu ściąga takie tłumy. Miał w sobie ciepło, luz, wiarę. Każde z jego słów takie było. Miał w sobie coś z Johna Kennedy'ego, ale tylko zewnętrznie, bo przecież tamten był jednak tylko amerykańskim politykiem, a ten intelektualistą! Steve pomyślał, że jeśli nawet Powers nie jest równie sławny, to na pewno nie mniej ludzki. Bywają ludzie, z którymi od razu jest się za pan brat, nawet nie zamieniwszy słowa. Ten facet był po prostu sobą!

— W Wietnamie wiara robi rewolucję — mówił wykładowca. — To nie rywalizacja między dwoma supermocarstwami. Jeśli pozwolimy im decydować o własnym losie, zbudują dobrobyt, sprawiedliwość społeczną...

Zabrząca dzwonek. Powers spojrzął na ścienny zegar i zarumienił się.

— Pewnie znów was zatrzymali? Znam te sprawy, ale może jeszcze dwa słowa o moich ćwiczeniach. We wtorki mam takie ekstra dwie godziny i zapraszam wszystkich, którzy chcieliby pogadać albo poczytać coś spoza listy lektur. Zajęcia nadobowiązkowe, tylko dla przyjemności. Więcej informacji u mnie w gabinecie.

Steve, przepchnąwszy się przez tłok i zgiełk korytarza, wyszedł na świeże powietrze. Zawsze przechodził z kumplami z budynku do budynku na kolejne zajęcia, ale tym razem wybrał drogę okreśną na zajęcia z nauk ścisłych. Tego dnia zima na Środkowym Zachodzie, która początkowo zaskakiwała go przejmującym mrozem, zmieniła się w odwilż. Sople na dachach zaczynały ociekać wodą, a słońce uśmiechało się niczym rozpromieniona twarz. Kroczył żwawo, choć pogrążony w zadumie, ścieżką wydeptaną między białobłękitnymi zaspami.

Trudno było skupić myśli, brnąc przez śnieg. Czuł, że przez tę godzinę jego dobre samopoczucie zamieniło się w coś większego. Od pierwszego dnia w college'u i w akademiku żyło mu się jak w domu. Z miejsca znalazł sobie kumpli i koleżanki. Co z tego, że pokoje wieloosobowe? Chciał podyskutować — wychodził na korytarz i zaraz mógł rozprawiać na najbardziej skomplikowane tematy. Chciał się pokochać? Równie proste. Nigdy dotąd nie czuł się tak wolny, oczywiście zakładając, że uniwersytety są w samej swej istocie wolne, co kwestionowali niektórzy, a wśród nich, choćby dziś, profesor

Powers. No... jeśli teraz nie są, to jakie dopiero będą, gdy zbuduje się ten nowy świat? To dopiero będzie życie!

Koniecznien trzeba z nim pogadać — pomyślał. — Takich ludzi nie spotyka się na co dzień. Nawet tu, wśród tych książkowych moli. Powers to inna klasa.

Profesor Powers był sam w gabinecie, gdy Steve odważył się zapukać i wejść. Pomachał mu ręką zza biurka.

— Czemu pan tak stoi, panie...? Przepraszam, że nie pamiętam nazwiska. Paskudna, wrodzona wada.

— Steve Stern. Byłem dziś pierwszy raz na pana zajęciach z amerykańskiej współczesnej. Chciałem zapisać się w tamtym semestrze, ale był już komplet. Steve Stern — powtórzył jeszcze raz czując, że stracił wątek.

— Fajnie, że wpadłeś, Steve.

Steve też chciał powiedzieć, że fajnie, więc wyjąkał:

— Zapisalem się na ten college, bo slyszalem, że pan tu wykłada.

— Naprawdę?

— Przysięgam. Jeszcze w ogólniaku czytaliśmy, jak pana profesora atakowano za to, co pisał pan o Vietcongu, i że to oni dają nam łupnia. Wielu to wpięprzało, ale ja czułem, że to pan ma rację.

— Z tego wynika, że rozumiesz lepiej niż wielu. Steve poczuł, że się rumieni.

— Chciałbym poznać historię — zaczął, by nie wyjść na idiotę — a to... a to wymaga przemyślenia przyszłości! To, co dzisiaj mówił pan na wykładzie, mnie też chodziło po głowie. Krótko mówiąc, chciałbym trochę poczytać i przyłączyć się do tej pana... grupy dyskusyjnej.

— I bardzo dobrze, Steve. — W oczach profesora Powersa załśnił nie ukrywany zachwyty, co sprawiło, że stały się jeszcze bardziej błękitne. — Ale najpierw powiedz mi coś o sobie. Skąd pochodzisz?

— Z Westchester. Taka miejscina pod Nowym Jorkiem.

— Znam te strony.

— Nudne, nowobogackie przedmieście — dodał Steve, żeby jakoś podtrzymać konwersację.

— Co masz na myśli?

— Skoro zna pan te strony?

— Znam, ale chciałbym wysłuchać twojej opinii - Profesor Powers chce wysłuchać jego opinii! Steve rozluźniony wyciągnął się w krześle.

— Choćby mój ostatni pobyt w domu. Kazali mi iść na pogrzeb dziadka. Pojawić się! Gapić się na ludzi, z którymi nic mnie nie łączy. Tak jakbym poszedł na wystawę samochodów. Tu cadillac, tam mercedes, tu jeszcze coś innego. Sami republikanie. Wystarczy wejść, by zechcieć zapisać się do Vietcongu. Łaziłem między nimi i rzygać mi się chciało. Przychodzisz, by złożyć kondolencje i zaczynasz wyklinać te ich domeczki i szmal. Ładne mi przedmieście! Zarób, wydaj, zdechnij — to całe ich życie. Odetchnąłem na drugi dzień tu, w budzie.

Steve mrugnął okiem czując, że słowa padły na przyjazny grunt.

— Chyba rozumiemy się. Mnie też podobnie wychowywano. Mój ojciec doszedł z nędzy do pieniędzy i nigdy nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć.

— Mój dziadek nie zostawił po sobie milionów, ale — o ile go pamiętam — też pewnie sądził, że mu się powiodło.

Fakt. Jego dziadek robił pieniądze i przestrzegał staroświeckich obrzędów. Pewnie tylko to go obchodziło. Matka chyba też tak sądzi. Jest zbyt mądra, by tego nie zauważyć. Ale czemu płakała? Na serio, a nie na niby, jak cała reszta na tym pogrzebie. Kochała go? „Czcij ojca swego i matkę swoją, abyś długo żył...” — Uśmiechnął się na wspomnienie prawd, które wkuwał przed Bar Micwą i które pewnie wyrecytuje nawet obudzony w nocy.

— Steve... czy pan jest Żydem? — wyrwał go z zadumy profesor Powers.

Przytaknął. Nie znosił, gdy go szufladkowano. Szufladki nie pasowały do nowego świata, do stylu życia, który już wkrótce zapanuje.

— Strzeliłem trochę w ciemno, ale większość ludzi o nazwisku Stern jest pochodzenia żydowskiego. Zresztą ja też byłem w Izraelu.

— Pan pewnie wszędzie był.

— Prawie wszędzie.

— Czytałem, że i na Południu. Podczas kampanii na rzecz równych praw wyborczych.

— Skąd to pamiętasz? Musiałeś wtedy kończyć podstawówkę? Tak, zjechało się tam wtedy mnóstwo naszych z Północy. Zamieszkałem z czarną rodziną i całe miasteczko dostało szału. Wsypali mi piasek do gaźnika i przekłuli opony. Pewnego razu cała kolumna

wozów zasuwała za mną po pustkowiu. Omal nie zepchnęli mnie do rowu, a na liczniku miałem dobrą setkę. Raz nawet ktoś wygarnął do mnie z gnata. To nie były przelewki. Krew też się tam lała. Dla ciebie to pewnie taki mały Wietnam?

W wyobraźni Steve'a słowa przybrały żywy kształt. Widział samochód podskakujący, ślizgający się po lepkim asfalcie południowych dróg, z tylną szybą poprętą kulami pościgu. Spod rozwalonej czaszki kierowcy wyciekał szary mózg. Nawet w kinie robiło mu się w takich chwilach niedobrze i zaciskał powieki. Skulił się w krześle.

— Przemoc — wyjąkał. — To zawsze ohydne. W Missisipi czy w Wietnamie.

— Ale czasami konieczne — powiedział chłodno Powers.

— Mnie to zawsze kojarzy się z obozami koncentracyjnymi. Mój ojciec pochodzi z Wiednia.

— Rozumiem, ale pamiętaj, że to przemoc wyzwoliła te obozy.

— Pewnie ma pan rację.

— Masz rodzeństwo? — Powers taktownie zmienił temat.

— Siostra właśnie poszła do ogólniaka. Jeden z braci to malec, a drugi jest młodszy ode mnie o jedenaście miesięcy. Za rok też się tu wybiera, ponieważ ja tu jestem. Tylko że on chce być lekarzem. Cała moja rodzina jest z gruntu apolityczna.

Może z wyjątkiem matki — pomyślał, kończąc zdanie. Matka była liberalna, więc skreślić ją było trudniej niż starego. Z nim przynajmniej nie warto było gadać. Groch o ścianę. Problem z matką leżał w tym, że miała dobre chęci: niby podzielała twój punkt widzenia, a tu nagle hyc w skorupę! Może dlatego, że nie potrafiła patrzeć na rzeczy klasowo. Tacy jak ona zawsze są dumni, że patrzą na wszystko bezstronnie, ale gdy przyjdzie co do czego, zawsze będą bronić własnych interesów.

— Typowa rodzina — westchnął.

— Znam takie — przytaknął Powers. — Mój brat pracuje dla Departamentu Stanu. Jest teraz w ambasadzie USA w Sajgonie. Typ patriotycznego kowboja. Mój stary szmuglował whisky i dorobił się szacunku. Gdyby żył, pewnie trzymałby dziś jego stronę. Mnie jakoś nigdy nie darzył szacunkiem, podobnie jak Agnes — to moja siostra. Może dlatego, że jest artystką i lesbijką. Mam jeszcze dwie siostry bliźniaczki — głównie ciuchary. Nawet je lubię, choć sam nie wiem czemu.

Steve był zaskoczony tak nieoczekiwaną otwartością. Rozmawia ze mną jak z kimś równym, dorosłym, może nawet szczególnie

dorosłym. Czy facet tej klasy rozmawiałby tak z byle kim? Może coś nas łączy? Magnetyzm, więź myśli?

— Tylko że moi rodzice, panie profesorze — zdobył się na odwagę — raczej mnie nie lubią. To znaczy, pewnie kochają mnie i może nawet bardzo. Co z tego, skoro mówimy innymi językami? Czego mogli mnie nauczyć?

— Tak bywa. Mnie nauczył najczęściej wychowawca, którego poznałem na letnim obozie w czternastym roku życia. Przez jeden letni miesiąc powiedział mi więcej o świecie niż wszyscy, których w życiu poznałem, a zwłaszcza moi rodzice. A tak w ogóle, może skończymy już z tym „panem profesorem”. Jestem Tim. Na moich zajęciach obowiązuje pełna demokracja. Mało masz tu profesorów zwyczajnych? Z kim masz zajęcia?

— Z socjologii z panem Hodgesem — zaczął wyliczać Steve. — Z chemii z jakąś panią, przepraszam za wyrażenie, McCarthy, z francuskiego z LaFarge. No i z Remingtonem z historii starożytnej. Tak, Remington to profesor zwyczajny — Steve postanowił pójść na całość — tylko że bardziej zwyczajny niż profesor.

Powers ryknął śmiechem i jego twarz dodatkowo się rozpromieniła.

— Remington! Stary patrycjuszowski cap. Brook Brothers, J. Press! Stare gryzypiórki. Szkoda, że od pięciu pokoleń nie wymyślili niczego nowego. Nie daj się takim, Steve!

— Nie dam się... Tim — upewnił go konfidencjonalnie Steve.

— Te łapiduchy z ROTC* też tu węszą. Kiedy wreszcie skończymy z militaryzacją uczelni? Przecież to istna pornografia. Biznes i przemysł. Jedni i drudzy żyją z wojny.

Zagadali się. Godzina szybko minęła i Steve, uświadomiwszy to sobie nagle, zerwał się z krzesła.

— Zarwałem ci całe popołudnie. Sorry.

— Przestań, fajnie się gadało. Mało o tobie wiem, ale coś mi mówi, że dobrze się złożyło i że znów się spotkamy. Wpadniesz jeszcze pogadać?

— Jasne, że tak — odparł z wdzięcznością. — Dziękuję panu... chciałem powiedzieć, dzięki Tim.

— Poznam cię z najbystrzejszymi ludźmi na tym kampusie i trochę cię podszkolę. Większość z nich pisze już prace i sporo wie.

* ROTC (skrót) — rezerwiści i roczniki niepoborowe powoływane do służby czynnej w konkretnych przypadkach.

Zwłaszcza jedna. Kończy socjologię i właśnie wróciła ze stażu w ZSRR. Wciągnie cię do roboty, a coś mi mówi, że tego właśnie ci potrzeba. Tacy jak ty zamiast gadać wolą organizować... przecierać szlak.

— Trafiłeś w dziesiątkę, Tim.

Zimowe słońce zachodziło za horyzont, użyźniając resztkami bladuróżowej poświaty szare niebo, gdy Steve wracał do akademika. Przystanął, by podelektować się widokiem.

— Piękny jest ten świat! — krzyknął, choć wokół nie było nikogo. Czuł, że rozpiera go tajemniczy wigor. Ten człowiek — tak podziwiany, tak błyskotliwy, tak przywódca — potrzebował go! Potraktował go jak równego. A przy tym taki naturalny i szczery. Ktoś nowy, pozbawiony mieszczańskich kompleksów, wolny i uczciwy. Takemu można wyznać wszystko i zawsze cię zrozumie.

Piękne, piękne to było.

Przemierzając pokój co chwilę zerkał na budzik. Z okna widział dziedziniec, na nim pomnik bohatera Wojny Secesyjnej, w furazerce, z ustawionym na sztorc bagnetem, a na stopniach pomnika wiarę z uczelni, która lubiła tam sobie przysiąść. Był piątek, popołudnie, a na kampusie nastał czas laby. Widać to było po pozach ludzi zasiadających pod weteranem w kepi.

Zapałił papierosa. Lucky Strike. Smakował jak siano, jak byle łajno, ale w akademiku nie pali się trawki. Timothy ostrzegał, że już niejeden wpadł przez takie bzdury, więc Steve wołał trzymać towar u Lidii, która mieszkała na mieście. U Lidii i w paru innych miejscach. Trochę drżały mu ręce.

Ktoś w korytarzu otworzył drzwi i przygrzmociła muzyka. Najpierw Dylan i *Like a Rolling Stone*, a potem Barry McGuire z *Eve of Destruction* — pieśnią, która niesie smutek, gniew i siłę.

Budzik tykał nieubłaganie. Lada chwila będą tu jego koledzy, a już wkrótce jego towarzysze. Pomyślał o postępowych księżach, takich jak bracia Berrigan, których przymknęli, jak pewnie kiedyś i ich przymkną. Kto nie siedział, ten nie wie, że nie warto ryzykować powyżej trzech lat. Tamci wiedzieli, ale zaryzykowali, gdy fajczyli pierwszy raz akta komisji poborowej. Poszli i sfajczyli, choć wpadli. Dzielni faceci. Ręce Steve'a drżały tak, że musiał zgasić papierosa, ale przez

cały czas patrzył przez okno na pomnik, gdzie ktoś lada moment miał się zjawić i dać sygnał do akcji.

Timothy dostarczył wypożyczony samochód. Wszędzie miał swoich ludzi. Prawdziwa siatka — pomyślał Steve, gdy dowiedział się ze zdziwieniem, ilu statecznych prawników, lekarzy, profesorów — sam kwiat średniej klasy — siedzi w tym po uszy i gotowych jest zaryzykować wszystko, by dać metę, pieniądze, czego by od nich nie żądano. Timothy znalazł takich w całej Ameryce. Także w Hanoi, w Palestynie i na Kubie, gdzie wybrał się kiedyś z ekipą, by poznać Vinceremos, zbratać się z wieśniakami i dowiedzieć się więcej o nowym społeczeństwie. Za rok i Steve tam pojedzie. Musi pojechać.

Lidia wyszła właśnie z budynku nauk ścisłych. Nawet z okna łatwo ją było poznać po fryzurze afro. Hulała na wietrze, a jej drobna twarz przypominała środek wentylatora. Porwał obciążoną kurtkę i pomyślał, że dobrze byłoby mieć Lidie tylko dla siebie. Głupi pomysł. Czy nie mówiła mu, nawet gdy się kochali — a nieźle im to szło — że nikt nie należy do nikogo? A przynajmniej nie powinien. Przecież seks to wolność, równość i jawność. Czy ktoś je po kryjomu? A więc skoro Lidia sypiała z Benjie i z Markiem, a pewnie i z Leo, on też ma do tego prawo. W ostatnim semestrze przespał się z Jennifer, potem z Lori, a pewnie prześpi się i z Ellen, choć jej zwiotczałe, dyndające cycki i dzioby na twarzy niezbyt go kusiły. Za to on najwyraźniej kusił Ellen. Może zresztą zrażała go jej powaga. Tak, to podłe i mieszczańskie oceniać ludzi tylko po cechach fizycznych. Kiedyś podsłuchiwał, jak jego siostra Laura plotkuje przez telefon z koleżanką, kto w jej klasie jest „szpanowny”, a z kim nawet nie warto umówić się na prywatkę. Zbiegając ze schodów wiedział, że Ellen też się coś należy. W końcu to jego towarzyszką i dzielą wspólny los. Jak może pogardzać innym człowiekiem tylko za to, że przyroda poskąpiła mu urody.

— Szybko! — krzyknęła Lidia. — Stoją za rogiem. Tim załatwił combi, więc wszyscy się zmieścimy.

Wskoczyli. Sześciu chłopców plus Lidia — jedyna baba. Była rezerwowym kierowcą, a poza tym to ona, wraz z Timem, namierzyła akcję.

Jechali w milczeniu. Wszyscy byli spięci. Wskoczyli z campusu i przemknęli przez jakieś Rondo Churchilla i Osiedle Kensington. Żałosna angielszczyzna — pomyślał Steve. — Szybciej, byle szybciej! Nonsens. Jak może być szybciej, skoro to taki kawał drogi? Wjechali na autostradę i rwali wśród fabrycznych przedmieść, wszystkich szarych, nijakich, obdartych, sklepikarskich i betonowych. Słońce zdążyło

zajść, choć i tak mało go tu było widać spoza zasnutych dymami chmur. Tu i ówdzie leżały resztki splugawionego śniegu, a po przecznicach hulał piach, stare śmieci i wszelki syf. Wiatr dmuchnął, zagrzecotał szyldami sklepów, porwał do tańca zapomnianą w rynsztoku aluminiową puszkę i cisnął ją pod koła samochodu. Zaczęło siąpić. Podlej już być nie mogło.

— Uwaga, dojeżdżamy — powiedział Tim.

Zjechał z autostrady i zatrzymał się w pustej, bocznej uliczce, między cmentarzem, kościołem i czymś, co kiedyś pewnie było sklepem. Ani żywej duszy.

— Każdy wie, co ma robić. Chcecie, żebym powtórzył?

Nikt się nie odezwał. Mieli to przeciwiczone na pamięć, ale teraz podskoczyło im tętno, bo co będzie, jeśli w godzinie próby ktoś zapomni? Tim pewnie to wyczuł, bo zaczął mówić spokojnym, chłodnym głosem:

— Każdy z was ma teczkę w bagażniku. Każda teczka zawiera cztery butelki wypełnione kaczą krwią. — Przerwał i zachichotał. — Moja sprzątaczką pochodzi z Polski, więc umie robić krwawe kiszki. Zamówiłem u niej kilka i zaważyła mi całą kuchnię składnikami. Tyle o krwi. A więc wchodzicie i prosicie o pokazanie własnych kart. To przysługuje wam prawem. Tylko nie pomylić mi się i nie podać prawdziwych nazwisk! Tamci szukają, a wtedy reszta wpada, wyciąga butelki i leje po kartotekach. Urzędasy będą chcieli was przepędzić, ale raz jeszcze powtarzam: my nie stosujemy przemocy. Żadnej bijatyki! Przepędzają, wynosicie się i tyle. Zrozumiano? Ja czekam przed wejściem na zapalonym silniku. Akcja — nogi za pas i uprzedzam, że gdy zobaczę strażnika zmywam się. Kto nie zdąży, jego sprawa. Jasne? Odpowiadamy za wszystko, ale każdy za siebie. Są pytania? Uwagi?

— Ja co do Berriganów — spytał Steve. — Sfajczyli kartoteki, ale potem stali przed budynkiem i czekali, aż zwinie ich FBI. Mieli klasę i chyba więcej zrobili dla sprawy?

— Tak, mieli klasę — zaczął Timothy, ale przerwała mu Lidia.

— Klasę? Pierwszą podstawówki. Wpadli jak szczawie i do dziś pudłują. W pudle nic się nie robi dla sprawy. Przestań chrzanić, Steve, i pilnuj własnego tyłka, bo może się nam jeszcze przydać.

— Przecież nic nie mówię — mruknął urażony. — W końcu jedziemy na tym samym wózku? — spytał starając się, by zabrzmiało to po chojracku.

Tim zapalił silnik i ruszyli do centrum miasteczka. Ulewa wyludniła ulice.

— Jesteśmy na miejscu. Kartoteki są na parterze ratusza, w bocznym skrzydle. Dobudowano je niedawno, więc jest tam boczne wejście. Dla nas to dobrze.

Chłopcy wyskoczyli z wozu. Tim uściśnął dłoń Steve'a.

— Powodzenia, chłopie. Wszystko pójdzie dobrze.

Steve poczuł, że serce wypełnia mu odwaga i ruszył przed Markiem, który wprawdzie liczył sobie sześć stóp wzrostu, ale to on miał wejść pierwszy w długi, pomalowany na groszkowo korytarz, w którym na milę jechało marmurem i urzędem państwowym. Poczul bicie serca i suchość w gardle.

Gdy weszli do pokoju, przełknął ślinę i odezwał się pierwszy:

— Chcieliśmy zobaczyć nasze kartoteki.

Urzędniczka, zmęczona i siwowłosa, wyglądała na speszoną.

— A po co to panom?

— Wie pani, jak to jest — Mark wyręczył Steve'a. — Zdrowie, szkoła... każdy woli wiedzieć, co go czeka. — Mówił grzecznie i uśmiechał się nieśmiało.

Maszyny do pisania umilkły jak na hasło, a personel gotujący się do wyjścia równo z zegarem podniósł z zaciekawieniem wzrok.

— A nie mogliby panowie jutro? — spytała urzędniczka. Steve pomyślał, że chyba niezbyt przypadli jej do gustu, ponieważ

wszyscy, oprócz Marka, noszą brody. Tego typu baby nie lubią zarośniętych.

— Pan sam, czy z kolegami? — spytała.

— Nieważne. Nieważne. Powiedzmy, że mój adwokat doradził mi, żebym obejrzał swoją kartotekę, rozniosło się i chłopcy też postanowili się ze mną zabrać. Chyba im też pani nie odmówi? — spytał z rozbijającym uśmiechem.

Gładko wygolone policzki, schludny strój, a nawet samo słowo „adwokat” wzbudziły w niej zaufanie.

— W porządku — przytaknęła. — Panowie wpiszą tu swoje nazwiska, a ja skoczę do kartoteki. To zajmie kilka minut.

Steve przeniósł się w inny wymiar i w inny czas, jakby to wszystko działo się poza nim. Pomyślał, że lada chwila wpadną tu uzbrojeni strażnicy i każą otworzyć teczki. Ale czemu? Przecież są studentami, a student musi nosić w czymś książki. Dobrze, że Lidia trochę ich zróżnicowała. Nowe teczki, stare torby, a nawet płócienne wory, z których wystawały skrypty. Jak to u studentów.

Kobieta przywołała ich. Weszli do nijakiego pomieszczenia z betonową podłogą, pomalowanymi na groszkowo ścianami i jasno-

zielonymi metalowymi skrzynkami kartotek. Wysunęła szufladkę i wyjaśniła:

— Pan Bailey tu na lewo. Turner i Stańkowitz na prawo. Obróciła się w drzwiach, by poplotkować trochę z koleżankami

w biurze, więc nie spostrzegła, jak wyjmują butelki. Narobili takiego hałasu, że zaraz połapała się, co jest grane, i zaczęła krzyczeć. Koleżanki pomknęły jej z odsieczą piszcząc, pomstując, czepiając się kurтки Steve'a i koszuli Dicka. Mark wysuwał szufladki i łał, ile wlezie. Jedna z butelek wyslizgnęła mu się z ręki i poszła w kawałki. Ktoś schylił się, by ratować cenną krew. Cenną, ciemną, lepką, gęstą i krzepnącą w mgnieniu oka na betonie. Steve poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Przypomniały mu się kaczki odlatujące kluczem na Północ. Jedna z kobiet pomknęła do telefonu.

— Dupy w troki! — krzyknął Mark.

Rwali jak zające. Drzwi combi czekały otwarte.

— Szybciej, szybciej, do kurwy nędzy! — darła się Lidia. Tim dał gaz do dechy i ścięli narożnik poślizgiem. Kto by łąził po

ulicy w takiej ulewie? Zapadł zmierzch i chyba żadna żywa dusza nie przyfilowała ich numerów. Machnął kierownicą i omal nie powybijali sobie zębów. Wpadli na autostradę i znów odbili w bok.

— Nigdy autostradą — pouczał Tim. — To się nazywa gubienie ogona.

— Nie ma Dicka — zauważyła chłodno Lidia.

— Zakleszczył się w drzwiach, by nie zauważyli w rejestracji.

— Jezu! Co z nim będzie?

— Nic — odparł Tim. — Posiedzi za złośliwe uchylanie się od służby i umyślne zniszczenie mienia państwowego.

— Jak długo? — spytał Steve.

— Dwa. Góra trzy.

Zaległa cisza, a potem ktoś powiedział:

— Sześć semestrów. W budzie ma przegwizdane.

— Nasi chłopcy w Wietnamie mają jeszcze bardziej przegwizdane — odparł Tim. — Wszyscy mamy przegwizdane, dopóki trwa ten system. Dick wiedział, na co idzie i wiedział, co go czeka. Wy też.

Teraz, gdy już było po wszystkim, Steve poczuł nagły przypływ wiary w przyjaciół, a właściwie już w towarzyszy broni. Był znów bezpieczny w tym zacisznym combi pędzącym wiejskimi drogami wśród ciągnących się w nieskończoność pól przerywanych jedynie czasem światełkiem jednej czy drugiej farmy, w rytm deszczu, no i z Timem za kierownicą. Tim nie takie rzeczy przeżył. Będzie z nimi

jeszcze długo, jeśli nie ciałem, to duchem, dopóki wymagać tego będzie sprawa. Tim to wódz. Pod takim warto walczyć — pomyślał Steve i poczuł, że serce mu rośnie.

— Teraz rozpraszacie się — powiedział Tim, gdy zajechali przed campus. — Przez kilka dni nikt nie zna nikogo. Nie sędzę, żeby był swąd, ale lepiej uważać. Te biurwy były zbyt spanikowane, by zapamiętać wasze twarze. Aż tak się nie wyróżniacie, ale lepiej nie ryzykować. Najlepiej urwicie się na weekend z campusu. Kto może, niech skoczy do domu. Rodzice się ucieszą.

Steve pomknął do akademika. Teraz, w ciemności, z dala od bezpiecznego combi, nawiedziło go niemiłe uczucie, że coś złego pełźnie za nim krok w krok. Trzy lata odsiadki! Dreszcz bierze. „Kto może, niech skoczy do domu”. Niezłe alibi, tylko jak wyjaśnić to starym? Trzeba będzie wymyśleć jakieś wytłumaczenie. Wymyśli w drodze. Teraz najważniejsze to dotrzeć na lotnisko.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, wszyscy siedzieli w bawialni. Było już późno i Anna wybierała się do domu, gdy nagły dźwięk przeciął ciszę. Iris zerwała się, pobiegła i spojrzała przez wziernik.

— Steve! To naprawdę ty?

Theo też się poderwał, gdy Steve wkroczył do pokoju. Włosy miał zmierzwiłone, wyglądał na wykończonego, a złane deszczem łachy przylegały mu do ciała.

— Co... co się stało? — Theo nie był w stanie wymówić zdania.

— Spokojnie. Nic się nie stało. Nic wielkiego. Małe piwo, ale lepiej, żebym do poniedziałku nie pokazywał się na kampusie.

— Jakie małe piwo? — Theo poczuł nagły dreszcz.

— No więc... była rozróżba w biurze komisji poborowych. Niczego nam nie udowodnią, za to my możemy udowodnić, że w ogóle tam nie byliśmy.

— Rozróżba? O czym ty mówisz?

— O czym? — Zawahał się Steve. — O tym, co chyba znacie z gazet.

— Butelki z krwią i te rzeczy? — Theo wziął się w garść. Steve przytaknął. Laura i Filip unieśli głowy, za to Iris i Anna

opuściły swoje. Przez chwilę wszyscy milczeli i wreszcie Theo zaczął łamiącym się głosem:

— A więc w to się bawisz? Tego was tam uczą? To sobie studiujesz.

Twarz Steve'a przypominała maskę. Wybrał punkt na ścianie tuż nad głową starego i wycofał się, a przynajmniej postanowił wycofać się, aż minie pierwsza burza.

— Czekam na odpowiedź — powiedział Theo i nie doczekawszy się jej, kontynuował:

— Oczywiście wiesz, że ryzykujesz całą swoją przyszłością? W każdej chwili, nawet teraz, mogą tu zapukać, a wtedy jesteś skończony.

— Oczywiście wiem.

Zaczął naciągać sobie palce. Klik-klak. Stary nie znosił tego, ale tym razem chyba nawet nie zauważył. Iris pomyślała, że cholernie dużo musi to kosztować jej męża.

Czemu właśnie teraz? Jeszcze przed chwilą siedzieli sobie wszyscy razem przy kolacji, Theo i mama gawędzili sobie, Filip zagrał im ostatnią lekcję na fortepianie, a jeszcze potem Laura i Jimmy ucieli sobie partyjkę warcabów. Czemu? Czemu właśnie w takiej chwili? I co wyrośnie z tego chłopca?

— Co chciałeś udowodnić? To, że zrobiłeś, co zrobiłeś, a potem w nogi?

— Nic nie chcę udowodnić. Po prostu mam dość tej brudnej wojny. Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać?

— Więc usiądź i posłuchaj — zaczął od nowa Theo, a Iris wyczuła, że znów mówi „racjonalnie”. — Słuchasz? Ja też uważam, że ta wojna to błąd i mam ku temu powody. O nich później. Ale dziś mamy tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty rok i sześćdziesiąt sześć procent Amerykanów jest za prezydentem. Johnson mówi, że chce wynegocjować pokój, ale nie z komunistami z Hanoi. Dobrze mówi. Tam, gdzie zwyciężają komuniści — czy to na Węgrzech, czy na Kubie — przychodzi terror. Tamtych w Wietnamie też to czeka. Nie wiem, którą drogą, ale wiem jedno: ta twoja prowadzi donikąd.

— To spytaj w pierwszym lepszym kampusie. Pogadaj z wykładowcami, którzy myślą inaczej niż ty. Pogadaj z lepiej wykształconymi niż ty!

Twarz Thea nabiegła krwią. Zacisnął usta, słysząc słowa, które prędzej czy później musiały paść.

— Może i są lepiej wykształceni — wycedził po chwili — ale czy nie rozumiesz, chłopcze, dokąd cię prowadzą? Odłóżmy na chwilę ten marksistowski slang, w który ani ty, ani ja nie wierzymy. Pomówmy

o tym, co zrobiłeś. Jak chcesz rządzić krajem — obojętnie, na Wschodzie czy na Zachodzie — w którym każdy obywatel przestrzega albo łamie prawo wedle własnego widzimisię? Dla mnie przywilejem obywatela jest prawo. Jeśli każą mi iść do wojska, pójdę, choć może mi się to nie podobać.

— Tobie to akurat nie grozi — Steve obrzucił ojca pogardliwym spojrzeniem. — Twoich roczników już nie biorą. A tak ä propos, czy mówi ci coś nazwisko Charles Edward Montague? Czytałem niedawno jego niezły aforyzm: „Do wojny najbardziej śpieszą się ci, którzy na niej nie byli”. I może na tym poprzestaniemy?

— Przestań się popisywać, smarkaczu. Wiesz równie dobrze jak ja, co robiłem w okupowanej Francji. I przestań mnie obrażać. — Głos Thea nabrał mocy. — Powtarzam, przestań mnie obrażać! Zrozumiano?

— Theo — Iris nie wytrzymała. — Przecież on nie chciał cię obrazić. Na pewno nie chciał. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, więc...

— Pozwolisz, Iris, że to ja zajmę się jego obroną. To nie bijatyka na podwórku. Co powiesz, gdy przyjdzie tu FBI? No, co konkretnie?

— Konkretnie, to czas najwyższy zaparzyć kawę i zrobić kilka kanapek — odezwała się nagle milcząca dotąd Anna. — Chodź, Steve. Musisz być strasznie głodny.

— Wcale nie jestem głodny, babciu.

Ale Anna ruszyła już do kuchni, a za nią Iris i Laura.

Mamę też to ruszyło — pomyślała Iris. — Trzeba opanować ręce, a najłatwiej o to w kuchni. Weszła, opadła na krzesło i pozwoliła, by każda z nich odreagowała po swojemu strach. Anna krojąc chleb i wędliny, a Laura płuczac pod kranem owoce. Jak przed kolacją w porządnym domu. Ktoś z zewnątrz nie domyśliłby się, co dzieje się tam, za ścianą.

Nagle rozplakała się i żeby ukryć łzy, ruszyła ku lodówce. Otworzyła ją i zamknęła, ale matka i tak zdążyła zauważyć.

— Słuchaj, Lauro — spytała Anna. — Czy nie sądzisz, że pora do łóżka?

— Babcia dobrze mówi. — Iris poczuła się znów matką. — Strasznie już późno. A w ogóle nie powinnaś była być przy tej rozmowie. To nie dla ciebie sprawy.

— Mam piętnaście lat, mamó.

— Wiem, ale to nie dla ciebie.

— Nie ufasz mi?

— Oczywiście, że ci ufamy. Ja i tato. Ale to tak trudne sprawy, że nikt nam w tym nie pomoże. To sprawy dla mnie i dla taty, a nie dla ciebie.

— Laura też zna się na polityce — wpadła jej w słowo Anna.

— Nikt jej nie zabroni, a nam wręcz nie wypada.

— Dobrze, mamó. Idę spać.

— I pamiętaj, że strasznie cię kocham — powiedziała Iris, całując nachmurzone czoło córki.

Odczekała, aż wyjdzie i nie wytrzymała:

— I co ty na to? Pomyślałabyś, że nasz rodzony syn będzie się ukrywał w naszym domu niczym przestępca? Co by powiedział papa? I to syn, z którego byliśmy tak dumni! Nasza przeszłość, nasza chluba!

— Oj, Iris, Iris. Krzyk nic tu nie pomoże. A tak w ogóle, weź wreszcie te kanapki i podaj mężowi filiżankę kawy.

Jimmy też poszedł spać i w bawialni pozostali tylko ojciec i najstarszy syn. Dlaczego ten Steve jest taki arogancki? — pomyślała. Mógłby przynajmniej stać jak człowiek, gdy rozmawia z ojcem. Chyba sam to wie. A jeśli wie, to czy robi to celowo, żeby go dodatkowo rozzłościć? Potarła dłonią czoło, jakby chciała odegnąć tę myśl.

Filip, który już dawno wycofał się do sypialni, przyczłapał na dół w szlafroku i stanął w drzwiach. Maluch wyglądał na przestraszonego, ale i zaciekawionego.

— Idź spać, Filip — powiedział Theo. — Wiem, że też chcesz wiedzieć, co się tu dzieje, ale teraz lulu, a jutro sobie o tym pogadamy. Teraz musisz się wyspać. Wszystko będzie dobrze, chłopie — dokończył łagodnie.

Po czym — jakby coś sobie nagle przypomniał — krzyknął do Steve'a:

— Żebym ja tylko dostał w ręce tych twoich profesorków!

— Powtarzam ci — odparł chłodno Steve — że wykładowcy nie mają z tym nic wspólnego. To sprawa moja i kilku chłopaków. Sami umiemy główkować. Ale ty nigdy tego nie zrozumiesz.

— Nie rozumiem? Myślisz, że nie czytam gazet i nie wiem, co się dzieje?

Theo wpadł w furję. Nawet Iris nie widziała go aż tak rozwścieczonego, z tak purpurowymi i nabrzmiętymi żyłami na skroniach. Próbował opanować się i ściszyć głos.

— Gdy byłem w twoim wieku, nie ośmieliłbym się...

— Lecz czas, czas wszystko zmienia — przerwał mu Steve.

— Chociaż tato pewnie nie lubi Dylana?

— Dylana? Jest wielką gwiazdą. Zbił kupę forsy. Nie on jeden w tej branży. Śpiewają o tym, jak gardzą tym krajem groszorobów, choć, o ile wiem, sami do biednych nie należą. Cienko będą śpiewać, gdy ktoś inny tu zadyryguje.

— Masz mi coś więcej do powiedzenia? — spytał Steve. — Jeśli nie, idę do wyra, bo jestem skonany.

— Widzę, że jesteś — Theo spojrział mu w twarz. — Mocno się dziś napracowałeś. Zwłaszcza z tą kaczą krwią.

W pokoju zrobiło się chłodno, jakby ktoś wyłączył centralne ogrzewanie. Deszcz bił o szyby drzwi tarasowych. Wszyscy zbili się w najdalszym kącie, a Iris skojarzyło się to ze zbiegowiskiem wokół kogoś, kto zasłabł na ulicy.

Co on chce udowodnić? — myślał Theo. — Co kombinuje ten przemoczony, nie ogolony podrostek, a równocześnie dorosły mężczyzna?

— Nie włącz w tenisówkach na dywan — warknął.

— Przecież to zwykły deszcz i zwykły dywan. Bywają ważniejsze problemy.

— Tak sądzisz? A wiesz, ile kosztuje taki dywan? Zarobiłeś na niego? Czy ty w ogóle na coś zarobiłeś? Na żarcie? Nawet na to nie. Ale mleć językiem potrafisz. I stroić przed nami małpie miny. Spójrz lepiej na własne portki. To też deszcz czy się posikałeś?

Spojrzął na ciemne plamy na spodniach Steve'a.

— Aha, krew. Tego jeszcze brakowało. Oczywiście, tatuś i za kaczkę zapłaci, gdy przyślą rachunek za semestr. Pięknie, pięknie, synu.

Theo przeszedł przez pokój i zaciągnął kotary. Szelest brokatu i grzechot mosiężnych kółek przerwały pełną wyczekiwania ciszę. Gdy wrócił, jego twarz była biała i bez wyrazu.

— Pytam cię po raz ostatni — odezwał się zmęczonym głosem — czy przestaniesz zadawać się z ludźmi, którzy wiodą cię do zguby?

— Nie widzę powodu.

Theo zacisnął pięści i zaraz rozprostował dłonie.

— Powinienem... powinienem w tej chwili, jak każdy szanujący prawo obywatel, zadzwonić na policję. To właśnie powinienem zrobić.

— Theo! — krzyknęła Iris. — Przecież nie zrobisz tego? Sam powiedział, że nie zabił ani nie zranił nikogo. Mówił, że byli ostrożni. Pomyśl o tym, Theo!

— Nie mów mi, Iris, co mam robić, a czego nie. Przyjrzyj się lepiej jemu. Jemu i tej krwi na jego portkach. W naszym... powtarzam, w naszym domu.

— Pieprzysz! — nie wytrzymał Steve. — Boże, jak ty głupio, nędznie, samolubnie pieprzysz! — Machnął ręką, a Iris wydało się, że przeklina tym gestem cały pokój: z matką i babką, z ojcem i siostrą, z dobytkiem gromadzonym z takim trudem tylko dla dzieci. Z biblioteką, obrazami, fortepianem i nawet z bukietem zasuszonych róż, które Theo dał jej kiedyś na urodziny.

— Wiesz, co sobie myślę? — spytał Theo. — Że pogoda dziś plugawa i pewnie się od niej zarazileś. Plugawa jak twój język. W tym domu nie będziemy takim rozmawiać.

— W tym domu nigdy nie rozmawialiśmy żadnym wspólnym językiem — wzruszył ramionami Steve. — W tym domu nie spędziłbym już nawet nocy. Przenocuje mnie babcia? Jeśli nie, znajdzie się tu chyba jakiś park?

— Przestań pajacować, Steve — powiedziała Anna. — Poczekaj na mnie w wozie.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a oni stali w trójkę, próbując oswoić się z tą sytuacją.

— Nadrabia miną — odezwała się pierwsza Iris. — Pewnie strasznie się boi. Dam głowę, że nigdy już czegoś takiego nie zrobi — rzuciła w stronę Thea.

— A ja nie dam — odparł.

— A ja zabieram go do siebie — oświadczyła Anna. — Będziecie mieli go z głowy i przynajmniej wyśpicie się spokojnie. — Narzuciła płaszcz i powiedziała cicho na odchodnym: — Jeśli zawiedzie was, przyjmijcie to z godnością. Nikt nie zna cudzych myśli.

— Wiem, mam — rzucił gorzko Theo. — Nie da się ukształtować innego człowieka. Życie to tajemnica. Każde życie. Rozumiemy tylko nasze własne.

Iris spostrzegła, że z półmroku ganku matka posyła jej zmęczony, smutny uśmiech.

— Czasami nawet własnego nie rozumiemy.

Theo cisnął buty w kąt, a koszulę na krzesło, co nigdy nie zdarzało się tak metodycznemu jak on człowiekowi. Łaził po pokoju i gadał sam do siebie.

Zasuwasz jak wół, by dzieci wyrosły na ludzi i ładnie ci zapłacą. Ale kto za nas miał to robić? Mądrale! — zacisnął szczęki. — Guzik

wiedzą, ale każdy po trzydziestce to dla nich bęcwał i nawet słuchać go nie warto. Przecież to nawet kupy się nie trzyma. Jak można robić rewolucję i równocześnie być dzieckiem-kwiatem? Już ja ich widzę w Hanoi. Pójdą pod ścianę i trach!

Przysiadł na łóżku i przycisnął dłonie do czaszki.

— Iris? Sam nie wiem, co zrobić. Może jednak zadzwonię na policję. Beknie, ale przynajmniej w głowie mu się poukłada.

— O czym ty mówisz, Theo? — Iris, rozczesująca włosy przy toalecie, poderwała się jak ukłuta. — Przecież on nigdy by ci tego nie wybaczył! Nigdy, do końca życia.

— Może i to byłoby dlań lepsze.

— Ja też nigdy bym ci tego nie wybaczyła. Zrozum, że to dzieciak. Wyrośnie z tego. Musimy być cierpliwi.

— Dzieciak? Więc może powinienem go ukołysać? Jemu trzeba twardej ręki, a nie kołysanek.

— Przecież sam przyznałeś przed chwilą mamie, że człowieka nie da się ukształtować.

— Chodziło mi o to, że nie da się ukształtować na własne podobieństwo. Ale to tylko część prawdy. Zresztą... zostawmy to na inny raz. W głowie mi się mąci, a jutro rano mam operację. Nastaw mi budzik na piątą trzydzieści. Muszę jeszcze wziąć prysznic. Dziś już nie dam rady.

Leżeli jedno przy drugim. Zawsze lubiła kłaść głowę na jego ramieniu. Sam mówił, że ciepło jej włosów dobrze mu robi na piersi. Teraz przesunęła się wyżej i zetknęli się policzkami. Wyczuwała drżenie jego powiek. Obrócili się ku sobie i ich serca spotkały się i zabiły równo.

— Słyszysz, jak biją? — spytała, jakby myśląc na głos. Poglądziła go po policzku.

— Iris?

— Co, Theo?

— Zamknęłaś drzwi na klucz?

— Zamknęłam.

Gdy znalazł się nad nią i przyjmowała go w siebie, pomyślała, że nie ma lepszego, czystszeo i bardziej gojącego ból pojednania.

Przez moment oślepiło ją, przyszła ta „mała śmierć”, jak ktoś —nie pamiętała już, kto — to określił i znów wróciła do życia, do ciszy, do jego dłoni na jej piersiach.

W taką jak ta noc słodko zapada się w sen po kilku minutach miłości, w ciepłym łóżku, w ciepłym pokoju, nawet gdy w okna bije

deszcz, a za drzwiami czai się ten zwariowany świat. Tylko że zwariowany świat może łatwo wedrzeć się wszędzie. Theo usłyszał trzask pękającej niczym ludzka kość gałęzi w ogrodzie. Pewnie ten stary klon, którego suchy konar już dawno trzeba było amputować. Wredna noc. Dobrze, że Steve jest pod dachem, a nie w areszcie. Głupi szczeniak! Jak można tak marnować życie i to na samym starcie? Co innego mieć ideały, spierać się o nie, ale przecież nie w taki sposób. Żeby ktoś raz wybił mu to w głowy. Może Anna? Pogadała z nim wtedy przed Bar Micwą, ale ile to już lat. Może i dziś spróbuje? Nie, nic nie wskóra. Jest już dorosły, a zresztą to całkiem inna sprawa.

Obrócił się delikatnie na drugi bok, by nie ruszyć pościeli i nie zbudzić Iris. Wsłuchiwał się. Oddychała nieregularnie, więc pewnie też nie spała. Mocno dostała w kość. Biedna Iris. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nic dobrego nie wyrośnie z ich syna. Widział to jasno jak na dłoni.

Iris zawsze wyczuwała, kiedy Theo zasypia i kiedy się budzi. Chciała go przytulić i pocieszyć, ale coś ją powstrzymało. Bywały chwile, gdy Theo wymagał pocieszenia, a bywały takie, gdy potrzebował być sam. Dobrze go znała.

Co jeszcze wykręci im ten Steve? Theo pewnie martwi się tym jeszcze bardziej niż ona. Nie przyzna się, ale ona wie, jak mu zależy, by wszystko szło jak w zegarku.

Biedny, kochany Theo. Tak się o mnie troszczy. Nawet na baby jakby mniej patrzył, a jeśli nawet, to od dnia, gdy wiozł z kliniki tę pielęgniarkę, a ja wygłupiłam się jak ostatnia zazdrośnica... Przecież obiecałam sobie, że nic nie chcę widzieć.

Kilka zimnych łez spłynęło po skroniach Iris, rosząc jej włosy.

ROZDZIAŁ 8

Jesienią 1967 roku Amerykanie pomimo wcześniejszego entuzjazmu zaczęli mieć dość wojny w Wietnamie. Wieczornych dzienników pokazujących wciąż płonące wioski, uciekające ludziki, wilgotną i parną dżunglę, wylatujące w powietrze ciężarówki i helikoptery kołujące, by wyciągnąć nowych rannych z tropikalnego piekła.

Iris czuła, że ten świat kona nie tylko na Dalekim, ale i na Bliskim Wschodzie, gdzie Egipt, Syria i Jordania, wspomagane przez Sowietów, niemal codziennie plądrowały izraelskie miasta i wioski. Na szczycie w Chartumie arabscy przywódcy oświadczyli, że pokój zapanuje, gdy Izrael zepchnie się do morza.

Czy ten krąg przemocy nigdy się nie skończy?

Ale tak najbardziej martwiła się o Steve'a. Od czasu afery z kartami poborowych rzadko bywał w domu. Gdy telefonował, rozmawiali chłodno i nieskładnie. Żadne z nich nie pytało, co słyhać. On i tak nie odpowie, a ona wolałaby nie wiedzieć. Grunt, że nie wylali go ze studiów i jakoś tam sobie radzi.

Nigdy nie prosili o informacje Jimmy'ego, który też dostał się na uczelnię Steve'a. Brat nie powinien donosić na brata. To byłoby niesportowe lub wręcz podłe.

Ale czasami to Jim dostarczał im wieści. „Steve wybiera się z marszem na Baltimore. Mówię wam, żebyście nie byli zaskoczeni, gdy przeczytacie coś w prasie”.

— A skąd ma na to pieniądze? — spytała Iris. — Przecież nie z tego, co mu posyłamy?

— Tamtych stać na to — odparł Jimmy. — Nie wiem skąd, ale stać ich.

W lutym 1968 Wietnamczycy obchodzili, jak co roku, swoje narodowe święto Tet. Obchodzili je na pamiątkę zwycięstwa nad Chińczykami przed stu pięćdziesięcioma laty. Kto by uwierzył, że ten nieszczęsny lud nie tylko przetrwa, ale ruszy z kontrofensywą na Amerykanów, że zaatakuje ich obwarowaną ambasadę w Sajgonie i dopiero po całonocnej walce pójdzie w rozsypkę. Koła wojskowe traktowały to jak epizod, ale ten epizod był początkiem końca prezydentury. W marcu Johnson oświadczył, że nie będzie ubiegał się o drugą kadencję, a młodzi Amerykanie przyjęli to w większości z radością.

W sierpniu Demokraci mieli zebrać się w Chicago na przedwyborczą konwencję. Już same przygotowania kiepsko wróżyły. Gwardię Narodową ściągnięto z całego Illinois, a policję postawiono w stan pogotowia, bo poszły przecieki, że Yippies* chcą wpuścić LSD do sieci wodociągowej całego Chicago. Miliony Amerykanów zasiadły znów przed telewizorami.

Tego lata Theo i Iris zostali sami w domu. Laura, na rok przed maturą, ruszyła z grupą ochotników do New Hampshire, by zbierać głosy na McCarthy'ego**. Filip był na obozie gdzieś w lasach Maine. Jimmy pracował jako pielęgniarz w szpitalu w Chicago. Od Steve'a dostali kilka nabazgranych w pośpiechu zdań. Wybiera się z grupą politologów na obóz naukowy na Dalekim Zachodzie i nieprędka napisze. Do sierpnia nie dostali nawet kartki, a Iris podejrzewała, że ten Daleki Zachód leży w Chicago. Wiedziała, ale zasiadając co wieczór z Themm przed telewizorem, nie wspominała, co ją gnębi.

Patrzyli w ekran i oglądali, jak postępowi kandydaci wycinają się jeden po drugim i jak zwycięża Humphrey***. Oglądali, jak Chicago zamienia się w pole bitwy i jak policja oczyszcza Park Lincolna z biwakujących tam „wbrew przepisom” młokosów.

„Białe śwynie!” — krzyczeli młodzi brodacze i dziewczęta w wytartych dżinsach i sięgających po pośladki włosach. „Czerwone gnoje!” — odkrzykiwała im policja, puszczając w ruch długie pałki.

* Yippies (ang. Young Politically Active Hippies) — młodzi hippisi aktywni politycznie lub Youth International Party — Międzynarodówka Młodzieży, ruchy lewicowe w USA w drugiej połowie lat sześćdziesiątych.

** Eugene McCarthy (ur.1916) — amerykański senator i polityk (zbieżność nazwisk z Josephem McCarthym, znanym z działalności antykomunistycznej w USA w latach pięćdziesiątych przypadkowa). Kandydat partii demokratycznej w prawyborach prezydenckich w 1968 roku, popierany przez kręgi antywojenne i liberalne.

*** Hubert Humphrey (1911—1978) — polityk amerykański. Wiceprezydent USA w latach 1965—1969 za kadencji Johnsona. . . .

Chyba dziesięć tysięcy osób zebrało się w Parku Lincolna. Co najmniej drugie tyle zablokowało ruch aż po Hiltona. Cegły, jajka, cuchnące bomby domowej produkcji, kamienie — a z drugiej strony gaz łzawiący; wszystko poszło w ruch. Z dachów poleciały plastikowe worki z odchodami i moczem. A młodzi zbuntowani, kiwając się przed telewizyjnymi kamerami niczym szamani, wyśpiewywali:

To my, to my, to my, to my — jesteśmy ludzie, a wy psy.

Iris nawet nie czuła, że wbija sobie paznokcie w zaciśnięte dłonie. Pokój był ciemny, jarzył się tylko telewizor i w blasku ekranu ujrzała męża, który stał nachylony i też nie mógł oderwać wzroku. Zastanawiała się, czy on także szuka w tym ogarniętym amokiem tłumie twarzy Steve'a.

— Policja przeholowała — szepnęła. — Nie musieli być aż tak brutalni. Przecież to dzieciaki.

— Niektórzy może przeholowali. Tylko że to też ludzie i mają prawo się wściec. Patrz na te dzieciaki puszczane samopas! Właśnie sikają z okien i tańczą nago wokół fontanny. Powinni mieć więcej oleju w głowie. Przecież to studenci! O co im chodzi? Czego oni, do jasnej cholery, chcą? Przecież w Paryżu toczą się negocjacje?*

— Theo... Czy Steve też tam jest?

— Jeśli już musi, to wolałbym, żeby nie wśród tych golasów na fontannie.

Nie minął kwadrans i zadzwonił telefon. Iris wyczuła od razu, że nie wróży to nic dobrego. Dzwonił Jim.

— Mama? Spokojnie. Nic złego się nie stało. Tylko Steve'a przymknęli dziś po południu.

— Boże! Co mu zrobili? Gdzie?

— W Chicago. Ja też tam jestem. Telefonował do mnie i zaraz tam pomknąłem. Dzwonię z komisariatu.

Theo wyrwał jej z dłoni słuchawkę. Pobiegła do kuchni, by złapać za drugą.

— Z paragrafu za udział w nielegalnym zbiegowisku. Nic groźnego, ale trzeba wpłacić kaucję, a ja nie mam tyle przy sobie.

— Kaucję? — W głosie Thea wyczuła wzbierającą wściekłość, mimo że starała się mówić cicho. — A co będzie, jeśli jej nie zapłacę?

* Mowa o rozmowach pod auspicjami ówczesnego sekretarza generalnego ONZ U'Thanta między rządem Południowego Wietnamu i tzw. Narodowym Frontem Wyzwolenia Wietnamu.

— Chyba go przytrzymają. Zresztą nie znam się na tym. — Słyszała, że głos mu drży. — Chcesz z nim porozmawiać? Jest tu koło mnie... Przecież mówię tacie, że dzwonię z komisariatu!

— Cześć, to ja — w słuchawce rozległ się głos Steve'a.

— Słyszę — to znów Theo. — Co przeskrobałeś?

— Nie wiesz? Przecież słyszałeś?

— Na własne uszy! Czy ty w ogóle nie myślisz o sobie? A przynajmniej o twojej matce?

Iris rozbeczała się, a Theo pewnie widział to przez uchylone drzwi kuchni.

— Dobra — rzucił w słuchawkę Steve. — O tym pogadamy innym razem. Co z tą kaucją?

Ależ on ma mocne nerwy — pomyślała. Przypomniał się jej obraz komisariatu, chyba jedyne, jaki widziała w życiu, gdy ktoś uszkodził tylny zderzak jej prawidłowo zaparkowanego samochodu. Zapamiętała wysokie, jasne dębowe biurko — tak wysokie, że nawet nie widziała blatu — i świetlówki pod sufitem. A teraz przed takim biurkiem stoi Steve!

— A więc jak z tą kaucją? — usłyszała.

— To od ciebie zależy. Od tego, czy zamierzasz wycofać się z tych zabaw raz i na zawsze.

— Nic nie obiecuję.

— Rozumiem. A więc nie szanujesz kraju, który dał ci wykształcenie i...

— Ten kraj nic mi nie dał.

— Dał ci wszystko, co masz, głupcze. Dał ci wolność, dał ci...

— Wolność? Raczej wolny rynek handlu napalmem.

— Boże, co ty gadasz! — wybuchnął Theo.

— Steve! Przestań się spierać z ojcem — Iris musiała się wtrącić. — Nie teraz, Steve!

— Masz rację. Ci faszyci chcą, żebym już kończył rozmowę. Płacisz kaucję, czy nie?

— Faszyci? Ty chyba całkiem zgłupiałeś! — wrzasnął w słuchawkę Theo.

Ucho Iris wyłowiło w tle jakieś głosy, brzęczące telefony i coś, co przypominało skrzypienie krzesła. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Jimmy też jest tam. Dlaczego i on? To nie w porządku... przecież nic nie zrobił, więc czemu i jego w to wciągać?

— Steve — poprosiła błagalnym tonem. — Nie mów słów, których możesz pożałować. Mów krótko i konkretnie.

— Przecież mówię, że zaraz nam przerwą.

— I całkiem słusznie. Więc proszę cię raz jeszcze, żebyś mi coś obiecał. A potem dasz mi oficera dyżurnego i sam z nim pogadam. A więc jak, Steve? Obiecujesz?

— Nie mogę.

Iris poczuła, że kolana odmawiają jej posłuszeństwa. Nie, przecież Theo nie zostawi tak ich syna?

— Twoja sprawa. Zadzwoń, gdy zmienisz zdanie. A teraz daj mi brata.

— Tato — wołał Jimmy. — Mówią, że dość już tej pogawędki. Mówią, że mają tu wystarczający bajzel i bez...

Ktoś nacisnął widełki.

Iris wbiegła do pokoju. Telewizor miał wyłączoną fonię, ale ekran wciąż migotał jak oszalały, a Theo wpatrywał się w niego, trzymając w ręce odłożoną na drugim końcu linii słuchawkę.

— No i pogadaliśmy sobie.

— Nie pomożesz mi? Naprawdę nic dla niego nie zrobisz?

— Słuchaj, Iris. Uwierz mi, że robiłem wszystko, co mogłem. Próbowałem być ideałem człowieka, najlepszym ojcem, ale świętym nie jestem i wszystko ma swoje granice. Właśnie do niej dotarłem. Teraz... przed chwilą.

— Nie możesz tak mówić. Pomyśl, co się z nim stanie? Theo wpatrywał się przez szklane drzwi w upalną, letnią noc.

— Przypomina mi się jego Bar Miewa. Jakby to było wczoraj. Ten sam pokój. Już wtedy nic nie rozumiałem i teraz nie rozumiem.

— Przestań, Theo. To było i minęło.

— Dla mnie nie.

— Ale jego mogą zamknąć! Nie rozumiesz tego?

— W niezłym towarzystwie. Sami swoi.

Wyglądał kiepsko. Patrzyła, jak idzie do kuchni, a zaraz potem usłyszała płynącą z kranu wodę i brzęk szkła. Spokojnie, tylko spokojnie. Uspokoi się, zatelefonuje i zastanowimy się, co zrobić.

Theo wrócił z pełną szklanką. Wygładziła głos, jak wygładza się fałdy na sukience.

— Taki wiek. Dorosną, zmadrzeją. — Nie odpowiadał, więc mówiła dalej: — Upadek wartości, lęk przed poborem, konkurencją, recesją...

— Oszczędź mi tej telewizyjnej psychoanalizy — powstrzymał ją ruchem dłoni.

— Dlaczego telewizyjnej? Przecież to prawda. Ty wyrastałeś w uporządkowanym świecie, choć też mieliście tam wojny...

— Konkretnie dwie, w tym jedną z Hitlerem.

— Mówię o tym, co było wcześniej. Sam przyznasz, że żyliście inaczej. Ojciec był głową rodziny, matka prowadziła dom, a dzieci miały ich słuchać. Wcale nie twierdzę, że to było lepsze, ale przynajmniej każdy znał swoje miejsce. Teraz wszystko płynie, choćby te rozwody... — paplała z nadzieją.

— Rozwody? Przecież, o ile wiem, my się nie rozwodzimy?

— Dobrze... zostawmy rozwody. Jest najstarszym synem. Może ma zbyt wygórowane oczekiwania. Może zbyt szybko dorósł. — Próbowała powiedzieć jak najwięcej, nim znów jej przerwie. — Wiem, że leczysz chorych, wiem, że nie powinnam nawet wyjaśniać ci tego.

— Bo silny zawsze powinien zrozumieć słabszego? Słowa- Iris. Modne słowa, które nic nie znaczą.

Przypomniała sobie, że podczas gdy oni tak sobie gawędzą, tam w Chicago wciąż coś się dzieje. Mimo upalnej nocy poczuła dreszcze.

— Przypomnij sobie Bar Micwę — zaczął znów Theo.

— Czy musimy do tego wracać?

— Nie musimy. Możemy mówić, o czym tylko chcesz.

— Bardzo to szlachetne z twojej strony — rzuciła z ironią. — Nie wysilaj się. Nie musisz mi mówić, co było przed rokiem, dwoma, przed stu laty. Powiedz lepiej, co zamierzasz zrobić teraz.

— Przecież mówię, że nic. Gdybyś mnie słuchała, zrozumiałabyś, że to najlepsze, co mogę dla niego zrobić. Jeszcze przed chwilą żywiłem nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy, gdy dostanie po tyłku.

— Nie zostawisz go! Przecież nie jesteś taki!

— Jaki? Taki twardy? Pomyśl, co mówisz.

— Teraz jesteś twardy. Nie chcesz zrozumieć, że te dzieciaki może i błędzą, ale ich głos też się liczy.

— Liczy się głos wrzucony do urny, a nie fekalia ciskane w cudze twarze. Tym sposobem można najwyżej rozwalić ten kraj. Nie ma prawa, nie ma porządku, a więc co zostaje? Powiem ci, co: motłoch i strach. I przestań zaprzeczać. Przerabiałem to na ulicach Wiednia. Ty nie.

— Ale to coś innego! To ty nic nie rozumiesz! — głos Iris przeszedł w krzyk. — Skoro ty nie chcesz, sama pojedę do Chicago.

Zerwała się z fotela, chwyciła torebkę i zakiet. Pojedzie na lotnisko i złapie pierwszy ranny samolot. Ładny mi ojciec! W drzwiach coś ją powstrzymało.

— Potrzebuję pieniędzy. Gotówki!

Wywrócił na wierzch kieszenie i podał jej portfel.

— Weź i sprawdź. Dwie dwudziestki, piątka i drobne. Służę uprzejmie — dodał chłodno.

— Tylko tyle? Nie mów mi, że więcej nie mamy w domu.

— Tylko tyle. Pieniądze szybko idą.

— Chyba nie powiesz, że z mojej winy? Czy to ja szastam forszą na prawo i lewo? Spójrz na moją sukienkę. Jest sprzed pięciu lat.

— Nie udawaj męczennicy. Kto każe ci chodzić w takich starych? Idiotyczne, że ich rozmowa wyrwała się spod jej kontroli i poszła gdzieś w bok.

— Więc biorę wóz i jadę do matki. W Berkshires będę za trzy godziny. Da mi pieniądze i rano polecę z Bostonu.

— Nigdzie nie polecisz. Matki nie będziesz w to wciągać. Jakim prawem chcesz ją wykończyć nerwowo i zepsuć jej pierwsze wakacje od śmierci twojego ojca?

Chwytał ją za ramię, szarpnęła się, potrafiła wazę łokciem. Woda, okruchy szkła, kwiaty — wszystko wylądowało na śnieżnym dywanie.

Wybuchnęła płaczem. Nie nad dywanem ani nad kryształową wazą — po prostu nad wszystkim, co poszło w drobiazgi. Opadła na fotel przy biurku. Boże, czy to nigdy się nie skończy?

Theo podniósł się, by zrobić porządek. Poszedł do kuchni, przyniósł ścierkę, starł wodę rozlaną na dywanie, a rozbite szkło zmiotł na gazetę.

— Anturium — mruknął. — Mam dość anturium. Mam dość problemów, szczeniaków, beczących bab. Czy jest na tej ziemi jakieś miejsce, gdzie mężczyzna mógłby skryć się i odpocząć?

Iris próbowała znów wziąć się w garść.

— Theo, proszę cię po raz ostatni. Załóżmy, że jesteśmy porządnymi, dobrymi rodzicami. Rano jedziemy do banku, podejmujemy gotówkę i lecimy do Chicago.

— To nie takie proste — spojrzał na nią, pochylony nad dywanem. — Rano mam dwie operacje i nawet komedie, jakie wyczynia nasz syn-idealista, mnie z nich nie zwolnią.

Poderwała się. Fotel zawadził o spoczywający na dywanie podnózek i uderzył w biurko. Teraz dla odmiany zachwiała się i spadła lampa.

— Dość! Dłużej tego nie zniosę!

— Ja też nie.

Poszedł do kuchni, by wrzucić do kubła resztki stłuczonej lampy. Wrócił, zapadł się w fotel i wpatrywał się w mokrą plamę na dywanie.

— Wskoczę do szpitala, Iris — powiedział. — Tak będzie lepiej, dla mnie i dla ciebie. Po co mamy ciągnąć tę rozmowę?

— Wskocz.

— Mam tam trochę papierkowej roboty. Może przy niej nieco się uspokoję. Tutaj nawet oka bym nie zmrużył.

— A kto ci zabrania? — krzyknęła. Zatrzasnęła drzwi.

Noc była parna pomimo otwartego dachu kabrioletu, a pęd powietrza nie niósł ochłody. Rozprostował ramiona na kierownicy i spróbował skupić myśli. Chyba postąpił słusznie. Niech chłopak posiedzi — dzień, dwa — a potem on poprosi swojego adwokata, by zadzwonił do Chicago i dowiedział się, co mu grozi. Tak będzie najlepiej.

Szkoda szczeniaka! Szkoda ich wszystkich! Ostatnie dwa lata mieli niełatwe. Najpierw Steve, a potem śmierć ojca Iris. Tak byli zżyci. Zrobiło mu się żal Iris, zapłakanej, siedzącej pewnie bezradnie w kucki na fotelu. Może nie powinien zostawiać jej w takim stanie? Już chciał zawrócić, ale po namyśle zrezygnował. Ludzie w stresie zawsze palną coś głupiego i nie na temat. Teraz każde z nich powinno ochłonąć osobno.

Gdy wjechał na parking, długi trzypiętrowy budynek szpitala pogrążony był w ciemności z wyjątkiem jednego okna na kardiologii. Pewnie ktoś chce popracować naukowo bez klientów i telefonów.

Albo i nie. Może ta nowa, strzelająca oczyma pielęgniarka zabawia się z którymś z doktorków. Wcale by się nie dziwił. Pewnie nieźle wodzą za nią wzrokiem, gdy szybuje po gabinetach.

W martwej ciszy korytarza jego kroki brzmiały głośnym echem. Za plecami usłyszał skrzypnięcie drzwi i świeży sopran:

— Widzę, że z pana doktora też nocny marek.

— Przynajmniej nocą można tu spokojnie popracować — odparł przystając.

Uśmiechnęła się. Obiecująco, co podkreślały świeże jak brzoskwinia usta. Jej biały fartuch niósł chłód pomimo lepkiego upału.

— Nie napiłby się pan doktor czegoś zimnego?

— A ma pani coś?

— Pełny termos ponczu. Własnej roboty. W sam raz na taki upał.

— Chyba się skuszę.

— Zostawię panu. Właściwie już zbieram się do domu, ale termos może mi pan podrzucić rano.

— To miłe z pani strony, ale nie chciałbym pozbawiać pani termosu.

— A po co mi termos w nocy?

Nie zdążył zasiać za biurkiem, gdy już zjawiała się z termosem. Położyła go na blacie i napełniła mu szklanekę.

— Na zdrowie. Ja już lecę. Ciężki mieliśmy dzień. Pogoda też podła.

W świetle lampy rozjaśnione pasemka zaśniły w kasztanowych włosach. Farba czyni cuda, ale i bez farby była dobra. Czując, że wypada coś powiedzieć, spytał, czy często pracuje na drugiej zmianie.

— Czasami. Najwyżej raz na dwa miesiące, gdy trzeba uporządkować te papierzyska i rachunki. Jest tego stos, ale wszyscy płacą regularnie, więc nie narzekam na nadmiar pracy.

— Na panią też pewnie nikt tu nie narzeka?

Pewnie powinien wymyśleć coś błyskotliwszego, ale trochę go onieśmiałała. Wolał siedzieć i patrzeć. Nawet z odległości czuć było jej aromat. Żadne telewizyjne perfumy i afrodyzjaki, dyskretny zapach talku, do którego nie umywa się cała telewizja. Fartuch też dyskretny, biały i przylegający do figury. Ciekawe, czy pod spodem też jest taka? Skupił myśli.

— Przepraszam, ale zapomniałem, jak się pani nazywa.

— Alice. Alice Meredith.

— Alice? Staroświeckie imię. Chyba dziś dość rzadkie?

— Rzadkie i tym bardziej ciekawe. Za to ja nie jestem staroświecka.

— To widać po pani... panno Alice.

Taksowali się wzrokiem przez biurko. On odchylony w fotelu, ona — oparta łokciami o regał z wiedzą medyczną.

Tak, staroświecka nie jest. Postanowił zostawić jej kolejną zagrywkę.

— Ciężko pan zasuwa, doktorze. Znać to po panu. Ciekawe, jak ona by wyglądała, gdyby przeszła przez to, co on

przed godziną? — Opuścił go dobry humor i znów przypomniała mu się zapłakana Iris. Pewnie skończy się na tym, że to on wsiądzie w samolot i będzie musiał świecić oczyma przed gliniarzami w Chicago.

— Mówią, że ma pan zostać ordynatorem plastycznej.

— Wierzy pani w plotki?
— Skromny z pana facet, doktorze.
— Nie powiedziałbym.
— Ale wszyscy tak mówią. Piłka przelatowała nad siatką. Teraz jego kolej.
— Kto tak mówi? Jacy wszyscy?
— Dyrekcja... pacjenci... wszyscy.
— I tym wszystkim opowiada pani o mnie?
— Nie wolno?
— Wolno.
— Zauważyłam pana w pierwszym dniu pracy.
— Ja też zauważyłem, że pani zauważyła. Set ciągnął się. Ciekawe, jaki będzie wynik.

— Zauważył pan? Więc czemu nie powiedział mi pan o tym? To był jej serwis. Uderzyła fałszem i nie odebrał piłki. A przecież powinien. Powinien powiedzieć jej, że dlatego, iż nie zdradza żony. Tylko że nie powiedział.

— Może nie było okazji — odparł.

— Okazji? Na okazję się nie czeka. Okazję się tworzy. Nigdy pan o tym nie słyszał?

— Słyszałem.

Zamyślił się. Pewnie mieszka w jednym z tych nowych domków z ogródkiem za rzeką. Kuchnia we wnęce i nieźle zaopatrzona lodówka. Leżanka, gramofon hi-fi, a przede wszystkim spokój: żadnych dzieciaków i awantur. Wielu tak sobie żyje. Cicho i na uboczu. A on? On ma żonę histeryczkę, syna komunistę, rachunki do spłacenia, a jutro musi być spokojny, wypoczęty i w formie wejść na blok, chwycić lancet i do roboty. W formie? Już widzi tę formę.

Poczuł ból w karku. Pomasaował go i zaraz było mu lepiej.

— Nerwoból? — spytała przyglądająca mu się uważnie Alice.

— Drobiazg. Szyja mi ścierpła. To normalne w naszym zawodzie.

— Może ja to zrobię? Znam się trochę na masażu kręgosłupa. W końcu jestem pielęgniarką. Ale przecież nie będę pana masowała przez marynarkę? Proszę rozpiąć kołnierzyk i pochylić się.

Palce miała mocne i sprężyste. Niosły niewiarygodną ulgę, jak gdyby ból wywoływany zasupłanymi nerwami schodził od barków w dół kręgosłupa. Oddychał głęboko, czując błogość.

— Stokrotne dzięki. Naprawdę już mi lepiej.

— Będzie jeszcze lepiej, jeśli położy się pan na brzuchu.

Dostrzegł, że rzuciła okiem na obszerną kozetkę w pokoju na zapleczu, gdzie trzymał akta i podręczny księgozbiór. Jego mózg działał w dwóch kierunkach. Jedna półkula mówiła mu, czym to się skończy, a druga, że tak właśnie trzeba. Środek był zahipnotyzowany i bezwolny. Wszystko poszło jak zawsze w takich sytuacjach. Podniósł się i po chwili spoczywał na kozetce z twarzą wtuloną w skórę obicia.

Rozebrała się — nie za szybko, by go trochę podniecić — ukazując kolejno świeżą opaleniznę, kremową biel młodych pośladków poniżej linii bikini, krągłe uda, idealne piersi i kształtny brzuch.

Przesunął się na kozetce, a ona — teraz już nie zwlekając — wskoczyła na wolne miejsce i przyłgnęła doń całym ciałem. Nie tracili czasu na gry i szepty; szybciej, byle szybciej, byle do końca. Było to dzikie, zachłanne, wygłodniałe i zbyt szybkie.

— Byłeś świetny — szepnęła z uśmiechem.

Coś wymamrotał. Podobno mężczyźni zawsze po tym czują smutek. Zawsze? Nonsens. Czy blask oczu partnerki nie przedłuża szczęścia? Tylko że tym razem nie przedłużył. Spojrzał w jej twarz, na której nie znalazł nic oprócz mechanicznego uśmiechu. Zresztą co właściwie ich łączyło?

Wstał, ubrał się i odczekał, ukrywając melancholię i niecierpliwość, aż ona też się ubierze, uczesze i doprowadzi do porządku swój brzoskwiniowy makijaż.

Spostrzegła to w lustrze i wyjaśniła:

— Zaraz pędzę do domu, a wiesz, jak to w drodze bywa. Bez szminki czuję się jak bez majtek.

Theo pomyślał, że właściwie nie znosi jej i nagle zeszywniał. Ktoś pukał do drzwi. Alice też zamarła ze szczotką w dłoni.

— Kogo, do licha, niesie?

— Mogłabyś się tak nie drzeć. Pukanie niosło się echem przez trzy pary drzwi.

— Kto to może być? — spytała serio przestraszona.

— A skąd mam wiedzieć?

Iris? Czy Iris mogłaby przyjechać tu w samym środku nocy? Wykluczone. O tej porze nie zaryzykowałyby samotnej jazdy. Poczekaliby, aż wróci i dopiero potem wszystko by mu wygarnęła. Nie, to nie Iris. Pukanie ustało. Oczekali pięć, potem dziesięć minut i nadal nic. Theo wrócił do formy.

— Pewnie ktoś pomylił drzwi. Na pewno nie włamywacz. Tacy przeważnie nie pukają. Może ktoś z pogotowia. Zobaczyli światło

w szpitalu i zaryzykowali. Szybko! — przynagli! ją. — Zrobię zwiad i powiem ci, czy możemy wyjść.

Na parkingu spostrzegł tylko wóz Alice i swój własny, oba tuż przy wejściu. Wrócił do gabinetu, wyłączył światło, zamknął drzwi na klucz i ruszył za nią na parking, przysięgając sobie, że już nigdy jego noga nie stanie nocą w szpitalu. Wszystko to było obleśne. Parszywe. Czuł złość, wstyd i sam się sobie dziwił. Czemu? Przecież z reguły zapominał o takich epizodach po kwadransie.

Począł, aż otworzy samochód i już miał powiedzieć jej dobranoc, gdy odwróciła się, objęła go i wpiła mu się w usta.

— Tak mi dobrze z tobą było — świergotała, gdy oślepiły ich reflektory; jakiś samochód przemknął koło nich i zniknął w mroku.

— Ale z ciebie nerwus! — roześmiała się. — Musisz się wyspać. Ja też. Do jutra!

— Do jutra? Cześć.

Wolał poczekać, aż to ona pierwsza odjedzie. Był coraz bardziej zły na siebie. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko dodatkowego problemu w rodzinie. Co go podkusiło?

Iris długo jeszcze płakała, gdy Theo zatrzaskał za sobą drzwi. W końcu miała już dość siedzenia z podkurczonymi nogami w fotelu i chlipania w chusteczkę. Wstała, poszła do łazienki, zmyła resztki tuszu, umyła twarz, doprowadziła ją do porządku, poprawiła włosy i przejrzała się w lustrze.

Oboje zawinili. Gdy trzeba było trwać ramię w ramię, zaczęli się żreć. To ona powinna zapanować nad sobą. W końcu to, co mówił Theo, wcale nie było tak głupie. Przecież on kocha chłopaka nie mniej niż ona. Głupie, niegłupie — najgorsze, że już jedenasta, a jego wciąż nie ma. Za kilka godzin ma wstać i iść operować. Taka noc rozłoży każdego. Poczuli gwałtowną potrzebę powiedzenia mu czegoś miłego, żeby wiedział, iż zawsze będą razem i że nikt — nawet Steve — ich nie rozdzieli.

Zadzwoiła do szpitala. Telefon nie odpowiadał. Przecież nie pojechał tam, by odbierać telefony. Chciał być sam.

Zeszła do garażu, wyprowadziła wóz i pojechała do szpitala. W myślach już tuliła go do siebie.

Na parkingu stały dwa samochody. Budynek był mroczny i tylko w jednym z okien paliło się światło. Gabinet Thea. Pewnie siedzi przy biurku. Na samą myśl o tym, że siedzi po nocy i gryzie się z myślami, omal się nie rozpląkała. Wyszła z wozu i zapukała.

Cisza. Zapukała mocniej, wreszcie zaczęła łomotać.

Przecież w środku nocy każdy by usłyszał. — Poczowała paniczny strach. — Może zasłabł, a może go porwali? Czy nie lepiej zadzwonić na policję?

Pobiegła znów na parking. Był tam jego samochód. Nowy, beżowy mercedes. Gdyby go porwali, złakomiliby się i na taką zabawkę.

Zaraz... jest i drugi. Tandetne to, małe, za to sportowe i krzykliwe. Typowy babski samochodzik. A więc ktoś jeszcze musi być w środku.

Wsiadła do wozu, wycofała w cień rozłożystego drzewa na skraju parkingu i wyłączyła światła. Nieokreślony lęk powstrzymał ją przed decyzją. Wiedziała, że powinna zadzwonić na policję, ale bała się. Żeby tylko nie to najgorsze! Tak, musi zadzwonić na policję i to zaraz!

Już miała przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy światło w oknie zgasło, a zaraz potem w drzwiach pojawił się Theo z jakąś kobietą. Czekala. Patrzyła, jak zamieniają z sobą kilka słów, a potem tamta — młoda, zgrabna, pewnie pielęgniarka — rzuca mu się na szyję i całuje. W usta! Serce Iris zamarło.

Po chwili znów zabiło — tym razem jak młot — ale to już nie było ważne. Włączyła reflektory, wcisnęła gaz i ruszyła z czwórki z dzikim piskiem opon. Byle dalej.

Sukinsyn! Ale kawał sukinsyna! Po tym, co przeżyli dziś wieczór, zabawia się przy nocnej lampie, na służbowej kanapie, w służbowym gabinecie, gdzie do tego powiesił sobie jej zdjęcie z dziećmi, pewnie po to, by mógł się jej przyglądać znad jakiejś kradnącej cudzych mężów pindy. Wszędzie porozwieszał sobie ich zdjęcia. Zwłaszcza to, gdzie poprzebierane z Laurą — mama za córkę, córka za mamę — stoją na tle różowych azalii, trzymając Flagę Wolności. Laura miała wtedy sześć lat. Nawet tego nie uszanuje, sukinsyn!

Pewnie już wcześniej sobie to zaplanował i tylko udawał, że musi wpaść do szpitala, by uspokoić nerwy.

Gdyby nie musiała trzymać kierownicy, zacisnęłaby dłonie w pięści.

Jak mówiła mama? „Zazdrość może cię zniszczyć”. A niech i zniszczy. Może zamienić moją krew w siną żółć. Smacznego!

Tak, ugryzło ją to. Ale kobieta też potrafi kąsać, i to na chłodno. Odpłaci mu spokojnie, gdy przyjdzie czas. Teraz, Iris, żadnych łez, żadnej słabości.

W domu weszła do łazienki i przekręciła zamek. Puściła gorącą wodę i wyciągnęła się w wannie, nie po to, żeby zmyć to wszystko z siebie, lecz żeby poleżeć i uspokoić rozbiegane myśli. Bólu nie czuła, bo wciąż była zbyt odrętwiała. Przyszedł dopiero po chwili, ale wtedy już wiedziała, jak mu się odpłaci i to tak, że nawet nie będzie wiedział. Odpłaci mu z nawiązką... wszystko w swoim czasie.

Zaczął stukać do drzwi łazienki.

— Iris? Nic ci nie jest? Czemu się zamknęłaś?

— Czasami lubię być zamknięta — odparła, cedząc słowa.

— Wiem, że się gniewasz, ale nawet nie słyszałaś telefonu. Jest wiadomość!

— Wiadomość?

— Od Steve'a. Ktoś zapłacił za niego kaucję. Dzwonił właśnie Jimmy i omal nie połamałem sobie nóg, pędząc z garażu.

Wyskoczyła z wanny i owinięła się ręcznikiem. Nie chciała, by oglądał ją naga. Zwłaszcza teraz, gdy wrócił prosto od tamtej kobiety. Otworzyła drzwi.

— Słucham.

— Jimmy mówi, że któryś z tych profesorków. Ten Powers, któremu życzę nagłej śmierci, choć wiem, że w takiej chwili nie bardzo wypada. Zresztą nic z tego już nie rozumiem. Podobno wyłożył forszę za wszystkich tych szczeniaków. Wszystkich czy część — najważniejsze, że Steve jedzie na uczelnię i będzie tam jutro rano.

— Dzięki Bogu. Ale co potem? Co jeszcze mówił? — próbowała zdobyć się na beznamiętny głos.

— Jimmy to łebski chłopak. Pogadał z kim trzeba i dowiedział się, że Steve będzie jednak musiał pojawić się w Chicago. Zapłaci grzywnę, dostanie reprimendę i...

Reszta nie była dla Iris ważna. Szczegóły się nie liczą. Liczy się, że wypuszczono Steve'a.

— Ale mieliśmy dzień — Theo usiadł i zdjął buty. — Dzień? Przecież to już środek nocy. Wiesz, że udał nam się ten Jimmy? Tylko szkoda, że musiał tak nadstawiać karku za Steve'a. Żeby tylko nie przesadził — Theo był bliski łez. — Za to Steve ma chyba dość, przynajmniej na dłuższy czas. Tobie pewnie też ulżyło? — spytał, przenosząc wzrok na Iris, wciąż owiniętą w ręcznik.

— Ulżyłoby mi bardziej, gdyby to ojciec mojego syna, a nie jakiś nieznajomy zapłacił tę kaucję.

— Przykro mi, Iris — westchnął. — Przepraszam za to wszystko. — Za wszystko? Konkretnie za co?

— Sama wiesz. Za cały ten dzień. Za to, że pokłóciliśmy się. Przeżyjemy to, Iris. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnął się tym samym — jak wtedy, gdy go ujrzała po raz pierwszy w domu rodziców — nieobecny, ujmującym uśmiechem, jaki tak bardzo bierze kobiety.

Zmęczony biedaczek — zacisnęła zęby, szydząc w myślach. — Nic dziwnego. Dobrze się napracował tej nocy. Łgarz! Podły łgarz! Dostaniesz za swoje. Dostaniesz i to zdrowo! Za co i jak, dowiesz się nie prędzej, niż będę gotowa, by ci to powiedzieć.

Nie ujrzy jej łez, nawet teraz, choć trzęsą ją dreszcze, za cały ten romans, za domowe amory, które były dla niego tylko przykrywką, nawet za to, że pewnego dnia przyjdzie skruszony i obolały, prosząc ją o rozwód. Przecież może kiedyś zechcieć ją zostawić. Nie pierwszy raz.

— Kiedy wreszcie porozmawiamy? — spytał Theo po czterech cichych dniach.

— Gdy będę gotowa, dam ci znać.

— Mój prawnik dzwonił już do Chicago. Nie wygląda to tak źle. Steve przyłączył się do zgromadzenia, które blokowało ruch uliczny. Pouczenie i grzywna, którą oczywiście zapłacę.

— Bardzo szlachetnie z twojej strony.

— Iris, przestań się zgrywać. To naprawdę nie w twoim stylu. Spojrzała chłodnym wzrokiem na usta, które całowały tamtą,

na dłonie, które pieściły biust tamtej, a potem pewnie nie tylko biust. Przypominało to jazdę z górki, u ponóza której leży nienawiść. Pewnie tak się to skończy. Theo i Iris znienawidzą się. Całkiem niewykluczone.

Całe przedpołudnie snuła się po domu, Ciągle czuła, że pod nieprzeniknionym obliczem Pearl czai się ciekawość. Może by jej się zwierzyć? Nie, Pearl nie jest właściwą osobą. A kto jest? Przyjaciółki? Odpadają, przecież reputacja Theo musi być nieposzlakowana. Choćby dla dobra dzieci. Matka? Nie, Anny nie można było tym

obciążać. Zresztą i tak zaczęłyby jej prawić morały. Ojciec? Tak... on mógłby jej pomóc, tylko że już go nie ma.

Gdy Iris snuła się bez celu po ogrodzie, Theo też zmagał się z myślami, próbując jakoś ustawić sobie dzisiejszy dzień. Taki piękny ranek, że aż żal bierze. Długo nie będzie takiego drugiego: niebo jak z porcelany, drzewa pachną żywicą, liście mieniają się, a powietrze niesie rześki chłód. — Tak sobie rozmyślał w szpitalu.

— Pan doktor prosi do telefonu — zawołała Pearl.

— Dzwonię, by ci donieść — powiedział oficjalnym tonem — że decyzja zapadła. Jestem ordynatorem.

To było potwierdzenie jego wartości, powód do dumy, szczególnej, zważywszy, że daleko było mu do pięćdziesiątki. Okazja do świętowania, bo aż wstyd nie świętować w takim dniu.

— Gratuluję — powiedziała równie oficjalnie.

— Tylko tyle mi powiesz? — spytał zaskoczony.

— Przepraszam, Theo. Mam coś z gardłem. Raz jeszcze ci gratuluję. Szczerze. Czy mam coś przygotować?

— Nic. To już moja sprawa. Oczywiście, nie obędzie się bez części oficjalnej, a potem lampki wina w skromnym gronie. Chciałbym, żebyś ubrała się na tę okazję.

Ubrała? Może raczej rozebrała jak ta twoja dziwka — chciała spytać, ale pohamowała się.

— Przecież nie chodzę w łachmanach?

— Przestań, Iris. Chcę, żebyś kupiła sobie coś wystrzałowego. Chyba tyle możesz dla mnie zrobić?

Zacisnęła zęby i powiedziała, odmierzając wyrazy:

— W porządku, Theo. Wyskoczę po coś wystrzałowego.

W sklepie był okres letniej kanikuly — jesienna kolekcja dopiero zaczęła spływać — więc cała uwaga Lei skupiła się na Iris. Przebieralnia w dyskretnej perłowszarej tonacji, krzesła, sklep — wszystko było pełne jedwabiów, brokatów, koronek, tweedowych kostiumów, sukienek z francuskiego dżerseju, nie mówiąc o mohero-wych swetrach.

Iris przejrzała się z przodu, potem z tyłu w wypełniających przebieralnię lustrach. Czarna koronka spływała od głębokiego dekoltu do samej podłogi. Kokardki i pętelki z niebieskiej satyny zdobiły,

a równocześnie podtrzymywały w łokciach bufiaste rękawy. Jej twarz nabrała rumieńców, a w oczach zalśniła radość, choć zaprawiona odrobiną goryczy.

— Świetnie pani w tym — powiedziała Lea. — Ale tamta lawendowa też na panią pasuje. Trudna decyzja, prawda?

— Chyba wezmę obie.

— Obie? — Zabrzmiało to trochę jak pochwała, a trochę jak pytanie.

— Dziwi to panią?

— Nie. Raczej cieszy, że znów jest pani moją klientką. Długo pani do nas nie zaglądała, w przeciwieństwie do pani matki. Jak się czuje?

— Nie najgorzej. Pewnie słyszała pani, że umarł mój ojciec.

— Słyszałam. Strasznie mi przykro. Pani matka to cudowna osoba. Wyprowadzi się?

— Nie. Jest przywiązana do domu.

Ta modna, trzeźwa kobieta zadawała zbyt wiele pytań. To właśnie jej ciekawość zrażała trochę Iris do bywania w tym magazynie. Pewnie taki już ma styl. Za to nie było drugiego takiego sklepu z ciuchami w całym mieście.

— Myślałam, że większość wdów przenosi się na Florydę. — Iris pominęła to milczeniem, więc Lea kontynuowała:

— Ten błękitny satynowy szal będzie w sam raz, gdy zrobi się chłodno. Pasuje do pani ramion.

— Też tak sędzę.

Wyda tu dziś majątek. Zgniłozielony kostium, bordowy dżersej, tweedowy żakiet w pepitkę, no i dwie sukienki wieczorowe — skromnie licząc kilka tysięcy dolarów. Po co ta arytmetyka? Theo zapłaci. W końcu też szasta pieniędzmi na prawo i lewo. Ciekawe, ile wydał na tę dziwkę?

— Szale mamy na froncie. Mamy też bajeczne torebki prosto z Włoch.

W to upalne nowojorskie przedpołudnie na froncie było więcej sprzedawczyń niż klientek. Ściślej mówiąc, był tylko jeden klient, który właśnie wybierał coś przy ladzie.

Lea narzuciła błękitny szal na ramiona Iris. Z czarnymi włosami, karminowymi ustami i białą szyją — stanowiła istny portret.

— Nie myliłam się, prawda?

— Tak, pasuje idealnie.

Przejrzała się raz jeszcze w sięgającym od podłogi po sufit lustrze. Dziwne, że strój potrafi aż tak odmienić człowieka. Przecież rysy

i figurę ma takie jak zawsze. Nie, twarz jakby się jej zmieniła: mocniejsza i bardziej lśniąca. Czy to skutkiem gniewu, decyzji, cierpień — a może wszystkiego razem — twarz ożyła.

Właśnie w tym momencie ujrzała w lustrze wzrok stojącego przy ladzie mężczyzny. Nawet nie drgnął, pewnie udając, że było to przypadkowe spojrzenie. Spuściła oczy i zaczęła przeczesywać palcami frędzle szala. Po chwili uniosła oczy; on wciąż się jej przypatrywał. Trwało to kilka sekund, ale uświadomiła sobie dwie rzeczy: po pierwsze — jego spojrzenie wyraża aprobatę. Po drugie — tak samo patrzył na nią Theo, gdy myślał, iż ona tego nie widzi.

— Wezmę ten szal — powiedziała do Lei.

— Przepraszam za tupet — wtrącił się mężczyzna — naprawdę jest w nim pani do twarzy.

— Miło słyszeć — odparła skromnie Iris i wróciła do przebieralni w błogim poczuciu pierwszego zwycięstwa.

Tamci wciąż rozmawiali na froncie sklepu.

— Nie uwierzy pani — mówił nieznajomy — jak bardzo amerykański Zachód idzie teraz w Europie. Dziś rano kupiłem niezłą akwarelkę. Indianka Navajo. — Głos miał niski i ciepły, a akcent trudno było ustalić. — Kupiłem to w prezencie dla kogoś bliskiego w Genewie.

— Powinien się pan zatrudniać za Świętego Mikołaja. — Ten z kolei głos należał do młodej i odrobinę impertynenckiej dziewczyny imieniem Lucy, chyba prowadzącej sklep wraz z Leą.

— Tak, panno Lucy. Strasznie się dziś u pań zrujnowałem. Ale wiedzą panie, jak to jest. Ciągle w drodze, ciągle pod cudzym dachem, a jak można się odwdzięczyć, jeśli nie takimi drobiazgami?

— Pan chyba wszędzie ma własny dach. Słyszałam, że kupuje pan coś nowego?

— Chałupa w górach. Szwajcarski azyl po zgiełku metropolii i tłumach Riwiery. Niech pani nie odkłada tej chusteczki. Biorę ją też.

Właśnie zbierał się do wyjścia, gdy wyszła z przebieralni.

— Tę białą torebkę sprowadzę panu na jutro — mówiła Lea — a resztę prześlemy panu do hotelu Waldorf Astoria. Zawsze miło nam gościć pana, panie Jordaine. Panią też, pani Stern.

Okazało się, że Jordaine i Iris idą w jednym kierunku. Na skrzyżowaniu, gdy czekali na zmianę świateł, stwierdziła, że nie ma jak robić zakupy u „Chez Lea”.

— Czuję, że mój komplement był trochę zbyt obcesowy. Strasznie mi przykro, bo to raczej nie w moim stylu.

— Przeciwnie. To bardzo miłe z pana strony.

Pomyślała, że wyszło to oficjalnie i niezgrabnie. Spojrzała w szybę mijanej wystawy i widząc własne odbicie u boku nieznanego mężczyzny, poczuła się jeszcze bardziej niezgrabnie.

Za to on był przystojny, dobrze zbudowany i nieźle ubrany. Widać było, że dba o gęste włosy i o białe zęby, a złotym spinkom przy mankietach też nie można było nic zarzucić. Rozbawiła ją myśl, że on w tej chwili też pewnie podobnie ją taksuje. Dobrze, że włożyła dziś na siebie swoją najlepszą letnią sukienką. Tę czarną z lnu, podkreślającą kragłość odkrytych ramion i szczupłość talii.

— Tropikalne macie lato w tym Nowym Jorku — powiedział.

— Całe szczęście, że tu nie mieszkam.

— A gdzie pani mieszka?

— W Westchester. — Poczuła, że jest jej głupio, a nie chcąc, by wypadło to niegrzecznie, dodała:

— Wpadłam po sprawunki. Zaparkowałam przy Trzeciej. Przecięli Park Avenue i ruszyli ku centrum. Skoro zakupy mieli

mu przysłać do Waldorf, pewnie tam mieszka.

— Chwilowo mieszkam w Astorii — powiedział, jakby to wyczuł.

— Chciałem coś kupić tu na stałe, bo często wpadam do Nowego Jorku, ale ceny domów macie tu zabójcze, więc zdecydowałem się na Waldorf. Była pani tam kiedyś?

— Nigdy. My... to znaczy, ja... nie znamy wielu ludzi w Nowym Jorku. Większość czasu spędzamy... spędzam w domu. Z czwórką dzieci to nie takie proste. — Urwała w pół zdania. Niezgrabnie, znów bardzo niezgrabnie, Iris.

— W Waldorf jest właściwie wszystko, czego człowiek zapagnie

— puścił jej słowa mimo uszu. — Może jednak osiadę tam na stałe, przynajmniej podczas pobytu w Nowym Jorku.

Iris czuła, że teraz jej kolej, by powiedzieć coś ciekawego i błyskotliwego, ale nie bardzo wiedziała co, skoro i tak za chwilę dotrą do tego Waldorf i każdy ruszy w swoją stronę. A szkoda. Raźnie im się szło przez Park Avenue. Gdyby jeszcze Theo mógł ich widzieć!

— Coś stałego? Jak w Szwajcarii?

— A skąd pani wie o tej Szwajcarii?

— Podśledzałam w przebieralni „Chez Lea”.

— Doprawdy? Całe szczęście, że nie wygadałem jakichś sekretów.

— Ja i tak bym ich nie zdradziła — odpowiedź nasunęła się jej automatycznie.

Czy naprawdę to powinna powiedzieć? Wypaliła nie pomyślawszy i pewnie zabrzmiało to kokieteryjnie, jeśli nie wręcz zachęcająco. Czowała, że się rumieni.

Zatrzymali się właśnie przed głównym wejściem do hotelu. Jordaine przez dłuższą chwilę przyglądał się jej.

— Wierzę, że pani by nie zdradziła — powiedział poważnie.

— A niby dlaczego?

— Umiem czytać w ludziach. Jest pani uczciwą osobą. — Zawiesił głos i dodał:

— Wiem, że się nie znamy, ale zaschło mi w gardle od tego upału. Da się pani zaprosić na drinka?

Poczuła przyspieszone bicie serca. Ciekawe, czy ma na myśli drinka w jego pokoju? Słyszała o kobietach, które przystawały na coś takiego nawet po kwadransie znajomości. Przystawały, a potem płaciły za to śmiercią z rąk psychopatów. Ale w tym przypadku sama myśl była śmiechu warta. Ten mężczyzna był dżentelmenem, uprzejmym europejskim dżentelmenem. Pomimo to wcale nie miała ochoty iść z nim na drinka do pokoju.

— Bar? Kawiarnia? Cukiernia? Decyzja należy do pani. Jeśli potrzebuje pani referencji — uśmiechnął się — proszę zadzwonić do „Chez Lea”. Znają mnie tam od lat.

— Nie potrzebuję żadnych referencji — znów się zarumieniła. — Możemy napić się mrożonej herbaty.

— Czuję, że to pani wybierze — powiedział, gdy szli do stolika.

— Najmocniejsze, co pijam, to wino do obiadu.

Serce wciąż było jej przyspieszonym rytmem. Wciąż nie mogło dojść do niej, że siedzi zamawiając mrożoną herbatę i ciastko, z obcym mężczyzną, wpatrującym się w jej twarz ponad białymi, pachnącymi kwiatami w ikebanie. Wokół przechodzili wciąż jacyś ludzie. Poczuła, że od zapachu i ruchu kręci się jej w głowie.

— Dziwne spotkanie, nie sądzi pani?

— Dziwne... i bardzo przyjemny ten lokal, chłodny, zaciszny...

— W sam raz, żeby załadować akumulator przed powrotem do domu i czwórki dzieci?

— Wszystkie są na wakacjach. To już nie dzieci. Jeden z moich synów będzie za kilka lat lekarzem.

— Nigdy bym nie uwierzył.

— Oczywiście, że tak — odparła, siląc się na wesołość. — Jestem starszą matroną.

— Wątpię, czy w tej sukience, którą pani kupiła przed godziną. Mam nadzieję, że będzie doceniona tam, gdzie się pani w niej wybiera.

— Skromne party w szpitalu mojego męża. Został ordynatorem.

Kreacja była faktycznie chyba zbyt wystrzałowa jak na skromne party. Wszyscy będą wodzić za nią wzrokiem. A niech sobie wodzą. O to właśnie chodzi. Tak jak ten — najpierw w sklepie, a teraz tu, przy stoliku.

— Chyba rzadko bywa pani podziwiana? — Tak pan sądzi? Czemu?

— Bo spuściła pani głowę. Nieśmiałość? Zakłopotanie?

— Czyżby? Całkiem nieświadomie. — I jakby chcąc mu udowodnić, że jest inaczej, spojrzała mu prosto w oczy.

Zrewanżował się jej tym samym, a że głupio było teraz się wycofać, przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Nawet nie wiem, jak pani ma na imię.

— Iris.

— Pasuje do pani. Wytworny i dość oficjalny kwiat.

— Czyżbym była tak oficjalna?

— Oczywiście, że nie. Pani jest po prostu nieśmiała. A tak a propos: mam na imię Victor.

Teraz trzeba było zdobyć się na coś lepszego niż na „bardzo przyjemne imię”. Tylko jak, skoro mężczyźni, z którymi rozmawiała w cztery oczy dłużej niż przez dwie minuty, byli sąsiadami i z reguły nadmieniali, że ta nowa wychowawczyni z piątej A jest do niczego lub że z tym podatkiem od nieruchomości rząd już trochę przesadził.

— Przepraszam, że tak mówię, ale w moich ustach to komplement — powiedział. — Nieśmiałość przystoi kobiecie.

— Byle nie do przesady. — Nareszcie znalazła coś sensownego.

— Pani to na pewno nie dotyczy. Po prostu potrzebuje pani odrobiny czasu dla siebie.

— Zgadł pan.

— I nie sędzę, że czuje się pani w swoim żywiole na koktailach, docinając przyjaciółkom i patrząc, jak zielenieją ze złości.

— Powiedziałam panu, że nie lubię koktaili, a zwłaszcza miejsc, gdzie je serwują.

— Rozumiem — skinął głową. — Kończy się na holowaniu męża do domu. Znam te rzeczy.

Zacytował kilka anegdot z własnych obserwacji — starych i zgranych — ale opowiadał je z sercem i na luzie, od którego też się rozluźniła. Skusiła się na jeszcze jedno ciastko, pochwaliwszy poprzednie.

— Widzi pani? — uśmiechnął się. — A tak strasznie nie chciała pani dać się zaprosić tutaj.

Przyjrzała się swym smukłym, opalonym dłoniom i połyskującym na palcach pierścionkom. Dziwne, ale na ich widok poczuła znów coś na kształt małego zwycięstwa jak wtedy, gdy obdarzył ją komplementem w sklepie Lei.

— Pewnie myśli pan — roześmiała się — że pierwszy raz jestem w kawiarni.

— Szczerze mówiąc, tak — odparł po dłuższym milczeniu. — Zazdrosny mąż?

— Znów zgadł pan! — Ach, gdyby tak jeszcze Theo mógł to słyszeć...

— Przecież nic złego nie robimy. Samotny mężczyzna gasi pragnienie w towarzystwie czarującej kobiety. Może pani śmiało opowiedzieć o tym mężowi.

Niezupełnie tak. Gdyby nie było w tym nic złego, nie targałyby nią sprzeczne uczucia. Ten człowiek czytający z twarzy jak Cyganka z ręki pewnie i tego zdążył się już domyśleć.

— W porządku, może pani nie opowiadać.

— A skąd pan wie, że nie chcę?

— Z pani oczu. Może i słusznie. Po co przysparzać sobie zbędnych małżeńskich kłopotów?

— Jest pan żonaty, panie...?

— Victor. Rozwiodłem się sześć lat temu. Ale jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Zapraszamy się na kolacje, gdy nasze drogi przetną się w tym samym mieście.

— Słyszałam o takich przypadkach, ale trudno mi to sobie wyobrazić. Gdybym ja... gdyby mój mąż rozwiodł się ze mną, znenawidziłabym go. — Poczuła żwir w gardle. — Musiałabym go znenawidzieć.

— Musiałabyś? — Jordaine uśmiechnął się. — Wybacz, ale to, co mówisz, jest strasznie staroświeckie. Dziś ludzie są bardziej uczciwi. Po co czekać, aż przyjdzie nienawiść po latach skrywanych cierpień? Czy nie lepiej rozstać się i zapamiętać dobre chwile?

Iris poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Zaciśnęła powieki, ale zdążył to spostrzec.

— Przepraszam. Wiem, że nie powinienem tego mówić. Wybacz.

— To ja przepraszam — otarła oczy, czując upokorzenie i śmieszność tego wszystkiego. — Głupstwa mówię.

— Nic w tym głupiego, skoro masz problemy.

— Nie wiem, co mi się stało — powiedziała i nie czekając, aż on coś odpowie, mówiła dalej: — Pokłóciliśmy się. Rzadko nam się to zdarza, więc jestem nieco rozkojarzona. To wszystko.

— Naprawdę nie ma się czego wstydzić — dotknął jej dłoni.

— To miłe z twojej strony — odparła szczerze.

— Znam życie i widziałem już gorsze sprawy.

Niezwykły człowiek — pomyślała. — Taki taktowny, a przy tym wyrozumiały.

— Może porozmawiamy o czymś weselszym, Iris. Powiedz mi coś o swoich dzieciach, oczywiście, jeśli chcesz.

Tak będzie bezpieczniej; może z wyjątkiem Steve'a. O Stevie lepiej nie wspominać, bo znów się rozplacę. Prześlizgnęła się po dwóch nastarszych i skoncentrowała się na Laurze — niedługo, żeby nie nudzić — potem na Filipie i jego pianistycznych uzdolnieniach.

— Początkowo sama go uczyłam, ale szybko mnie przerósł, więc posłaliśmy go do szkoły muzycznej.

— Wiesz co, Iris? — w oczach Jordaine'a pojawił się błysk. — Czytałem dziś rano o recitalu w Carnegie Hall czy w Lincoln Center. Ktoś z Południowej Ameryki. Laureat ostatniego konkursu Cliburna w Teksasie. Wybrałabyś się, gdybym zdobył bilety?

Teraz trzeba było zaryzykować, a Iris nigdy nie była w tym dobra. Przypomniała sobie, że jeszcze w ogólniaku, gdy podrywali ją chłopcy i trzeba było zgodzić się lub odmówić, zawsze wykręcała się pod byle pretekstem. Ale czy nie przysięgła sobie zeszłej nocy: może Theo, może i ona.

— Chętnie się wybiorę.

* **

W nocy budziła się na przemian podniecona i pełna wyrzutów sumienia. Przez całe przedpołudnie na zakupach i w domu miały ją sprzeczne uczucia, ale w końcu górę wzięło to pierwsze. Wpadła w oko aż tak wpadającemu w oko mężczyźnie i czuła się znów jak młoda dziewczyna. Była zbyt podekscytowana, by zjeść lunch. O trzeciej zrzuciła domową sukienkę — kreton w kratkę z marszczonym kołnierzykiem — spojrzała w lustro i stwierdziła, że lepiej będzie jej w głębszym dekolcie. Lepiej i do tego romantyczniej. Włożyła najlepsze złote bransolety, pstryknęła perfumami, zeszła do garażu i zapaliła silnik. Minęła czwarta.

Dokładnie w tym samym czasie Victor Jordaine wszedł do salonu „Chez Lea”.

— Ach, to pan — powitała go Lea. — Proszę, oto torebka. Przesłali ją przed południem. Proszę tylko spojrzeć! Co za wyrób! Istne чудо!

— Rzucił okiem na saszetkę z krokodylej skóry, gładką jak jedwab i obramowaną pozłacanym filigranem.

— Ładna, ale zmienilem zamiar. Wezmę tę czarną. Proszę mi ją opakować i to tak, jak tylko pani potrafi.

— Oczywiście. Dołączę bilecik.

— Nie trzeba. Chcę wręczyć ją osobiście.

Widać było, że się śpieszy. Gdy pakowano torebkę, chodził nerwowo po sklepie, spoglądając w szyby i na drobiazgi w gablotach. A jednak gdy Lea wręczała mu paczuszkę, jakby zwlekał.

— Czy będzie pasowała do czarnej koronkowej sukni?

— I to jak! Takie cacko pasuje do każdego koloru.

— Założę się, że nie zgadnie pani, komu ją dam? — uśmiechnął się łobuzersko.

— Tej primabalerinie, która nosi czwórkę?

— Litości! Ona lubuje się w błyskotkach. Czegoś takiego nawet by nie doceniła.

— Poddaję się. Więc komu?

— A może tej damie, która kupiła tu wczoraj wieczorową sukienkę z czarnej koronki.

— Chyba nie mówi pan o pani Stern? — Lea szeroko otworzyła oczy.

— Właśnie o niej.

— Przecież nie zna jej pan?

— Nie znałem, ale już znam.

— Panie Jordaine! Chyba nie chce pan powiedzieć, że ją pan poderwał?

— Trywialnie to pani określiła. Po prostu wyszliśmy razem, nawiązaliśmy konwersację, a dziś wieczór zabieram ją na koncert fortepianowy.

— W głowie się nie mieści. — Lea zachmurzyła się i przez chwilę obracała w palcach ołówek.

— Tak to panią zaskoczyło? A cóż w tym złego?

— Przecież ona ma męża. I czwórkę dzieci.

— I cóż z tego? Od kiedy należy pani do Cór Amerykańskiej Rewolucji?

— Od nigdy. Ale ją znam od dawna i trochę o niej wiem. Chyba zauważył pan — Lea mówiła szybko i poważnym tonem — że jest

bezradna jak zagubione dziecko. Zawsze żyła pod kloszem. Właśnie dlatego w głowie mi się to nie mieści.

— W tym cały urok. Te czarne, niewinne oczy tak mnie wzięły. A skoro, jak pani mówi, jest do tego bezradna, to prawie tak jak posiąść dziewicę.

— Panie Jordaine — Lea zjeżyła się. — Mógłby pan mieć choć odrobinę serca. Pewnie posprzeczała się z mężem...

— Tym razem ma pani rację. Tylko że ja nie nazwałbym tego sprzeczką.

— Nic nie rozumiem. To wszystko zupełnie do niej nie pasuje.

— Często tak się zdarza.

— Skoro aż tak często, to co pana tak wzięło, jeśli można spytać?

— Żądza przygód. No i odrobiny pikanterii.

Głos Lei przeszedł w szept, ale nie był to szept miły dla ucha:

— Więc powiem panu, co o tym myślę, choćbym miała stracić klienta, i to dobrego, panie Jordaine. Co pan, do licha, kombinuje?

— Przecież jej nie zmusiłem — wybuchnął śmiechem. — Mówi pani, jakbym zgwałcił piętnastoletnią dziewczynę. No, na mnie już czas. Może kiedyś znów panią odwiedzę, a może nie.

— Oby to drugie — rzuciła za nim.

— Przy Chopinie zawsze mam ochotę tańczyć walca — powiedziała Iris, gdy wraz z tłumem opuszczali salę koncertową. Już na chodniku wykreśliła mały piruet.

Jordaine ujął ją pod ramię i przeprowadził przez jezdnię.

— A więc podobało ci się? Bardzo się cieszę.

— Podobało? To było wspaniałe. Ta muzyka, taka radosna, a równocześnie smutna. Pomyśl, co musiał czuć u boku George Sand na Majorce, gdy umierał toczony chorobą, a tak młody. Słodycz i ból. Wiem, że to brzmi staroświecko.

— Dla mnie nie. Nie mówiono ci, że masz piękny tembr głosu?

— Mówiono.

Przecież sam Theo zawsze powtarzał, że zakochał się najpierw w jej głosie, a dopiero potem w niej samej. Ciekawe, gdzie jest teraz? Pewnie znów poszedł „popracować” do swojego gabinetu, jak tamtej nocy. Idąc u boku tego mężczyzny pod letnim, ciemniejszym niebem,

z uszami wciąż wypełnionymi muzyką, poczuła się nie tylko odmłodzona, ale i rozgrzeszona.

— Należysz do ery walców — powiedział Victor. — Masz w sobie wdzięk, który większość dzisiejszych kobiet chyba już dawno zatraciła. Wciąż kojarzysz mi się z jakimś mniejszym i spokojniejszym światem niż ten tutaj. Europa, uniwersyteckie miasto, a ty studiujesz fortepian lub pedagogikę.

— Byłam nauczycielką, więc dobrze trafiłeś.

— To nie traf, lecz intuicja. Wiem już o tobie o wiele więcej, niż sądzisz. Więc mówisz, że byłaś nauczycielką?

— Tak i uwielbiałam to. Jedyne, o czym naprawdę marzę, to zrobić kiedyś dyplom, może i doktorat, i wrócić do szkoły.

— Czemu tego nie robisz?

Iris zawahała się i odpowiedziała: — To nie jest takie proste.

— Pewnie twój mąż nie jest za tym? — spytał i gdy ani nie zaprzeczyła, ani nie przytaknęła, dodał:

— Na szczęście, coraz mniej już takich. Mamy rok 1968.

— A ty uważasz, że mam rację? — spojrzała mu w twarz.

— Oczywiście. Twój rozum należy do ciebie i masz prawo posługiwać się nim zgodnie z własną wolą.

A więc brał jej stronę. Nawet matka, która też zawsze brała jej stronę, tonowała jej ambicje, przypominając o obowiązkach wobec męża, aż tak je stonowała, że Iris niemal doszczętnie wywietrzały z głowy. Teraz poczuła wdzięczność do nieznanego człowieka za te kilka słów.

Doszli do parkingu i stali w blasku jarzeniówek czekając, aż przyprowadzą jej wóz. Jordaine wręczył jej paczuszkę.

— Chcę, żebyś to przyjęła — spojrzał na nią poważnie.

Już wcześniej zauważyła, że niesie coś małego i odświętnie opakowanego, ale nie przeszło jej przez myśl, że to upominek dla niej. Nagle przypomniała sobie papier firmowy „Chez Lea” i poczuła się nieswojo.

— Naprawdę nie powinienes... — zaprotestowała.

— Dlaczego? Cała przyjemność po mojej stronie, więc nie bądź okrutna — nie dał za wygraną.

Próbowała zebrać myśli. Nie mam doświadczenia. Przecież w moim wieku powinnam wiedzieć, o co mu chodzi. Zakochał się we mnie? Niewykluczone. Ale z drugiej strony... nie, przecież to czysty nonsens.

Trzymał paczuszkę w wyciągniętej ręce, więc chcąc nie chcąc musiała znów spojrzeć mu w twarz. Rysy stanowcze, usta namiętne, czoło zmarszczone nad spiętymi brwiami. Właściwie nie był przystojny, ale robił wrażenie. Mąż gładkolicy przyciąga spódnice — przypomniało się jej. Zagryzła wargi niemal do krwi.

— Co się z tobą dzieje, Iris? Położę to na tylnym siedzeniu i już mnie nie ma. Kiedy się zobaczymy? Mówiłaś, że wybierasz się do Nowego Jorku do dentysty?

— Pojutrze. — Pewnie i to się jej wyrwało.

— A więc zjemy razem kolację. Właściwie nie mieliśmy nawet czasu porozmawiać. Przyjeżdż pociągiem. To bezpieczniej, niż wracać nocą samochodem.

Gdy już usiadła za kierownicą, wsunął głowę i pocałował ją w usta.

— Pachniesz różami — powiedział.

— Nie, to jaśmin.

— W każdym razie to bardzo słodkie. Tak jak ty. Pojutrze czekam na ciebie przy recepcji w Waldorf. Bądź o szóstej, żebyś znów nie musiała śpieszyć się do domu po tej kolacji.

Wyjechała z parkingu, przejechała tunelem zielonych drzew, cały czas analizując sobie to wszystko. Nie umiała nazwać tego, co zaszło między nią i Victorem. Wiedziała tylko, że nie nazwa się liczy, lecz radość płynąca z tego co nowe, mroczne i upojnie tajemnicze.

W domu było cicho. Jeszcze nie weszła na piętro, gdy z drzwi pokoju Jimmy'ego wyłonił się Theo w ubraniu i w krawacie.

— Oka nie zmrużyłem. Co się z tobą działo?

— Teraz nie będziemy o tym rozmawiać — uniosła zuchwale podbródek.

— Iris! To trwa już tydzień i mam serdecznie dość. Więc gdzie, u diabła, byłaś?

— A gdzie ty byłeś? Skoro już się zgadało?

— Jak to gdzie? W domu. Wróciłem z pracy i zjadłem sam kolację. Pearl powiedziała, że wyjechałaś o czwartej. Wczoraj też.

— I co z tego? Przecież sam kazałeś mi kupić sobie sukienkę. Nie pamiętasz?

— Spojrzał na paczuszkę w jej dłoni.

— Nie mów, że kupowałaś to do północy.

— Byłam w kinie.

— Nieźle wystroiłaś się jak na kino. Co grali?

— Przestań mnie dręczyć, Theo. Nie jestem w nastroju.

— Iris—przełknął ślinę—nie wrócę do naszego pokoju, dopóki nie przestaniesz grać tej komedii. Co się z tobą dzieje? Nigdy nie byłaś taka.

— Każdy musi kiedyś zacząć.

Posłała mu triumfujące spojrzenie, zostawiła go oniemiałego, weszła do sypialni i przekreśliła klucz w drzwiach.

Ładnie by wyglądał, gdyby wiedział, że też mogę robić to, co on, gdy tylko przyjdzie mi ochota — pomyślała. — Dowie się, dowie się i o tym. A wtedy rachunki będą wyrównane.

W umówionym dniu Iris postanowiła wystąpić w czerwieni. W najbardziej powabnej ze swoich sukienek, w której — jak mawiał Theo — wygląda niczym wiotki, szkarłatny wykrzyknik. Kupiła ją za jego radą, gdy dawno temu wypatrzyli ją wspólnie na wystawie sklepu. Czyż to nie ironia, że jego gust miał uczynić ją boską w oczach innego mężczyzny? Zabolą ją ta refleksja i pomyślała, że zadawanie sobie bólu tylko po to, by ukłuć Theo, ma w sobie coś z masochizmu. Mimo to samo ubieranie sukni, a potem przypinanie sobie przed lustrem kolczyków z perełkami i brylancikami niosło słodycz. Nie mniejszą niż świergot ptaków za oknem. Powietrze było rześkie, a dzień szedł ku wieczorowi.

Prezent od Jordaine'a wciąż leżał nie rozpakowany. Z domu wyniosła zasady dotyczące wręczania i przyjmowania prezentów, miała więc pewne wątpliwości. To nie pudełko czekoladek, które zawsze wypada przyjąć. Z drugiej strony Victor nie należał do ubogich. Tak, ale nie było powodu, dla którego w ogóle miał jej coś dawać. A skoro nie było, to podarunek należałoby zwrócić.

— Zostawię samochód przed stacją i pojedę do Nowego Jorku pociągiem — poinformowała Pearl.

— Ale na kolację pani wróci? — Zachmurzone oblicze Pearl zdradzało jednoznaczną dezaprobatę.

— Nie czekaj z kolacją. Wrócę dziś późno.

To było dla Thea. Niech sobie jeszcze pomedytuje kilka dni. W pośpiechu i z natłoku myśli zapomniła zabrać krepujący upominek. Wezmę następnym razem — rozgrzeszyła się w optymistycznym przekonaniu, że zawsze będzie jakiś następny raz.

Krew pulsowała jej w skroniach, ale w sercu kryła się odrobina niepokoju, którą musiała stłumić.

Iris poczuła, że wino uderzyło jej do głowy, a na policzkach ma wypieki.

— Powinnam się przypudrować — usprawiedliwiła się.

— Po co? Do twarzy ci z tym. Dobrze się bawisz?

— Czemu pytasz? W głowie mi się kręci.

— Założę się, że pierwszy raz w życiu. — Chyba się upiłam.

Butelka szampana spoczywająca w lodowym gniazdku była już prawie wysączona.

— Wcale się nie upiłam. Po prostu krew żywiej płynie ci w żyłach.

Miał rację. Wokoło, w zmysłowym, obitym pluszem, tęczowym od kwiatów lokalu, siedziały pary równie tęczne i zmysłowe. Ciekawa była, ile z nich spotyka się tu ukradkiem, tak jak ona z Jordainem. Jeśli nawet, to chyba niezbyt się z tym kryły, bo powietrze aż drżało od gwaru rozmów i wybuchów śmiechu.

Victor przyglądał się jej z mieszaniną zainteresowania i rozbawienia.

— Powiedz coś jeszcze. Lubię, gdy mówisz.

— Co mam ci powiedzieć? Coś konkretnego?

— Na przykład o twojej rodzinie. Nic nie jest tak fascynujące jak ludzie.

Opowiedziała mu już, a raczej odpowiedziała na jego pytania o przodków.

— Byli Żydami? — spytał.

— Tak, ale twój chyba nie?

— Moi pochodzili ze wszystkich części Europy. Trochę krwi włoskiej, trochę niemieckiej, a i grecka by się znalazła. Powiedz mi coś więcej o twoim ojcu.

Wyczuła, że pyta ją częściowo z czystej, badawczej ciekawości, a częściowo, by ułatwić jej konwersację. Zauważyła, iż wyczuł, że nie chce wspominać o mężu.

— O ojcu? Bardzo go kochałam. Był zacnym i mądrym człowiekiem. Nie miał studiów. Był samoukiem. Do wszystkiego doszedł pracą własnych rąk. Był budowniczym. Należały do niego niektóre z najlepszych międzywojennych kamienic w tym mieście... zanim nie stracił ich podczas Wielkiego Kryzysu — dokończyła ze smutkiem.

— Mówisz, że budowniczym. Ciekawa profesja.

— Też tak sędzę. Można ujrzeć i dotknąć to, co się zrobiło. A czym ty się zajmujesz, Victor?

— Niczym tak namacalnym. Inwestycjami. Głównie międzynarodowymi. Dlatego wciąż jestem w ruchu. Jeszcze trochę kawy?

— Nie, dziękuję.

— A ja mam ochotę na łyk brandy. Mam w pokoju coś dużej klasy. Sama się przekonasz, gdy skosztujesz.

— W pokoju? — zachnęła się. — Przecież muszę zdążyć na pociąg.

— Dopiero ósma. Ludzie właśnie zasiadają do kolacji. Mamy mnóstwo czasu. A poza tym chcę, żebyś zobaczyła miasto z góry. Bajeczny widok.

Posłusznie ruszyła za nim. Sprzeczne myśli zapalały się i gasły w jej mózgu. Idę, ponieważ jestem z natury posłuszna. Nie. Idę, ponieważ byłoby nietaktowne zjeść taką kolację i odejść bez słowa. Też nie tak. Idę, ponieważ będzie wściekły, jeśli nie pójdę. Ale cóż mnie obchodzi jego wściekłość? A więc idę, ponieważ wsiadłam na ten statek i trzeba wytrwać na pokładzie aż do końca.

W windzie, przypominającej złotą klatkę lub pudełko z pierścionkiem, drżała. Stali tak blisko, że czuła zapach jego wody koloriskiej — pikantny, cierpki, mający w sobie coś z afrodyzjaku. A może to wypity szampan i ciepło w windzie sprawiły, że ledwo trzymała się na nogach.

Wciąż drżała, gdy weszli do jego apartamentu. Niepewnym, rozkołysanym wzrokiem objęła obszerny, luksusowy pokój w biało-szmaragdowej tonacji. Dywan też był śnieżnobiały, podobnie jak kwiaty na intarsjowanych stolikach. Podświetloną komodę z jakiegoś rzadkiego drewna, ciągnącą się przez całą długość przeciwległej ściany, wypełniały mieniające się przedmioty. Do tego wielkie, jaskrawe obrazy, wśród których rozpoznała Matisse'a.

— Podoba ci się? — spytał Jordaine śledzący jej reakcję. Jeszcze nigdy nie zetknęła się z takim przepychem. Jak na jej gust

było to trochę zbyt krzykliwe, ale robiło wrażenie i zdołała tylko wykrztusić:

— W głowie się nie mieści.

— Wszystko sprowadziłem z Europy. Chodź. Zobacz widok. W dole rozpościerało się miasto i jego rzeki, a wszystko to biegło

przed siebie niczym pasy na czarnej tkaninie. Przez chwilę stała onieśmielona, jak gdyby nigdy nie patrzyła z takiej wysokości, choć przecież nieraz się jej to zdarzało. Na plecach czuła jego oddech, a jego

ciało jakby promieniowało ciepłem. Jeśli teraz odwróci się, zetkną się pierś w pierś i nawet nie będzie miała gdzie się cofnąć, więc może lepiej stać, patrzeć na zmierzającą na północ Park Avenue i czekać na to, co nastąpi.

Położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją ku sobie tak, że ich uda przylgnęły do siebie.

— Czego się boisz?

— Niczego. Wcale się nie boję.

— Przecież widzę. Boisz się tego, co zakazane.

Zbliżył usta — delikatne, uparte usta, gorące i soczyste jak zapach wina. Dłońmi, też upartymi, gładził ją w górę i w dół... w górę i w dół. Wszystko to było płynne i nierzeczywiste.

— Śmiało, Iris... śmiało — mówił jak hipnotyzer. Opuściła głowę na jego ramię. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Trwało to chyba wieki, aż nagle odsunął się i powiedział:

— Idź do sypialni. Poczekam. Tylko pośpiesz się. Otworzył drzwi i znów ruszyła posłusznie. W sypialni, równie

przestronnej jak pokój, stało szerokie łóżko pokryte jasnym, kwiecistym jedwabiem. Naprzeciwko wisiało wysokie rokokowe lustro w pozłacanej ramie. W rogu paliła się lampka rzucająca różowy krąg światła na ścianę. Było to jedyne światło oprócz miejskiej łuny sączącej się zza okna przez szparę w zasłonach.

Stała nieruchomo i wpatrywała się w łóżko. Potem jej wzrok powędrował na stojące obok krzesło i ułożony na nim peniuar z różowego misternie udrapowanego szyfonu. Domyśliła się, że ma się rozebrać i mieć go na sobie, dopóki on nie przyjdzie i sam go z niej nie zdejmie.

Pochyliła się, by zdjąć pantofle, ale widok peniuaru powstrzymał jej rękę. Spojrzała znów na łóżko. Jego szerokie, niskie wezglowie przybrało kształt wykrzywionego w grymasie olbrzymia i złudzenie to napępiało ją lękiem. Czy już całkiem oszalała? Co właściwie robi w tym pokoju, przy tym łóżku?

Poczuła, jakby wstrzyknięto jej impregnujący zastrzyk, że ciepło i słodycz umykają z jej ciała. Zimna i zeszywniała trwała w bezruchu wpatrując się przed siebie.

Prawdziwa Iris nigdy nie przyszlaby w takie miejsce. Była jak zamrożona, niezdolna ruszyć się, pomyśleć, czując równocześnie, że musi się stąd wydostać, choć nie wie jak. Wargi miała suche, za to dłonie wilgotne. Było to straszne i pożałowania godne.

Usłyszała pukanie w drzwi. Nie zareagowała i pukanie powtórzyło się. Otworzyły się drzwi i stanął w nich nagi Jordaine. Jego widok

napełnił ją wstrętem. Czy to możliwe, że jeszcze przed chwilą, w sąsiednim pokoju, pożądała tego mężczyzny? Pewnie tak było.

— Co się z tobą dzieje? — spytał szorstko.

— Widzisz... ja nie potrafię... — drżały jej wargi. — Wybacz... strasznie mi przykro.

— Czego nie potrafisz? A co ty, do cholery, potrafisz?

— Nie wiem. — Poczowała, że zaraz rozplacze się ze wstydu. — Po prostu pomyliłam się. Myślałam, że...

— Pomyliłaś się? To ciekawe. A można wiedzieć, co myślałaś? ... — Nie złość się, proszę!

, . — Pytałem, co myślałaś i chyba jasno się wyraziłem.

— Myślałam, że... że chyba sama siebie nie rozumiem.

— Nie o tym myślałaś! — Wykrzywił usta i wymówił to przez nos, jakby się wysmarkał. — Takiej wariatki w życiu nie widziałem. W którym ty wieku żyjesz? Widywałem już różne, ale nie takie. Wiesz, gdzie widywałem takie? W muzeach. Tam właśnie się nadajesz.

Patrzyła nań usłużnie i lękliwie. Był wściekły, a do tego blokował drzwi i była w pułapce. Odskokczyła, gdy zrobił krok do przodu.

— Spadaj, idiotko! — krzyknął. — Myślisz, że cię zgwałcę albo ci przywalę? Spokojnie. Nie potrzebuję aż takiej reklamy. Powiedziałem: spadaj, i to szybko.

Na odchodnym pchnął ją tak, że przeleciała przez drzwi i uderzyła policzkiem o ścianę po przeciwległej stronie korytarza. Usłyszała tylko, jak zatrzaskuje drzwi swojego apartamentu.

Wypadła z windy i pomknęła, na ile pozwalały jej na to

dziesięciocentymetrowe obcasy. Park Avenue pod złocistym, kanciastym szczytem budynku PanAmu była rojna jak za dnia, pełna przechodniów i prężnych biznesmenów próbujących ubić interes nie wychodząc z taksówki. Pomyślała, że tylko ona i pijak, który pomachał jej ręką przez jezdnię, są tu nie na miejscu.

Dziwne, ale choć wciąż była wściekła na Thea, śpieszyło się jej do domu. Może dlatego, że gdy trzeba było zrobić ostateczny krok, to on spowodował, że pożądanym jeszcze przed chwilą mężczyzną był nie do przyjęcia. Może dlatego, że od kiedy poznali się, nikt oprócz Thea nie towarzyszył jej w erotycznych snach. Czystość, naiwność? Nieważne. Ważne, że jest skazana na niego. Teraz potrzebowała tylko jego.

Serce łomotało jej tak, że chyba było słychać. Ciekawe, jak by biło, gdyby doprowadzili do końca to, co zaczęło się w wyłożonym pluszem hotelowym apartamencie? Co byłoby potem? Ciekawe, jak spójrzałyby w oczy synom i córce?

Upokorzenie kłuło. Płynęło z sumienia. Rodzice; co by powiedzieli jej rodzice? Nie... lepiej nie myśleć.

Teraz kłuło, a wtedy? Łatwo, za łatwo jej to przyszło, choć wcale tego nie chciała. Nie chciała? Czy nie wymyśliła sobie tej zemsty, o której dowie się Theo?

Nie, teraz nie ośmieliłaby się na to, co było możliwe jeszcze przed kilkoma godzinami. Nigdy, naprawdę nigdy mu o tym nie powie. Był mężczyzną, a mężczyzna nigdy czegoś takiego nie wybaczy. Było, minęło. Przyjedzie do domu, usiądą, porozmawiają i wyjaśni mu spokojnie, skąd wzięła się ta jej zimna złość. Wszystko się ułoży, jeśli nie zaraz, to z czasem. Powie mu, że zapomni o wszystkim, jeśli od jutra będzie dobrym mężem. Tak właśnie mu powie.

Konduktor zapowiadał już jej stację. Pociąg przyhamował ze świstem; wysiadła i poczuła znajomy zapach tarcicy nagrzonej przez cały upalny dzień. Kilkunastu pasażerów wysiadło wraz z nią, pomknęło do kilkunastu wozów na pustym parkingu i ruszyło każdy w swoją stronę. Samochód Iris stał na samym skraju w świetle jarzeniówki. Spostrzegła, że Theo stoi przy nim, przyśpieszyła i już miała podziękować mu za to, że wyszedł po nią, gdy zastopował ją widok jego kamiennej twarzy.

— Gdzie byłaś, Iris? Martwiłem się o ciebie. Chyba mam prawo wiedzieć.

To „prawo” niemile zabrzmiało jej w uszach. Nie ma żadnego prawa pytać, gdzie byłam.

— Możemy dąsać się, ale wciąż jestem twoim mężem. Trzeci wieczór z rzędu? Skąd mam wiedzieć, co się z tobą dzieje? I co się w ogóle dzieje? Wsiadaj do wozu i porozmawiamy.

— Wsiadę, ale dlatego, że nie będziemy iść pieszo taki kawał drogi. Tylko dlatego, a nie dlatego, że mi każesz. A co ty tutaj robisz?

— Przyjechałem taksówką, by poczekać na ostatni pociąg. Potem zamierzałem obejść wszystkich znajomych. Zrezygnowałem nawet z lotu do Chicago. O to ci chodziło?

Nawet w świetle jarzeniówki twarz Thea nie przypominała poranka.

— A teraz powiedz, gdzie się włóczysz w kolczykach, wieczorowej sukni, sama o tej porze nocy?

Gdzie? Oto jest pytanie. Przecież nie „włóczyłaby się”, gdyby to on nie zaczął i nie doprowadził jej do tego.

Czekał na odpowiedź. Zaszczuta, nie była w stanie wymyśleć żadnej.

— Umówiłaś się z jakimś mężczyzną?

Zachichotała. Dobrze trafił. Tak właśnie wyobrażała sobie swój triumf, ale teraz nie czuła zwycięstwa, a tylko koniec jakiejś nędznej farsy.

— Co cię tak śmieszy?

— To, że wreszcie widzisz, co czuje się w takich chwilach.

— Iris, na Boga! Czy znów musimy do tego wracać? Ile to już lat? Siedem, osiem?

— Lat? A może siedem dni?

Spojrzała mu w oczy, wytrzymała i doczekała się, aż on spuścił wzrok.

— To ty byłaś wtedy pod szpitalem — szepnęła.

— Ja. Przyjechałam — głos jej się łamał — żeby powiedzieć ci, że żałuję moich słów i że naprawdę cię kocham. A potem widziałam, jak z nią wychodzisz, jak całujecie się, jak...

— Iris! — jęknął Theo. Próbował dotknąć jej ręki, ale odsunęła ją.

— Czy mam ci opowiedzieć, jak to było? — spytał.

— Nie musisz. Nie interesują mnie szczegóły twoich romansów.

— Nie interesują cię? A więc słuchaj. To nie był żaden romans. Od kiedy pobraliśmy się, nigdy nie miałem żadnego romansu. Robiłem głupstwa, a to było największe. Weszła i...

— Nie chcę! Nie chcę tego słyszeć! — krzyknęła, zatykając sobie dłońmi uszy.
— Myślisz, że nie wiem? Żona w domu, a dobry mąż idzie popracować. Pewnie nieźle ponabijaliście się z tej głupiej żony! Jakbym was słyszała: „Wiesz, dobrą mam żonę, ale ty jesteś inna, a ja potrzebuję czegoś więcej...”

— Przestań pleść bzdury! Nigdy nie mówiłem czegoś takiego, nawet przez usta by mi nie przeszło. Potem nie widziałem jej na oczy i wcale tego nie pragnę. Dla mnie jest nikim. Rozumiesz — nikim!

— Zaraz powiesz mi, że wszystko mi się przywidziało.

— Nie. Widziałaś nas, ale to o niczym nie świadczy. Ta kobieta... dziewczyna...

— Ta dziewczyna pewnie zatrudniła się u was jako elektryk do zapalania i wyłączania świateł?

— I tak mi nie uwierzysz, nawet gdybym mówił prawdę, ale słuchaj: sam nie wiem, jak to się stało. Czasami ludzie tracą rozum na pięć, dziesięć minut, a potem mają ochotę plunąć sobie w twarz.

Wyobraziła sobie te pięć, dziesięć upojnych minut, znając z własnych doświadczeń, jak fachowo i wytrwale się do niej dobierał. Teraz tamta — kobieta, której nie rozpoznałaby nawet na ulicy, w sklepie

— będzie dzielić z Iris tajniki jego kunsztu. Kunsztu żonatego mężczyzny! Nie, tego nie wytrzyma. Nie-wy-trzy-ma!

— To obrzydliwe! — krzyknęła. — Nie usiadłabym przy tobie w samochodzie. Czuć od ciebie podłóścią!

Otworzyła drzwi wozu. Theo wsiadł, chwycił ją za ramię, ale odskoczyła i zawinawszy spódnicę zatrzasnęła drzwiczki.

Krzyk — krzyk, jakiego nie słyszała w życiu — przeciął nocną ciszę. Odwróciła się i zobaczyła, jak zwija się na przednim siedzeniu, kurczowo zaciskając dłonie.

W jednej chwili wszystko stało się jasne. Chciał ją wciągnąć, a ona bezwiednie przytrzasnęła mu dłoń.

Obiegła samochód i wskoczyła za kierownicę.

— Co... co się stało? — Z trudem wymówiła słowa.

— Palce.; — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Poczuła, że jej zęby aż dzwonią. Prowadziła jak szalona, byle tylko nie przejechać pasa i kątem oka patrzyła, co się z nim dzieje. Ułożył głowę na jej kolanach, by nie wymiotować i nie stracić przytomności. Wiedziała, jak potworny jest ból paznokci. Czuła, że zagryza je, by nie wrzeszczeć. Pomyślała, że straszny z niego *macho*, ale tym razem z piekącym bólem, nie ze złością.

Wszedł, zataczając się, na izbę przyjęć.

— O, pan doktor — powiedziała zaskoczona pielęgniarka. — Pan Stern? — krzyknęła, wytrzeszczając oczy.

Zabrali go na noszach gdzieś w głąb szpitala, gdzie Iris nie miała już dostępu. Usiadła jak sparaliżowana na krześle w korytarzu. Niczym przez mgłę dochodziły do niej bieganina i krzątania, telefony

— a wszystko to dotyczyło doktora Sterna. Ona mogła tylko siedzieć i czekać. Czuła, że nie jest nawet w stanie skupić myśli. Korytarzem przechodzili pacjenci: pijak, ktoś uządlony przez pszczołę, ktoś z gorączkującym dzieckiem. Jedni za drugimi. Nie myślała o nich. Nie była nawet w stanie myśleć o Theu. Żeby można się było gdzieś położyć, ukryć i po prostu przestać myśleć!

Zza drzwi wyłoniła się pielęgniarka.

— Pan doktor jest na bloku operacyjnym, pani Stern. Proszę uzbroić się w cierpliwość.

— Doktor? Jaki doktor? — spytała, wyrwana ze snu.

— Doktor Stern — pouczyła ją pielęgniarka.

— Blok operacyjny? Po co?

— To poważna sprawa. Doktor Bayley zaraz tu będzie. Czy można pani w czymś pomóc?

— Pomóc?... Przepraszam, o co pani pytała?

— Może poczeka pani na górze w gabinecie chirurgów? — pielęgniarka wzięła ją pod ramię. — Kawa dobrze pani zrobi.

— Nie, dziękuję. Operacja? Nie szwy i opatrunek? Aż tak z nim źle? — spytała wodząc wzrokiem za odzianą w biel kręcidupską.

— Wszystko będzie dobrze. Doktor Bayley to prawdziwy wirtuoz mikrochirurgii. Na pewno słyszała pani o nim.

Nie słyszała. Dopiero teraz wszystko to zaczęło do niej stopniowo dochodzić. Mikrochirurgia oznacza przyszywanie tego, co urwane.

— Doktor Bayley to wirtuoz mikrochirurgii — powtórzyła jak automat.

— Prawdziwy wirtuoz. Na pewno czuje się pani dobrze?

— Na pewno. Posiedzę tutaj.

— Powiem im, gdzie pani szukać.

Z beżowego fotelika Iris przyjrzała się beżowym ścianom. Pewnie wszystkie te gabinety projektują według jednego szablonu: ciemny orzech, regały, ciepłe zasłony, dyplom w ramce i zdjęcie rodzinne w kolorze. Na tym była trójka maluchów, ich pyzata mama i pies nowofunlandczyk. Wisiał też zegar pokazujący, która godzina jest teraz w Helsinkach, a która w Singapurze. W Nowym Jorku było wpół do pierwszej w nocy.

Jak dawno, a może jak niedawno siedziała w restauracji w Waldorf Astorii. Brylanty, białe obrusy, kwiaty. A teraz? Zapach szpitala, cierpienia, dezynfekcji, docierały wszędzie, nawet do beżowego pokoiku. Pewnie tam na górze, gdzie Theo leży w świetle operacyjnych lamp, jest jeszcze mocniejszy. Poczula, że zbiera się jej na wymioty i, jak zawsze ją uczono, wtuliła głowę między kolana.

Przesiedziała kilka godzin, aż drzwi otworzyły się i weszło dwóch lekarzy, sądząc z kitlów i poważnych min. Tym młodszym był doktor Bauer — serdeczny i naturalny jak wtedy, gdy jeszcze jako stażysta dziękował jej za tak miłe przyjęcie jego i nieśmiałej oblubienicy. Ten starszy — przysadzisty i choleryczny — był pewnie samym doktorem Bayleyem.

— Doktor Bayley, pani Stern — przedstawił ich Jed Bauer.

— Bayley — mruknął starszy, wyciągając krzepką dłoń. Zapadł w fotel i z miejsca przeszedł do rzeczy.

— Brzydka sprawa, pani Stern. Stracił trzy palce. Tyle złych wieści. Teraz lepsze: dwa udało nam się przyszyć. Paliczek wskazującego jest stracony.

Iris milczała. W Helsinkach dochodziła dziewiąta rano, słońce już dawno wzeszło, a Finowie wybierali się do roboty. W beżowym pokoiku cisza aż dzwoniła w uszach.

— Ciężkie drzwi. Musiał dostać z całą siłą — przerwał milczenie Jed Bauer.

Bayley zbył to czekając, co powie Iris. Otworzyła usta, ale jakby wiedział, o co go zapyta, odparł sam:

— Te dwa, które udało nam się przyszyć, niewiele mu pomogą. Oczywiście, będzie mógł jeść nożem i widelcem, kręcić kierownicą, nie gorzej niż każdy z nas.

— A co z jego pracą? Czy będzie mógł... — nie dokończyła i żaden z nich nie odpowiedział.

Patrzyli ze współczuciem na jej rozmazany makijaż, kapkę pod nosem i rozdygotane ręce. Ukryła twarz za chusteczką. Wzięła się w garść i spytała, czy może zobaczyć Thea.

— Jest w narkozie, ale może pani tam wejść.

Weszła i spojrzała na tę kochaną, pogrążoną we śnie twarz. Białą i jakby wykutą w marmurze. Owinięta w bandażę dłoni była też biała i wraz z przedramieniem spoczywała na poduszce. Nie... to nie było naprawdę.

— Zawiozę panią do domu — powiedział Jed Bauer, gdy wyszła z sali.

— Mam prawo jazdy — odparła mechanicznie.

— Nie szkodzi. Doktor Swensen pojedzie za nami i potem mnie podrzuci.

Gdy podjechali pod dom, wręczył jej coś w papierku.

— To może przydać się pani dziś w nocy. Dobrze radzę. , — Nie biorę takich rzeczy.

— Pani Stern — powiedział ciepło — bywają chwile, gdy nie warto grać twardziela. Takie jak teraz.

Weszła na piętro przez martwy, milczący dom i posłuchała rady doktora Bauera. Potem rozebrała się i cisnęła wszystkie łachy na krzesło. Wszystko byle jak: pantofle, wieczorową suknię, pierścionek z szafirem. Padając w łóżko, tuż przed zgaszeniem światła, ujrzała jeszcze wytworny prezent opakowany w firmowy błyszczący papier magazynu „Chez Lea”.

ROZDZIAŁ 9

Wszyscy uznali to za nieszczęśliwy wypadek, bo przecież tak było. Każdy śpieszył ze słowami pociechy. Najbardziej załamani byli lekarze z sąsiedztwa. Nie dość, że doktor Stern nie będzie ordynatorem, to jeszcze jest skończony jako chirurg. Iris bolało to współczucie, bo przecież wiedzieli, że to ona zatrzasnęła drzwi wozu.

— Wiem, co czujesz — powiedziała przyjaciółka i omal nie rozplakała się, przytulając do siebie Iris.

Rodzinie napisała o tym oględnie; również Annie, która zaszła się gdzieś w Berkshire. Tak życzył sobie Theo. Powiedział, że nie można psuć wakacji Annie, skoro co się stało, to się nie odstanie. Iris domyśliła się, że Theo nie wytrzymałby od nikogo wyrazów współczucia.

Podczas wizyt w szpitalu klękała przy jego łóżku i wtedy ich twarze były na jednym poziomie.

— Nienawidzisz mnie? — pytała. — Wiem, że mnie nienawidzisz. Masz prawo. — Nie była w stanie zdobyć się na coś lepszego.

— Głupstwa gadasz — odpowiadał, odwracając wzrok i marszcząc brwi. — Co ma do tego nienawiść?

— Theo? Dlaczego to nie była moja dłoń? Uwierz mi, Theo.

— Twoja, moja... co za różnica? — Zaciskał zęby i czuła, że próbuje ukryć ból. Nie wiedziała tylko, czy fizyczny, czy psychiczny.

Po wizycie wracała do domu i nie mogąc do rana zmrużyć oka wiedziała, który bardziej boli. Co z nim będzie? Co z nim się stanie teraz, gdy cała jego przyszłość legła w gruzach? Będzie siedział, męczył się, wspominał. Płakała w poduszkę czując, że tamte łzy były błahe, nawet gdy wylewała je nad losem Steve'a.

W dniu, gdy przywiozła Theo do domu, niewiele sobie porozmawiali.

— Chyba widzisz, że nie jestem w nastroju do zwierzeń.

— Widzę, ale chcę, żebyś wiedział, że żałuję Wszystkiego... wszystkiego, co powiedziałam i zrobiłam. Wierzysz?

— Wierzę — odparł znużonym głosem. — Wierzę i proszę, żebyś dała mi wreszcie święty spokój.

Dodał, że chce pojechać do szpitala, by „wyczyścić biurko”, a więc pewnie chodziło mu o odwołanie wizyt i przekazanie pacjentów w dobre ręce. Po powrocie usiadł na tarasie i kartkował gazetę lewą ręką.

Po chwili upuścił gazetę na trawę i wpatrywał się w basen, w którym nikt nie pływał. Lato kończyło się, ale woda w basenie była wciąż turkusowa, a przed zbudowaną z klinkieru kręgielnią wciąż stały pod parasolami stoliki i leżaki. Stoliki i leżaki kupione po to, by goście czuli się jak w domu, choć już nikt przy nich ani na nich nie usiadzie.

Był tak strasznie samotny, że Iris wzięła książkę i usiadła koło niego na tarasie.

— Theo — spytała, by przerwać kłującą w uszach ciszę — może w czymś mogę ci pomóc?

— Możesz mi pomóc? — odpowiedział jak echo.

— Może chcesz porozmawiać — spytała nieśmiało. — Powiedzieć mi, o czym myślisz?

— O czym myślę? O tym, jak nie oszaleć.

Nie odpowiedziała. Poczula, że nie wypowie słowa. Postanowiła nie ruszać tych spraw. Przy obiedzie przemogła się i przeczytała mu listy: jeden od Laury, drugi od matki, która nie bardzo wiedząc, co się zdarzyło, nie wspominała nic o przyjeździe.

— Mama pisze, że Bernstein dyrygował w Tanglewood, jak tylko on potrafi.

Theo skinął głową. Nie tknął jedzenia. Nawet obandażowaną rękę ukrywał pod stołem. Spojrzała na nią i nie mogąc oderwać wzroku, poczuła ból we własnych palcach.

Stopniowo, godzina po godzinie, zaczęła wszystko sobie przypominać. Jak gdyby zaprogramowany w jej czaszce automat zbierał, przetwarzał i wyrzucał dane. Najpierw aresztowanie Steve'a... potem tamta kobieta... potem jej wściekłość, taka, że chyba by ją zabiła... tę sukę, bo przecież to jej, a nie Thea wina, choć i jego nie będzie już nigdy kochać... po niej?... Po tym, co z nim zrobiła?

Obeszła dom, nie wiedząc po co. Samotne noce w małżeńskim łóżku — Theo sypiał teraz w pokoju Jimmy'ego — sprawiły, że zaczęła wierzyć w złowieszcze sny.

Wypuściła psa, pies zgubił się i goni między samochodami po głównej ulicy; dzieci płaczą i dzwonią, a ona nie jest w stanie im pomóc. Jeszcze gorzej: jadą razem pociągiem, pociąg zatrzymuje się pod semaforem, ona wysiada, żeby się przejść, a wtedy pociąg rusza. Biegnie — ile sił w nogach — ale pociąg jest szybszy i odjeżdża gdzieś wraz z Theem.

Budziła się zlna potem. W lustrze nabrzmiałe, podkrążone oczy oskarżały to ją, to jego. Wieczorami, siedząc sztywno przy kolacyjnym stole zastawionym potrawami, na które żadne z nich nie miało ochoty, wsłuchiwała się w przerywaną zdawkowymi uwagami ciszę, której żadne z nich nie miało ochoty przerwać. Najgorsza była ta cisza. Dwoje w dryfującej donikąd łodzi. Zapadła w odrętwienie.

Aż pewnego dnia nawiedziła ją nagła i przerażająca w swojej prostocie myśl: A może byłoby mu lepiej beze mnie? Jimmy jest już dorosły. Steve pójdzie w górę lub na dno. Laura zawsze da sobie radę. Filip... Theo weźmie się w garść i go wychowa. Z jednym dzieckiem nie tak trudno.

Nie — pomyślała. — To ty, a nie on, powinnaś wziąć się w garść. Wyjdź do miasta, pooddychaj i zaraz ci minie.

Zaczęła od supermarketu, choć zapomniała, co ma tam kupić. Starsze panie — pewnie wdowy — tłoczyły się przy ladzie; pooglądają, kupią, poplotkują. Potem wrócą do swoich mieszkańek, do rodzinnych zdjęć ustawionych na telewizorach, zaparzą sobie herbatę, nakarmią koty i wszystko będzie dobrze.

Nie mogąc skupić myśli, podjechała pod myjnię. Wężem operowała jakaś nastolatka. Sprawnie jak dyrygentka szkolnej orkiestry. Wiotka, sprawna, zdrowa i stuprocentowo amerykańska. Do tego pogwizdywała. Iris poczuła ulgę. Pomyślała, że jej Laura też jest taka, i chwala Bogu. Podobnie jak matka. Matka i Laura miały szczęście.

W domu czekał stos pakunków od Lei. Już same ich wymiary miały w sobie coś dwuznacznego. Po co to kupowała? Teraz nie czas o tym myśleć. Myśleć nie trzeba, ale gdzie to wsadzić? Przecież nie odda, bo kazała przerobić rękawy. Najlepiej zanieść na górę i rozpakować.

Len, jedwab, kaszmir — wszystko to szeleściło w firmowej bibułce, jakby śmiejąc się z Iris. Powiesiła je w najdalszym kącie szafy, zastanawiając się, ile to będzie kosztować. Na koniec powędrowała

tam czarna koronka z kokardkami i niebieskim szalem. Iris przez chwilę wpatrywała się w nią z nienawiścią, jakby sukienka była żywą osobą, po czym zerwała metkę i zawołała Pearl.

— Pearl, chodź tu. Mam coś dla ciebie.

— Naprawdę dla mnie? — spytała zakłopotana Pearl. — Przecież pani doktorowa kupiła to przedwczoraj.

— Nieważne. Jeśli jest za obcisła, daj ją kuzynce. Mówiłaś, że lubi balować. Daj jej tę saszetkę. Widzisz, jaka ładna... skórka krokodyla, aksamit, a zamek w kształcie łabędzia... widzisz, Pearl?

Iris zachwalała jak komiwojazer widząc, że Pearl patrzy na nią tępym wzrokiem i boi się spytać, o co właściwie chodzi.

— Pewnie chcesz mieć dziś po południu wychodne i pokazać ją kuzynce? Nie ma sprawy. Idź, Pearl, wszystko już zrobiłaś.

Pearl poszła, a popołudnie zaczęło ciągnąć się nieznośnie. Nie było go czym wypełnić, a jeśli nawet było, Iris nie miała na to siły ani ochoty. Zastanawiała się, czy nie uporządkować biurka, bo w przeciwieństwie do biurka męża jej zawsze było nieuporządkowane, ale czy to był dzień na porządkowanie w biurku?

Dzień był upalny, letni, senny, a cały dom też drzemał za zaciągniętymi roletami. Iris znów obeszła pokoje. Najpierw dziewczęce gniazdko Laury, gdzie pluszowe misie i króliczki okupowały całe łóżko. Potem Filipa, z zabawkami poustawianymi na półkach. Potem Jima — gdzie teraz sypiał Theo — z bieżącą prasą lekarską na nocnym stoliku. Wreszcie pokój Steve'a, od którego wszystko się zaczęło.

Wszystko? Nie, tak nie wolno mówić. Jeśli nawet się zaczęło, to wcześniej, gdy Steve'a nie było jeszcze na świecie.

Zeszła na parter i rozglądnęła się ot tak, dla zabicia czasu. Sosenka z Norfolk usychała na tarasie z braku wody. Niech sobie usycha. Na fortepianie odcisnął się krążek od szklanki, którą ktoś pewnie tam zostawił. Niech się odciska. Dobrze, że Pearl zostawiła kuchnię w nienagannym stanie. To bardzo ważne. Ważniejsze niż to, że jej dom i rodzina roztrzaskały się jak lód w szklance, a bezpieczeństwo roztopiło się jak kostka cukru w filiżance herbaty.

Drzwi prowadzące z kuchni do garażu były otwarte. W garażu stały dwa wozy, a więc Theo pojechał do szpitala taksówką, by... „popracować”. Pewnie posiedzieć tam i patrzeć przed siebie, jak w domu.

Może i ona powinna gdzieś się wybrać? Do Connecticut, byle gdzie, choćby do lasu, żeby usiąść nad jeziorkiem i popatrzeć na wodę. Dla zabicia czasu. Sięgnęła po wiszące na kuchennych drzwiach

kluczyki i wsiadła do samochodu. Poczowała, że jest strasznie zmęczona. Spojrzała na prawe drzwi — narzędzie zbrodni — zapaliła silnik. Zamruczał z miejsca, jak przystało na tak kosztowny wynalazek.

Jak to uczył ją papa? — Gdy zapalasz w garażu, spuść okna i upewnij się, czy otworzyłaś drzwi. Tlenek węgla jest bezwonnny i zabija w ciągu dwóch minut.

W ile minut? Nieważne. Jest bezwonnny, bo nic się nie czuje, a tak bardzo chce się jej spać.

Wystarczy odetchnąć, żadnej krwi, żadnego bólu. Ale czy warto? W jej wieku? Może by to przemyśleć... może... może...

Ułożyła głowę na oparciu fotela, a odbity w szybie okna domu promień musnął jej oczy. W półśnie, przez przymknięte powieki, widziała obrazy, z których każdy przedstawiał Thea. Thea wychodzącego ze szpitala z kobietą tamtej nocy, Thea zwijającego się z bólu i zaciskającego zmasakrowaną rękę, Thea pochylającego się nad nią podczas miłosnego aktu; zawsze jego twarz.

Silnik mruczał. Prawie nie czuła jego niskich obrotów. Promień słońca drżał i błędził wśród letnich liści w sennym popołudniowym powietrzu. Sennym... usypiającym...

Gdy wreszcie zabrano ją spod namiotu tlenowego, Theo mógł zadać jej pytania, nim sama o coś spyta.

— Znalazł cię ogrodnik. Szedł po nawóz do naszego ogrodu, usłyszał zapuszczony silnik i zajrzał do garażu.

Spostrzegł, że w szpitalnym łóżku jest bardzo krucha. Nigdy nie myślał, że jest tak krucha, a jej oczy tak piękne i smutne.

— Czemu, Iris? Naprawdę chciałaś to zrobić?

— Nie, nie chciałam. Może najwyżej myślałam...

Czuł, że rozumie ją, ale niezupełnie. Teraz, gdy wiadomo było, że nic jej nie grozi, poczuł przypływ złości. Czy i bez tego mieli mało kłopotów? Ale nie wspominał o tym siedząc i wpatrując się w jej smutne oczy.

— Mam nadzieję, że dzieciom i mamie nic nie powiedziałeś? — krzyknęła nagle.

— Nie, chyba nie chciałaś.

— A gdybym umarła?

— Powiedziałbym, że to był wypadek.

— Dziękuję — szepnęła. — To był wypadek — dodała po chwili.

— Skoro tak mówisz...

— Jestem bardzo zmęczona, Theo.

— Wiem. Wrócę za godzinę. Teraz odpocznij.

Na korytarzu przypomniał sobie, że nawet jej nie ucałował i że nie powiedział nic ciepłego. Ale gdyby to zrobił, pewnie rozplakałby się, a na to nie mógł sobie pozwolić. Byłoby to jak popchnięcie sanek ze szczytu górki; popchasz i zaraz same nabiorą rozpędu.

Mijając dyżurkę pielęgniarek poczuł, że przyglądają mu się. Pewnie nikt nie wierzy, że Iris zemdląca w wozie, a wszyscy kojarzą to z jego palcami, których kikuty zaczęły mu nagle pulsować pod opatrunkiem. Nie wierzą i słusznie.

Więc niech sobie nie wierzą. Ma ich gdzieś. Ich i cały ich świat.

Czwartego dnia zawiózł Iris do domu, gdzie poszła na górę i położyła się w swoim pokoju. Pearl zaniósł jej obiad, ale ledwie go skubnęła i oddała tacę.

— Pani doktorowa kiepsko wygląda — oznajmiła Pearl.

— Za kilka dni wydobrzeje — odparł Theo, jak przystało na pana doktora. — Wydobrzeje.

Ale jako lekarz wiedział, że tak łatwo nie przyjdzie jej „wydobrzeć”. Musiała się strasznie męczyć. Podejrzewał, że nigdy się nie dowie, czy naprawdę chciała umrzeć. Może i ona sama o tym nie wie. Zastanawiał się, gdzie właściwie była tamtego wieczora przed wypadkiem. Próbował zrekonstruować tych kilka minut od chwili, gdy wyszła z pociągu, do zatrzaśnięcia drzwiczek i pamiętał tylko, że była jakaś „naelektryzowana”. Gdzie, do licha, wybrała się w czerwonej wieczorowej sukni, w brylantowych kolczykach? Pewnie wyciągnęła ją któraś z tych nowojorskich koleżanek. Może Joan — ta dwukrotna rozwódka. Poszły do eleganckiej restauracji, żeby po-zwierać się, jacy podli są mężczyźni, a Iris opowiedziała jej o tej scenie pod szpitalem.

Ach, gdyby mógł to cofnąć lub przekonać ją, jak mało to dla niego znaczyło!

Teraz trudno było jej być przy nim. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Jemu też niełatwo. Na szczęście dom mają na tyle duży, że mogą się nie widywać całymi dniami. Najwyżej w jadalni podczas obiadów, bo przecież trudno, żeby każde zabierało talerz i szło do własnego pokoju.

— Dlaczego odwracasz wzrok? — nie wytrzymał po tygodniu. — Ciągłe patrzysz gdzieś w drzwi.

— Dlatego — odparła szeptem — że nic mogę znieść widoku twojej ręki.

Nic nie odpowiedział. Pomyślał, że obarcza siebie podwójną winą. Cóż mógł zrobić? Przecież powtarzał jej dziesiątki razy, że nie ma pretensji o ten wypadek.

— Nie mogę — powtarzała. — Więc nie patrz na nią.

— Ale ty mnie nienawidzisz! — krzyknęła.

— Iris... przecież mówiłem ci, że...

— Nieważne, co mówiłeś. Wiem, po prostu wiem! — Wiesz? Ty sama nie wiesz, czego chcesz.

Teraz ona nie odpowiedziała, za to on westchnął przeciągle i demonstracyjnie. Dopili kawę i wstali od stołu.

W końcu Theo stracił całą nadzieję. Wolałby już szpitalną klitkę, gdzie przynajmniej mógłby pomóc sekretarkom poukładać papierki. Ale godzina zbyt wczesna, więc wyszedł do ogrodu i przez chwilę przyglądał się ekipie wezwanej jak co miesiąc do oczyszczenia basenu. Upalne powietrze drżało od świerszczy, ale błękitna woda skrzyła się niczym tafla lodu. Patrzył na robotników i myślał, co powiedzą, gdy tylko skończą robotę: „Takim sukinsynom to dobrze”. Przypomniał sobie, że wisi firmie za ostatni miesiąc i wrócił do domu. W hallu na podłodze leżała wsunięta pod drzwi poczta. Pochylił się, by ją podnieść, ale śliskich katalogów nie dało się zgarnąć lewą dłonią, więc zaklął cicho.

— Niech się pan doktor nie fatyguje. Ja sama to zrobię — powiedziała Pearl przez drzwi kuchni.

Ciekawe, co ta sobie o nas myśli? — zastanowił się. — Żona pustelnica, mąż inwalida. Prowadzi ślepy ślepego.

W bawialni złożył pocztę na stoliku do kawy i zaczął sortować reklamy, oferty i rachunki. Jak zwykle, najwięcej było tych ostatnich: dentysta Filipa, niebotyczna składka ubezpieczeniowa, czesne za college — zaległe i to, które trzeba będzie wkrótce zapłacić. Normalnie wystarczyłoby dziesięć operacji, by mieć to wszystko z głowy, ale operacje trzeba będzie spisać na straty. Na dzień żołądka poczuł skurcz strachu.

Ostatni z rachunków był opatrzony firmowym znakiem „Chez Lea”. Przebiegł wzrokiem pozycje zajmujące blisko półtorej strony: suknia wieczorowa z koronki... kostium kaszmir... bluzka satyna... Spojrzał na podsumowanie i zatkało go. Ponad dziesięć tysięcy dolarów! Nie, to chyba pomyłka.

Wbiegł na piętro z rachunkiem w dłoni i wpadł do sypialni, gdzie Iris siedziała przy oknie nie czytając, a tylko patrząc bezmyślnie przed siebie.

— Co to, do diabła, jest? — krzyknął, wymachując rachunkiem. — To jakaś pomyłka albo zły adres?

Iris pokręciła głową: — Przecież chciałeś, żebym kupiła sobie coś na wieczór — powiedziała zbolalym głosem.

— Na wieczór, ale nie na koronację królowej brytyjskiej! A cała ta reszta?

— Przykro mi, Theo. Wiem, że nie powinnam była tego robić.

— Przykro ci? I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Wiesz, że nie powinnaś była tego robić — przedrzeźniał ją. — Czy ty jesteś... czy ty byłaś wtedy przy zdrowych zmysłach?

— Może i nie, Theo.

— Boże! — jęknął. — Boże, czym to się wszystko skończy? Jak nie jedno, to drugie.

— Nie jest tak źle, Theo. To nie noszone rzeczy. Wszystkie wiszą w szafie, więc możemy je sprzedać.

— Sprzedać? Zrobisz tu wyprzedaż? Może damy jeszcze ogłoszenie do gazety?

Ujrzał, że jej oczy znów robią się szkliste. Łzy? Oczywiście. Ostateczna obrona i ostatnia broń. Teraz był już wściekły.

— Żądam wyjaśnienia! — krzyknął. — Co to za wieczorowa suknia za dziesięć tysięcy dolarów? Chciałbym ją zobaczyć.

Otworzył szafę i przesuwał zgrzytające wieszaki.

— Sukni nie zobaczysz. Wisi tu cała reszta, ale sukienkę dałam Pearl. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. — Choć po policzkach płynęły jej łzy, głos miała opanowany. — Wiedz, że strasznie mi przykro, ale...

Zabrakło mu słów. Spojrzał na nią, na łzy, poczuł, że i jemu niewiele brakuje. To idiotyczne, ale w jej stylu. Nie potrafiła powiedzieć „nie” wygadanej sprzedawczyni, która wcisnęła jej wszystkie te łachy, tak jak nie potrafiła powiedzieć „nie” Steve'owi. Opanowało go bezgraniczne znużenie.

— Co z nami będzie, Theo? — spytała drżącym głosem.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— O twoją pracę, twoje życie. Wciąż zadaję sobie to pytanie.

— Czego ode mnie wymagasz? Żebym sprzedawał buty, został kelnerem? Odpada. Kelner musi mieć dwie sprawne ręce, żeby nie lał zupą po plecach szanownych gości.

— Więc lepiej nie rozmawiajmy.

Rozpierała go wściekłość, głucha wściekłość na podły, ślepy los, który zrujnował im życie, ale nagle wyczerpanie nie pozwoliło mu dać jej ujścia.

— Jadę do szpitala. Tym razem nie na schadzkę — dodał.

— Wiem. Wiem, że i wtedy nie po to pojechałeś.

— Może będzie lepiej, gdy będę tam nocował. W potrzebie wiedziałabyś, gdzie mnie szukać. Telefonów jeszcze nie odłączyli.

Natychmiast wewnętrzny głos skarcił go za te okrutne słowa. Okrutne? — włączył się jakiś drugi. — Przecież to ty jesteś główną ofiarą. Nad sobą się lituj.

— Tak będzie lepiej dla nas obojga — powiedział.

— Rozumiem. Nie chcesz żyć ze mną pod wspólnym dachem.

— Uniosła głowę zdecydowana. — W porządku, ja też nie chcę. Pewnie oczekujesz, że splecę twoją dłoń, chodząc do końca życia z krwawiącym sercem. Nie wiem, czy potrafię, ale cóż mi więcej pozostało? Doprawdy nic.

— Do diabła z tym — westchnął, bardziej zmęczony niż zły.

— Skończmy już ten melodramat.

— Do diabła? Przecież ja już jestem w piekle.

Przez chwilę stał w drzwiach i patrzył na nią. Znów opadła na fotel przy oknie. Włosy też jej opadały jakby bezwolnie na kołnierzyk sukienki. Poczul ukłucie w palcach niczym cięcie nożem idące w górę ku łokciowi. A wszystko dlatego, że przyłapała go tamtej nocy. Do diabła z nią, do diabła z wszystkimi i z wszystkim!

Czując bezgraniczne zniechęcenie i obrzydzenie, obrócił się i bez słowa wyszedł na korytarz. Po chwili opuszczał z walizką dom.

Tu, w gabinecie, uwolnił się wreszcie od natłoku myśli z ostatnich dni. Ale gdy próbował skupić się lub poczytać, nic z tego nie wychodziło. Na myśl o dzieciach i o ich przyszłości brała go groza. Co do małżeństwa, wiedział, że nic z tego nie będzie. Widział wyraźnie, choć jeszcze kilka dni temu wydawało się to niemożliwe.

Mijały godziny. Popołudniowy upał na zewnątrz był nie do zniesienia, za to w pokoju panował chłód i półmrok. Włączył małe radio, by posłuchać muzyki i wyciągnął się w obrotowym fotelu.

— Nic z tego nie będzie — powiedział głośno i z bólem, przymknął oczy i pozwolił ukołysać się muzyce.

ROZDZIAŁ 10

Upał spadł na Nowy Jork, ale tu, w restauracji, było tak chłodno, że Lea dopięła swój kwiecisty zakiet. Paul czuł, że ciągle myśli o czymś innym; to nie było w jej stylu. Dwa razy musiał budzić ją z zadumy. Znow przebiegł oczami ostatni list od lisy.

— Dostałem go dziś rano. Pewnie chcesz wiedzieć, co pisze. Posłuchaj:

My też oglądaliśmy, co działo się u was w Chicago. Straszny rok. To samo na Sorbonie i w maju we włoskich uczelniach. Czy to nie straszne, że tym szczeniakom udało się wysadzić z siodła Johnsona i de Gaulle'a? Tu, w Izraelu, na szczęście uniknęliśmy tego. Nasi studenci wiedzą, że nasz rząd walczy nie tylko o stolki, ale też o ich życie, więc nie w głowie im go obalać.

Spojrzał na następny akapit i doszedł do wniosku, że lepiej go pominąć.

Paul — pisała lisa — kocham ten kraj tak, jak kocham Ciebie. Nie chce mi się wierzyć, że to już cztery lata. Przyjedź; to nie egoizm, ale strasznie potrzeba tu takich mężczyzn jak ty. Mnie też czasami potrzebny jest tu twardy chłop. Idą złe czasy i boję się, że to dopiero początek...

— Pisze, że idą złe czasy — podsumował. — Posłuchaj, Lea, co pisze dalej:

Mam znajomych, którzy mają dostęp do informacji, o których nie pisze się w gazetach. Ludzie nie chcą wierzyć w siatkę terrorystów obejmującą cały świat od Japonii po Kubę. Finansują ją bogaci Europejczycy, ale trudno ich namierzyć. To oni przyjechali do Paryża, by podpuścić studentów, to oni wysyłają do Bejrutu statki z bronią, które nam udało się przechwycić jeszcze na morzu. Wysłali na Kubę tysiące

studentów z całej Europy, by wraz z Palestyńczykami uczyli się partyzantki. Najgorsze, że część z tych młokosów to idealisci protestujący przeciw wojnie w Wietnamie. Nie wiedzą, jak nimi grają, jak ich zwodzą. Powinni przyjechać tu lub gdziekolwiek, gdzie mogliby popracować i zrobić coś użytecznego. Wybacz, że się unoszę. Przywidziało mi się, że znowu jesteśmy razem w hotelowym pokoju, że opowiadam Ci wszystko, co wydarzyło się tego dnia, a Ty słuchasz cierpliwie... Przerwał i nie doczytał do końca zdania:

... I patrzysz na mnie tym jedynym, mądrym uśmiechem. Paul! Kiedy wreszcie przyjedziesz tu do mnie?

— Cała lisa, prawda?

— I nie pojedziesz do niej? Sam wiesz, że powinienes.

— Czekam, aż ona tu przyjedzie.

— Nie przyjedzie. Nie znasz jej? Gdy raz coś postanowi, nie zrezygnuje.

— Było, minęło — powiedział Paul jak zawsze dwuznacznie, bo nie było jasne, czy ma na myśli rozstanie z Ilsa, czy dalszą rozmowę na ten temat z Leą.

Schował list, poprosił kelnera o rachunek i włożył do portfela kartę American Express.

— Na mnie już czas — powiedział, wstając od stolika. — Chwała temu, kto wynalazł samochody z klimatyzacją. Jadę do Greenwich odwiedzić moją najstarszą klientkę. Ma blisko sto lat, siły niespożyte, ale w taki upał nie wypada wyciągać jej z domu.

Lea nie poruszyła się, więc Paul znów usiadł. Przyjrzał się jej uważnie.

— Co jest, Lea? Może to ten upał, ale wydaje mi się, że coś chcesz mi powiedzieć.

— To nie upał. Przez cały lunch myślałam o tym.

— Więc mów. Coś ze zdrowiem?

— Nie, zdrowie nie ma tu nic do rzeczy. Pamiętasz faceta nazwiskiem Jordaine? Tego, który był u Meg kilka lat temu podczas świąt? Taki smagły przystojniak i nieźle forsiasty. Zamieniłeś z nim nawet kilka zdań.

— Victor Jordaine — przypomniał sobie Paul. — Zachodziliśmy w głowę z Meg, co może łączyć takiego z Timem.

— Jasne, że ten. Ty nigdy nie zapominasz imion.

Czasami zapominał, ale imię Jordaine'a utkwilo mu w pamięci dzięki niejasnym związkom łączącym go z Timem Powersem.

— I co porabia? O ile pamiętam, był twoim stałym klientem. Mówiłaś coś o jego kobietach. Miał, zdaje się, istny harem.

— Był moim klientem. — Lea zachmurzyła się i spuściła wzrok. — Wątpię, czy jeszcze się u mnie pokaże. Posprzeczaaliśmy się.

— Doprawdy? O co?

— O twoją... O Iris.

— O kogo?

— Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Poczuł, że serce zaczyna mu bić jak młot.

— Mów, o co ci chodzi, Lea.

— Sama nie wiem, jak. Iris wpadła mu w oko. Spotkali się przypadkiem w moim sklepie i wyszli razem. Nazajutrz zjawił się, by kupić dla niej upominek i mówił rzeczy, które nie przypadły mi do gustu. Powiedziałam mu, że to cnotliwa istota i żeby raczej dał jej spokój. Roześmiał mi się w nos.

Uderzenia młota przeszły w ostre pieczenie.

— Nie rozumiem. Cóż on mógł chcieć od Iris? Nie rzucająca się w oczy, może i niebrzydka, ale z urodą, którą mało który mężczyzna byłby w stanie docenić.

Lea wzruszyła ramionami: — Taka gra. Coś nowego i egzotycznego po wszystkich tych jego latawicach i puszczałskich. Przyzwoita kura domowa, a do tego Żydówka. Nie czujesz pikanterii? A poza tym wyglądała wtedy naprawdę pięknie.

— Lea, mów szczerze. Ty się na tym znasz. Czyżby ich małżeństwo wpadło na mieliznę?

— Nie sędzę. Kupowała wieczorową suknię. Jej mąż został szefem chirurgów, czy jak się to nazywa.

Paul rozluźnił twarz.

— Pewna jesteś, że tak było?

— Oczywiście, że jestem.

— Przepraszam, głupie pytanie.

Jak to określiła? Cnotliwa istota. Kto może wiedzieć? Co on właściwie o niej wie? Tyle co z ust jej męża: dobra żona, niedzisiejsza, zacna.

— Przepraszam, że ci to powiedziałam. Przez całą drogę do domu będę sobie pluła w brodę.

— Niepotrzebnie. Dobrze, że mi powiedziałaś.

— Dobrze? Raczej okrutnie, skoro nic na to nie poradzisz. Lea ma rację. Jakim prawem zadręcza się dorosłą kobietą, z którą

nic go nie łączyło i nie łączy, tylko dlatego, że jest jego córką? Nonsens. To wszystko jest bezsensowne. Znów przypomniały mu się cynicznie uniesione brwi tego mężczyzny i zuchwalstwo pokrywane gładkimi

manierami. Nic z tego nie pasowało do obrazu Iris, który zachował w pamięci.

— Dobra z ciebie dziewczyna — pogładził dłoń Lei. — Zawsze taka byłaś. Nie mówmy już o tym.

— Ty też zapomnij. Choć wciąż czuję się podle.

— Nie ma sprawy. Pozdrów Billa. Na mnie już czas do Greenwich.

Za kierownicą nie mógł się skoncentrować. Po co Lea opowiadała mu o tym? Dlaczego lisa pisze aż tak dramatyczne listy? Może trzeba by wreszcie zająć się własnymi sprawami.

Nie mógł się od tego opędzić. Wszystko biegło w przeszłość i gdzieś się tam łączyło. Ile zapłaciła — a może wciąż płaci pomimo swego niebiańskiego spokoju — Anna za tamten błąd? Błąd czy jak to nazwać. Miał nadzieję, że nie powtórzy się to w drugim pokoleniu. Oczywiście, teraz mają pigułkę. Tylko że on i Anna kochali się, a teraz

— jak mawia Lea — zdarzają się wyskoki. Nie podobały mu się te „wyskoki” i nie podobało mu się to, o czym wspomniał Stern. Czyżby jeszcze jedna amerykańska rodzina miała pójść w rozsypkę? Rodzina z czworgiem dzieci.

Normalnie byłaby to przejażdżka wczesnym popołudniem w niewielkim ruchu ulicznym ocienioną drzewami drogą. Dziś wszystko było zbyt jaskrawe i kłujące w oczy. Brakowało deszczu, firanki deszczu lub mgły na przedniej szybie. Wszystko przez tę Leę...

Przez zjazd do Greenwich odbił z szosy nie wiedząc, gdzie jedzie, byle tylko nie stawiać czoła tej dystygowanej staruszce, nie manipulować starymi srebrnymi sztucami i nie prowadzić błyskotliwej konwersacji. Stanie przy pierwszym drugstorze, zadzwoni i wytłumaczy się byle pretekstem. Zaparkował w Rye pod cienistym drzewem, zatelefonował i z puszką coca-coli wrócił do samochodu.

Pomyślał, że wszystko mu się pieprzy. lisa — gdyby tu była

— zaraz by mu to powiedziała. Niestety, nie było tu lisy, był za to doktor Stern. Ma podmiejski gabinet nie dalej niż o kilka minut jazdy. Poczł — sugestia? — ból w ramieniu. Śmieszne, bo przecież dawno o nim zapomniał. Ale czemu nie teraz? Może właśnie teraz powinien mu je pokazać.

Wyprostował się w fotelu, próbując równocześnie wyprostować myśli. Niech rozum rządzi emocjami. Pytanie: co właściwie chce osiągnąć? Odpowiedź: chce się czegoś dowiedzieć. Gdy dowie się, co z ich małżeństwem, pozbędzie się tych myśli. Pozbędzie się. Tylko jak się dowie? Pewnie niczego się nie dowie. A może jakaś przypadkowa

uwaga będzie wskazówką? Warto spróbować. Jeśli nie spróbuje, spekulacje nie dadzą mu spokoju. Na tyle siebie zna.

Raz jeszcze udał się do budki telefonicznej, by sprawdzić adres.

Drzwi gabinetu były zamknięte, ale wewnątrz słychać było muzykę. Paul zastukał raz jeszcze w szklaną tafłę, przez chwilę wsłuchiwał się w żałobne tony *Requiem* Verdiego i zastukał po raz trzeci. Muzyka urwała się i w drzwiach ukazał się doktor Stern. Wyglądał, jakby wyrwano go ze snu, a na dłoni miał gruby opatrunek.

— Przepraszam — zająknął się zaskoczony tym widokiem Paul. — Przejeżdżałem i myślałem, że pan przyjmuje. Chciałem, żeby zobaczył pan moje ramię. Operował je pan.

Twarz Sterna była tak nieprzenikniona, że Paul stracił inicjatywę i cofnął się o krok.

— Pan chyba też miał wypadek? Przepraszam, jeśli przeszkadzam.

— Nie przeszkadza pan. Proszę wejść. Co panu dolega?

Paul pomyślał, że wypadałoby się wycofać, skoro Stern nie pyta, czym może służyć, lecz co mu dolega.

— Właściwie nic. Pomyślałem, że lepiej być przezornym. Pewnie pan nie pamięta, ale miałem dwie rany i... — nie wiedział, jak dokończyć, i poczuł się głupio.

— Pamiętam bardzo dobrze, panie Werner. Będę musiał to obejrzeć.

Weszli do gabinetu z imponującym rzeźbionym biurkiem, perskim dywanem i regałami pełnymi książek.

— Likwiduję praktykę, więc tu pana przyjmę — powiedział Stern i wykrzywił wargi tak gorzko, że Paul nie ośmielił się więcej pytać.

Zdjął marynarkę i koszulę, a wprawne palce przesunęły się wzdłuż jego blizny.

— Nic tu nie widzę — mruknął Stern. — Najwyżej odrobinę opalenizny.

— Możliwe, niedawno byłem na plaży.

— Aha. Nie ma się czym martwić.

Paul ubrał koszulę i poczuł, że musi coś powiedzieć.

— Mam przyjaciół na Long Island i zaprosili mnie, żebym sobie popływał. Powinienem uważać ze słońcem. Przepraszam, że trudziłem pana bez potrzeby.

— Drobiazg. Mam mnóstwo czasu. Szczerze mówiąc, czas to jedyne, co teraz mam.

Paul potraktował to jako wstęp do rozmowy, bo tak to właśnie brzmiało. Byłoby zresztą nieprzyzwoite zignorować cudzy ból.

— Pańska dłoń... — zaczął — mam nadzieję, że to nic poważnego. Pewnie śpieszy się panu do pracy.

— Ja już nie wrócę do pracy.

Chłodny, matowy głos wstrząsnął Paułem tak, że mimowolnie spojrzał na twarz Sterna. Wyglądała o dwadzieścia lat starszej niż gładkie, patrycjuszowskie oblicze, które zapamiętał.

— Zmieniłem się, prawda? — spytał Stern.

— Przykro mi.—Paul nie był w stanie zdobyć się na nic lepszego.

— Kiepsko mi się wiedzie. Straciłem trzy palce.

— To okropne! — krzyknął Paul, zdając sobie sprawę z całkowitej nieadekwatności tych słów. Ale jakie pasowałyby do tak zdruzgotanego człowieka jak Stern?

— Miesiąc temu przytrzasnąłem je sobie drzwiami samochodu. Usiadł i zaprosił gestem Paula, by i on poszedł w jego ślady. Widać

było, że potrzebuje porozmawiać o swym nieszczęściu. Pewnie siedzi tu od świtu do nocy. Telefony milczą, maszyny nie stukają. Żaluzje opuszczone do połowy, a mroczna zielona poświata sączy się przez liście drzew.

Wzrok Paula powędrował ku dyplomom na ścianie za biurkiem i oprawionym w brązowy półskórek tytułom literatury fachowej na regale. *Chirurgia kostnoszczękowa* — przeczytał. Po co właściwie tu przyszedł? Gdyby w gabinecie była oprócz nich choć jedna żywa osoba, dawno by wstał i wyszedł, ale zostawienie kogoś tak przybitego byłoby równie okrutne, jak zostawienie nieznanego chorego na środku ulicy, gdy się nie wie, gdzie pójdzie i co go spotka.

— Idiotyczny wypadek — mruknął Paul, by wypełnić milczenie choćby pospolitym banałem. — Podobno takie rzeczy zdarzają się najczęściej we własnym domu lub w zaparkowanym pod domem samochodzie.

— Na to wygląda.

Było coraz ciemniej. Paul czuł, że i jemu udziela się chłód tego pokoju. Nagle przestał czuć, a zaczął rozumieć: ten wypadek musiał wywrzeć wpływ na Iris i może mieć coś wspólnego z tym, o czym przed

kilkoma godzinami opowiadała mu Lea. Zacisnął szczęki i spytał, jak to się stało.

— Zaczęło się od wojny w Wietnamie — odparł Stern. — Mamy syna: wspaniały chłopak, zdolny, utalentowany, głowa pełna idei, tylko strasznie niezależny, a to gorszy aspekt tej sprawy. Stał się radykałem, buntownikiem i straciliśmy z nim kontakt.

Przerwał, jakby chciał wpleść nowy wątek, a Paul wtrącił się:

— Opowiadał mi pan o tym, gdy byłem w szpitalu.

— Czyżby? Z reguły nie zwierzam się z własnych zmartwień.

— Była zamieć. Nie mógł się pan wydostać ze szpitala i przez kilka minut rozmawialiśmy w moim pokoju.

— Nie należę do rozmownych ludzi — powiedział Stern i ściągnął brwi, jakby Paul koniecznie musiał się o tym dowiedzieć. — Wygląda na to, że padł pan ofiarą jednej z rzadkich chwil mojej wylewności.

Rzadkie chwile — powtórzył w myśli Paul. — Bez wątpienia należy do dumnych, zamkniętych w sobie osobników, którzy otwierają się tylko w skrajnym stresie.

— Ja zawsze chętnie słucham — uśmiechnął się krzepiaćo. Wydawało mu się, że wtedy też powiedział to Sternowi, ale nie był na sto procent pewny.

— A więc, jak panu mówiłem, był strasznie niezależny, ale z wiekiem przybrało to zły obrót. Aresztowano go podczas konwencji w Chicago.

— Żyjemy w trudnych czasach, panie Stern. Szczególnie trudnych dla młodych ludzi. To nie druga wojna światowa, kiedy każdy wiedział, za co i przeciw komu walczy.

Czuł, że gada zwietrzałe komunały, które ojcu nie będą wielką pociechą.

— Być może — odparł nieco cierpko Stern. — Ja akurat sądzę, że teraz walczymy, by nie pozwolić łajdakom pożreć całego świata kawałek po kawałku. Nieważne. Posprzeczaaliśmy się o chłopaka — moja żona i ja. Moja żona zawsze powtarzała, że on musi się odnaleźć. Co to znaczy „odnaleźć się”? Czy nie wiedzą, kim, do licha, są? Nie mam do tego cierpliwości.

— Czasami — powiedział cicho Paul — człowiek naprawdę nie wie, kim jest. — Na przykład ja — pomyślał. — Bankier i to dość trzeźwy, powiększający fortuny, obracający milionami, a równocześnie filantrop, znajdujący przyjemność w dzieleniu się nimi. Dyletant w dziedzinie muzyki i malarstwa, który delektuje się nimi, choć sam

nie potrafi nic zagrać ani namalować. Do tego polityk wspierający pokrzywdzonych. No i kochanek... powiedzmy, były kochanek.

— A więc zamknęli go — ciągnął Stern. — Żona chciała zaraz tam lecieć, by go wyciągnąć, ale ja sądziłem — i nadal sądzę — że powinien ponieść konsekwencje własnych czynów. Inaczej nigdy nie nabierze rozumu. Ja też cenię ideały, ale co innego ideały, a co innego chuligaństwo. Na to drugie napatrzyłem się w Wiedniu.

Paul nie mógł wciąż dociec związku między synem a obandażowaną dłonią, na którą teraz powędrował jego wzrok. Stern dojrzał to i domyślił się.

— A więc posprzeczałyśmy się i od tego wszystkiego się zaczęło. Mnóstwo zdarzeń... — Wstał i podciągnął żaluzje. — Ciemno tu jak w piwnicy. Dawno powinienem o tym pomyśleć. Nie razi pana światło? Nie? To dobrze. — Stojąc odwrócony plecami do Paula, powiedział:

— Zatrzasnęła je na mojej dłoni.

Paula aż zatkało. A więc to ona... to Iris!

— Czysty przypadek i powtarzałem jej w kółko, że każdemu się to mogło zdarzyć. Każdy głupiec to zrozumie.

A więc to był przypadek. Paul poczuł niezmierną ulgę, a tętno, jeszcze przed chwilą przyśpieszone, zwolniło.

— Tylko że ona czuje się wciąż winna... — głos Sterna załamał się. Głos mu się łamie, a chłop na schwał — przebiegło przez myśl

Paulowi. — Nic tu nie pasuje. W głosie Sterna czuł upokorzenie i głupio mu było, że jest świadkiem tak bolesnego i osobistego wyznania. — Trzeba powiedzieć mu coś ciepłego — tylko co? — i wynieść się pod byle pretekstem. — Siedział dalej.

Nagle Stern odwrócił się i stanął przed Paulem wyprostowany niczym oficer składający raport.

— Przykro mi za takie zachowanie wobec nieznajomego. Wybacz pan.

— Każdy z nas potrzebuje czasami porozmawiać. Z nieznajomymi bywa łatwiej. Jak z tym przysłowiowym nieznajomym w samolocie, którego już nigdy nie zobaczymy. Wątpię, czy i mnie zobaczy pan jeszcze kiedykolwiek.

— Nieznajomy w samolocie? Tak, rozumiem. Albo jeśli ma się ojca lub wuja dwa razy starszego. Byle nie z przyjaciółmi, zwłaszcza w kręgach, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, a jeśli nawet nie wiedzą, to sobie wymyślą. — Zawahał się. — Gdybym był katolikiem, pewnie udałbym się do księdza.

— Owinąłby pan kłopot jak pakunek, oddałby go pan, a w drodze powrotnej byłoby lżej. — Paul pomyślał, że i on by tak zrobił, gdyby miał Ilse. Spojrzał na Sterna i powiedział cicho:

— Ja też chętnie posłucham.

Doktor usiadł w obrotowym fotelu. Bruzdy pod oczyma były zbyt głębokie jak na jego wiek. Paul zastanawiał się, czy z czasem mogą jeszcze zniknąć.

— Zastała mnie z kobietą. W szpitalu. Tej nocy, gdy aresztowano Steve'a pokłóciliśmy się i wpadłem do szpitala, by mieć trochę spokoju. Ostatnie, czego mi było potrzeba, to baba! Do dziś przeklinam siebie i tamtą. Czyhała na mnie, czyhała tygodniami. Widziałem to, ilekroć mijaliśmy się na korytarzu. Tamtej nocy wszystko leciało mi z rąk. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. No i stało się. Wie pan, jak to bywa. Tylko że ja naprawdę nie chciałem zranić Iris.

Paul poczuł, że bierze go lekka złość. Przed chwilą nie chciał tamtej baby, teraz nie chciał zranić Iris. Czego on właściwie chciał? Stopniowo wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Pewnie Iris postanowiła odplącić mu pięknym za nadobne. Incydent w sklepie Lei. Tak... teraz wszystko jasne. Tylko co właściwie między nimi zaszło? Posprzeczali się, padły słowa, na które oboje sobie zasłużyli i których nie mogą sobie wybaczyć. Ale ta dłoń! Czy nie była ceną nieproporcjonalną do występku? Taki talent! Ciśnięty na śmietnik, przekreślony na zawsze. Szkoda chłopca! — Złość Paula gdzieś się ulotniła.

Stern mówił dalej niskim, znużonym głosem:

— Wpadła w szal. Zawsze była zazdrosna, choć starała się to ukrywać. Tym razem miarka się przebrała. Nie dziwię się. Wiem coś o tym. To musiało być dla niej nie do zniesienia. Też bym to czuł, gdyby to ona...

A więc Iris była kolejną ofiarą choroby, której na imię zazdrość. Rozumiał ją. Czy on, dawno temu, nie zadreślał się wizją fizycznego zbliżenia między matką Iris a tym, którego poślubiła? Mężczyznę, który miał ją dla siebie. Może namiętność okiełznana, choć nigdy nie wygasła, spała tylko długim snem.

Na półce, za pochyloną głową Sterna, stała fotografia Iris — tym razem samotnej, w przeciwieństwie do rodzinnego zdjęcia, które Paul ujrzał kiedyś i zapamiętał ze szpitalnego gabinetu. Oczy miała urodziwe i wpatrujące się łagodnie w przestrzeń. Uśmiech niepewny, jakby wymuszony przez wezwanie fotografa. Nie promieniowała jak jej matka, ale pasowała do tego przystojnego i dojrzałego mężczyzny, który siedział teraz po drugiej stronie biurka.

— Może i tak bywa... — zaczął Paul, ale Stern przerwał mu podniesionym głosem, jakby chciał złożyć oficjalne oświadczenie:

— Próbowwała targnąć się na życie. Na to wygląda, choć zaklina się, że nie chciała. Zatrucie spalinami, w naszym garażu. Może naprawdę nie chciała. Może sama nie wie. A może chciała i nie chciała. Tak też bywa...

— Jak się teraz czuje? — Paul przemógł suchość w gardle.

— Dobrze. Znalaziono ją na czas.

— I gdzie jest?

— W domu.

Więc jednak samobójstwo.

— Jest pan pewny, że... z mózgiem wszystko w porządku?

— Oczywiście, że jestem — odparł zaskoczony Stern.

— To straszne... nic z tego nie rozumiem. — Paul usłyszał własne słowa jakby z oddali.

Przez chwilę panowała cisza, obaj patrzyli sobie w oczy, a Paul poczuł, że jego gorączkowa reakcja nie była na miejscu.

— Tak mną to wstrząsnęło — pośpieszył z wyjaśnieniem — że trudno było mi znaleźć właściwsze słowa. Koszmarne rzeczy pan przeżył.

— Widywałem gorsze w mojej praktyce — wzruszył ramionami Stern. — Wiele można przeżyć, gdy nie ma się wyboru.

Chyba zawiąło, bo liście drzew za oknem zadrżały. Światło w pokoju zamigotało, zniekształcając twarz Sterna, która zaraz ukryła się w mroku, i Paul widział tylko obandażowaną, spoczywającą na biurku dłoń.

— Co pan zamierza robić? — spytał.

— Nie wiem. Przeniosłem się tu z domu, by przemyśleć to sobie w spokoju, ale, szczerze mówiąc, nic nie przychodzi mi do głowy.

Dopiero teraz Paul spostrzegł otwartą, częściowo wypakowaną, spoczywającą przy biurku walizkę.

— Chyba nie zamierza pan wyprowadzić się z domu na stałe?

— Na to wygląda.

— Rozumiem.

Jak okrutnie człowiek potrafi ukarać innego człowieka. Iris musiała pragnąć, choćby i przez moment, śmierci. A teraz on siedzi tu wytracony z równowagi i godny pożałowania. A najgorsze — konstatował Paul z rosnącym gniewem — że oboje przyrzadzili sobie ten pasztet, uderzając po omacku.

Niech rozum rządzi emocjami — pomyślał znów i powiedział spokojnie:

— Sądzę, że rozstanie tylko skomplikuje wasze problemy. Macie dzieci.

— Dzieci? — Stern zagryzł usta i wykrztusił z trudem:

— Przecież to najbardziej mnie wykańcza. Wykształcenie, podróże, wszystko, co chciałem im dać, idzie wniwecz... Już poszło. Nie wiem nawet, skąd wezmę pieniądze na opłacenie college'u w najbliższym semestrze.

Paul powiódł mimowolnie wzrokiem po gabinecie, a doświadczone oko kolekcjonera dokonało w mig wyceny. Wypadła zastanawiające Obrazy przy drzwiach — mały format, ale prawdziwi postimpresjoniści. Przeciwna ściana: dziewiętnastowieczne sztychy z ptakami, ramki z dębiny. Brązowy lichtarz w rogu pokoju — Art Deco, nawet dla laika. Na biurku trzy statuetki z kości słoniowej, a na przegubie lewej ręki złoty patek Philippe.

Stern zauważył te ciche obliczenia i odezwał się:

— Pewnie weryfikuje pan to, co przed chwilą powiedziałem?

— Szczerze mówiąc tak, choć to nie moja sprawa.

— Niektórzy mówią, że mam skłonność do zbytku. Przynajmniej moja żona tak uważa. — Krótki śmiech wcale nie brzmiał wesoło.

— Ale kilka dolarów więcej lub mniej nie zmienia faktu, że życie jest drogie. Dałem mnóstwo pieniędzy na cele dobroczynne, a zwłaszcza

— co pan chyba rozumie — na pomoc dla uchodźców.

— Rozumiem, ale...

— Często zadaję sobie pytanie, dlaczego ja żyję, skoro tylu innych poniosło śmierć.

Paul — jak wtedy w szpitalu — poczuł, że fascynuje go ten człowiek. Mimo różnicy wieku i dezaprobaty czuł, że coś ich łączy.

— Dawać trzeba, ale nie tak, by doprowadzić się do ruiny. — Nie mógł pomimo wszystko powstrzymać się od uwagi.

Nie mam serca do ludzi żyjących ponad stan — pomyślał.

— Bankier zawsze wyjdzie z bankiera.

— I nic pan sobie nie odłożył? — spytał, starając się, by nie zabrzmiało to karcąco.

— Bardzo niewiele — Stern ze smutkiem pokręcił głową. — Aż wstyd powiedzieć.

Co za brak odpowiedzialności! Mąż i ojciec rozdaje pieniądze nieznajomym — choćby i w potrzebie — a za resztę kupuje tęczowe pejzażyki. Paul wyobraził sobie dom, w którym mieszka Iris.

Jeśli tak wygląda gabinet, to dom pewnie przypomina skarbiec. Co się z nią stanie? Niezaradna, obarczająca się wszelkimi winami: za syna-kontestatora, za mężowskie palce, za Bóg raczy wiedzieć co. Przymknął oczy, próbując odpędzić wspomnienie szyderczej twarzy Jordaine'a. Co się z nią stanie?

— Najgorsze, że te kłopoty nie są przez nią zawinione — powiedział po namyśle Stern, jakby wyczuwając niepokój Paula. — Zastanawia się nad każdym wydanym dolarem. Do tego ciężki miała ten rok. Straciła ojca i mocno to przeżyła. Była do niego bardzo przywiązana, bardziej niż do matki. Nie wiem, dlaczego. Iris to skomplikowana natura — zresztą jak każdy z nas, ale...

Minorowa tonacja słów zapowiadających kolejne, równie smutne wyznania, zmroziła Paula. Przybył tu w daremnej — jak podejrzewał — nadziei dowiedzenia się czegoś, choćby i nieistotnego, a teraz bał się, że usłyszy zbyt wiele.

Skierował dialog na sprawy bardziej przyziemne.

— Przecież musi być coś, w czym jest pan dobry? Coś, z czego lekarz może żyć, nie posługując się dłońmi? Może mógłby pan wykładać?

— Nie — Stern pokręcił ponuro głową. — Żeby wykładać chirurgię, trzeba być w stanie demonstrować to praktycznie.

Mucha, której do tej pory żaden z nich nie zauważył, zabręczała w pokoju i poszybowała najpierw w górę, potem w dół, potem znów w górę, krążąc bez celu tam i z powrotem. Paul poczuł nieodparte skojarzenie z ludzkimi losami, ale przemógł się i spróbował raz jeszcze.

— A nie mógłby pan uczyć jakiejś innej specjalizacji? Przepraszam, jeśli pytanie jest błędnie postawione, ale w dziedzinie medycyny jestem laikiem.

Stern śledził obojętnym wzrokiem szaleńcze arabeski muchy.

— Żadnej. Po prostu żadnej — odparł po chwili.

— Przecież musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Ma pan ogólną wiedzę medyczną. Mógłby pan zacząć praktykować jako internista.

— Panie Werner, upłynęły wieki, od kiedy uczyłem się o sercu i żołądku. Cóż ja właściwie o tym wiem?

— Są książki. Przy okazji odświeżyłby pan sobie pamięć. Stern, który przez cały czas siedział sztywno w fotelu, uniósł się i jakby jeszcze bardziej urósł.

— W najlepszym przypadku byłoby to okłamywanie się, a w najgorszym pospolite szalbiertwo. Bez odpowiedniej praktyki byłbym

drugorzędnym, jeśli nie dziesięciorzędnym konowalem. Jeśli nie jestem w stanie osiągnąć doskonałości — podkreślam, doskonałości

— w danej dziedzinie, wolę być nikim. Lepiej od razu zabrać się za sprzedawanie hamburgerów! — krzyknął i nagłym ruchem sprawnej dłoni strącił telefon z biurka.

Paul podniósł aparat i pomyślał sobie, że nic gorszego niż mieć do czynienia z perfekcjonistą.

— A więc zdecydował się pan na handel hamburgerami — powiedział chłodno.

Upłynęła długa chwila, nim Stern znów się odezwał:

— Kiedyś myślałem... nie, to bezsensowne... nawet nie warto wspominać.

— Może nie aż tak bezsensowne?

— W mojej praktyce zdarzało mi się usuwać ślady po operacjach nowotworów, głównie na twarzach pacjentów. Kiedyś myślałem, że mógłbym się tym zajmować, oczywiście, gdybym nie robił tego, co robię.

— A więc chciałby pan zająć się onkologią?

Stern wzruszył ramionami. Paul przywykł już do tego gestu, więc czekał cierpliwie.

— Wymagałoby to co najmniej dwuletniego stażu, a na to mnie nie stać,

— Myślałem, że teraz staże są odpłatne?

— Zależy, co pan rozumie przez to słowo. Czwórka dzieci, żona

— cokolwiek zajdzie jeszcze między nami. Z tego troje będzie za rok w college'u. Sam pan widzi.

Coś nieokreślonego, może złość na los, złość na własną przeszłość i własne błędy podpowiadało Paulowi, że cała ta plątana, w którą uwikłał się Stern, wymaga ostrego cięcia.

— W trudnych chwilach rodziny stoją ramię w ramię — powiedział. — Żony idą do pracy.

— To akurat byłoby najmniejszym problemem — rzucił cierpko Stern. — Iris przez lata molestowała mnie, by mogła znów uczyć. Ale jej zarobki byłyby kroplą w morzu potrzeb.

— Molestowała pana? Dlaczego musiała pana aż molestować?

— spytał Paul, pomijając koniec zdania.

— Byłem przeciwny temu. Chciałem, żeby była w domu i prowadziła go jak należy. Nie można być w dwóch miejscach naraz.

— Żyje pan w minionym wieku lub w tym, który już niedługo przeminie — powiedział Paul starając się, by zabrzmiało to

delikatnie, po czym widząc, że Stern unosi brwi, dodał jeszcze delikatniej:

— Myśli pan teraz, że nie mam prawa udzielać panu pouczeń i ma pan rację.

— Sam o to prosiłem. To ja zacząłem zwierzać się z moich kłopotów.

Co ja właściwie robię? — zachnął się Paul. — Przecież to nie fair udawać zacnego, stojącego na uboczu dobrodzieja, a równocześnie litować się nad nim... i nad sobą. Wstyd, Paul. Wstyd i hańba.

Milczeli obaj. Stern pewnie czekał, aż Paul wstanie i pójdzie już sobie. Ale Paul nie dojrzał jeszcze do odejścia.

— A więc stanęło na pieniądzech? — zauważył.

— Jak niemal zawsze i wszędzie.

— W porządku. Dostarczę panu środków, wszelkich środków, by mógł pan zostać onkologiem.

Eksplodowało to w ciszy i w ciszy zawisło.

— Przepraszam pana? — spytał Stern.

— Powiedziałem, że dostarczę panu wszelkich środków. — Nie rozumiem.

— Patrzy pan na mnie, jakbym nie był przy zdrowych zmysłach. Zapewniam pana, że jestem.

— Przecież to bez sensu. Jak całkiem obcy człowiek może mi proponować coś takiego?

— Nie tak całkiem obcy. Zapomniał pan, że znam rodzinę pańskiej żony.

— I co z tego, panie Werner? O ile wiem, znał pan kiedyś matkę mojej żony i to dawno temu. A jeśli nawet, wciąż nie rozumiem...

— Nie słyszał pan nigdy o ludziach pomagających innym, którzy przez przypadek znaleźli się w potrzebie? Poza tym lubię pana. Jest pan świetnym specjalistą i tak się składa, że stać mnie, by panu pomóc. Czy to nie wystarczy?

Stern patrzył nań długo jak lekarz obserwujący pacjenta.

— Nie wiem dlaczego, ale wciąż czuję, że jest w tym coś więcej, panie Werner. I coś mi mówi, że to ramię wcale panu nie dolega. Czemu właściwie przyszedł pan dziś tutaj?

Dziwne było to nagłe odwrócenie ról i fakt, że to Stern przeszedł teraz do ofensywy.

Paul zagubił się pod jego nieoczekiwanie dociekliwym spojrzeniem. Szukał odpowiedzi, a gdy wreszcie ją znalazł, wiedział, że wcale nie jest dobra.

— Powiedzmy, że był to impuls. Może go pan nazwać ekscentrycznym.

— Dziwny impuls. — Odpowiedź najwyraźniej nie zadowoliła Sterna. — Dziwny i równie zagadkowy jak pana hojna oferta, której, rzecz jasna, nie mogę przyjąć.

Ależ trudny z niego człowiek.

— Dlaczego nie może pan?

— Pożyczka tej wysokości? Proszę nie sądzić, że nie doceniam. Wręcz przeciwnie. Tylko że jest coś takiego jak szacunek dla samego siebie, no i duma.

— Której ma pan w sobie aż za dużo, jeśli wolno mi powiedzieć.

— Być może. Ale też wiem, na co mnie stać, a na co nie stać.

— Z tego, co słyszę, stać pana na to, by pozwolić cierpieć własnej rodzinie. Pańska żona omal nie popełniła samobójstwa... Czy duma jest tu też ważniejsza?

— To nie było fair, panie Werner. Dzieli pan wszystko na czarne i białe, a to zbyt proste.

— Więc jeśli nie chce pan mojej pomocy, czemu nie uda się pan po nią do matki pańskiej żony?

— Została zupełnie sama. Iris nigdy nie poprosiłaby jej o wsparcie. Oczywiście, mój teść dobrze ją zabezpieczył, ale nie na tyle, bym naruszał jej kapitał. Nie wolno mi pozbawiać jej tej odrobiny luksusu. Jest teraz w Berkshires, chodzi na koncerty w Tanglewood. Nie, nigdy!

— A więc wracamy do początku, do mojej propozycji.

Paul wiedziony impulsem wstał i zacisnąwszy pięści w kieszeniach marynarki podszedł do okna. Sytuacja była beznadziejna. Z przerażeniem poczuł, że wilgotnieją mu oczy; po raz pierwszy od rozstania z Ilsa i odlotu z Izraela.

— Coś zaczynam kojarzyć — mówił Stern. — Luźne incydenty. Wiem, że nie wszystko mi pan powiedział.

— Nie wszystko?

— Iris przypominała sobie jak przez mgłę, że spotkała pana dwa, może trzy razy, jeszcze w dzieciństwie.

— I co z tego?

— To, że — postawmy sprawę jasno — gdy przed kilku laty zjawił się pan na tym bankiecie, a zaraz potem u mnie w szpitalu, powiedziała, iż pojawia się pan cyklicznie. Mówiła, że wpatrywał się pan w nią i wcale nie przypadło to jej do gustu.

— Brutalne rzeczy pan mówi — odparł Paul, nie odwracając się od okna.

— Przykro mi, nie chciałem. Mam nadzieję, że docenia pan moją szczerość. Chyba sam pan przyzna, że jest w tym coś nietypowego?

Przyciska mnie. Zapędza mnie w narożnik — pomyślał Paul. — Jak łatwo byłoby teraz wyznać całą prawdę! Nie, to szaleństwo!

— Ja też sądzę, że jest w tym coś — mówił Stern. — Robił pan z ojcem Iris jakieś interesy, które źle się skończyły? A może rywalizowaliście o jej matkę, gdy byliście młodzi? Wiem, że pytam jak prywatny detektyw, ale coś musi się za tym kryć.

Paul milczał. Serce znów waliło mu jak młot.

— Chyba że mam już zwidy — ciągnął Stern głosem tyleż chłodnym i uprzejmym, co bezlitosnym — ale nie sądzę.

No i stało się. Lata tłumienia, ukrywania, zaprzeczania, upomniały się o swoje. Paul, utraciwszy samokontrolę, która tak długo powstrzymywała go przed zrobieniem tej niewyobrażalnej rzeczy, odwrócił się, pokazując ze wstydem wilgotne oczy i drżące usta, z których padło to, co miało nigdy nie paść:

— Iris jest moją córką. Teraz już pan wie, co się za tym kryje. Przeszedł na drugą stronę pokoju i wodził wzrokiem po rzędach

książek. Znów długa, bardzo długa cisza. Słyszał, jak Stern głośno szeleści papierami na biurku. Pierwszy przerwał milczenie.

— Życie płata niespodzianki, zwłaszcza długie życie; pewnie o tym pan myśli, panie Stern!

— Sam nie wiem, o czym myślę. Po prostu słyszę wciąż pana słowa. Słyszę i zastanawiam się, czy dobrze usłyszałem.

Nagle Paul poczuł, że chwyta go paniczny strach. Omal nie stracił równowagi i musiał chwycić rękami biurko Sterna. Co najlepszego zrobił? Jakim prawem?

Pochylił się i jego twarz znalazła się o kilka cali od otwartych ust i rozszerzonych źrenic doktora.

— Dobrze pan usłyszał. I jeśli kiedykolwiek powtórzy pan te słowa, zabiję najpierw pana, a potem siebie. Zrozumiał pan?

— Mój Boże! — szepnął Stern.

— ... Ponieważ nie mógłbym żyć w poczuciu krzywdy, jaką wyrządziłem. Sam nie wiem, co mi się stało. Pierwszy raz przez wszystkie te lata. Wszystkie! Rozumie pan?

Opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Z sąsiedniego pokoju dobiegło pojedyncze uderzenie zegara. Na parkingu zabrzmiał klakson. Nie panował nad sobą. Obdarzył tego nieznanego, tę zupełną

niewiadomą po drugiej stronie biurka pełną mocą unicestwienia Iris... Iris i Anny.

Usłyszał skrzywienie fotela, kroki na dywanie i poczuł dłoń na ramieniu.

— Paul, ocknij się, Paul! Chcę nalać ci brandy, ale jedną ręką nie dam rady.

Podniósł głowę i ujrzał zatroskane oblicze doktora wydającego polecenia tonem profesjonalisty. Posłusznie chwycił butelkę i nalał do szklanki ustawionej przez Sterna na biurku.

— Potrzebowałem tego — zdołał wyszeptać, gdy przeszło już przez gardło.

— Dolej sobie — polecił Stern. — To rozszerza naczynia krwionośne. Ciśnienie nieźle musiało ci podskoczyć.

— Tak, zawrót głowy i lęk.

Stern ujął go za przegub tym razem mocniej.

— Spokojnie, zaraz minie. Nie musisz martwić się zawałem, bo to nie zawał, ani tym, co mi powiedziałeś. Spójrz mi w oczy i słuchaj. Przysięgam i biorę Boga za świadka, że nigdy — cokolwiek by się nie stało — nie powiem nikomu... słuchasz mnie? Nie powiem nikomu o tym, co od ciebie usłyszałem. Przysięgam, Paul!

Podkrążone oczy patrzyły przenikliwie i ze współczuciem. Człowiek honoru — pomyślał Paul. — Muszę mu ufać. Zresztą nie mam wyboru.

— Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co oznaczałoby to dla nich obu — powtórzył mimo wszystko jeszcze raz.

— Dla każdego w tym wieku — odparł szybko Stern. — Ale Iris... — pokręcił głową — ją by to zdruzgotało. Kto jak kto, ale ja wiem coś o tym.

— Chcesz usłyszeć całą historię?

— Jeśli czujesz się na siłach, by mi ją opowiedzieć?

Stern znów usiadł w fotelu, a Paul poczuł, że jego panika jakby ustępowała pod tym czujnym spojrzeniem.

— Dość pospolita historia — zaczął. — Gdy zakochałem się w Annie, byłem zaręczony. Nie miałem odwagi zwrócić — jak się to mawiało — słowa i skończyło się na tym, że zламаłem serce i jej, i sobie. Po kilku latach spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo i owocem tego była Iris.

— To wszystko?

— Chyba wystarczy. Ale chcę — dodał szybko Paul — żebyś wiedział, iż potem nic między nami nie było. Nic, powtarzam. Była wierna swojemu mężowi. Nigdy się nie dowiedział.

— Niewiarygodne... Przez tyle lat żyłem w ich rodzinie. Niewiarygodne, że Anna, zawsze taka promienna i spokojna... Przysiągłbym, że byli idealnym małżeństwem, że jest szczęśliwa.

— Może i była. Różne rzeczy niosą szczęście różnym ludziom... — Paul przełknął ślinę i urwał w pół zdania. Tu, w tym pokoju obnażył się i wyjawiał to, co zakazane. Przez chwilę łudził się, że nie wyjawiał, a tylko chciał lub że to tylko zły sen.

— Był dobrym człowiekiem, bardzo czułym ojcem. Iris uwielbiała go — powiedział w zadumie Stern, jakby przypominając sobie na głos dawno zapomniane dzieje. — Zadziwiające... choć czy aż tak zadziwiające... Ile kryje się w ludzkich losach. Nawet w naszych własnych... Te moje, dawno temu, po drugiej stronie oceanu... Czy to wszystko?

— Wszystko. Na szczęście dla nas.

— Sam nie wiem już, w co wierzyć. Tamtego wieczora oskarżyłem ją, że spotkała się z innym mężczyzną, a potem pomyślałem sobie, że to śmiechu warte. Iris nie jest kobietą, którą można o coś takiego podejrzewać, ale czy można było... jej matkę? Nic już nie wiem. Co my właściwie wiemy o sobie?

Paul poczuł wielki ciężar. Wreszcie dane mu było to, o czym nigdy nie śmiał nawet marzyć: mógł swobodnie rozmawiać o Iris. Tylko że teraz nie wiedział, co począć z tym darem.

Nagle przypomniało mu się coś ważnego.

— A więc mówisz, że nie przypadłem jej do gustu?

— Przesada. Powiedzmy, że była... zakłopotana.

— Tymi dwoma, trzema spotkaniami przez tyle lat? Chyba byłem trochę nadgorliwy.

— Iris jest bardzo przenikliwa. Widzi wszystko, nawet najsubtelniejsze rzeczy.

Tak. Świat potrafi zmiażdżyć takich ludzi. Meg też kiedyś taka była. Jeśli kocha się ludzi, którzy sami nie są w stanie się ratować, trzeba ich ratować, jak kiedyś on Meg.

— Mam nadzieję, że się pogodzicie?

— Może. — Zaciśnięte, białe wargi Sterna przypominały bliznę. Paul, którego zawodowe życie upłynęło na negocjacjach, nauczył

się wyczuwać, kiedy atmosfera ulega zmianie i trzeba wycofać się z tematu. Stern zamykał się natychmiast, gdy rozmowa przechodziła na Iris. Mimo to zaryzykował raz jeszcze.

— Cokolwiek jest między wami, radzę, żebyście szczerze porozmawiali. Powiedzcie sobie prawdę, nic nie ukrywając. Wiem, że taka

rada brzmi kiepsko w moich ustach, ale mimo wszystko ci ją daję
— dokończył sucho.

Poczuł powrót energii. Teraz trzeba było szybko znaleźć rozwiązanie, obojętnie jakie, byle możliwe. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął książeczkę czekową oprawioną w groszkową skórę, ze złotymi narożnikami. Wieki temu dostał ją jako ostatni prezent urodzinowy od matki. Było to nieco zbyt ekstrawaganckie jak na jego gust i pewnie sam nigdy nie kupiłby czegoś podobnego, ale postanowił zachować ją, aż się rozsypie.

— Zawsze chciałem zrobić coś dla Iris, ale nigdy nie mogłem. Nie wydałem na nią nawet dolara. Wiesz, co to oznacza dla mężczyzny? Chcę dać ci tyle, ile trzeba, żebyś znów stanął na nogi. Wymień kwotę.

— Chyba nie zrozumieliśmy się — pokręcił głową Stern. — Mówimy o utrzymaniu rodziny w trakcie dwóch lat studiów...

Paul nie pozwolił mu dokończyć.

— Dobra, nie marnujmy czasu i słów. — Nastrój zmienił się i znów poczuł mieszaninę ciekawości i podniecenia. — Ile wynoszą twoje przeciętne dochody?

— Musiałbym policzyć — odparł z wahaniem Stern.

— W przybliżeniu.

— Nawet tego nie mogę powiedzieć ci od ręki. Paulowi, przywykłemu do bilansowania wszystkiego na poczekaniu, z trudem przyszło ukryć zdziwienie.

— Więc skąd wiesz, ile możesz wydać?

— Dokładnie nie wiem — odparł Theo lekko zawstydzony.

— Zarabiałem, wydawałem i zawsze jakoś grało.

— Zawsze grało — powtórzył zde gustowany Paul. — Natychmiast opanował się. Musi opanować swój niesmak. Temu człowiekowi nie wolno rozkazywać mocą własnej książeczki czekowej, naruszając jego godność.

— Czy mógłbym zobaczyć wydruk twojego konta bankowego na przestrzeni ostatnich trzech, czterech miesięcy? Dałoby mi to pewien obraz spraw, o których mówimy.

— Proszę. Możesz go nawet zabrać. Wszystko leży tu w szafie, gdzie trzymam kartotekę.

Przez następne dwie godziny Stern czytał przy biurku, a Paul zajął się pieniędzmi, które, podobnie jak analiza krwi, mówią wiele o trybie życia ich właścicieli. Gdy wreszcie skończył podsumowywać notatki, poczuł oburzenie i zdziwienie, ale udało mu się ukryć i jedno, i drugie.

— Chyba rozumiesz — zaczął łagodnie — że nie utrzymam was na takim pułapie. Obawiam się, że będziesz musiał przystać na pewne zmiany, bolesne zmiany.

— Śmiało — skinął głową Theo.

— Zaczniemy od domu. Chyba ten ogród kosztuje cię majątek?

— Tak, to piękny ogród.

— Domyślam się. Tylko że podatek od nieruchomości jest jeszcze piękniejszy.

— To duża posiadłość.

— Do tego lokalny klub. Wiem, że to miłe, ale trochę kosztuje, prawda?

— Więcej niż trochę.

— Domek na Wyspach Karaibskich. Co mamy dalej?

Paulowi przychodziło z najwyższym trudem wszystko to wyliczać. Przypominało to obnażanie człowieka w miejscu publicznym, ale też wpływ gotówki, gdy tylko trafiała na konto, był przerażający.

— Zacznie się całkiem nowe życie — powiedział i łagodząc to uśmiechem dodał: — Przepraszam, że wręczam ci ten upominek w tak szorstkim papierze.

— To nie upominek — poprawił go Stern. — To pożyczka. Przyjmuję ją tylko dlatego, że jestem w rozpaczliwym położeniu. Chodzi o dzieci... rozumiesz. — Znów jakby urósł w obrotowym fotelu.

Dumny gość. Bardzo dumny — mruknął do siebie Paul. — To potrafi zabić człowieka.

— W porządku — zgodził się bez oporu. — Pożyczka nieoprocentowana.

— Wykluczone. Najwyższy procent.

— Ale z ciebie uparciuch — uśmiechnął się Paul. — Tylko że ja też potrafię być uparty. Skoro nie chcesz przyjąć darowizny, będziesz musiał zgodzić się na pożyczkę nieoprocentowaną. Czek będę posyłał ci co kwartał, ale jeśli coś się wydarzy i zabraknie ci pieniędzy, masz mnie zaraz powiadomić. Dajesz słowo, że to zrobisz?

Stern skinął głową, a Paul widząc, że na dziś wystarczy mu już mocnych wrażeń, wstał. Zapadł zmierzch, więc zapalił światło. W jego blasku oczy Sterna zaśniły wilgocią, a Paul, który sam nie zawahał się ukazać własnych łez, wołał usiąść bokiem i pochylić się nad książeczką.

Dumny gość — pomyślał raz jeszcze. — Ale jednak lubię go. Wyczuł, że Stern nie jest w nastroju do dalszej rozmowy, więc dodał od niechcenia:

— Na mnie już czas. Trzymaj się. Z Bogiem, Theo. Położył czek na biurku, uściśnął lewą dłoń Sterna i wyszedł.

Przez cały następny ranek w głowie Paula aż kipiało. Prawda, że wiele zostało wyjaśnione. Gorzej, że główny temat wciąż piekł jak rozżarzone węgle. Co stanie się z Iris? Przymknął oczy, by przypomnieć sobie jej twarz i wyobraził ją sobie samotną, w przeładowanym antykami przepastnym domu, próbującą nieskładnie i rozpaczliwie wyjaśnić dzieciom, dlaczego muszą zostawić to wszystko i wyprowadzić się. Nieważne, czy ona, czy ona i Stern, czy tylko Stern zamieszkają w skromniejszym, zaleconym przez niego domu. Możliwości — wszystkie równie żałosne i wzbudzające współczucie — ukazywały się kolejno Paulowi; przypominało to powtórkę rozdartego życia jej matki lub coś gorszego. Coś znacznie gorszego.

— Strasznie pan dziś nieobecny, panie Werner — powiedziała stara zacna Katie, podając do stołu jajka na śniadanie.

— Dobrze to określiłaś, Katie.

Myślał właśnie, że ktoś powinien udzielić Iris psychicznego wsparcia. Nie może być sama ze swym bólem. Jej matka! To ona powinna być przy niej, skoro zna ich oboje i tylko ona jest w stanie pogodzić męża z żoną. A przynajmniej powinna spróbować. Paul zachmurzył się. Może nikt nie jest w stanie, ale ktoś musi spróbować. Stanowczo musi.

W roztargnieniu smarował masłem grzanki i żuł śniadanie.

Stern nigdy nie zwróci się do Anny. Tacy jak on nigdy nie poproszą nikogo o pomoc. W sumie oschły facet. Nie trzeba być wielkim psychologiem, by to spostrzec. Tak jak nie trzeba być ogrodnikiem, by przewidzieć, że sucha gałąź trzaśnie najszybciej. Na szczęście pieniądze nie pozwolą jej trzasnąć. Pozwolą mu zapewnić przyszłość dzieciom i odzyskać zawodową pozycję. Ale co z Iris?

Tak jak wczoraj, gdy w drodze do Westchester skręcił nagle z szosy i zajechał do Sterna, zerwał się nagle znad nie dojedzonego śniadania, odrzucając krzesło.

Katie! — zawołał. — Wyjeżdżam. Mogę wrócić jutro, pojutrze, a może dziś wieczór. Nie przestrasz się, gdy usłyszysz, że ktoś chodzi po domu.

Jak to mówił Stern? Berkshires. Chodzi na koncerty w Tanglewood, więc pewnie mieszka gdzieś niedaleko. Na upartego powinien ją znaleźć.

Gdy wrzucał do torby to, co niezbędne w podróży, nie opuszczało go wspomnienie lisy. Ciekawe, czy tak wytrawny ratownik jak ona zrozumiałaby go teraz, czy znów powiedziałaaby, że „igra z ogniem”?

Droga lisa. Powiedzmy, że zrozumiałaby.

A jeśli nawet nie, pora w drogę.

ROZDZIAŁ 11

Młody, sympatyczny recepcjonista poinformował go, że pani Friedman poszła właśnie poczytać na bocznej polanie. Paul wyszedł i znów poczuł złote, duszne, senne popołudnie — porę dnia, gdy nawet ptakom nie chce się śpiewać. Za to świerszeczki koncertowały, jak to późnym latem, a pasikoniki dokładały swoje spoza drewnianego płotu oddzielającego tereny pensjonatu od wiejskiej łąki. Ludzie gwarzyli w cieniu rozłożystych klonów.

Siedziała przy zbitym z desek stoliku na samym końcu opadającej ku płotowi zielonej pochyłości. Nie widział jej twarzy — była odwrócona — ale poznał ją zaraz, bo tylko ona mogła siedzieć tak z angielską i z taką klasą: ułożenie nóg, szyi, nawet fałdów na spódnicy. Jak to mówił Stern? Promienna i spokojna.

Stąpił po trawie cicho i powoli, bo wciąż korciło go, by wycofać się i uciec. Ile miała lat, gdy ją poznałem? Osiemnaście? — usłyszał zaskoczony własny szept.

Chyba wyczuła, że ktoś ją obserwuje, bo odwróciła się i widząc go, uniosła się i znów opadła na krzesło. Ujrzał jej pobladłą twarz, rozszerzone źrenice i rozchylone usta i już wiedział, że to on musi pierwszy się odezwać.

— Spokojnie, Anno. Naprawdę nie chcę ci się narzucać. Tamto było i minęło... Mogę usiąść? — spytał, wskazując wolne krzesło.

— Możesz.

— Chodzi o Iris. Nie obawiaj się. Nic złego się nie stało...

— Iris? A cóż ty o niej wiesz? Co możesz o niej wiedzieć? — spytała wyniośle. Spozstrzegł, że szybko oddycha. Perły wokół jej szyi napinały się i opadały.

— Tylko tyle, co usłyszałem od jej męża. Byłem u niego wczoraj, by obejrzał moje ramię. Pewnie nie wiesz, że kiedyś mi je pozszywał.

— Wiem — odpowiedziała, nie zmieniając tonu. — Wiem i zachodzę w głowę, dlaczego właśnie jego wybrałaś sobie spośród tylu innych lekarzy. Mam nadzieję, że przez przypadek. — Odczekała i gdy nie zaprzeczył, dokończyła: — Bo jeśli nie przez przypadek, to znaczy, że ostro grasz, a tego bardzo, ale to bardzo, Paul, nie lubię.

— Posłuchasz i zrozumiesz. Czy kiedykolwiek narzucałem ci się? Powiedz szczerze.

— Nigdy.

— I teraz też nie zamierzam.

Przyglądała mu się długo i spokojnie; wreszcie usatysfakcjonowana spytała, co ma jej do powiedzenia.

Paul poczuł, że wybiła godzina prawdy, na którą nie przygotował się odpowiednio. Przez chwilę przypominało to rolę szpiega lub dyplomaty żonglujących słowami, segregujących jawne i tajne fakty, gdy każde potknięcie grozi śmiercią lub kalectwem.

— Byłem u jej męża. Zastałem doktora Sterna w kiepskim stanie fizycznym i jeszcze gorszym psychicznym. Miał wypadek. Mówił, że wiesz o tym.

— Przytrzasnął sobie rękę. Nie mówił, że to aż tak poważne.

— Pewnie nie chciał, żebyś wiedziała, jak bardzo poważne. Stracił trzy palce. Nie będzie mógł operować. Zawiesił praktykę.

Uniosła dłoń ku szyi w geście przerażenia.

— A tak w ogóle — ciągnął Paul wiedząc, że zabrzmi to brutalnie

— te palce przytrzasnęła mu Iris.

— Nie! — Żal było patrzeć na jej przerażoną twarz.

Paul mówił wciąż cicho, ale coraz szybciej, by mieć to wreszcie za sobą:

— Oczywiście i on, i ona wiedzą, że to był nieszczęśliwy wypadek

— znów dyplomata lub żongler pilnujący, by żadna z fruujących w powietrzu kul nie dotknęła drugiej. — Tylko że ona czuje się winna. To ich poróżniło. Wyprowadził się z domu i mieszka w swoim gabinecie. — Udało mu się przemknąć bezpiecznie ponad próbą samobójstwa, jeśli to było taką próbą. — Iris potrzebuje pomocy. Ktoś musi z nią porozmawiać i... — uniósł bezradnie ręce — właśnie dlatego do ciebie przyjechałem. Chyba wiesz, że tylko dlatego.

— Biedna Iris, biedny Theo — westchnęła Anna. — Mówisz, że nigdy nie będzie już chirurgiem? To go wykończy. Co on będzie robił?

— spojrzała Paulowi w oczy.

— Będzie się kształciła na to dwa lata. — Ulgą było powiedzieć coś optymistycznego. — Chce zostać onkologiem.

— Aha, onkologiem.

— Łatwo mu to nie przyjdzie. Nie zaoszczędził ani centa. Nie wiedziałaś o tym? — spytał na widok jej uniesionych brwi.

— Pierwszy raz słyszę.

— Przepuszczał wszystko, co zarobił. Zaproponowałem mu pożyczkę, w sam raz tyle, by mógł znów stanąć na nogi.

Anna zeszywniała, choć mało kto zauważyłby to po niej.

— Niepotrzebnie, sama to zrobię. Wsiadam w samochód i jadę.

— On nic od ciebie nie przyjmie. Choćby dlatego, że jesteś teraz zdana na siebie. Słyszałem, że twój mąż nie żyje — dodał czując, że w takich chwilach wypada to powiedzieć. — Przyjmij wyrazy współczucia.

— Dziękuję.

— Wybacz... wiem, że niczego ci nie brakuje, ale nie jesteś...

— Chciałaś powiedzieć, że nie jestem bogatą wdową.

— Za to tak się złożyło, że ja jestem bogatym mężczyzną. Nigdy nie zrobiłem nic dla Iris i chyba domyślasz się, jak mi to ciążyło.

— Czyżbyś — głos zastygł jej w gardle — czyżbyś wspomniał coś Theowi?

— Ani słowem. — Znów żonglerka albo balansowanie na cienkiej, bardzo cienkiej linie. — Chyba żartujesz. To była kupiecka umowa. Wdzięczny pacjent, zdolny chirurg... nazwij to, jak chcesz. Wiem, że to głupie, ale, jak widać, przekonujące. — Wymusił z siebie uśmiech, który miał wciągnąć Annę w sieć konspiracji. — Niełatwo mi z nim poszło. Chodzi załamany, ale kark ma twardy.

— Zawsze taki był. Za to go lubię — powiedziała szybko. — Traktowałam go jak syna.

Nie dziwię się, Anno — pomyślał Paul. — Ile lat miał Maury, gdy zginął? Dwadzieścia trzy.

— Dobry mąż i dobry ojciec. Ale co z Iris? Gdzie teraz jest?

— W domu. Mówił, że spędza całe dni w swoim pokoju. Nie mają sobie nic do powiedzenia.

— I wszystko to ci powiedział? Dziwne.

— Może nie tak dziwne. Mógłbym być jego ojcem, a poza tym byłem kimś obcym, a on rozpaczliwie potrzebował rozmowy. Z nieznanym zawsze łatwiej się rozmawia.

— Tak, to prawda.

Popatrzyła na łąkę. Powiew wiatru poruszył liście drzew i przez chwilę w jej źrenicach odbijało się słońce, ukazując łązy na rzesach. Przymknęła powieki. On też, przypominając sobie, że zawsze miała rzęsy w kolorze złota.

Wyjęła chusteczkę i otarła oczy.

— Muszę do nich pojechać.

— Właśnie po to przyjechałem.

— Tak źle między nimi? - Przytaknął.

Przez chwilę milczeli. Wpatrywała się w łąkę. Wreszcie mógł przyjrzeć się jej uważnie. Prosta bawełniana sukienka, skromna jak pierwsze krokusy. Dłonie splecione na kolanach. W to burzliwe lato 1968 roku — lato fryzur afro i brudnych stóp w sandałach — wydawała się przybyszem z innej planety i innego czasu.

Paula zaskoczyło, że wyraża się życiowo i współcześnie.

— Iris to szczeniak — pokręciła głową. — Chodząca niewinność. Po czym, ku jego jeszcze większemu zaskoczeniu, dodała: — Nie jestem psychologiem, ale zawsze wydawało mi się, że jest tworem Josepha. Zresztą może się myłę. Zanim wyszła za męża, chciała uczyć dzieci ze slumsów. Ma do tego smykałkę. Tylko że Joseph nigdy nie pozwoliłby jej na to. Mówił, że sam nie po to stamtąd wyszedł, by teraz ona miała tam wracać.

— Jej mąż wspominał, że nadal chce uczyć. On, zdaje się, też nie jest za tym.

— Nie jest. — Anna zmarszczyła brwi, zamyśliła się, a Paul czekał, aż znów się odezwie.

— To dziwne. Czy on nie ubezpieczył się na wypadek kalectwa?

— Też go o to spytałem. Ubezpieczył się, ale głupio. Polisa nie wspomina nic o niemożliwości wykonywania jego konkretnej profesji. Dopóki może wykonywać jakąkolwiek pracę, choćby sprzedawać samochody, nic nie dostanie. Lekkomysłność albo głupota agenta ubezpieczeniowego.

— Cały Theo — pokiwała za smutkiem głową. — Nigdy nie miał głowy do interesów. Fatalnie, że nie pozwalał Iris wziąć w ręce tych spraw. Zna się na tym. Ale on nigdy by się na to nie zgodził.

Przyszedł kelner z bloczkiem i ołówkiem.

— Napijesz się herbaty, Paul? — spytała.

Paul! — imię, które wymówiła, zabrzmiało niczym echo. Paul...

— Chętnie — przytaknął, byle tylko zatrzymać tę chwilę.

Gdy przyniesiono herbatę, dołała mleka do jego filiżanki. Pamiętała, że pije herbatę po angielsku. Chciał pochwalić jej pamięć, ale zrezygnował, by nie zabrzmiało to zbyt intymnie. Wolał bawić się łyżeczką i śledzeniem jej dłoni zajętych dzbanuszką i talerzykiem z keksami. Na palcu skrzył się pierścionek. Ślubny pierścionek. Ciekawe, co czuły jej dłonie dotykając tego, który go jej wręczył? Skórę miała wciąż jak jedwab. Znać było po szyi i wycięciu dekoltu, pod którym sznur pereł układał się na biuście. Pewnie i resztę ma taką samą. Odpędził te myśli. Kto by pomyślał, że po tylu latach znów będą go nachodzić? Przez chwilę czuł lekką złość. Lisa nie miałaby podobnych skrupułów! Wróciłyby do niego, z dzieckiem lub bez. Prawda, że rzuciła go dla Izraela, ale co innego dziecko, co innego kraj. Tak, lisa na pewno by wróciła. Ale czy można winić Annę? Co właściwie wie o jej uczuciu do mężczyzny, którego poślubiła? Trudne to wszystko. Może lepiej zejść na ziemię.

— Tak dobrze im szło — przerwała milczenie Anna — a teraz tak głupio im się rozsypało. Pamiętam dzień ich ślubu.

Paul też pamiętał. Pamiętał, jak ukryci z Ilsa w bramie śledzili ich odjazd spod synagogi. — To wtedy moja dusza uwolniła się od ciebie, Anno.

— Może nie jest tak źle — powiedział, odpędzając wspomnienia.

— Może uda ci się przemówić im do rozumu.

— Są uparci, oboje. Zwłaszcza Theo. — Chyba chciała dodać coś więcej, ale zacisnęła usta.

Spoza żywoplotu dobiegł radosny okrzyk i uderzenie piłki w nawierzchnię kortu. Return i znów return. Pomyślał, że to śmieszne siedzieć z nią i popijać herbatę w letnie popołudnie.

— Czasami sędzę — powiedziała po długim milczeniu — że Theo żyje wciąż w przedwojennym Wiedniu. Był bardzo zamożnym młodzieńcem. Przywykł do zbytku. Mieli zimowy dom w Arlberg, a matka zabierała ich do Paryża, by przetarli się w świecie, gdy dwa razy w roku bywała tam u krawcowej. Theo kocha piękno, ład i perfekcję, podczas gdy Iris... — uśmiechnęła się wyrozumiale.

— ...Theo chce, żeby rodzina funkcjonowała jak blok operacyjny

— kontynuowała po namyśle. — Z dziećmi poszczęściło mu się, może z jednym wyjątkiem.

— Wspominał mi o tym.

— Steve był niezwykłym, naprawdę uzdolnionym chłopakiem. Wszystko szło mu świetnie: od tenisa po chemię. Wystarczyło, że przekartkował gazetę, a już miał własne zdanie. Tylko że — Anna znów

uśmiechnęła się melancholijnie — to nie zawsze było zdanie jego ojca. No i czasami dochodziło między nimi do napięcia.

A jak mogło nie dochodzić? — pomyślał Paul. — Twardy, dumny mężczyzna wychowany w Starym Świecie i pewny swej racji chłopak znający tylko dzikie lata sześćdziesiąte.

— Theo sądzi, że to Iris rozpuściła Steve'a, ale to niezupełnie tak. Wspaniale zna się na dzieciach. Rozumie je. Uwielbiały ją, gdy jeszcze uczyła. Do dziś ma sporo wiedzy i nieraz proszono ją, by wróciła do szkoły.

— A wróciłyby?

— Oczywiście, gdyby to od niej zależało.

— Więc powiedz jej, żeby to zrobiła — przerwał jej Paul. — Mamy jedno życie i musimy zrobić z nim to, co chcemy — dokończył z emfazą.

— Nie zawsze możemy robić to, co chcemy — odparła Anna cicho, ale równie stanowczo.

Dopiero teraz popatrzyła mu prosto w oczy. Przyjął jej spojrzenie, ale nie wytrzymał i spuścił wzrok.

— Nigdy nie była zbyt pewna siebie — odezwała się, też patrząc w filiżankę. — Mam na myśli Iris. Dawniej sądziłam, że czuje się wyobcowana z rodziny, niepewna swojej roli, nie wiem dlaczego, bo przecież nigdy ani słowem... — nie dokończyła.

— Wiem, Anno.

— Chyba taka sama była przy mężu. Wiedziałam, ale nic z tego nie rozumiem.

— Są rzeczy, których nigdy nie zrozumiemy — podsumował.

Słońce skryło się za wielką, szybującą po niebie chmurą; popołudnie kończyło się, a wraz z nim ich rozmowa. Paul zdobył się na wysiłek.

— Wybierzesz się do nich?

— Jutro rano. Właściwie już mi się tu nudzi.

— A więc spełniłem swoją misję?

— Spełniłeś i dzięki ci za to. Przepraszam, że nie powitałam cię z otwartymi ramionami.

— To zrozumiałe. — Wstał i uściśnął jej dłoń. — Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Z doktorem Sternem będę w kontakcie, ponieważ, pomijając wszystko inne, jest moim dłużnikiem. — Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Jej dłoń jakby ożyła; poczuł smukłość kości i gładkość ciepłej skóry. Wyrwał rękę i szybko się oddalił.

Wsiadłszy do samochodu raz jeszcze spojrzął w tylną szybę. Stała, za plecami miała krzak kaliny. Śnieżne kule, tak to kiedyś nazywaliśmy — przypomniało mu się. W bocznym lusterku odbił się kwitnący biały krzak i uniesiona na pożegnanie ręka.

Ich rozmowa, przerywana długim pełnym, napięcia i wyczekiwania milczeniem, trwała już godzinę. Było po północy. Światło lampy w pokoju bibliotecznym padało wąską smugą na trawnik, a dalej zalegała bezpieczna ciemność, w której nie widzieli swoich twarzy i w której łatwiej było im mówić o rzeczach nie do rozmowy w pełnym świetle. Theo, umiejący angażować się, a równocześnie patrzeć na wszystko z dystansu dociekliwego obserwatora, pomyślał z gorzką ironią, że taka para na tarasie przed domem byłaby idealną reklamą mebli ogrodowych lub orzeźwiających napojów pod warunkiem, że z kadru wycięto by jedną, demonstracyjnie opartą o poręcz fotela rękę.

— Może kiedyś nauczę się patrzeć na nią bez dreszczu — powiedziała Iris.

— Nie wiem, jak mam cię przekonać — odparł cierpliwie, myśląc, że od chwili wypadku powtarza to już chyba setny raz.

Przypominało to trochę jego stosunek do tamtej kobiety ze szpitala; on też wchodził bocznym wejściem, byle tylko nie spojrzeć jej w twarz. To z kolei skojarzyło mu się z żalną przygodą Iris i równie żalnym wyznaniem przez nią winy. Jeszcze dwa tygodnie temu wpadłby w szał zazdrości, ale teraz czuł tylko litość i smutek. Może przez to, czego dowiedział się o Iris, chociaż w innych okolicznościach fakt, że jest córką Paula Wernera nie wiązałby się ani z jednym, ani z drugim. Błądził myślami po splątanych ścieżkach, nakładających się jedne na drugie.

— Dziwne, że ten dach — przerwała milczenie Iris, patrząc na szczyt ich domu — jeszcze się nie zawalił, skoro wszystko poniżej leży w gruzach. Dziw, że trzyma się solidny i obojętny.

— Trzyma się, bo nie pozwolimy mu się zawalić — odparł cierpliwie Theo. — Powtarzam ci raz jeszcze, że rozmawiałem już o stażach na onkologii. W końcu znaczą coś jeszcze w środowisku i na pewno coś się znajdzie. Za kilka lat znów staniemy na nogi. Bóg nie opuści takiej rodziny jak nasza, jeśli oczywiście mu w tym pomożemy.

— Ciekawe tylko, z czego będziemy żyli?

— Trochę odłożyłem — rzucił mimochodem. — Trochę pożyczę z banku. Sprzedamy ten dom, zaciśniemy pasa i jakoś przebrniemy.

— Przecież jeszcze niedawno byłeś zdruzgotany. Nie chciałeś nawet mówić o przyszłości. Skąd te wszystkie pomysły?

— Po prostu potrzebowałem czasu, by sobie to przemyśleć.

Pewność siebie wracała z każdym słowem. Jak w starym powiedzonku: „Uśmiechnij się, a wszystko będzie lepiej”. Nadrabiał miną i czuł, że nadrabia stracony czas.

— Widzę, że wszystko zaplanowałaś — westchnęła.

— A ktoż miałby to zrobić? — odparł Theo zatajając, że tym kimś akurat nie był on sam. Przecież on załamywał ręce, gdy zjawiał się tamten człowiek. Człowiek, który przyniósł spokój i pewność. Stary? Jeśli nawet, to w jakiś ujmujący sposób. Ciekawe, co odziedziczyła po nim Iris? Ciemne włosy, ostre rysy? Przecież mnóstwo osób ma takie. Każdy szuka tego, co pragnie znaleźć. Trochę bolesne to, co wyznał o Annie. Chociaż z drugiej strony piękna byłaby z nich para. Każdy przyzna. Jej mąż był porządnym chłopem, ale to raczej Paul Werner był jej pisany. Pisany? Czyżby w głębi duszy był romantykiem? Bóg raczy wiedzieć. Może i z tego wzięły się jego problemy?

Milczał i zagłębiał się w podobne łamigłówki. — Czy Anna

— może i podświadomie — nie traktowała nie chcianego dziecka w szczególny sposób? Łagodnie, może nawet zbyt łagodnie, jakby chcąc mu coś zrekompensować? Już dawno powinien był dostrzec różnicę między matką i córką. Ale czy była to różnica charakterów, czy naturalny kontrast między cudzoziemką wychowaną w niedostatku, a Amerykanką wychowaną w puchu? Pomyślał, że odpowiedź przerasta jego możliwości, a poza tym co się stało, nigdy się nie odstanie.

— Matka powiedziała mi, że powinnam robić to, czego pragnę.

— Głos Iris zabrzmiał nieoczekiwanie oficjalnie i stanowczo.

— A czego pragniesz?

— Sam wiesz. Zawsze wiedziałeś, choć nigdy nie potrafiłeś zrozumieć, jak bardzo tego pragnę.

— Może masz rację.

— Wielu rzeczy nie potrafiłeś zrozumieć.

— Próbowałem, Iris. Naprawdę kochałem cię i Kocham. Z trudem stłumiła szloch.

— Wtedy rano... nazajutrz po powrocie ze szpitala, zbudziłam się i pierwsze, co zobaczyłam, był ten dąb za oknem. Zielony i taki piękny... Pomyślałam sobie, że strasznie nie chcę umierać i że nigdy nie chciałam.

— Wiem — powiedział cicho. — Wierz mi, że pokieruj esz swoim życiem, jak tylko zapragniesz. Będiesz uczyć, skończysz studia, zrobisz doktorat, jeśli tylko zechcesz. Wszystko będzie inaczej. Obiecuję ci.

— Matka powiedziała mi, że trzeba się wygadać, wyklócić. Dziwne, że nigdy dotąd tak ze mną nie rozmawiała. Zupełnie jakby ktoś otworzył jej oczy, a przy okazji i mnie. Zawsze byłam o ciebie zazdrosna, Theo, a ona zawsze powtarzała mi, że nie powinnam tego okazywać. Ciekawe, co ją tak odmieniło.

Poruszyła się w fotelu. Smuga światła padła przez okno na jej twarz, ukazując mu nowe, pełne powagi i desperacji oblicze.

— Zawsze byłam tym drugim dzieckiem. Kimś gorszym niż mój brat. Mama strasznie była z niego dumna. Nawet papa... czasami czułam, że rozpieszcza mnie jakby na pociechę, że nie jestem taka jak Maury. Potem zjawiłeś się ty, twoje kobiety, no i żona, którą straciłeś podczas wojny. Liesel... Podobno była bardzo piękna.

Okrzyk spłoszonego ptaka przerwał nocną ciszę. Theo też poczuł się spłoszony. Zapragnął uciec, ukryć się w bezpiecznym domu, zasnąć i o niczym już nie myśleć. Ale Paul powiedział wyraźnie: „Radzę, żebyście szczerze ze sobą porozmawiali. Niczego nie wolno wam ukrywać”.

— To nie takie proste, Iris. Nigdy ci o tym nie mówiłem — powiedział, opanowawszy się.

— A więc powiedz teraz. Może już dość tych sekretów, Theo? Wyciągnął się w fotelu. Dziwne, że teraz, gdy trzeba było przyjąć

wyzwanie, ustał pulsujący przez cały tydzień ból w dłoni. Psycho-somatyka. Przełknął ślinę, jakby same słowa, którymi nigdy dotąd z nikim się nie podzielił, kłuły w krtani niczym zardzewiałe żelastwo.

— To stało się przed moim wyjazdem do Ameryki, gdzie zamierzałem ściągnąć całą moją rodzinę. Dostałem dwa anonimowe listy, obrzydliwe listy, a oba o niej. Informowały, że spotyka się z mężczyzną, ze skrzypkami z kameralnej orkiestry. Znałem go. Znałem całą tę orkiestrę. Młody, przystojny i bez grosza; nawet wzruszający w tym swoim wyświechtanym fraczku. Nie wierzyłem. Z jednej strony takie plugastwa, z drugiej moja żona. Wstyd mi było w ogóle o tym wspominać. A jednak... a mimo to poczułem niepokój. Może jest w tym coś z prawdy? Zacząłem analizować. Nasze narze-czeństwo trwało bardzo krótko, bo tak życzyli sobie jej rodzice, co wówczas zachwyciło mnie, ale i zaskoczyło. Zacząłem podejrzewać, że może chcieli wyrwać ją jak najszybciej z objęć nieznanego muzykanta

bez przyszłości i posłać na ślubny kobierzec z lekarzem z dobrej rodziny i z wielką przyszłością. Czy było to aż tak nieprawdopodobne? Byłem młody, ale wiedziałem nieco o życiu. Gryzłem się myślami, czując równocześnie, jak podłe są te podejrzenia.

Musiałem poznać prawdę. Pewnego dnia zacząłem się na ulicy, przy której mieli próby, i poczekałem, aż wyjdą dźwigając nuty. Szedłem za nimi do ubogiej dzielnicy Wiednia i zobaczyłem, jak wchodzi do bramy domu, gdzie najprawdopodobniej mieszkał. Poczulem... sam nie wiem, jak ci to opisać... taką wściekłość, że mógłbym go zabić na miejscu, a równocześnie pustkę i apatię po doznanym wstrząsie. Stałem przez chwilę naprzeciwko, ale rola szpicla była zbyt haniebna i poniżająca, więc zawróciłem do domu.

Gdy przyszła, było późne popołudnie. Ostatnimi dniami uwijałem się jak w ukropie, przygotowując wyjazd, więc zaskoczyło ją, że już jestem i czytam sobie spokojnie. Spytałem ją, jak spędziła przedpołudnie. Odpowiedziała, że była na spacerze z dzieckiem, a potem odwiedziła sklepy. Wspomniałem, że chyba widziałem ją gdzieś na Ringstrasse, choć tego ranka moja noga tam nie stanęła. Ciebie albo kogoś podobnego — dodałem dla niepoznaki. „Oczywiście, że mnie — odparła bez wahania. — Kupiłam ci ciepły sweter, żebyś nie zmarzł na statku”. Poprosiłem, by mi go pokazała czując, że robi mi się niedobrze od własnych kłamstw. „Właściwie chciałam kupić, ale akurat nie było twojego rozmiaru — szła w zaparte. — Jutro wpadnę i wybiorę coś innego. Czemu mnie nie zatrzymałeś?” — Widziałem cię z tramwaju — uśmiechnąłem się. — A co poza tym? „Byłam na próbie. Zasiadzieliśmy się nad Mozartem, więc biegłam co tchu”. Patrzyła mi w oczy szczerze i uczciwie. Jak zawsze, gdy się kłamie. Chciałem powiedzieć więcej, ale nie miałem odwagi. Nie, żeby mnie przekonała. Po prostu chciałem znaleźć dla niej jakieś usprawiedliwienie. A poza tym, to nie był dobry czas i wolałem poczekać, aż wszyscy wydostaniemy się z Wiednia. Muzycy jak to artyści — myślałem — żyją często nieroztropnie i zapomni o nim, gdy nie będą się widywać. Nazajutrz wyjechałem z Wiednia i nigdy nie dowiedziałem się prawdy...

Zaległa długa, gęsta cisza, jak wtedy, gdy kończy się bajka, a dzieci siedzą z rozdziawionymi buziami lub gdy sen otwiera nam sprawy stare, tajemnicze i zastanawiające.

Theo skończył i czekał, aż ona coś powie. To, co opowiedział, i to, jak o tym mówił, odebrało i jej głos. Niczym w staroświeckim fotoplastikonie lub przez teleskop ujrzała innego Thea: młodego i nie

tak pewnego siebie. Nigdy nie była w Wiedniu, ale znała to miasto nieźle z pocztówek i fotografii. A więc Theo stoi w bramie naprzeciw secesyjnej kamienicy z wąskimi, ozdobnymi oknami. Dzień jest szary i dżdżysty, jak to z końcem marca, wiatr chłoszcze go w twarz, a on wpatruje się w jedno z takich okien. Odrzucony i chyba poniżony. „Dlatego ona mi to robi?” — zadaje sobie pytanie. To samo, które tak często i ją nawiedzało. Ujrzała go w innym wymiarze: nie pomniejszonego, ale zranionego, a przez to jakby bliższego... Jak ona, gdy ryzykując wszystko dla małostkowej zemsty, sprzedała własną godność za flirt z jakimś facetem.

— Wybacz, Theo. Naprawdę strasznie mi przykro — powiedziała czując, że dopiero teraz obnażyli się prawie do gołej skóry.

— Żal mi chłopaka — podniósł głos. — Był moim pierwszym synem. Nigdy nie dowiedziałem się, jak zginął. Czasami myślę, że moja złość na Steve'a miała z tym coś wspólnego. Bo Steve żyje i powinien mądrzej pokierować własnym losem. Pewnie głupio gadam.

— Nie tak bardzo głupio. — Trochę go rozumiała, ale tylko trochę. Żal czy duma, Theo? — pomyślała. — I co to ma wspólnego z tamtym chłopcem? Teraz wstydzisz się, że syn doktora Sterna dołączył do brodatych kontestatorów.

— Złóścisz się na niego, a ja się o niego martwię — powiedziała.

— Wiem. Myślisz, że ja się nie martwię? Może lepiej by było, gdybym to ja martwił się mniej, a ty złościła bardziej.

— Czytałeś nowe wieści o profesorze, z którym się związał? O tym Powersie. Theo, musimy wyrwać go z rąk tych ludzi! Nie rozumiesz tego?

— Ciekawe, jak? Nie zmienisz go i nie pomożesz mu, dopóki sam nie zechce się zmienić.

Miała co do tego inne zdanie, ale żeby nie wkraczać znów na ubitą ziemię, spróbowała ironizować:

— Pewnie myśli, że dobrze potrząsnął naszą klasą średnią. Gdy pomyślę o tym, co przydarzyło nam się przez ostatnie dwa tygodnie, sądzę, że sami odwaliliśmy za niego większość roboty.

Tak, odwalili zdrowy kawałek roboty: najpierw Theo z pielęgniarką, potem ona z Jordainem, wreszcie jej próba—jeśli tak to nazwać — samobójstwa.

Theo myślał o czymś innym: w tym kraju liczy się tylko to, jak cię widzą. Możesz zaciskać pasa, ale to nic nie da ani tobie, ani twoim dzieciom.

— Damy sobie radę — powiedziała, jakby odgadując jego myśli.

Księżyc przebił się przez chmury i nagle oświetlił ogród. Szpaler tui sterczał nieruchomo jak ustawione na sztorc bagnety. Trawa opalizowała, a basen lśnił srebrem. Theo zaplanował sobie taką właśnie cichą przystań na resztę życia. Wystarczyło rzucić okiem na jego twarz, by widzieć, jak przeżywa urok tej nocy i ból rozstania. Nieraz, widząc przepych ich domu, czuła niepokój i ciężar dostatku. Ale teraz — gdy przyjdzie się z tym pożegnać — wszystko wyglądało mniej łatwo, niż zawsze to sobie wyobrażała.

Czekały ich wielkie zmiany, a sam fizyczny wysiłek, który będą musieli podjąć, przytłoczyłby każdego. Ale ona stawia mu czoło. Pierwszy raz w życiu patrzyła w przyszłość nie jawiącą się w promiennych barwach. Była zmęczona, ale gotowa przyjąć wyzwanie.

Najważniejsze, że nie rozejdą się. Znużenie, które ją opadło, nie pozwalało przeanalizować uczuć do męża, ale ulga była niewątpliwa. Po tych kilku dniach spędzonych we własnym gabinecie wrócił silniejszy i jakby odnowiony, gdy już myślała, że wszystko między nimi skończone. Coś niezwykłego musiało mu się przydarzyć. Ciekawe co... bardzo ciekawe.

Chłodny podmuch zatrzepotał liśćmi drzew.

— Chyba już świta — powiedział Theo. — Chodźmy do domu. — W drzwiach pochylił się i musnął jej policzek. — Wszystko będzie dobrze, Iris. Wierz mi.

— Wierzę. Wierzę i chcę, żebyś i ty wierzył. Trzeba było zrobić ten pierwszy krok.

ROZDZIAŁ 12

Zaczęła się długa wspinaczka. Najgorszy był dzień, gdy przed dom zajechał wóz meblowy z ekipą. To wtedy rzeczywistość przybrała konkretny kształt. Iris przyszło na myśl, że każda przeprowadzka jest bolesna, nawet gdy podejmuje się decyzję z wyboru i z rozsądku. Serce pęka przy każdym meblu wynoszonym za drzwi przez wynajętych ludzi. Najpierw wynieśli fortepian: kiedyś skarb Thea, teraz Filipa. Ciekawe, jak zmieszczą go w tym nowym saloniku? Śladami fortepianu ruszył portret czarnowłosej damy. Theo przywiózł go w radosnym nastroju jako niespodziankę z okazji dziesiątej rocznicy ich ślubu. Powtarzał, że ta dama przypomina trochę Iris, choć ona sama nigdy nie mogła dopatrzeć się podobieństwa. Kruchą angielską porcelaną wynoszono w kartonach: ślubne i urodzinowe prezenty od Anny, która nigdy nie mogła powstrzymać się od kupienia porcelanowej zastawy. W ich nowym domu nie będzie miejsca na takie cacka, a gdyby nawet—komu będą nimi imponować? W nowym domu poddasze przypominało pawlacz, postanowili więc zdeponować porcelaną u Anny. Iris nie wiedziała, dlaczego wszystkie te meble, których — może oprócz fortepianu — nigdy nie pragnęła, teraz, wynoszone z domu, płaczą jak żywi ludzie.

Theo wyszedł do ogrodu i odwrócony plecami do domu nie słuchał zgiełku przeprowadzki. Wiedziała, że chce utrwalić w pamięci każdy szczegół: rododendrony, których jasne liście tak ładnie lśnią na soczystej trawie, wierzbę płaczącą odbijającą się w lustrze basenu. Przywiózł ją tutaj i zasadził, gdy przypominała patyczek. Wybrał jej miejsce, obliczył wysokość i nie pomylił się. Już jutro ktoś inny będzie podziwiał, jaka jest wiotka i jak trzepocze listkami przy byle wietrzyku. Iris wiedziała, że on też o tym myśli i że ci nowi nigdy nie docenią tej

wierzby. Nie wyglądali na takich, którzy kontemplują w ciszy drzenie gałązek. Poczuela, że klęska Thea jest i jej klęską.

Ekipa meblowa obesza dom i zajała się sprzętem w ogrodzie. Najpierw foteliki z tekowego drzewa, potem stół, wreszcie gięta ławeczka. Wszystko wiekowe i sprowadzone przez Thea z Anglii. Lubił czytać na tej ławeczce, w blezerze z owczej wełny, gdy pod jesień robiło się chłodno.

Karciła go, że się przeziębi, a on odpowiadał, że zimno robi dobrze na krążenie w palcach.

— Po co to wszystko bierzemy? — spytał teraz. — Nie lepiej pozbyć się od razu tych gratów? — spuścił wzrok.

— Znajdziemy na nie miejsce, moja w tym głowa. Sprzedaż domu łącznie z formalnościami zajała im trzy miesiące.

Iris sądziła początkowo, że zarobią na tej zamianie. Ten nowy był przecież nędzną podróbką Tudorów dla niezamożnych: łuki, gipsowe stiuki, dach w skos i plastikowe belkowanie a la czasy elżbietariskie. Zbudowany pod sznurek w kiepskiej dzielnicy miasta. Z jednej strony tory kolejowe, z drugiej handlowe pawilony. W niczym nie przypominał tamtego zielonego zacisza. Nie była aż tak zaskoczona, kiedy przed kilkoma laty Theo, nie pytając jej o zdanie, kupił ten domek pod zastaw hipoteczny.

— Po co ci ten dom? — spytała wtedy oburzona.

— Dziś inwestuje się w nieruchomości — wyjaśnił.

Tylko że zamiast inwestować, szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Teraz na widok jego miny wołała do tego nie wracać.

Trzeba było zakasać rękawy. W okolicy brakowało nauczycieli i Iris przyjęto z otwartymi ramionami. Obiecano, że po wakacjach dostanie pełny etat, a na razie ma, ile chce godzin zleconych.

— No to w drogę — westchnął Theo.

— W drogę.

Pomachali i odjechali. Nowi właściciele przeliczyli klucze, powiedzieli, że nie ma jak na nowych śmieciach i też pomachali im na pożegnanie. Theo ruszył pierwszy, tuż za wozem meblowym. Orszak zamykała Iris w combi w towarzystwie psa i kota Laury.

— Spokojnie, chłopcy — pocieszała ulokowane na tylnym siedzeniu zwierzaki.

— Ja też nie wiedziałam, że ten dom należy do banku.

Wiedziała, nie wiedziała — i tak będzie jej go brakowało. Choćby tych szklanych japońskich drzwi, przez które latem wpadało słońce, a zimą skrzył się śnieg z puszystych zasp i uginających się pod nim gałązek jedliny.

Nie mówiąc o schowkach i szafkach, które własnoręcznie zbiłam z desek — pomyślała. — Skąd miałam wiedzieć, że kiedyś wyniesiemy się stąd, a przecież trudno i je zabierać?

Na szczęście Anna miała w swoich przepastnych komnatach wystarczające zasoby biurek, komódek i etażerek, by mogli umeblować się na początek. Dołożyła zasłony, „przytulne” i w sam raz pasujące do dziewiętnastowiecznych mebli, których Iris nie znosiła, a Theo uwielbiał.

Gdy podjechali pod domek, na chodniku oczekiwała już grupa dzieciaków z sąsiedztwa, patrzących z zachwytem, że coś wynosi się z furgonetki. Iris rozpoznała wśród nich jednego ze swoich szóstoklasi-stów.

— Mama zaraz przyniesie placek pani Stern — pochwalił się reszcie.

Widząc, jak Theo rozpaczliwie manewruje mercedesem, by wjechać do ciasnego garażu, pomyślała, że chyba nie polubi tego miejsca. Za płotem dziatwa hałasowała uniesiona na huśtawce. To też nie było w stylu Thea. Oczyma duszy ujrzała go zagłębnego w lekturze w cieniu wierzby nad niezmaconą tonią basenu.

Pearl uwijała się w kuchni. Obiecała, że doprowadzi dom do porządku, zanim nie znajdzie sobie czegoś odpowiedniego. Nie mieli dla niej lokum, nie mówiąc o miesięcznym wynagrodzeniu. Mimo to zakasała rękawy i żwawo szorowała kuchenne półki. Uniosła głowę i mrugnęła optymistycznie okiem.

— Schludni ludzie tu mieszkali, pani doktorowo.

— Tak, ale trochę tu inaczej. Prawda, Pearl? Podgrzybiała ciemna kuchnia, wytarte linoleum, przedpotopowe

szafki — wszystko to w niczym nie przypominało przestrzeni, w których Pearl hulała ugniatając ciasto lub ciskając półmiski sałatek na marmurowe lady.

— Wystarczy rzucić tu trochę farby — pokiwała głową z fachową aprobatą. — Najlepiej groszkowej.

— Masz rację, Pearl — przyznała nieśmiało Iris. — Groszkowa jest słoneczna.

— A pan doktor — ciągnęła podbudowana na duchu Pearl — też jakby wydobrzał, od kiedy zdjęli mu opatrunek.

— Chyba tak. u

— Najważniejsze, że znów ordynuje.

Dla Thea, który właśnie zatrudnił się jako stażysta na onkologii w nowojorskim szpitalu, nie było to aż tak radosne.

— Tak, to najważniejsze — powiedziała Iris i nie mogąc dłużej panować nad sobą, rozbeczała się i padła Pearl w ramiona.

— Pearl, co my bez ciebie zrobimy? Nie mówiąc o twoich wypiekach — dodała żartem, by ukryć wzruszenie.

— Jakoś to będzie, pani doktorowo.

Kuchenne drzwi otworzyły się i Laura z naręczem podręczników stanęła w progu. Obrzuciła wzrokiem kuchnię i wycodziła:

— Sama nie wiem, gdzie wracam ze szkoły.

— Chcesz powiedzieć, że nie podoba ci się tutaj?

— A co mama chciałaby usłyszeć?

— Chciałabym usłyszeć — Iris opanowała drżenie głosu — że rozumiesz naszą trudną sytuację i cieszysz się, że znów jesteśmy razem. — A niby skąd ona ma znać naszą trudną sytuację i wiedzieć, że ostatnio nie byliśmy razem? — pomyślała i powiedziała: — Chodź, Lauro, pokażę ci piętro.

Piętro składało się z trzech małych sypialni i klitki, w której pewnie stała maszyna do szycia, gdy panie obszywały się jeszcze w domach. W sam raz dla Filipa. Jimmy i Steve studiuja, więc zadowolą się jedną sypialnią, gdy czasem wpadną. Wątpliwe, czy któryś z nich chciałby zamieszkać tu na stałe. Steve? Któż wie, co mu w głowie. Jimmy? Z tą Janet chyba związał się na serio i pewnie niedługo się pobiorą, choć to jeszcze młokos. Może i dobrze, bo wspaniała z niej dziewczucha. Laura? Też musi mieć własny pokój. Nawet meble już jej wstawili.

Obie spostrzegły, że między łóżkiem, biurkiem, regałem i szafą, którą cudem udało się wnieść na piętro, nie sposób zrobić kroku. Ciemne, uniesione do połowy rolety przepuszczały niewiele światła na ściany i burą podłogę. Laura rzuciła okiem i przysiadła na gołym materacu.

— Mamo, przecież tu jest jak w celi — jęknęła i wybuchnęła płaczem.

— Może walca tańczyć się tu nie da — przytaknęła Iris i nagle naszła ją refleksja: czy nie byłam dumna, że nie przywiązuję wagi do rzeczy? Łatwo było, skoro zawsze je miałam. Może przyszedł czas, by pozwolić sobie na luksus nieposiadania ich!

— A wszystko przez to, że przytrzasnąłaś rękę ojcu — łkała Laura.

Było to jak cios nożem, ale Iris opanowała się.

— Więc przestań beczeć w jego obecności. A teraz powieś w szafie sukienki, posprzątaj tu, i to tak, żebym drugi raz nie musiała ci przypominać. Rozumiemy się? — Wyszła, nie zamykając drzwi.

Przystanąła na półpiętrze i spojrzała przez okno. Wóz meblowy odjechał, więc klamka zapadła. Wszystko... dosłownie wszystko się zmieniło. Najszybciej zrozumiały to dzieci i już przyzwyczyły się do nowych porządków. Steve ucieszył się, że wreszcie żyjemy jak prości ludzie — pomyślała z ironią. Żadnych klubów, golfów, basenów w ogrodzie; popływają sobie w Ymce, gdzie Theo już też ćwiczy w publicznej siłowni, od kiedy urwał mu się tenis na prywatnych kortach. Jak to się ma w porównaniu do bezmiaru cierpień, które przeżyli ich przodkowie? A jednak najbardziej wstrząsnęło to Stevern. Przyjechał i to nie z synowskiej miłości — zbyt wiele narosło między nim i Themm — ale jak ktoś, kto przyjeżdża na cudzy pogrzeb, bo tak wypada, nawet gdy nie zna się nieboszczyka. To właśnie on miałby tu coś do powiedzenia, ale i on wykazał największą obojętność wobec kalectwa Thea.

— Nic nie wiem... nic nie rozumiem — powtarzała, jakby ktoś zarzucił jej płaszcz na głowę. Patrzyła w okno nie wiedząc, co dzieje się na ulicy.

Po chwili wzięła się w garść i zeszła na parter.

Tam właśnie zgromadzono wszystkie meble. Jasne duńskie drewno nie pasowało do burych ścian. Iris pomyślała, że pewnie są zagrzybione. Jak cały ten dom.

Pearl podała kolację do stołu w jadalni: kurczaki, sałatka, szarlotka. Teraz ja będę musiała zająć się kuchnią — pomyślała Iris. — Kiepska w tym jestem. Laura kocha gotowanie, więc pewnie mi pomoże.

Kolację zjedli w milczeniu. Nawet Filip, zawsze rozbrykany, dziś był przygaszony.

Wieczorem wpadli sąsiedzi, by się przedstawić. Byli serdeczni i mili, doradzali, gdzie tanio kupić i gdzie porządnie piorą. Iris pomyślała, że w ich dawnej dzielnicy byłoby to nie do pomyślenia i też zrobiło się jej miło. Ale gdy poszli, pozostawiając kuchenny stół pełen upominków: ciasto, koszyk truskawek, chleb domowego wypieku — poczuła, że jest w tym coś dwuznacznego. Składka na biednych! Poczula straszny wstyd.

Pierwszym, który zaakceptował zmianę, był jednak Filip. W dwunastym roku życia łączył koleżeriskość Jima i błyskotliwość Steve'a, dzięki Bogu pozbawioną dociekliwości, której w jego wieku Steve miał aż w nadmiarze. Polubił swój pokój, a nawet czuł coś na kształt dumy z tego, że jego mama uczy w szkole, do której on sam uczęszcza. Wiezorami siadał do fortepianu i przygrywał rodzicom, jakby nic się nie zmieniło.

Nauczycielka muzyki dała mu właśnie nuty walców Chopina. Muzyka zmierzchu — nazywała to niegdyś w skrytości Iris — muzyka dla zakochanych, do słuchania i do tańca. Teraz wzbudzała w niej dreszcz. Po raz ostatni słuchała jej w mistrzowskim wykonaniu tamtego wieczora w Carnegie Hall. Muzyka urwała się i Filip zwrócił twarz ku rodzicom w oczekiwaniu pochwały.

— Wspaniale! — powiedział Theo, unosząc głowę znad biurka, które zdołał jakoś ulokować w jednej z wnęk i przy którym teraz się dokszałcał.

Iris też wypadało coś powiedzieć.

— Masz cudowną lekkość palców, a przynajmniej dłoń pianisty... — Nie dokończyła, doznawszy wstrząsu na sam dźwięk słowa „palce”. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi, a jeśli nawet, to nie dał po sobie poznać. Podejrzewała, że zawsze będzie drżeć na to słowo, chociaż nigdy nie wracali do wypadku. Wszystko, co miało zostać powiedziane, zostało powiedziane.

Zresztą ostatnio niewiele ze sobą rozmawiali. Na biurku Thea piętrzył się stos książek. Minęły wieki od czasów, gdy musiał wkuwać na pamięć i podejrzewała, że z trudem się przyzwyczajają. Ona wieczorami poprawiała zadania lub przygotowywała się do jutrzejszych lekcji. Na szczęście miała spory zasób sił i była w stanie połączyć te wymogi z obowiązkami domowymi, w czym nie była biegła, ale jakoś dawała sobie radę. Wykonywała je rutynowo, mechanicznie, bo ktoś musiał to robić. Czują przy tym psychiczne znużenie i brak motywacji innej niż ta, by mieć to za sobą. Często zastanawiała się — choć nie odważyła się spytać wprost — czy Theo to odczuwa.

Czasami wydawało się jej, że spotykają się jakby w przelocie, mówią to, co należy powiedzieć, żadnych abstrakcji, dyskusji, emocji: co zrobili, co powinni zrobić. Byli dla siebie mili i jak dawniej troskliwi, ale...

Jak to określić? — zadawała sobie pytanie. — Pustka? Tak, to chyba niezłe słowo. Może nie najlepsze, ale w sam raz. Plus odrobina smutku po tym, co czuła kiedyś, a czego już nie czuje. Nawet po udrękach zazdrości, które dawniej przerywały błogą słodycz.

Stopniowo atmosfera w ich małym domku ustabilizowała się, ale nad Iris wciąż wisiała ciężka chmura, mimo że kryzys minął i zapanował spokój, zaś ona wiedziała, że chmura wisi nie tylko nad nią, lecz siłą rzeczy nad całym tym domem.

Pewnego dnia, parkując przed domem matki, zauważyła mężczyznę wsiadającego do staroświeckiego wozu obcej marki, który natychmiast odjechał. Wjeżdżając na podjazd, zdążyła przyjrzeć się mężczyźnie: bardzo wysoki, szczupły, ni to siwy, ni to szatyn. Coś w nim wydawało się znajome, może dlatego, że zawsze miała wyjątkową pamięć do twarzy, a Theo żartował nawet, że byłby z niej dobry gliniarz.

Anna w jedwabnej sukni przyjęła ją w złotym gabinecie.

— Mama pewnie gdzieś się wybiera — powiedziała Iris. — Może wpadłam nie w porę?

— Wpadłaś w porę i nigdzie się nie wybieram — odparła Anna, jakby nieco spłoszona, a może tylko tak się Iris zdawało.

— Widzę, że miałaś gościa.

— Miałam.

— Samochód jak z filmu.

— Samochód? Nawet nie zauważyłam.

— Chyba skądś go znam — ciągnęła Iris, zdając sobie sprawę, że jej wścibstwo staje się nachalne.

— Widzę, że wraca ci ciekawość świata — powiedziała Anna trochę oschłym tonem.

— Może — wzruszyła ramionami, udając obojętność.

— W porządku. Skoro koniecznie chcesz wiedzieć, to był Paul Werner.

— Ach, ten tajemniczy nieznajomy! Zawsze pojawia się w najmniej oczekiwanych miejscach.

— Najmniej oczekiwanych? A cóż dziwnego w odwiedzaniu starych przyjaciół?

Odpowiedź matki była tak nietypowa, że Iris zarumieniła się i wyjąkała:

— Nie wiedziałam, że jesteście starymi przyjaciółmi.

— Przecież wiesz, że znałam go przed laty. Wyjeżdża na dłuższy czas do Europy i przyszedł się pożegnać. Przejeżdżał właśnie przez Westchester.

W połączeniu z początkowymi zdawkowymi odpowiedziami to szczegółowe wyjaśnienie wydawało się jeszcze bardziej podejrzane. Podobnie jak zarumienione policzki Anny. Teraz i Iris poczerwieniała na myśl o swoich niecnym podejrzeniach. Nonsens. Kobieta w wieku

mamy? I to zaraz po zgonie męża, do którego była tak przywiązana? Czysty nonsens. Mimo to wspomniała wieczorem Theowi o epizodzie.

— Dziwne, bardzo dziwne. Ten człowiek wyrasta jakby znikąd, choćby u ciebie w szpitalu. Opowiadałam ci, że gdy byłam dzieckiem, zawsze pojawiał się przypadkiem, zbiegiem okoliczności. Skoro do dziś pamiętam kilka takich spotkań, musiało to wyrzucić na mnie wrażenie — dodała i zamyśliła się.

Theo uniósł głowę znad notatek i trzymająca pióro dłoń zawisła w powietrzu. Czemu nie zauważy, że piszę już prawą ręką? — pomyślał, ale zamiast tego spytał:

— I cóż cię w tym niepokoi?

— Nie wiem. Nie tyle niepokoi, co irytuje. Pamiętam, że zawsze wpatrywał się uporczywie w mamę i że była tego świadoma.

— Przywidzenia, Iris.

— A poza tym nie lubię go. Po prostu go nie lubię.

— Robisz z igły widły.

— Może i robię, ale nie lubię go i tyle — powtórzyła i wolała nie wspominać o dziwnych myślach, które wyzwolił w niej ów człowiek.

— To drobiazg. Mamy teraz ważniejsze sprawy, ty i ja — powiedział serdecznie Theo, po czym znów zanurzył się w swoich notatkach.

ROZDZIAŁ 13

— Widzę, że wracasz do formy — powiedział Paul.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz — odparł Theo.

Paul pomyślał, że ten człowiek jest enigmą. Czasami otwierał się tak, że to Paul musiał się wycofywać, a kiedy indziej zatrząskiwał mu drzwi przed nosem na zupełnie obojętne pytanie. Mimo to dobrze, że znów rozmawiają. Minał rok od dnia, kiedy odwiedził go w tym pogrążonym w żałobie gabinecie, a teraz siedzieli przy lunchu w gwarnej, jak to w południe, restauracji w centrum miasta. Spotkanie zaaranżował Theo, ponieważ Paul uznał, że po „akcji ratowniczej” taktowniej będzie usunąć się w cień i czekać na telefon.

— A jak w waszym domowym ministerstwie finansów? — zażartował.

— Cienko, ale jakoś przedziemy. Pewnie głos mi drży? Nie tylko głos. Zaskakujące, bez ilu w sumie niepotrzebnych rzeczy człowiek potrafi się obejść. Teraz, gdy Laura poszła do college'u, gotowaniem zajmują się Filip i Iris. Do stołu nakrywa ten, kto pierwszy wróci ze szkoły. Zmywanie naczyń należy do mnie i do Filipa. A potem całą trójką zasiadamy do książek.

— Pewnie sporo czasu ci to zajmuje w nowej specjalności?

— Mam wspaniałego mentora, jednego z najlepszych w tej dziedzinie. Przez lata nie nauczyłem się tylu nowych rzeczy. Odświeżyłem sobie mózg. Uratowałeś mnie, Paul, i to nie tylko finansowo. Duchowo też.

Paul był tak wzruszony, że zamiast coś powiedzieć, ukrył twarz za filiżanką kawy.

— Iris zamierza podjąć studia w przyszłym semestrze. Oczywiście wieczorowo. Ciężko będzie jej pogodzić to z domem i pracą.

Najdziwniejsze, że jej matka — Theo, nie wiedzieć czemu, wolał nie powiedzieć „Anna” — sama ją do tego zachęciła. Wiesz, że to ona podbudowała psychicznie Iris, gdy wpadła do nas z wiejskiego zacisza? Powiedziała, że czuła, iż jest potrzebna, więc wsiadła w samochód i przyjechała.

Teraz Theo podniósł filiżankę kawy i wodził po niej wzrokiem, a Paul patrzył w spoglądającą w kawę parę oczu.

— Widziałeś się z nią? — spytał Theo, odłożywszy filiżankę.

— Co takiego? Chyba Anna nie powiedziała ci, że...

— Nic mi nie powiedziała. To Iris widziała, jak od niej wychodziłeś.

— Niech i tak będzie — odparł, czując wypieki na twarzy.

A więc to Iris zajeżdżała przed dom, gdy wsiadał do samochodu.

— Mówiłem ci... nie, pewnie nie mówiłem, że wyjeżdżam na pewien czas do Włoch. Wynajmuję tam dom nad Lago Maggiore. Pomyślałem, choć wiem, że to idiotyczne po tylu latach, że może zechce pojechać tam ze mną.

— I nie chciała?

— Oczywiście, że nie. Powinienem od razu wiedzieć.

Jasne, że powinien. Oblędny pomysł. Kto wie, czy nie przeraziłby się, gdyby doszedł do skutku. Anna miała zupełną rację: strach pomyśleć, co mogłoby z tego wyniknąć.

Ale siedzący naprzeciw niego człowiek zrozumiałby. Coś ich jednak łączyło: Thea i Paula. Któż by przypuścił?

— Zawsze chciałem tam posiedzieć — przerwał milczenie. — Dla mnie włoskie jeziora to najpiękniejsze miejsce na świecie.

— Też tak sędzę. Bywałem tam wieki temu. Wspomnienia. Theo nigdy się od nich nie uwolni. Jak każdy z nas.

— Ostatnio podle się czuję. Trzeba się gdzieś wyrwać. Jeśli nie teraz, to kiedy?

— Słusznie. Jak długo cię nie będzie?

— Wyzaczyłem sobie roczny urlop. Może zresztą zostanę dłużej, sam nie wiem. Oczywiście, czekać będziesz dostawać co miesiąc i dam ci mój adres.

— Nie dlatego pytam — odparł pośpiesznie Theo.

— Wiem, że nie dlatego. Ja też chcę wiedzieć, jak ci się układa, zwłaszcza z synem.

— Mówisz o Stevie? Porzucił uczelnię. Na kampusie wydarzyła się tragedia. Może czytałeś o tym profesorze, który stracił nogi, gdy eksplodowała bomba.

— Czytałem, to koszmarne.

— Steve nie miał z tym nic wspólnego, ale wstrząsnęło nim to. Podejrzewam, że zna parę osób z grupy, która jest za to odpowiedzialna. Zwinął manatki i rzucił studia na ostatnim roku. Od tej pory nie mamy od niego żadnych wieści. Czasami posyła kartki do brata, z których wynika, że żyje w jakiejś komunie w Kalifornii. Wyrabiają mokasyny czy inną tandetę. Wszystko na marne! Cztery lata studiów, pomyśl tylko! — westchnął Theo. — A szedł na samych piątkach. To wszystko przez tych profesorów, tych Powersów i całą klikę szwen-dającą się po tym kraju i ciągnącą za sobą młodych frajerów.

Paul zamyślił się. Nie, Timothy nie musiałby nikogo za sobą ciągnąć. Przypomniał sobie jego szczere oblicze i bezpretensjonalny sposób bycia. Za takimi jak Powers młodzi, poszukujący przywódcy ciągną sami z ochotą. Poczul ukłucie bólu na myśl, że jego wnuk, którego nigdy nie widział i pewnie nigdy nie zobaczy, jest wśród tych młodych. Na wspomnienie Tima zrobiło mu się sucho w gardle.

— Czy Powers miał coś wspólnego z tym wypadkiem? — spytał.

— Nie. Powers nie wtyka palców w takie brzydkie sprawy. Jego orężem jest retoryka — tak przynajmniej twierdzi Jimmy. Ale Steve jest z nim wciąż w kontakcie. Powers zaakceptował jego wakacje. Bóg raczy wiedzieć, jak się to wszystko skończy.

— A Iris? — Paul poruszył delikatnie wymagający dyskrecji temat. — Dogadaliście się wreszcie co do chłopca?

— Nie rozmawiamy o nim. Prawdę mówiąc, w ogóle mało rozmawiamy. To efekt szczerości, którą, jeśli pamiętasz, sam nam zaleciłeś — dodał widząc, że Paul milczy.

— Pamiętam.

— Opowiedzieliśmy sobie o rzeczach, których żadne z nas nie znało. Takich, że nawet nie sądziliśmy, iż mogą się zdarzyć. Teraz patrzymy na siebie inaczej, więc trudno powiedzieć, że wróciliśmy do punktu wyjścia. Nie wiem, czy wyrażam się jasno.

— Całkiem jasno.

A więc Iris musiała opowiedzieć mu o tym człowieku. Ujrzał znów antypatyczne oblicze Jordaine'a — zadziwiająco wyraźnie, jeśli zważyć, że widział je tylko raz i przed laty.

— Żyjemy w zgodzie, ale Iris coś gnębi. Mówi, że wszystko w porządku, ale sam widzę. Jest między nami jakieś pęknięcie, pustka, może i przepaść, której przedtem nie było. Zresztą... — zamyślił się i dodał: — może i była, ale tak zamaskowana, że nawet o niej nie wiedzieliśmy.

— Pewnego dnia zasypiecie ją — powiedział Paul, zerkając na dłoń Thea i widelec ułożony między kciukiem i dwoma sztywnymi palcami. To nie takie proste stracić wszystko, zacząć od zera i jeszcze trzymać klasę — pomyślał. — Chłodny wzrok, męski krok, krawat i chusteczka w dobrym gatunku.

— Szczerłość to obosieczna broń — powiedział. — Według mnie, wprowadzie rani, ale oczyszcza przedpole.

— Każda szczerłość?

— Oczywiście, że nie każda. Zrozum, że mnie też głupio rozmawiać z tobą w stylu pani redaktor z kącika złamanych serc. Wiem, że sam nie bywałem w życiu przesadnie szczerzy. Przynajmniej w tym jednym, jedynym przypadku — dodał pośpiesznie, by nie zabrzmiało to zbyt protekcjonalnie.

— Za to byłeś hojny, jeśli to właściwe słowo.

Goście podnosili się z krzeseł i restauracja brzmiała od ich skrzypienia i konwencjonalnych pożegnań. Minął szczyt lunchu.

— Wybacz, ale wzywają mnie obowiązki — powiedział Theo, spoglądając na zegarek.

— I bardzo dobrze. Więc napiszesz do mnie? Tylko nie oczekuj odpowiedzi. List mógłby wpaść w niewłaściwe ręce pomimo wszelkich środków ostrożności.

— Napiszę, Paul.

— Chcę wiedzieć, co u ciebie, skoro już trochę cię znam.

— Ja też trochę cię znam. Może nawet lepiej, niż myślisz, Paul. Napiszę o wszystkim. O wszystkim i o każdym.

Wstali, uścisnęli sobie dłonie i każdy ruszył w swoją stronę.

Paul zadbał o wszystko; nie pominął niczego. Dadzą sobie radę bez niego, a tym bardziej bez jego współczucia. Jest wolny i czas najwyższy pomyśleć o Włoszech.

Starzy przyjaciele — przyjaciele od serca — rzymski prawnik i jego żona wynajęli mu dom zapewniając, że nie będzie zbyt okazały. Pisali, że z trudem im to przyszło, ponieważ większość letnich posesji nad jeziorami to istne rezydencje. Ten upatrzony leżał między oliwkowym gajem (*docenisz omszałe wiekiem pnie*) i jeziorem (*w świetle gwiazd zupełnie jak te wasze baseny*). Do tego domowa kuchnia (*sałatki i sałaty przyprawione bazylią*), no i prawdziwie

włoski ogród (*pasowe stokrotki spryskiwane wodą prosto z ust marmurowego cherubina!*). Wszystko to razem nosiło nazwę Villa Jessica.

lisa napisała, że nic z tego nie rozumie. Włochy? Czy nie lepiej, żeby spędził ten rok wraz z nią w Izraelu? Pomyślał, że pewnie byłoby lepiej i nawet trochę go korciło. Ale Izrael nie nadawał się do odpoczynku, a poza tym lisa miała plan dnia i czekałby co wieczór, aż wróci. Nie, teraz potrzebował relaksu pod słońcem Italii. Ostatnio nawet na schodach brała go zadyszka i czas był najwyższy, by coś z tym zrobić.

W takim razie to ona go odwiedzi. Nie zaraz — co przyjął z lekkim rozczarowaniem. Otworzyła właśnie poradnię dla matek i dzieci w jednej z dzielnic. Pisała, że brak wykwalifikowanego personelu, więc nie może, ot tak, wsiąść w samolot.

Rozumiał ją lub raczej postanowił ją rozumieć. Byle tylko nie kazała mu czekać zbyt długo. Czy mężczyzna może delektować się kolacją wśród kwiatów i przy świecach na tarasie modnej restauracji samotnie? Pokażcie mi takiego!

Ale z ciebie romantyk, Paul — pomyślał. — Ciało mdłe, ale duch chętny i tęsknisz za pięknem i miłością. Młodzi mają cię za głupca, ale poczekajmy, to zobaczymy...

Wszystko to wyznał Lei, gdy przyszedł się z nią pożegnać. Może nawet więcej niż to, co zamierzał, bo spojrzała nań przerażona.

— I powiedziałaś o tym Theowi? — krzyknęła. — Paul, nie mów, że powiedziałaś mu o tym!

— A czy nie powiedziałem tobie, lisie?

— My to co innego. Zaufałeś nam, bo wiesz, że nawet na łożu śmierci nie puścimy pary z ust.

— Jemu też ufam. Nigdy, naprawdę nigdy nie wyrządzi krzywdy Iris!

— Z tego, co mówisz, wynika, że ten Jordaine w końcu nie dopiął swego — powiedziała po długim milczeniu Lea.

— Na to wygląda.

— Chwała Bogu. Iris to wrażliwa roślina. Od początku nie miało to sensu. Wiesz, że od tamtego dnia nie pokazała się u mnie?

— Pewnie za droga jesteś dla nich — uśmiechnął się, po czym dodał poważnie:

— Mają problemy z najstarszym synem. Tym, który zadaje się z Timem Powersem.

— Perfidia losu. Są kuzynami, a nawet o tym nie wiedzą.

— Powiedzmy, że kuzynami w drugim pokoleniu.

— Powinieneś być genealogiem. Najważniejsze, że Meg ma już serdecznie dość Tima. Co noc oczekuje policji w domu. A tak w ogóle: wpadłeś się z nią pożegnać?

— Wybieram się dziś po południu.

Uściskał Leę, która obiecała, że może odwiedzą go z Billem, wsiadł w auto i ruszył do Meg.

Zastał ją za stołem w rogu obszernej bawialni, gdzie jej matka spędzała wszystkie popołudnia aż po kres jej dni. Idąc przez pokój, rozpoznał nawet tę samą tacę, wypolerowane filiżanki i srebrny koszyczek na kruche bułeczki. Z mniejszym wzruszeniem rozpoznał Tima Powersa, a w człowieku, który obróciwszy plecy odziane w nienagannie skrojoną marynarkę — jak zawsze czujnie i impertynencko uśmiechniętego Victora Jordaine'a.

Tim pośpieszył z grabą, którą Paul chcąc nie chcąc musiał uścisnąć, i rozpromienił się:

— Paul? Ale niespodzianka! Co się z tobą dzieje? Słyszałem, że wybierasz się do Włoch — tokował, podczas gdy Paul pochylił się, by ucałować Meg.

— Odlatuję w piątek — odparł krótko pragnąc, by Tim przestał odgrywać tę obliczoną na Meg scenę.

— Tim właśnie stamtąd wrócił — wtrąciła. — Panowie chyba się znają — dodała, zwracając się do Jordaine'a.

— Mieliliśmy przyjemność poznać się podczas świąt w pani domu — przytaknął oficjalnie Jordaine.

— A Tim gościł u pana Jordaine'a podczas letniej przerwy na uczelni. Poczęstuj się bułeczką póki ciepła, Paul.

Jordaine czekał, aż Paul coś powie lub o coś go zapyta, ale nie doczekawszy się, sam zaczął jakby od niechcenia:

— Mam całkiem miłą rudę nad Jeziorem Garda. Tylko czasu, czasu brak, by tam posiedzieć.

Paul zagryzł wargi. Przypomniała mu się relacja Lei: „żądza przygód”, „bezradna”, „odrobina pikanterii”. Miał serdeczną ochotę strzelić Jordaine'a w ten gładki, roztropny buziak. Zamiast tego nadgryzł bułkę i przełknął z trudem herbatę.

— Podobno jest tam wspaniały klimat o tej porze roku — dołączyła się Meg jak przystało pani domu.

— Przynajmniej inny niż na Środkowym Zachodzie, skąd właśnie przyjechałem — dodał Tim.

— Z tego, co wiem z gazet, nie ograniczasz się do Środkowego Zachodu. Wszędzie cię pełno. — Paul nie mógł odmówić sobie tej uwagi.

— Jak to w pracy — uśmiechnął się Tim.

Paul poczuł pulsowanie w skroniach. Nie spodziewał się tutaj konfrontacji, a już najmniej z dwoma przeciwnikami. Ten dziwny duet złożony z Tima i Jordaine'a poplątał mu szyki i zniszczył atmosferę „wielkiej ucieczki” od zagadek i problemów.

— A gdzie Larry? — spytał Meg.

— Wyjechał do klaczy, która będzie się żrebić. Wezwali go nagle. Pewnie nie wiesz, że przed miesiącem dostał kopytem w kolano. Tak to bywa z końmi... — po czym przeszła do długiej i niezbyt zajmującej relacji.

Paul słuchał jednym uchem, śledząc równocześnie tamtych dwóch. Tim po młodzieżowemu rozwalił się w fotelu, sięgał po bułeczki i świnił okruciami po podłodze jakby na przekór staroświeckiemu wnętrzu. Jordaine, którego najwyraźniej nudziła opowieść Meg, trwał nieruchomo, zanurzony w jakichś mrocznych myślach. Trupie ma te oczy — pomyślał Paul próbując dociec, co kryje się pod kanciastym, wysokim czołem.

Gdy Meg wreszcie skończyła, obaj unieśli się z krzesel.

— Jadę do Nowego Jorku — powiedział Tim. — Victor podrzuci mnie na dworzec. Do zobaczenia, Paul — dodał, gdy wymienili ukłony.

— Moje uszanowanie, panie Werner — skinął głową Jordaine.

— Widziałeś jego samochód? — spytała Meg, gdy wyszli.

— Nie zwróciłem uwagi.

— Stał za rogiem. Rolls royce, kabriolet. Garażuje nie opodał nas.

— Czym on, do licha, się zajmuje?

— Czemu się zżymasz? — spytała zaskoczona Meg. — Zresztą skąd mam wiedzieć? Słyszałeś, co mówił o tej „rudrze” nad jeziorem? Tim wspominał, że to kilkaset akrów. Ma tam też łabędzie i to całe ¹ stada, takich rzadkich. Do tego strażnicy przy bramie. Nie wejdiesz, zanim cię nie sprawdzą.

— Bardzo ciekawe.

— Tim mówił, że ma coś wspólnego z bankami czy z inwestycjami.

— Przecież według Tima takich kapitalistów należy zetrzeć z powierzchni ziemi?

— Mnie też to nie pasuje — westchnęła Meg. — Pytałam go setki razy, ale wiesz, jaki Tim jest. Wzruszy ramionami, uśmiechnie się i nic ci nie powie. W końcu przestałam pytać. Mam i bez niego dość

zmartwień. Choćby Tom w Wietnamie. Myślisz, że mało mi tego? Całkiem wystarczy.

Paul posiedział jeszcze chwilę, pożegnał się, obiecał, że będzie pisać, kazał Meg trzymać się i ruszył do domu.

Meble przykryto pokrowcami, a cenne rzeczy poszły do depozytu. Katie miała pod jego nieobecność pilnować włości, ponieważ on kiedyś wróci, a poza tym ten dom był również jej domem.

— Przysłali to z kwaciarni pod pana nieobecność — oświadczyła, gdy tylko wszedł.

Drzewko bonsai w porcelanowej doniczce. Małe i powykęcane, ale krzepkie jak prawdziwe drzewo wystawione na nadmorskie wichury. Odporne i stare, bardzo stare. Dołączono też bilecik bez podpisu, choć europejska kaligrafia zdradzała rękę Anny.

Tak trwać, do śmierci — przeczytał.

Znał ją na tyle, by wiedzieć, że przeprosza go w ten sposób za to, że nie ruszy z nim teraz i że nie poszła za nim wtedy, przed laty. Każdemu mężczyźnie pękłoby serce, jemu też. Tak już bywa. Włożył starannie bilecik do koperty i wraz z nią do portfela.

Transatlantyk „United States”, którym miał odpłynąć, wyruszył w swój ostatni rejs. Był rok 1969 i pasażerskie odrzutowce nie miały już konkurencji. Majestatyczny, śmigły transatlantyk miał przeciąć ocean po raz ostatni, może jak i on na jego pokładzie. Zresztą któż może wiedzieć? Dopóki żyjemy, każdy dzień jest darem, a czasem i niespodzianką.

ROZDZIAŁ 14

Theo przyjrzał się kartce. Charakter pisma nie taki jak dawniej, ale w miarę czytelny. Pozwolił odpocząć ręce i łyknął herbatę zostawioną przez Iris na jego biurku, zanim poszła na wywiadówkę. Pewnie nie wróci przed dziesiątą, więc może napisać Paulowi wszystko, co wydarzyło się przez ostatni miesiąc.

Z czasem przychodziło mu to z coraz większym trudem. Konspirowali — jak to chłopcy — ale ani przeszłość, ani dzień bieżący nie łączyły ich. Theo nieraz musiał mocno główkować, nim coś napisał. Wiedział, że Paul pragnie najbardziej wieści o Iris. Robił, co mógł, by mu ich dostarczyć.

... w szkole idzie jej świetnie — dokończył zdanie. Ma indywidualne podejście do dzieci. W jej klasie jest dziewczynka — strasznie zakompleksiona, do tego otyła, więc wszyscy się z niej nabijali. Iris wezwała jej rodziców, kazała im trochę ją odchudzić, a efekt przeszedł wszystkie oczekiwania.

Jesienny wiatr tłukł w okna. Psia pogoda, więc w domu prawem kontrastu powinno być miło i przytulnie. Tylko że dla Thea było ciasno i duszno. Próbował nie myśleć o tym, a przynajmniej tego nie okazywać, ale ilekroć przypominały mu się przeszklone ściany i śnieżne czapy w ogrodzie, czuł się jak w klatce.

Mieszkali tu już prawie rok. Niedługo minie półtora od wypadku. Czasami wydawało mu się, że to już wieki: sala operacyjna, poczekalnia pełna pacjentów, antyki i portfel pełen gotówki. Pokręcił głową i skupił się na liście.

... wierzyć mi się nie chce, że jimmijuż za dwa lata skończy college i pójdzie na medycynę. Wolelibyśmy, żeby nie wiązał się tak szybko z równie młodą dziewczyną, ale ta jego ma charakter i ręce do roboty. On też...

Podobnie Laura. Pewnie się dziwisz, bo to trzpiotka, a do tego rozpuszczona...
— Już chciał napisać, że przez Annę, ale coś powstrzymało mu pióro.

Chłopcy uganiają się za nią i—przynajmniej na oko — całkiem mili chłopcy. Czasami boję się, że ma ich zbyt wielu, ale przy jej urodzie pewnie tak być musi. Za to pod innymi względami bardzo wydorowała. Pasjonuje się ochroną przyrody i rzadko kiedy widzimy ją w domu. Ten collie, którego przyniosła kiedyś z lasu, przerósł już dwukrotnie naszego poczciwego pudla i chociaż żre dwa razy więcej, ani ja, ani Iris nie mamy serca, by odstawić go od miski.

Pióro zawisło w powietrzu. Wyobraził sobie Paula czytającego list. Pewnie tam daleko chce wiedzieć o wszystkim, co ich cieszy i smuci. Przełamał się i pisał dalej:

Wciąż myślimy o Stevie. Od kilku miesięcy nie mamy od niego żadnych wieści, choć Jimmy czasami dostaje kartki. Podobno krajobraz jest bajeczny, komuna samowystarczalna, a Steve odpowiada za jabłka w tym ich wspólnym sadzie. Iris twierdzi, że brzmi to uspokajająco, ale mnie coś mówi, że to tylko cisza przed burzą. Martwię się o niego bardziej niż w ten straszny wieczór, gdy aresztowano go w Chicago.

Tak, straszny był to wieczór. Zupełnie jakby jechał z Iris i dziećmi prostą szosą, gdzie każdy zakręt widać o milę, aż nagle hamulce odmawiają posłuszeństwa i wóz idzie w przepaść. Koziółkuje, ląduje na dachu, a oni, cudem ocaleni, gramolą się z żelastwa. Żywi, ale porozbijani i nie tacy, jak byli przedtem.

Przy człapał pies — udomowiona znajda Laury — i położył mu łeb na kolanach. Theo pochylił się, by go poklepać.

— Samotność dokucza, stary draniu? Pewnie chcesz, by ktoś cię przytulił?

Łagodne oczy zwierzaka jakby to pojęły i przez chwilę pies i mężczyzna wymieniali porozumiewawcze spojrzenia.

— Tak bywa, bracie. Znam ten ból. Żyjemy tu sobie razem, pracujemy i jakoś nam leci. Znaczą, Iris i mnie. Rozmawiamy i zachowujemy się jak przystało cywilizowanym, kulturalnym ludziom. Popatrz — nawet nie zapomniała o herbacie. Za to ja odbieram telefony i uciszam wszystkich, gdy poprawia klasówki. Ufamy sobie. Mówię ci, że ufamy...

Miał ochotę wszystko to napisać, przelać na papier tęsknotę za namiętnością i tym wszystkim, co kiedyś ich łączyło, a na końcu postawić pytanie: czy ten mur, który wyrósł między nami, legnie kiedyś w gruzach? Powiedz, Paul?

Zamiast tego dokończył: - *I tyle o naszych sprawach, plus serdeczne wyrazy wdzięczności za Wszystko, co dla nas zrobiłeś.* Dodał życzenia zdrowia, szczęścia, ffomyślności, udanego urlopu i położył podpis.

W przestronnej jadalni Paul raczył się drugą filiżanką kawy, przegryzaną *panettone*. Wiatr znad jeziora kołysał jedwabnymi, czerwonymi zasłonami, przepuszczając aromatyczny zapach.

Kamelie czy róże? — zastanawiał się przez chwilę.

Wrócił do bieżącej poczty. Przebiegł wzrokiem list od Thea, a potem zaczął czytać go w skupieniu, by nie uronić ani słowa. Angielszczyzna Thea była zwięzła, wyuczona i często bardziej poprawna niż u większości Amerykanów. Zresztą wiedział dobrze, czego oczekuje od niego Paul, choć nie wspominał, że między nim a Iris wszystko układa się idealnie — a właśnie tego Paul najbardziej oczekiwał. Pomyślał, że to głupie, bo przecież nic na tym świecie nie jest idealne.

Za to informacje o dzieciach były tak drobiazgowo, że wydawało mu się, iż zna je osobiście. *Jimmy to wybraniec losu: rzetelny i pilny — takiego przyjmie każda uczelnia medyczna w Ameryce. Filip? Wesoly dzieciak. Steve?* Paul przeczytał raz jeszcze ten fragment listu słowo po słowie.

... Nie mamy od niego wieści... cisza przed burzą... martwię się bardziej niż w ten straszny wieczór, gdy...

Postanowił podbudować się wiadomościami o Laurze.

... Chłopcy uganiają się za nią... ma ich zbyt wielu... przy jej urodzie pewnie tak być musi.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Zupełnie jakby widział sceptyczne i zatroskane oblicze Thea. Dziwne, że po tak przelotnej znajomości pamiętał go, jakby byli krewnymi. Hmm — powiedzmy: powinowatymi.

Znów odłożył list, wyciągnął się w fotelu i powiódł wzrokiem po pokoju. Poranne słońce odbijało się w lustrze nad kominkiem, iskrząc się w złoconej ramie. Intarsjowane w kwiaty parkiety, wszechobecne srebro, skrzynie pamiętające rękę renesansowych snycerzy — wszystko to było „w wielkim stylu”, a przy tym proste. Nie było tu zbytku ani przesady. Każda rzecz służyła swemu celowi. Może z wyjątkiem

obrazów, choć wiele osób — a sam się do takich zaliczał — powiedziałyby, że obrazy też służą swojemu celowi. Gdyby zabrano mu dywanik sprzed kominka, siadywałby na gołej podłodze z równą przyjemnością, ale bez obrazów byłoby żyć trudniej. Obrazy — tak jak zapamiętane z dzieciństwa tomy poezji w pieszczącej dłoń skórzanej oprawie — były przyjaciółmi. Nie skąpił na nie grosza. Artystom zapewniał byt, a kiedy umrze, przekaże ich dzieła muzeom.

Wstał i spojrzał przez sąsiedni, równie obszerny pokój na taras. W poprzednim liście Theo posłał mu pstryknięte z ręki rodzinne zdjęcie na podwórku czegoś, co pewnie było ich nowym domem. Musiał być ciasny i skromny w porównaniu z tym, który opuścili. Naroże sąsiedniego domku weszło w kadr. Paul kazał powiększyć zdjęcie i teraz stało na konsoli pod lustrem pośród stert książek i rodzinnych fotografii, które w tym obcym kraju mógł wreszcie trzymać na widoku publicznym. Właściwie zdjęcie Iris nie było mu potrzebne. Jej twarz i tak znał na pamięć. Ostatnio jej widok nie przynosił mu radości, a wspomnienie słów Thea wywoływało klucie w sercu. Jak on to powiedział? Nie przypadłem jej do gustu. Była zakłopotana.

Odwrócił wzrok, by nie patrzeć w te nieobecne, czarne oczy.

Ale na zdjęciu byli też jej dwaj synowie. Przyszły medyk sprawiał wrażenie typowego „porządnego, amerykańskiego chłopaka” i Paul nie potrafił znaleźć na to lepszego określenia. Młodszy, trzymający baseballowy kij i rękawicę, był po prostu uroczy. A dziewczyna? Tak, Theo nie przesadził. Dziewczyna była niepospolitej urody.

Wzrok Paula powędrował ku tej drugiej, równie urodziwej. Zdjęcie, nadgryzione zębem czasu, było zrobione lustrzanką wieki temu przed obeliskiem w parku, tuż za muzeum. Obok postawił fotografię lisy. Cóż za kontrast! Ta pierwsza eteryczna, bujająca w obłokach, z rozwianymi włosami i oczyma w kolorze złota, ta druga chłodna i zorganizowana, gładko uczesana, patrząca w obiektyw szczerze, choć jakby lekko ironicznie. To zdjęcie zrobiła sobie w Izraelu i posłała mu go w liście.

Dwie twarze, dwie kobiety jego życia — pomyślał, patrząc długo na fotografie. — Jedna ciepła, serdeczna, choć uparta, znana mu na pamięć; druga... jaka właściwie była? Rozpłynęła się we wspomnieniach, tęsknotach, fantazjach.

A niby dlaczego mężczyzna nie może kochać dwóch kobiet, nawet jeśli wspomnienia o nich zachodzą na siebie? Właściwie do obu czuje odrobinę żalu. Dlaczego żadnej z nich nie ma tu teraz, w tak piękny ranek?

Wypreżył się i spojrział w wiszące nad konsolą lustro. Wysoki, bez nadwagi, ani śladu łysiny. Niejedna poszłaby z nim na kolację, a z bożą pomocą nie tylko na kolację. Oczywiście to drugie tylko z dużą bożą pomocą.

Wyszedł na taras, usiadł w fotelu i zagłębił się w lekturze „Herald Tribune” i „Il Messaggero”. Nieźle radził sobie z włoskim. Nie ma jak nauka dla utrzymywania umysłu w formie. Włoska gramatyka nie należała do najprostszych, ale postanowił żyć jak Włoch, skoro już tu jest. Inaczej cały ten przyjazd nie miałby sensu. Czy mało jest miejsc w Ameryce, gdzie można wygrzewać się na tarasie i patrzeć na wodę?

Dziś zaproszono go na wesele. Siostrzenica jego rzymskich przyjaciół brała ślub w wiejskim kościółku, a potem miało odbyć się wesele w dostojnym, edwardiańskim hotelu, wśród kwiatów i pod kandelabrami oświetlającymi dębowe stropy. Pewnie od rana grabią trawniki i rozstawiają parasole, by metalowe stoliki i chybotliwe krzeselka stały w cieniu. Dzieciarnia w jaskrawych ubrankach i sukienkach i tak zادةpcze wyźwirowane ścieżki w pięć minut. Pewnie przyjdzie tłum, bo Włosi zapraszają na rodzinne uroczystości każdego, niezależnie od pokrewieństwa i wieku. Paulowi bardzo się to podobało. Muzyki też nie zabraknie, więc potańczy sobie i będzie wdzięczny, że go zaproszono.

Pod kamienną balustradą młoda córka ogrodnika zrywała porastające stromiznę róże. Weszła po stopniach, przyciskając ich pęk do białych piersi, między którymi kołysał się krzyżyk na złotym łańcuszku. Ma jeszcze mleko pod nosem, ale za rok chłopcy będą ciągnąć do niej jak pszczoły do ula — pomyślał Paul. — Jeśli nie skusi jej miasto, poślubi szybko jednego z nich, urodzi mu bobasa, potem następnego i wkrótce będzie tłusta jak jej matka.

Prawidłowość czy przypadek? Może jedno i drugie. Gdyby nasi przodkowie mieli mniej siły, sprytu, a może zwykłego szczęścia, czy bylibyśmy tymi, kim jesteśmy? To tak jak rzut kośćmi. Ja miałem szczęście i dlatego siedzę tu sobie, wdycham poranną bryzę i sycę oczy widokiem dziewczyny oddalającej się właśnie z naręczem róż na tle granatowego niczym witraż jeziora.

Łaciaty spaniel w biało-bure plamy obiegł właśnie dom i wskoczył mu na kolana, zabierając się do lizania. Zawsze chciał mieć psa, ale zakładał — właściwie nie on, ale Marian — że pies będzie czuć się źle w takim mieszkaniu jak ich. Bzdura! Przecież mieszka o krok od parku, gdzie pies może do woli się wyhasać, więc trzeba będzie go zabrać do

Nowego Jorku, jeśli oczywiście on sam tam wróci. Ciekawe tylko kiedy? Jasne, że wtedy, gdy sprzykrzy mu się tutaj. Nie prędzej, nie później. Nie wyznaczył sobie terminu. Chyba zasłużył na odpoczynek — wytłumaczył to sobie i zaraz zadał pytanie, jacyż to purytańscy przodkowie każą mu aż tak bardzo się tłumaczyć.

Czy to nie wystarczający powód, że miło jest siedzieć w słońcu, zażywać spokoju i nie zaprzątać sobie głowy Kubą, Libanem, Izraelem, wciąż niepewnym swego losu mimo wygranej w 1967 roku wojny, nie mówiąc o tej w Wietnamie i tej rozdzierającej jego własny kraj?

Pies pomknął nad jezioro, wrócił i teraz szczekaniem i merdaniem ogona demonstrował Paulowi iście ekstatyczną radość.

— Dobrze, dobrze. Wiem, o co ci chodzi. Chcesz iść na spacer i mnie też chcesz wyciągnąć.

Wstał i ruszyli w dół nad pomarszczoną wiatrem tafłę jeziora.

ROZDZIAŁ 15

Droga w te strony prowadzi przez Golden Gate Bridge — najlepiej rankiem, gdy ocean z lewej marszczy się i srebrzy. Mijasz Sausalito i zostawiając na zachodzie zielony masyw Tamalpais zapuszczasz się w lasy Muir, gdzie sekwoje są starsze niż Stany Zjednoczone, bo już były stare, gdy Wilhelm Zdobywca przepływał Kanał i gdy Krzyżowcy zmagali się z Saracenami. W Marin County nowe domki stoją rzędem nad urwiskiem niczym poukładane na półce szklane puzderka. Potem słynąca z win Sonoma, gdzie winorośl przyszczyga się nożyczkami, a grona dojrzewają jakby rozrysowano je za pomocą linijki na jasnobrunatnej kalce. Słońce aż oślepia.

Wczesnym popołudniem, gdy krok za krokiem wspinasz się łagodnymi, uprawnymi zboczami wzgórz, spostrzegasz nagle, że wszedłeś w zieleń łąk i pastwisk otoczonych lasami. Skręcasz z asfaltu na wiejską drogę wijącą się dobre trzy mile wśród głazów wzdłuż wyschniętego koryta rzeki i raz jeszcze odbijasz na ścieżkę szeroką w sam raz, by zmieścić się na niej samochód, zaryglowaną obszernym wiktoriańskim domostwem na skraju rozległej farmy.

Tak przynajmniej widział to Steve, gdy zawędrował tu wraz z całym dobytkiem mieszczącym się w marynarskim worku. Teraz, stojąc na szczycie wzgórza ponad domostwem, widział jakby z lotu ptaka całą Farmę Pokoju: jabłoniowy sad, pasące się nie opodal łąciate, czarno-białe mleczone holenderki, uwijające się między domem i pomieszczeniami gospodarskimi małe ludzkie sylwetki. Jeszcze dalej rozpościerało się coś niewyraźnego, co mogło być równie dobrze chmurami, jak i oceanem.

Było południe i czuł, że od upału ciąży mu głowa. Od rana mozolił się z płotem, który miał chronić owce przed spadnięciem w parów. Był

zmęczony, ale zdrowym zmęczeniem — takim, jakie czują krzepkie mięśnie po solidnej robocie. Tors miał opalony, włosy zbielałe od słońca, a sumienie czyste.

— Potrzebujesz spokoju i zmiany — powtarzał mu Tim Powers. Siedzieli wtedy w jego gabinecie, kilka dni po eksplozji, w której tamten facet stracił nogi.

— Widziałem go. Szedłem do biblioteki, gdy zbiegł się tłum. Widziałem, jak nieśli go do karetki. Uwierz mi, Tim... Nie spałem dwie noce. Wciąż widzę te krwawe kikuty i słyszę, jak wyje. Tim... czy nie rozumiesz, że ja wciąż słyszę?

Tim wyszedł zza biurka i położył mu dłonie na ramionach.

— To minie, Steve. Wierz mi. Nic nie trwa wiecznie. Czas leczy rany. A zresztą nie miałeś z tym nic wspólnego.

Demonstracje, zadamy, nawet najście na biuro rezerwistów

— wszystko, w czym brał czynny udział, było normalką. Ale okaleczenie człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy, nie było normalką.

— Ale co by było, gdybym miał coś z tym wspólnego? — spytał.

— Sam wiesz, że my nie atakujemy osób, tylko własność. Nie rozumiesz?

— Rozumiem.

Tim zdjął ręce z jego ramion i usiadł w fotelu, a Steve stał i wpatrywał się w pyłek unoszący się w smudze słońca nad biurkiem.

— Chociaż — dodał Tim — może przyjąć czas, gdy będziemy musieli przejść do eskalacji naszych działań. Sam o tym wiesz.

Steve przytaknął i poczuł się bardzo samotny.

— Ten człowiek był ofiarą, ale to, że się nią stał, w niczym nie zmienia czystości naszej walki. Naszym celem jest pokój i sprawiedliwość. Czasami popełnia się błędy nawet w najświętszej sprawie. Tak bywa, Steve. Nie uważasz?

— Uważam, ale... ale nerwy mi wysiadają. Głupia sprawa, zawsze wydawało mi się, że nie ode mnie usłyszysz takie słowa.

— Nikt nie jest z żelaza, chłopie — uśmiechnął się Tim.

— Musisz się przewietrzyć. Znam taką jedną komunę w Kaliforni. Przyjemny klimat i pełny luz. Posiedzisz tam i wrócisz, gdy poczujesz, że znów jesteś w formie.

Jak zawsze, Tim rozumiał mnie lepiej niż ja siebie — pomyślał teraz Steve, po czym pozbierał narzędzia i ruszył w dół ze wzgórza. Tylko że spędzone na farmie miesiące wyleczyły go tak, że wcale

nie miał ochoty się stąd wynosić. To miejsce było jego, podobnie jak nowi kumple i przyjaciele.

Blisko pięćdziesiątka chłopaków i dziewcząt zaludniających na stałe farmę określała się jako osoby „apolityczne”. Część z nich angażowała się kiedyś w takie sprawy, ale olała to. Mówili, że polityka to jeden wielki chrzan. Nie słuchali radia, nie czytali gazet, a telewizora w ogóle tu nie było. Najważniejsze, że wszystko było proste i wspólne. To właśnie było prawdziwą rewolucją.

Naprawdę wszystko: książki, żarcie, łachy, trawka i miłość. Szczęśliwe, wyzwolone, półnagie bobasy hasały w słońcu. Troszczył się o nie ten, kto właśnie był w pobliżu. Każda matka pilnowała dzieci każdej matki, podobnie ojcowie. Czasami nie mogli się połapać, które dziecko jest czyje i czy w ogóle kogoś z nich, ale czy to było takie ważne?

Na kampusie też odchodziła wolna miłość — tyle, że bez wspólnych dzieci — więc Steve szybko się przystosował. Podobnie jak do wspólnej trawki, choć nigdy w tym szczególnie nie gustował. Wspólna odzież też była dobrym pomysłem. W mieście był darmowy sklep oferujący łachy dla takich jak oni. Wystarczyło sięgnąć i brać, co potrzebne.

Szybko nauczył się rzeczy, o których nie miał dotąd bladego pojęcia: jak zbić półkę lub podzelać buty. Zresztą i tak wszyscy chodzili tu w sandałach. Umiał już nawet wydoić krowę i przyjąć cielaka. Renety od koszteli odróżniał wyrwany ze snu. Znał się też na kozach i wiedział, jak, gdzie i kiedy podjechać pod supermarket wyzbywający się niechodliwych jarzyn i owoców.

Czuł, że daleko odpłynął od Westchester, tenisowych kortów, basenów, nie mówiąc o uniwerku. Tak go to rozbawiło, że z tym większą satysfakcją złożył młotek, piłę i hebel w drewnutni. Starannie, każde na swoim miejscu, a potem rozmasował dłonie i mimowolnie przyjrzał się im uważnie. Przyzwoite łapy: paznokcie połamane, a odciski jak sęki. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale nagle uśmiech zastygł mu na ustach. Zdarzało mu się to czasem na wspomnienie domu...

Cholerne wspomnienie — smutne i bolesne. Dłoń starego. Zadrzał, jakby to on sam dostał drzwiczkami w palce. Przecież ten człowiek jest załatwiony! Załatwiony odmownie w tym jego szpaner-skim, doktorskim światku! Paskudna historia, a o matce, która go tak urządziła, lepiej w ogóle nie myśleć.

Próbował pozbyć się nieznośnego wspomnienia słów podsłuchanych przypadkiem, gdy po wypadku ojca wpadł do domu. Pokojówka

i ogrodnik szeptali coś w kuchni, ale czy na pewno dotyczyło to matki? Nigdy nie wspomniał o tym nikomu, bo chyba mu się przesłyszało, a jeśli nawet nie, to lepiej, żeby tak było.

Stał oparty o drzwi drewnutni i wpatrywał się w sielską scenerię, która jeszcze przed chwilą dawała mu poczucie sukcesu.

Za oborą, na opadającej łące wznosiła się zbita z desek, podparta słupami zadaszona konstrukcja. Przypominała trochę prowincjonalne parkowe estrady, tyle że była większa, a ławki ułożono w krąg. Tam spotykali się wieczorami na wspólnych medytacjach, tworząc łańcuch rąk i kierując twarze w kierunku zachodzącego w oceanie słońca. Dłoń krzepiła dłoń i zapominało się o zmartwieniach, o całym tym parszywym świecie, o wszystkim, co poza pastwiskiem i wzgórzami.

Steve rozprostował ramiona, by odpędzić ponury nastrój. Był sam, bo wszyscy zbiegli się na posiłek w głównym domu.

— Spóźniłeś się — usłyszał czyjś głos. — Ja też. Pewnie jesteś głodny.

Spuścił wzrok, nie ze wstydu, lecz dlatego, że niska była z niej dziewczuszka. Kobieta niskiego wzrostu — poprawił się w myślach, bo tak się tutaj mówiło. Niosła kotka, który rozmiarem nie przekraczał dorosłej myszy. Miał chyba nie więcej niż tydzień i miauczał rozpaczliwie.

— Kona z głodu — wyjaśniła. — Matka miała duży miot, a ten był najślabszy. Odrzuciła nieboraka. Myślisz, że da się go uratować?

— Zobaczymy, pokaż mi go. Chyba długo nie pociągnie — Steve oszacował w ręce wagę kota.

— Biedactwo. Patrz, jak chce żyć.

Powiedziała to z tak szczerym smutkiem, że Steve przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Na farmie była nowa i pojawiła się tu nie dalej niż przed tygodniem. Wiedział o niej tyle, że ma na imię Susan, a że było już kilka innych o tym imieniu, nazywano ją Susan B.

— W porządku — powiedział. — Najpierw sami coś przekąsimy, a potem zastanowimy się, jak go podkarmić. Jego czy raczej ją?

— To takie maleństwo, że jeszcze się nie przyjrzałam.

Ty też nie jesteś o wiele większa — pomyślał Steve, gdy dumnie truchtała przy jego boku. Zastanawiał się, czemu do tej pory nie zwrócił na nią uwagi. Była przecież jakaś... odmienna. Nie mógł znaleźć lepszego słowa. Wszystko w niej było jakby różowo-mysie: włosy zaplecione w grube kucyki, bawełniana bluza, nawet bosa, wąskie stopy. Tylko oczy miała czarne i delikatne jak kwiaty.

Nic tu nie grało. Nie wyglądała na osobę wyzwoloną z drobnomieszczańskich nawyków. A już najmniej pasowała do wolnej miłości. Przecież chyba nie ma nawet piętnastu lat. Ale z wiekiem nigdy nic nie wiadomo. Podobnie jak z seksem.

— Pytałam wszystkich o kroplomierz, ale nikt tu nie ma.

— Wyskakuję jeszcze dziś do miasta, więc ci przywiozę.

— Naprawdę? A kiedy tam jedziesz?

— Jak tylko coś zjem.

Jadalnia, spiżarnia, obszerna kuchnia, w której służba musiała kiedyś przyrządzać bajeczne dania — wszystko to roilo się teraz od młodych ludzi kucharzających, połykających, zmywających naczynia. Żarcie gotowano w wielkich osmolonych garach i zjadano z poob-tłukiwanych talerzy. Bałagan był totalny, ale nikt się tym nie przejmował: dzieciak płakał, to go popieszczono; dzieciak wdrapywał się na stół — jego prawo.

Steve i Susan z kotkiem w kieszeni znaleźli wolne miejsce na ławie i uraczyli się czymś zawieszonym ze wspólnej michy. Nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co cię tak rozbawiło? — spytał.

— Kontrast. Śnieżnobiałe obrusy, mahoniowe blaty, kwiaty na stole. To śmieszne, ale pewnie i tak nie zrozumiesz.

— Świetnie rozumiem. — On też poczuł groteskowy kontrast między własnym domem a swoim, wesołym rozgardiaszem.

— Musieli tu kiedyś mieszkać prawdziwi milionerzy. Spójrz tylko na te dębowe schody, rzeźbione balustrady, organy w salonie, szklane werandy i porównaj z tym, co tu jest teraz!

— Chyba zmiana na lepsze?

— Oczywiście. Myślę tylko o historii tego domu — powiedziała Susan.

— O jego historii? Był kiedyś letnią rezydencją rodziny, która zbiła majątek na kopaniu złota. Z czasem pierwsze pokolenie powy-mierało, spadkobiercy nie mieli ochoty tu przyjeżdżać i wszystko zaczęło sypać się i murzeć. Wreszcie kupił to syn jakiegoś bogacza, ale podobno nie był w pełni władz umysłowych; może zresztą i był, bo chciał cały swój majątek dać ludziom w potrzebie. Rodzina opłaciła kuratora, by dbał o jego interesy, ale jeszcze wcześniej zdążył przekazać tę chałupę towarzystwu, które właśnie oglądasz. Oto i cała historia.

— Niebawem sprawa — Susan B. pokiwała z powagą głową. — Chciałbyś tu zostać na stałe, Steve?

— Kto wie. Każdy może siedzieć tu, jak długo chce, dopóki gotów jest dzielić się z innymi swoją pracą, własnością i zarobkiem.

— Niebywała sprawa! — powtórzyła.

Kotek zamiauczał zadziwiająco donośnie jak na swoje rozmiary. Steve podniósł się z ławy.

— Jadę do miasta. Gdzie znajdę cię po powrocie?

— Przy krowach. Mam je umyć, gdy wrócą z pastwiska. Załatwiają sprawunki: nasiona, drut na ogrodzenie, paszę dla

krów — Steve co pewnien czas przypominał sobie o Susan B., jej kotku i o kropłomierzu. Przykładna panienska z klasy średniej. Zupełnie jak Laura i równie jak tamta nie pasująca do tego miejsca. Co ją tu przygnało?

Zastał ją w oborze przy sprzątaniu i wręczył jej kropłomierz, — Gdzie twój podopieczny? Żyje jeszcze?

— Żyje, ale kiepsko z nim. Włożyłam go do osobnego pudełka po butach, bo inne by go rozgniotły.

Okazało się, że kotek zaakceptował kropłomierz. Karmienie szło wolno i zajęło im prawie pół godziny, nim syty ułożył się do snu w pudełku. Dzwon wzywający na kolację wybrzmiał już dawno nad polami, ale oni siedzieli sobie w cieniu eukaliptusa, co Steve'a mocno dziwiło, bo stale odczuwał tu głód. — Mam w kieszeni kilka jabłek — zaproponował.

— Może później.

Objęła drobnymi ramionami kolana i wsparła na nich głowę tak, że widział z góry jej kark w miejscu, gdzie rozdzielały się splecione w kucyki włosy. Dlaczego kark widziany z tyłu zawsze wzrusza? — zastanawiał się.

Było cicho i tylko cykady gwarzyły tak jednostajnie, że też wydawały się częścią tej ciszy. Zapadający zmrok niósł tajemnicę, ale i smutek. Steve musiał wreszcie przerwać tę sjęstę.

— Z daleka przyjechałaś? — spytał nagle.

Gdy uniosła głowę, spostrzegł zaskoczony, że oczy ma wilgotne. Mimo to uśmiechnęła się grzecznie i odpowiedziała:

— Z Valley. Z tego pod Los Angeles, jeśli nie słyszałeś.

— Słyszałem. A ja z Westchester. Z tego pod Nowym Jorkiem.

— Też słyszałam.

Nie wiedział, co mówić dalej. Język uwiązał mu w gardle. Minęła minuta i czując, że jednak musi coś powiedzieć, zaczął:

— Moja siostra też lubi zwierzęta. Zwłaszcza psy.

— Fajną masz siostrę?

— Fajną, ale jest całkiem inna niż ja.

— Ile ma lat?

— Piętnaście, a ty?

— Siedemnaście.

— Ale heca.

Znów minęła minuta. Spytał, czy chodzi do szkoły.

— Skończyłam ogólniak. Po maturze miałam iść do college'u, ale zamiast tego zwałam z domu.

Czuł, że chce i potrzebuje rozmowy, ale jest zbyt nieśmiała, by otworzyć się przed nieznanym, a może po prostu wstyd jej nudzić go głupstwami.

— Chętnie posłucham, jeśli oczywiście macz ochotę opowiedzieć mi o sobie — powiedział ściszym głosem.

— To obrzydliwa historia.

— Zależy dla kogo. Dla mnie może nie.

— A więc dobrze. Moi rodzice rozwiedli się przed trzema laty. Ojciec wyniósł się na Florydę czy gdzieś tam. Sama nie wiem. Nie mamy z nim kontaktu. Mama się tym nie martwi. Ma dość własnych pieniędzy.

— A ty?

— Ja? Czemu miałabym się tym martwić?

— Nie wiem. Po prostu pytam. — Pomyślał, że to dziwne, iż jej ojciec spakował manatki i wyniósł się z domu, podczas gdy jego trzymał wszystko w garści. Tak mocno, że można się było udusić. — Ale dlaczego rzuciłaś dom? — spytał.

Spojrzała przed siebie na łąkę, gdzie zmierzch przechodził już w noc.

— Ten dom... nigdy nie był mój. Matka miała wielu mężczyzn, bardzo różnych. Tydzień z tym, tydzień z tamtym. — Jej głos zabrzmiał szorstko i spodobało mu się, o dziwo, to brzmienie zapadające w pamięć. — Słyszałam ich każdej nocy, nawet przez zamknięte drzwi. Słyszałam wszystko zza ściany. Czasami miała dwóch na raz. Bywały też kobiety. Orgie. — Spojrzała znów na Steve'a. — To obrzydliwe. Seks nie powinien tak wyglądać.

— Tak sądzisz? Przecież to jak jedzenie lub picie. Posilas się, gdy jesteś głodna lub spragniona.

— Nie, w tym powinno być coś więcej — odparła, jakby zaskoczona tym, co powiedział.

Jej zwrócona ku niebu twarz była zbyt wąska, a oczy zbyt duże, by mogła uchodzić za piękność, ale i one zapadały w pamięć.

Szukał przymiotników: marzycielska, delikatna, wyrazista, pociągająca...

Zauważył, że ona wierzy w to, co mówi. Zauważył też, że jest trochę wystraszona. Spytał, jak trafiła na Farmę Pokoju.

— Przeczytałam artykuł o miejscach, gdzie można popracować nie dla pieniędzy, a tylko by się utrzymać i brzmiało to cudownie. Tam, skąd przybyłam, pieniędzy zawsze było aż nadto.

— Wiem, o co ci chodzi. Forsa i rzeczy. Zbyt wiele rzeczy.

— Tak, chciałam oczyścić sobie mózg. Oczyścić z tego, co muszę mówić, robić, mieć. Chcę, żeby mój mózg był czysty.

Było już całkiem ciemno. Oboje wstali bez słowa. Dziewczyna wzięła pudełko ze śpiącym kotem, spodek mleka i kropłomierz.

— Pewnie zbudzi się w nocy i będzie głodny — wyjaśniła. Gdy poruszyła się, zdawało mu się, że czuje zapach jej włosów, a może skóry. Pachniało to świeżo i czysto jak siano.

Uroczą z ciebie dziewczyna, Susan B. — usłyszał wewnętrzny głos.

Następnego popołudnia znów udał się do obory, wmawiając sobie, że kieruje nim ciekawość co z kotem. Zaraz skarcił się, że musi szukać pretekstu; przecież nigdy nie traktował tak kobiet. Powiedzmy, że ciekawa z niej osoba, choćby z psychologicznego punktu widzenia.

— Jest przy separatorze — wyjaśnił mu ktoś. — Jerry posłał ją tam dziś do roboty.

Separatorem nazywano prymitywne urządzenie, ustawione w pomieszczeniu przy oborze, oddzielające śmietanę od mleka. Steve zastał ją tam z pochyloną głową, dyndającymi kucykami, wsłuchaną w udzielane przez Jerry'ego instrukcje.

Przyszło mu na myśl, że Jerry stoi przy niej zbyt blisko jak na instruktora, ale uświadomił sobie zaraz nedorzecznosc podobnych obiekcji. Cóż go obchodzi, gdzie stoi Jerry. Każdy może stać, gdzie mu się podoba i macać każdego, kto mu się podoba. Tu wszyscy są wolni.

— Steve, nie uwierzysz, że kot jakby ożył przez noc! — zawołała.

— Zaraz ci go pokażę. Czy mogę po niego pójść, Jerry?

— Jasne. I tak kończymy.

— Niebrzydka dziewczuszka — powiedział Jerry, gdy wyszła.

— Tylko trochę zastrachana, czy jak to nazwać. Jak myślisz, co jej potrzeba? — roześmiał się i puścił oko do Steve'a. — Może trochę miłości?

Steve nie odpowiedział. Czuł, że wzbiera w nim nagła, nie-sprecyzowana złość na Jerry'ego i w myślach żuł słowa: Jeśli nawet, to

nie z twoich rudych, owłosionych łap i zaślinionej gęby. Dziwne to było, bo w sumie lubił Jerry'ego.

Przez resztę dnia nie opuszczało go wspomnienie jej ciała, a pod wieczór znów ją odszukał.

— Gdzie ty sypiasz, Susan B.? — spytał.

— W dużym domu, tam, gdzie była kiedyś biblioteka. Skinął głową. Cały parter przeznaczono na sypialnie dla matek

i dzieci, których kołyski i śpiwory zajmowały całą przestrzeń, łącznie z pokojami muzycznymi, bilardowymi i szeroką, obudowaną werandą.

— Jerry proponował mi coś osobnego. Jest tu taka klitka na poddaszu, w której podobno mieszkała kiedyś pokojówka. Całkiem tam miło i zaciszniej niż tutaj.

Szybki jest ten Jerry — pomyślał bez entuzjazmu Steve.

— A masz ciepły śpiwór, w którym można spać na zewnątrz? - spytał. — Mogę ci jakiś skombinować.

— Mam, a czemu pytasz?

— Sądzę, że powinnaś przenieść się na noc w róg frontowej werandy. Tam też jest miło i zacisznie, ale nie zbyt zacisznie. To zły pomysł żyć zbyt zacisznie.

Przez chwilę milczała i nagle zapytała:

— O co ci chodzi? Jeśli o to, czemu nie powiesz wprost? Może i wyglądała jak dzieciak, ale nie była aż tak naiwna.

Jak zresztą mogła być po tym wszystkim, co widziała w rodzinnym domu?

— Właśnie o to — powiedział krótko.

— Rozumiem. Dziękuję, żeś mnie uprzedził.

— To dobre miejsce, naprawdę dobre. Przecież wszystko jest tu wspólne.

Wszystko!

— Ty też, Steve?

— Oczywiście. Przecież posiadanie kogoś na własność jest złe.

— A jeśli ten ktoś chce być posiadany na własność?

— Przestań, Susan B. Pozwolisz, że sobie to przemyślę.

Gdy zobaczył ją znoszącą śpiwór z piętra i układającą się do snu na werandzie, oddalił się. Przez całą drogę przez sad do swojego legowiska dziwił się sobie. Od wczoraj wiedział, kto będzie jego partnerką tej nocy, a teraz nagle odechciało mu się jej. Przecież byłoby mu z nią dobrze, spokojnie i szczęśliwie jak kiedyś z Lidią, o której już mało kiedy myślał, jak i o dziesiątkach innych. Szkoda, ale tej nocy nie był w nastroju. Susan będzie musiała jakoś to zrozumieć.

Stało się. Nie poznawał siebie. Wspominał niezliczone dyskusje z Jimmym i absurdalne teksty brata o „wierności” i uczuciach, jakie żywi do swojej Janet. Uważał to za pozę, za coś, co ludzie w tym środowisku hodują w sobie sztucznie, by czuć to, co czuć wypada. Dla niego były to ograniczenia, więzy i konwenanse. Teraz nie był już tak pewny.

Minął miesiąc, może dwa i zrozumiał, że musi uwierzyć w to, co się z nim dzieje. Kotek rósł w oczach i trudno już go było odróżnić od przegowanego rodzeństwa zbiegającego się do miski z mlekiem w oborze. Trawa pod eukaliptusem, gdzie przegadywali z Susan B. wszystkie wieczory, zdążyła spłowieć. Opowiedział jej wszystko o sobie, a nawet — choć nie bez wahania — o ryzykownych wyczynach z grupą Tima. W końcu zrobił rzecz ściśle zakazaną: wyjawiał jej nazwisko Powersa.

— Mówię ci, bo ci ufam — powiedział tamtego wieczora.

— I słusznie — odparła.

— Teraz rozumiesz, dlaczego to robiłem i dlaczego tu jestem.

— Rozumiem.

Następnego nocy powiedział jej, że ją kocha.

— Wiem, Steve — uśmiechnęła się. — Ja też cię kocham. I też zaufałam ci już pierwszego dnia.

Biorąc ją w ramiona pomyślał, że wcale nie chciał tego powiedzieć i że słowa jakby same się wypowiedziały. A zaraz potem, gdy poczuł jej lekkość, ciepło i aromat pomyślał, że uczucie wychodzące z tętniącego serca, idące przez krtań aż tam, gdzie zetknęły się ich usta, jest czymś nowym i zupełnie mu dotąd nie znanym.

Mimo to prawie przez miesiąc nie posunął się dalej. Nie była jeszcze gotowa na więcej. To nie była „gra” i nie można było tego zmarnować. Nie analizował tych spraw, po prostu czuł je i nie mógł postępować inaczej, dopóki przyznawał, że posiadanie innego człowieka na własność jest złem. Teraz już wiedział, że posiadanie w pełni i na zawsze jest jedyną drogą dla niego i dla niej.

Aż pewnej nocy zjawił się przy śpiworze na werandzie. W samym środku bezgwiazdnej i bezdźwięcznej nocy. Nie spała; gdy odnalazł w ciemności jej twarz, wyczuł palcami, że się uśmiecha. Wiatr ze wzgórz wyiębił jej policzki, ale w miękkim śpiworze jej ciało paliło jak płomień. Gdy objęła go, wiedział, że teraz jest już gotowa.

Susan B. Kochana i kochająca, ufna i dobra. Przy niej poczuł się silny jak nigdy dotąd. Dotąd nie wiedział, czym jest troska o kogoś. Teraz troszczył się o nią tak intensywnie, że zabiłby każdego, kto wyrządziłby jej krzywdę.

I tak minęły im długie, słodkie miesiące.

ROZDZIAŁ 16

Stopniowo wraca życie, a wraz z nim ochota do życia. Pewnego ranka wyposzczony żołądek upomina się o własne prawa, a z ust wprost cieknie ślinka na widok cynamonowej bułeczki i parującej kawy. Pewnego popołudnia oczy nie reagujące od roku na kształty i kolory rozszerzają się na widok sukienki idącej ulicą kobiety. Ciekawe, gdzie to kupiła? Na mnie w sam raz.

Iris rozejrzała się wokół z mieszaniną zadowolenia, zaciekawienia i podziwu. Wprawdzie w jednej z najmodniejszych restauracji na Upper East Side można było oczekiwać podczas lunchu niejednej znakomitości, ale Iris zaskoczyło, że jest ich tu aż tyle, choć pewnie większość z nich nie jest aż tak znakomita.

Większość kobiet miała włosy blond i gładko uczesane. Bizuteria

— jak to przed południem — była dyskretna, a wszystkie wyglądały, jakby wyszły prosto od „Chez Lea”.

— Aż miło patrzeć — powiedziała Anna, śledząc wzrok Iris i dodała, jak to ona: — Ciekawe, gdzie zamawiają te kwiaty? Pewnie codziennie mają świeże.

Wszędzie było pełno kwiatów: w ściennych wnękach, z których tryskała woda, patrzyły na świat owalne kielichy tulipanów i srebrzyste wiosenne lilie.

— Za jeden taki bukiet utrzymałabym przez trzy dni rodzinę

— powiedziała Iris.

Powiedziała to bez goryczy ani zazdrości. Dobrze się czuła w całym tym pięknie. Od dawna nie była w takim miejscu.

— W końcu to twoje urodziny i wypada jakoś je uczcić

— powiedziała Anna nie rozumiejąc, o co jej chodzi. — Najlepiej szampanem i to zaraz. Od dawna nie widziałam cię

w takiej formie poklepała ją po ręce. — Widzę, że służy ci praca.

— Przecież wiesz, że zawsze chciałam uczyć. To cudowne czuć się kompetentnym. Wszystkie trudne dzieci kierują do mojej klasy, wyobrażasz sobie? Krążą słuchy, że mam do nich rękę. Może nie zawsze miałam — uśmiechnęła się — ale teraz mam. No i zabrałam się wreszcie za magisterium.

— A co potem?

— Może doktorat. Wiem, że trochę to potrwa, ale nieważne. Najważniejsze, że chcę tego.

— Duma mnie rozpiera i szczęście — powiedziała cicho Anna.

— A to wszystko dzięki tobie. Pamiętasz? Przyjechałaś wtedy z Berkshires, byłam w dołku, a ty...

— Pamiętam, ale nie wracajmy do tego. Zajmijmy się lepiej kartą dań.

Iris zrozumiała, że Anna nie chce wracać do tamtych dni. Pewnie martwi się wciąż o mnie... to znaczy o nas i o ten wypadek. Znała jej ulotne spojrzenia i wiedziała, że gdyby było inaczej, już dawno zapytałaby ją wprost.

— A co u Thea? Tak rzadko go ostatnio widuję.

— Pracuje dniem i nocą. Niełatwo być stażystą, gdy przez lata wydawało się innym polecenia. Ale nie poskarżył się ani razu.

Tak, Theo to twardy człowiek — pomyślała, patrząc na grupkę mężczyzn przy sąsiednim stoliku i na widok ich twarzy, garniturów, dziarskich min i gestów zrobiło się jej smutno.

— Zawsze dbał o status — powiedziała. — Może za bardzo. Ale w Europie, przynajmniej w czasach jego młodości, doktor to był ktoś! Chyba to go dodatkowo załamało. Znajomi, którzy zapraszali nas przy byle okazji, wręcz napraszali się, teraz jakby nagle o nas zapomnieli.

— Mała strata.

— Żadna, ale ci nowi to wspaniali ludzie i prawdziwi przyjaciele; chyba składają nam wizyty ze współczucia.

— Współczucia? Trudno powiedzieć, żeby wasz dom przypominał slums?

— Oczywiście że nie, ale po wyjściu pewnie kręcą głowami i litują się nad nami.

Iris przyszło na myśl, że skoro ona, nigdy nie przywiązująca szczególnej wagi do takich rzeczy, aż tak to odczuwa, łatwo wyobrazić sobie, jak to przyjmuje Theo.

Ale skoro sama postanowiła, że to urodzinowe spotkanie, trzeba zmienić nastrój.

— Przynajmniej finansowo wszystko nam się wyprostowało. Nawet gdy Theo sporo zarabiał, zawsze żyliśmy na krawędzi bankructwa, a teraz wiemy, ile możemy wydać przez miesiąc. Oczywiście, pożyczkę też trzeba będzie spłacać. Czasem sama nie wiem, jak bank mógł zgodzić się na taką bez żadnego zabezpieczenia... — Nie dokończyła przypominając sobie, że to jej urodziny, więc po co poruszać tak drażliwe tematy.

— Pewnie zaufali jego przyszłym zarobkom.

— Może, ale nic z tego nie rozumiem.

Anna wzruszyła ramionami. Iris znów przyszło na myśl, że to ona poręczyła za Thea i nie chce jej się przyznać, żeby jej nie martwić. Mama nie należała do ubogich, ale nie była aż tak zamożna.

Spojrzała na jej spoczywającą na obrusie dłoń i na tak dobrze jej znany prosty pierścionek: brylantowy spadek po papie. On też uwielbiał dawać, zupełnie jak mama. Kupowanie i wręczanie było dla nich jedną z form okazywania miłości.

Anna, jakby znów czytając w jej myślach, zmieniła temat.

— Steve dotąd nie zrealizował skromnego czeku, który mu posłałam.

— To pewnie wbrew jego zasadom — odparła Iris czując, że zabrzmiało to trochę melancholijnie. — Od dwóch miesięcy nie mieliśmy od niego wiadomości. Serce mi zamiera, ilekroć czytam o tym w gazetach lub oglądam w telewizji wszystkie te rozruchy. Czy aby nie ujrzę jego twarzy, nie dowiem się, że go pobito, spalowano, przymknięto. Z Themm nie mogę o tym porozmawiać. Zaraz wpada w gniew. Podejrzewam, że tylko tak potrafi zamaskować ból.

— Myśl o dobrych rzeczach. Na przykład o ślubie Jima.

— Podziwiam tę jego Janet. — Nastrój Iris zmienił się natychmiast. — W planie studia medyczne, a już jest w ciąży.

— Domyśliłam się tego na tym ich skromnym weselu. Nie tyle z jej kształtów, co z blasku jej twarzy. Wiem, że to takie babskie gadanie, ale... Iris, na co ty tak patrzysz?

— Ja? Na nic. Więc mówi mama, że to takie babskie gadanie?

Ten mężczyzna... Nie, to niemożliwe! Ten sam wpatrzony w nią wzrok! Trzy stoliki dalej siedział obrócony w krzesło i ostentacyjnie świdrujący ją wzrokiem ten sam Victor Jordaine!

Przypomniało jej się, nie wiedzieć czemu, jego nagie ciało, gdy stał w drzwiach wychuchanej sypialni: podniecony, oczekujący, wreszcie rozjuszony... Poczula, że oblewają ją na przemian zimne i gorące poty.

— Dla mnie to ich wesele w malutkim mieszkanku było wzruszające. Zwłaszcza te przekąski podane na stoliku brydżowym w przedpokoju i ciotki przyrządzające je w kuchni.

Iris z najwyższym trudem utrzymała widelec z sałatką w drżącej dłoni. Nigdy nie sądziła, że dłoń może aż tak drżeć.

— Chociaż szkoda, że nie skorzystali z mojego domu. Tyle tam miejsca. Proponowałam im kilka razy — ciągnęła Anna.

Widać było, że czeka na odpowiedź.

— Janet jest bardzo ambitna. Musiałyby udawać kogoś innego, niż jest naprawdę.

Jordaine był w towarzystwie bardzo młodej dziewczyny. Iris pomyślała, że chyba nie starszej niż jej Laura. Wyglądała pospolicie, a głos miała równie pospolity i krzykliwy. Na sobie sweter obszyty górkimi kryształami. Mówił coś do niej, równocześnie kierując co chwilę wzrok na Iris. Nie sposób było uniknąć tego zimnego jak lód spojrzenia, nie pochylając się nad talerzem.

— Wciąż myślę o twoim ojcu. Cieszyłby się z ortodoksyjnej ceremonii ślubnej.

— Tak, chyba w duszy nigdy nie pogodził się z reformą*. Zrobił to głównie dla nas — odparła mechanicznie Iris.

Nie mogła skupić myśli. Przypuszczalnie jestem jedyną kobietą, która mu się oparła. Ma w sobie mnóstwo siły, a do tego światowe maniery i to orle gniazdo w biało-szmaragdowych jedwabiach i atlasach. Uciec z czegoś takiego, zostawić go nagiego i podnieconego, to zniewaga, której nigdy nie wybaczy. Wolałabym nie spotkać się z nim na osobności. Może nawet nic by mi nie zrobił, ale to, co bym usłyszała, starczyłoby w zupełności.

— Za to mniej by się cieszył, widząc pannę młodą w ciąży — uśmiechnęła się pod nosem Anna. — Iris, co się z tobą dzieje? Ty wcale nie słuchasz, co do ciebie mówię.

— Powiedziałaś, że papa mniej by się cieszył... — Skupić myśli. Patrzeć prosto na mamę. Tak, potrafiłby wybaczyć wszystko,

* „Ortodoksja”, „reforma” — mowa o dwóch odłamach judaizmu dotyczących interpretacji Talmudu i jego realizacji w zmiennych warunkach i społecznościach. Anna i Sternowie, wychowani w kosmpolitycznych europejskich rodzinach, są „reformatorami”. Joseph Friedman, z ubogiego żydowskiego Brooklynu, jest przypuszczalnie zwolennikiem pozwalającej przetrwać „tradycji”.

ale tego nigdy by im nie wybaczył. Podobnie jak jej tej schadzki z Jordainem w Waldorf!

— Tak, rozwiązłości nie tolerował — przytaknęła sama sobie Anna. — Nie tolerował, bo sam nigdy sobie na nią nie pozwolił.

Musi patrzeć jej prosto w twarz. Musi udawać, że pogrążona jest w rozmowie, jakby Jordaine'a w ogóle tu nie było.

— Papa traktował przykazania poważnie — powiedziała czując, że Jordaine jest świadomy tej gry. Teraz śmiał się z niej. Znać było po szyderczym ułożeniu ust.

— Coś ci dolega? — spytała Anna.

— Nie, czemu mama pyta?

— Mężczyzna przy tamtym stoliku wciąż patrzy na ciebie. To twój znajomy.

— Nie. To znaczy, nie przypominam sobie.

— Dziwne. Wygląda na znajomego. Chyba nie próbuje cię poderwać, skoro jest z dziewczyną?

„Zatrzymałem się w Waldorf. Pozwoli się pani zaprosić na drinka?” Och, żeby już mama przestała mówić i żebyśmy wreszcie poszły sobie stąd!

— Iris, przecież jesteś czerwona jak burak. Co ci jest?

— Nic. Strasznie tu gorąco.

Przytaknę i już wychodzimy. Tylko żeby wyjść, trzeba przejść koło jego stolika. Zresztą czemu mam czmychać przed nim jak zając?

— Wszystko w porządku. — Zaciśnęła dłonie pod stołem. — Już mi lepiej. Niech się mama nie przejmuje.

Ale Anna przejmowała się i to nie na żarty.

— Jeśli pragniesz mojej pomocy... — zaczęła szeptem. Przerwał jej wybuch śmiechu dobiegający ponad gwarem sali

z jednego z sąsiednich stolików: szyderczy i tak donośny, że wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Iris poczuła z przerażeniem, że to na pewno Jordaine, choć nigdy nie słyszała jego śmiechu. Za to Anna musiała dostrzec jej przerażenie, bo straciła wreszcie swój niebiański spokój.

— Iris! Tamten człowiek. Znasz go? Wiem, że go znasz. Kto to jest? Mów, Iris!

Dłużej tego nie wytrzymam. Ile jeszcze będzie trwał ten okropny lunch? Godzinę, dwie?

— Nie mogę ci nic powiedzieć — wyszeptała. — Przynajmniej dopóki on tu jest.

— W porządku. Właśnie wychodzi. I nie patrz w tamtą stronę. Jemu właśnie na tym zależy. Weź nóż i ukrój sobie kurczaka, nawet jeśli nie chce ci się jeść. O, właśnie tak.

Matka mówiła do niej jak do dzieciaka. Nie, nie jak do dzieciaka. Raczej jak do ofiary wypadku oczekującej pierwszej pomocy. Iris posłusznie pochyliła się nad półmiskiem, śledząc kątem oka znikające w wyjściu opięte nienaganną czarną marynarką plecy Jordaine'a i połyskujące na swetrze górkie kryształki. Po chwili odłożyła sztućce i przytknęła dłonie do rozpalonych policzków.

Anna długo milczała, wreszcie odezwała się spokojnie:

— Zapomnijmy o tym. To nie moja sprawa i nie musisz mi nic mówić, skoro nie chcesz.

Jednak tak dobrze znany Iris takt i chłód matki wywarły zaskakująco odwrotną reakcję: gwałtowną potrzebę zwierzeń.

— Spotkałam go w „Chez Lea” — zaczęła z oporami. — Kupowałam wieczorową sukienkę na party, wtedy gdy Theo został...

— Przez chwilę odebrało jej głos. — ... Byłam na niego wściekła. Po sprzeczce o Steve'a, ale jeszcze zanim przytrzasnęłam mu dłoń.

— Znów przerwała i musiała zacisnąć powieki, pod którymi gromadziły się łzy.

— Wystarczy, Iris. Więcej nie musisz mi mówić.

— Ale chcę — odpowiedziała. Chce czy musi, cóż za różnica? Oczy Anny niosły spokój, więc kontynuowała: — No i wyszliśmy razem i było nam po drodze. Zaprosił mnie na drinka. Mieszka w Waldorf Towers.

— Na drinka czy do pokoju? — spytała Anna, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Wtedy na drinka. Był inteligentny, światowy i taki miły. Do pokoju dopiero za drugim razem. Nie wiem, czemu tam poszłam. Nie wiem, choć wtedy pewnie wiedziałam... Gdybym nie wiedziała, pewnie bym nie poszła.

Wiedziała, nie wiedziała — ale wtedy pożądała go, choć bardzo krótko. Na samo wspomnienie skuliła się.

— Nic z tego nie wyszło, bo... jakoś nie mogłam, wtedy on wpadł w furję, a ja zwałam. Obrzydliwa sprawa. Pewnie dlatego chciał mnie dziś poniżyć.

— Co to za człowiek?

— Nazwisko nieważne. Bardzo bogaty. Pewnie jakaś gruba ryba.

— Przynajmniej na taką wygląda. Niebrzydki, choć jakby z lodu.

— Też sądziłam, że niebrzydki, ale nagle wydał mi się odrażający przestraszyłam się go.

— Jego? Może raczej tego, co chciałaś zrobić?

— Chyba tak.

Tego? A cóż ta dystyngowana dama w dyskretnej wełnianej sukience z koronkowym kołnierzykiem, dama z innego świata i z innej epoki mogła o tym wiedzieć? Przecież nie z autopsji?

Iris odetchnęła z ulgą, jakby pozbyła się ciężaru.

— Czasami nie rozumiemy tego, co w nas siedzi. Może nigdy tego nie zrozumiemy. Nie sądzi mama?

— Nieważne. Zresztą mała szansa, byś go znów zobaczyła. A jeśli nawet? — Machnęła dłonią, jakby taka możliwość była nieistotna.

— Wiem, że to wszystko już za mną. Po prostu chciałam ci o tym powiedzieć. — Sięgnęła po widelec, czując apetyt na widok półmiska. — Może to dobrze, że dziś się to stało. Jak żyć z czymś takim? Zupełnie jak z kulą u nogi lub z wirusem w organizmie.

— Dobre porównanie. — Anna zamyśliła się i przez chwilę patrzyła nieobecny wzrokiem, nieobecny, a może nawet smutny. Potem uśmiechnęła się jakby siłą woli.

— Szampan nam wymusza! No, Iris — powiedziała, trącąc jej kieliszek — zdrowia, szczęścia, pomyślności. Wszystkiego najlepszego, córeczko!

Iris zapisała wszystko, co ma powiedzieć rodzicom na pierwszej powakacyjnej wywiadówce i wyciągnęła się na ogrodowej ławce. Późne słońce grzało przydomowy ogródek i astry zasadzone i regularnie podlewane ręką Anny. Podwórko, choć niewielkie, było teraz przyjaznym miejscem, zupełnie innym niż przed dwoma laty, gdy sprowadzili się tu w ten mroczny dzień.

Pomyślała, że w tej dzielnicy lokator staje się sąsiadem, czego nie można było powiedzieć o ich dawnym miejscu. Nie, żeby ludzie wtrącali się w cudze sprawy. Na to byli zbyt zapracowani. Wyrastali jak spod ziemi, gdy ktoś był w potrzebie, jak wtedy, gdy zmogła ją grypa, a Theo i Phillip stołowali się co dzień w innym domu. Na Halloween*

* Halloween — 31 października wigilia Wszystkich Świętych obchodzona w USA wesoło i maskaradowo.

urządzali wspólne maskarady, a na Czwartego Lipca* fetę pod gołym niebem.
W drzwiach kuchni stanął Theo.

— Widzę, że masz teraz tutaj swój gabinet.

— Dobrze widzisz. Niezłe miejsce do pracy. Zerwał niebieskiego astra i włożył sobie do butonierki.

— Pewnie wyglądam jak bileter na premierze — zaśmiał się. — Wiesz, że nigdy nie pomyślałbym, że polubię taką ciasnotę? Zaczynam czuć się tu jak w domu, a nie jak w motelu w drodze.

Motel w drodze — zamyśliła się. Za rok czeka go wielka próba: otwarcie praktyki w nowej specjalizacji. Żeby mu się tylko udało. Strasznie się napracował. Co dzień nowe zmarszczki pod oczami.

— Mogło nam pójść gorzej — powiedział.

— Ale nie poszło — odparła i ucieszyła się, że powiedział „nam”. Kiedyś, gdy pytała go o budżet domowy i poważne sprawy, odpowiadał, że to nie ich, a jego sprawy. Tak, długą drogę przebyli.

Myślała o tym podczas kolacji. Filip i Theo ustalili, że przez jeden wieczór będą rozmawiać ze sobą tylko po francusku. Theo władał nim biegle, zaś Iris pamiętała tylko nędzne resztki z ogólniaka.

— Rok temu byłam jeszcze na waszym etapie — powiedziała — ale teraz Filip to już nie moja liga.

Radosna była to scena: ojciec i syn degustujący obiad, który sama przyrządziła — i to nie najgorzej. A wszystko w może i ciasnej, ale gustownej jadalni. Farba i tapety czynią cuda. Zresztą Anna podrzucała im regularnie coraz to inne meble zmagazynowane na jej poddaszu, gdy sądzili, że nigdy nie będą im potrzebne. Gdy wprowadzili się tu, Iris naprawdę nie było w głowie upiększanie domu. Ale Anna miała rację. W kuchni miedziane rondle, w jadalni srebrne lichtarze i serwis herbaciany, w bawialni kryształowe lampy. Wszystko to przydawało domowi życia, ciepła i blasku.

— No, panowie, z deserem uporacie się sami — powiedziała, wniósłszy budyń jabłkowy. — Muszę zrobić się na bóstwo, żeby zaakceptowali mnie rodzice.

Stała niezdecydowana przed szafą z garderobą, gdy wszedł Theo.

— Nie wiem, w co się ubrać — wyjaśniła.

* Czwarty Lipca — amerykańskie święto państwowe obchodzone na początku uniezależnienia się kolonii od korony brytyjskiej.

Sięgnął do szafy i wyciągnął coś, co wisiało w samym jej kącie od niepamiętnych czasów. Beżowy kaszmirowy kostium od „Chez Lea”, chyba nigdy nie włożony.

— A może to?

Milczała. Patrzyli sobie w oczy. Theo też milczał, ale jego usta zdradzały rozbawienie.

— Zbyt kosztowne — powiedziała łamiącym się głosem.

— Kosztowne? Przecież nie musisz demonstrować im metki z ceną. Żakiet zgrabny, spódniczka też. W sam raz na taką okazję.

Gdy wciąż się wahała, wspominając tamten dzień w magazynie Lei, skarcił ją:

— Daj już spokój, Iris. Na ciuchy też trzeba patrzeć z humorem. Inaczej to one przeżyją nas, a nie my je. Wskakuj w to i niech ci się dobrze nosi.

Rzucił jej spódnicę; chciała ją złapać i zamiast wieszaka pochwyciła okaleczoną dłoń. Przeszedł ją dreszcz, bo od wypadku nigdy nawet jej nie dotknęła.

— Przepraszam, Theo. Musiałam cię urazić.

— Nie. Ona już od dawna nie boli.

Nie pomyślałaby, że określi to tak trywialnym słowem jak „urazić”. Jeśli już, to wyrazami, które z trudem przechodzą przez usta. Nie mówiąc o dotknięciu! Nie potrafiła opisać tego dotknięcia.

Towarzyszyło jej przez cały wieczór; obce, a równocześnie tak bliskie. Bliskość? Ostatnie słowo, które pasowałoby do niej i do Thea. Miała o czym rozmyślać za kierownicą, gdy wracała późną porą do domu.

Może takim jak ja potrzeba poezji, a nie prawdziwego życia? Tak, pewnie kiedyś kochaliśmy się. Gdyby było inaczej, nie upadlibyśmy tak nisko i nie zdołalibyśmy się wspiąć tak wysoko. Ale to już nie tak jak dawniej. Tamto wypaliło się. Pożądanie. Może dlatego, że pod wieczór jesteśmy oboje zbyt wykończeni i wystarczy nam zdawkowe „dobranoc, kochanie”, ciepły koc i miękkie łóżko. Nie, to tylko wykręty. Ludzie na całym świecie harują stokroć ciężiej, a jednak pragną namiętnej miłości.

Wprowadziła wóz do garażu. Dom był ciemny. Theo też pewnie już śpi.

Pomyślała, że musieli wyrządzić sobie o wiele więcej krzywd, niż sobie uświadamiają. Poczuli się bardzo samotni. Jeśli miłość jest odmianą szaleństwa — jak twierdzą niektórzy — pragnęła tylko jednego: być odrobinę bardziej szalona.

ROZDZIAŁ 17

Steve czuł niepokój. Nie mógł się go pozbyć ani przemienić w czyn. Jak przy każdym nawróceniu i apostazji chwile wiary przeplatały się z chwilami zwątpienia, olśnienie ustępowało argumentacji lub wszystko to znikało w natłoku innych spraw, by znów powrócić ze wzmożoną siłą. Raz za razem.

Pojechał z Susan B. do supermarketu, by zrobić tygodniowe zakupy artykułów pierwszej potrzeby dla komuny. W drzwiach wyminęli się z dwoma chłopakami w wojskowych drelichach. Jeden z luźno zwisającym rękawem bluzy, drugi z twarzą pokrytą w połowie jeszcze nie zasklepioną blizną.

Na stacji benzynowej dwaj tankujący paliwo faceci w średnim wieku wymieniali uwagi:

— Masz jakieś wieści od chłopaka? — spytał pierwszy.

— Trzy miesiące do cywila. Wolałbym wiedzieć, czy je przetrzyma. Ostatnio gniotą tam naszych.

— Głowa do góry. Twój da sobie radę. Musi sobie dać.

— Musi? Chłopak od mojego brata też musiał. Tylko że dostał na wylot. W tamte święta skończył osiemnaście lat.

Drugi mężczyzna nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc pokręciwszy głową odszedł.

Steve i Susan B. postali chwilę i przyglądali się, jak z domu pogrzebowego wynoszą trumnę okrytą amerykańską flagą. Za trumną schodziła po stopniach para; oboje ze wsi, sądząc po wyglądzie. On w wyświechtanym garniturze, ona w bawełnianej sukience. Słaniającą się kobietę podprowadził do samochodu mąż i jakiś mężczyzna. Ruszył karawan, po nim samochód, po samochodzie skromny kondukt; kurz opadł i uliczka znów była cicha.

— To zмова — przerwał ciszę Steve. — Zmowa przeciw nam, młodym. Chcą nas wykończyć, nim sami się wykończą.

— Nas? — spytała jego dziewczyna, zaskoczona gwałtownością tych słów. — Co to ma wspólnego z nami? Już dawno zapomniałam o tej wojnie.

— Nic dziwnego. Przecież nie czytamy tu gazet.

Ostatnio wystarczyło, że pojechał do miasta, a już wojna wjeżdżała tam od drugiego końca. Mijając redakcję gazety, zerkał na wywieszane nagłówki. W sklepach, na targowisku łowił uchem rozmowy. Kiedyś natknął się na autobus wiozący młode wojsko

— same szczeniaki — z jednostki na wybrzeżu i poczuł, że znów go bierze.

— Steve — powiedziała Susan — to nie twoja sprawa, nie twój rocznik, a gdyby nawet? Co możesz zrobić?

Wiedział, że mówi to z dobrego serca, ale ostro go to użądliło.

— Kiedyś wiedziałem, co z tym zrobić. Co, gdzie i jak. Zapomniałaś, czym się zajmowałem? Jeśli zapomniałaś, to przypomnij sobie, Susan.

— Pamiętam i zimno mi się robi.

Podczas wspólnej kolacji sprowokował dyskusję na temat Wietnamu, który jest wszędzie.

— Więc niech sobie będzie — zrymował ktoś. — Im szybciej się to wszystko rozpieprzy, tym lepiej. Nasza chata z kraja. Źle ci tu?

— Ale chrzanisz — odparł Steve. — Nie udawaj, że o tym nie wiesz i że sam o tym nie myślisz. Żadna chata nie jest z kraja.

— Przypomniał mu się żołnierz z supermarketu i jego dosztukowana twarz. Twarz, z której musiała lać się krew. Prawdziwa krew!

— Mówisz, że wszystko się rozpieprzy? — powtórzył wściekły.

— Łatwo ci to mówić, bo my tutaj grzejemy sobie dupy na słończku.

— Jesteś spięty, bracie — mruknął oponent. — Potrzeba ci medytacji.

— I luzu. Weź trawkę — doradzili inni.

Nikt go nie rozumiał, nikt nie zareagował na jego gniew. Tej nocy poskarżył się Susan B.

— Przecież muszą o tym myśleć? Wierzysz, że nie myślą?

— Ty też nie myślałeś i to długo. Myślałeś, Steve?

Miała rację i wstyd mu było. Nie potrafił zostawić tego miejsca, które stało się jego domem, a zwłaszcza zostawić Susan B. Przez następne dni czuł, że tak daleko być nie może, ale nie robił nic.

Aż wreszcie pewnego ranka przyszedł list od Tima. Pierwszy od wielu miesięcy.

Chyba odpocząłeś sobie, a zimowy sen wyszedł Ci na dobre — pisał — Jesteś nam potrzebny, Steve. Rewolucja potrzebuje każdego, kto raz zaciągnął się pod jej sztandary, a zwłaszcza mózgow takich jak Twój. Odstawiliśmy Cię na bocznicę, ale pora wracać na szlak.

List kończył się adresem w San Francisco, gdzie powinien się stawić. Susan B. przeczytała list, patrząc mu przez ramię i spytała, czy to od pana Powersa.

— Myślisz, że od kogo? Trudno, żeby podpisał się własnym nazwiskiem.

Poczuł nagły przypływ starego, dobrze mu znanego podniecenia. Znów dostał rozkaz — nieważne jaki — rozkaz do wykonania. Dość gnicia na słońcu, dość rutynowego szwendania się między pastwiskiem i oborą. Czas na czyn. Wtedy, gdy zniszczyli kartoteki komisji poborowej, czuł suchość w gardle, ale mimo pośpiesznej ucieczki odwalili kawałek dobrej roboty. Może uratowali kilku młodych nieboraków od powrotu do domu z połową twarzy lub w sosnowej skrzynce. A poza tym zdrowo przyładowali systemowi.

Poczuł, że krew znów żywiej w nim płynie. Wspaniałe uczucie.

— Jedziesz? — spytała Susan B.

— Jadę. A ty ze mną.

— Ja? Przecież nie znam się na tym. Wiem tyle, co od ciebie. Taka młoda, mała i krucha. Przytulił ją i pogłaskał po głowie.

— I tak już dużo wiesz. Reszty nauczysz się od wspaniałych ludzi, których wkrótce poznasz. Czas dorosnąć, Susan B. Dobrze pisze Tim. To był zimowy sen. Mój i twój.

— Dobrze. Pojadę z tobą — odpowiedziała. — Pojadę, bo oprócz ciebie nie mam nikogo.

Minęło kilka dni, aż pewnego ranka wstali przed świtem i wymknęli się, nim ktokolwiek zauważył.

Spadamy. Powodzenia. Byliście kochani — nagryzmołił Steve na kartce i przyczepił ją na drzwiach dużego domu.

— Dobry pomysł — przytaknęła Susan. — Smutno byłoby żegnać się z nimi.

— Nie tylko dlatego. Po co odpowiadać na pytania? Mogliby kiedyś zacząć nas szukać, a ci im mniej wiedzą, tym lepiej.

* **

Pod wskazanym adresem zastali Timothy'ego. Zgolił brodę, jasne włosy ufarbował na ciemno, a oczy ukrywał za grubymi szklami w czarnej oprawce, co nadawało mu stateczny wygląd księgowego lub biznesmena.

— Szklą ochronne — wybuchnął śmiechem. Zdjął je i porwał Steve'a w objęcia.

— Widzę, bracie, że jesteś w formie! — Odsunął się o krok, by lepiej mu się przyjrzeć i aż zagwizdał.

— No, no! Takie bary i ani śladu nadwagi. Wyglądasz jak superman.

— Praca na farmie — odparł Steve. — Prawdziwie proletariackie zajęcie. — Poczzerwieniał na takie powitanie i komplement.

— Brakowało cię. Dużo się wydarzyło. Aż wierzyć się nie chce, że tak dużo, a ty pewnie nawet nie słyszałeś. A co to za jedna?

Susan, stojąca w drzwiach, była prawie niewidoczna za rozłożystymi barami jej chłopaka.

— To Susan. Przyjechała ze mną. — Spojrzał w oczy Tima i powiedział z namaszczeniem:

— Wie wszystko. Przegadaliśmy niejedną noc i wszystko jej wyjaśniłem. Susan jest w porządku. Wierz mi, Tim.

— Skoro ty to mówisz, wierzę, że jest w porządku — odparł Tim z równym namaszczeniem. — Chodź tu, Susan. — Ujął w ręce jej dłoń.

— Widzisz, to, czym się zajmujemy, to poważna sprawa. Poważna i ryzykowna. Mam nadzieję, że wiesz o tym. Musimy sobie ufać. Ufać po grób.

— Wiem — przytaknęła. — I wiem, że tak trzeba dla sprawy — dodała z dumą. — Wiele się nauczyłam od Steve'a. Tam, skąd pochodzę... musiałby pan znać to środowisko, żeby zrozumieć, co czuję...

Steve, który znał zakamarki jej duszy nie gorzej niż zakamarki jej ciała, przerwał i powiedział pośpiesznie:

— Opowiesz nam o tym, Susan B., gdy wszyscy się poznamy. Domyślam się, że stary regulamin wciąż obowiązuje? — spytał Tima.

— Oczywiście. Siadajcie i zaraz zaczynamy — odparł Tim, przechodząc na ton przywódczy.

Kwadratowy, niewielki pokój na piętrze, który był pewnie sypialnią, gdy dom zamieszkiwała jedna rodzina, pełnił teraz rolę

sekretariatu prowadzącego do jakichś anonimowych wnętrz. Jego umeblowanie składało się z wytartej licznymi pośladkami zielonej otomany, dwóch foteli ze zgniłozieloną tapicerką, stolika i krzesła, na którym zasiadł teraz Tim, by przewodniczyć zebraniu. Przybyło osiem osób, więc dwoje musiało przysiąść na podłodze; konkretnie Steve i Susan.

— Czołem George, czołem Sam — Steve wymienił uściski ze starymi kumplami. — Cześć, Lidia. Susan, to właśnie jest Lidia, o której tyle ci opowiadałem.

W istocie opowiedział jej wiele o jej odwadze i pomysłowości, pomijając to, że z nią sypiał; może zresztą i dobrze, bo Susan B. mogłaby patrzeć teraz na Lidie z mniejszym entuzjazmem.

On sam patrzył na nią obojętnym wzrokiem; jak każdy z tu obecnych mężczyzn i kobiet była dlań po prostu towarzyszem broni. Objął ramieniem swoją Susan.

Ted i Shelly byli dlań nowi. Ted wyglądał na trzydziestkę, ale okazało się, że ma dwadzieścia dwa lata; do tego rzadkie, długie włosy i ascetyczną twarz. Shelly była ostrzyżona na wiedźmę i wyrażała się językiem wykraczającym ponad ogólniak.

— Mam dwadzieścia pięć lat — zaczęła, gdy Timothy kazał jej powiedzieć coś o sobie. — Wybrałam radykalizm, gdy przekonałam się, czym jest świat, w którym żyję. Chcecie wiedzieć, gdzie? W Mas-sachusetts. Podmiejski dom, kłusaki w stajni, bale debutantek, zacne rodziny. Znacie to wszyscy! — Obrzuciła wzrokiem towarzystwo złożone z dwojga żydowskich nastolatków ze sklepikarskich rodzin ze Wschodniego Wybrzeża, absolwenta szkoły niedzielnej na Środkowym Zachodzie i syna górnika z Pittsburga. — Może i nie znacie — zreflektowała się. — W każdym razie czułam, że to nie dla mnie. Dostałam się do college'u, wybrałam nauki polityczne i polityka wciągnęła mnie. Oczywiście SDS*. Skończyłam college, pojechałam do Waszyngtonu, trafiłam do komuny i wciąż tam siedzę, choć czasami ciągnie mnie w kraj.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Tim powiedział:

— Wiemy, Shelly, jak cię ciągnie. Przynajmniej większość z nas wie, ale skoro jest tu Susan, przypomnę, że Shelly odwała wspaniałą robotę na kampusach. Jest niezniszczalna. Zwijali ją dziesiątki razy za

* SDS (ang. — Students for Democratic Society) — radykalne ugrupowanie studenckie z końca lat sześćdziesiątych akceptujące terroryzm jako formę walki politycznej.

bomby cuchnące na konwencji w Chicago w sześćdziesiątym ósmym, za działalność w ogólniakach, za samoobronę kobiet. Mów dalej, Shelly.

— Potem przyłączyłam się do weathermenów* — ciągnęła beznamiętnym głosem. — Nieważne, kiedy i gdzie. Pewnie słyszeliście o nich. Sami wiecie, że naszym głównym celem nie jest powstrzymanie tej wojny, lecz zmiana politycznego systemu, przekazanie władzy w ręce ludu, któremu ją odebrano. Dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom mieszkańców tego kraju. Może o mnie już wystarczy.

— Nie powiedziała wam — dodał cicho Timothy — że sterroryzowała pałką policjanta, że wypuścili ją za kaucją i że zamierza zejść w podziemie.

— I co tam będzie robić? — spytała ku zaskoczeniu Steve'a Susan B.

— Nic — odparł Timothy. — Przynajmniej przez dłuższy czas. Mamy dobrą siatkę i bezpieczne domy, jak choćby ten, w którym teraz siedzimy. Ted, teraz twoja kolej.

Ted mówił z przeciągłym, południowym akcentem, zupełnie nie pasującym do siły słów i do jego oklapniętej aparycji: przerzedzonych włosów, kozich kosmyków na podbródku, zapadniętej klatki piersiowej z trudem falującej nad skrzyżowanymi chudymi nogami.

— Moje życie było, jak to mówią, barwne — zaczął, uśmiechając się ironicznie. — Wychował mnie dziadek. Baptysta. Poszedłem do college'u, straciłem wiarę, poznałem faceta — nazywał się Ben Weinberg — który też stracił wiarę. Wylali nas z college'u i zaczęliśmy tak zwane dorosłe życie. Też wstąpiliśmy do weathermenów i przyjechaliśmy do Chicago, by zamieszkać w komunie. Było nas tam trzydziestu. Komuny są fajne — skinął głową w kierunku Steve'a i Susan. — Fajne, bo można się tam uwolnić od wszystkich tych bajerów, co twoje, co cudze. Ale z drugiej strony są nefajne, bo zamieniają się w klasztory na zadupiu. Największy problem, to że są zbyt liczne. Trzydzieści osób nie da się utrzymać w ryzach, gdy trzeba się przemieszczać, a gdy przychodzi zejść w podziemie, zawsze któryś może coś wypaplać. Wybrałem pięciu i wróciliśmy do Nowego Jorku. — Znów mrugnął okiem. — Chyba do dziś nas tam pamiętają.

* Weathermen (ang. dosł. „meteorolodzy”) — grupa terrorystyczna działająca w drugiej połowie lat sześćdziesiątych w USA, uprawiająca tzw. partyzantkę miejską. O weathermenach wspomina Bob Dylan w cytowanym przy końcu rozdziału *Subterranean Homesick Blues*.

Zwłaszcza United Fruit Company, urząd federalny, centralny rejestr poborowych, sąd karny, nie mówiąc o General Motors. Chyba do dziś wstawiają szyby.

— Dzięki, Ted — przerwał mu Tim. — Plastycznie to opisałeś. Twoja kolej, Susan.

Wstała, a Steve pomyślał, że z tymi kucykami dyndającymi na tle wątych, opalonych ramion wygląda jeszcze bardziej dziecinnie niż zawsze. Ale speszona nie była.

— Ja nie mam tak barwnych wspomnień — zaczęła. — Nie mam nawet osiemnastu lat i znam głównie mój dom, którym gardzę jak Shelly, choć z nieco innych powodów. Zresztą może nie tak bardzo innych. Ten mój nie był aż tak wielkopański, ale równie materialistyczny. Kupić, dostać, wydać — to był świat moich rodziców. Zawsze myśleli tylko o sobie. Nie znosiłam tego, ale nigdy nie myślałam o rewolucji. Teraz się uczę. Wiem, że późno, ale lepiej późno niż wcale. — Rozejrzała się po pokoju. — To tyle. Więcej wam nie powiem, chyba że sami chcecie coś jeszcze usłyszeć.

Rozległ się szmer aplauzu, Susan usiadła, a Steve poczuł, że jest z niej dumny. Długą przeszła drogę od dnia, gdy podeszła do niego tuląc kotka.

— A więc znamy się już wszyscy — powiedział radośnie Timothy, odkładając na bok przywódczy ton. — Pamiętajmy, że jedziemy na tym samym wózku, a wszyscy jesteśmy jedną rodziną. I jeszcze jedno — dodał znów władczo — nikt się stąd nie rusza i nie wpuszczacie nikogo, chyba że na wyraźny rozkaz. Pod moją nieobecność odpowiada za wszystko Lidia. Gdyby coś, wie, gdzie mnie szukać. Tylko ona i nikt inny! Oczywiście wiecie, że wszystkim ufam, ale niepotrzebna informacja może wymknąć się przez nieuwagę, pod groźbą lub przymusem. Teraz o najbliższych planach. Robimy to, co dotąd, tylko że tu, na Zachodzie. Przemieszczamy się wzdłuż Pacyfiku z południa na północ, z uniwersytetu na uniwersytet i wysadzamy w powietrze komisje poborowe. Pamiętajcie, że właśnie stąd wypływa za ocean mięso armatnie. To stwarza nam dodatkowe cele ataków: koszary, ciężarówki, nawet autobusy wożące rekrutów.

Spojrzał na zegarek, zmarszczył brwi i wstał szybko.

— Już jestem spóźniony. Steve i Susan wychodzą ze mną. Na tej karteczce macie wasz nowy adres. Adres na pamięć, a kartkę w strzępy. Tu przychodzicie tylko by skontaktować się z Lidią. Może was przerzucą, nawet na pewno. Wszystkiego dowiedziecie się od Lidii. Reszta zostaje przez godzinę, a Ted wychodzi ostatni.

— Ted nie jest pewny — wyjaśnił, gdy Steve i Susan wychodzili z domu w letnią noc. Podał Steve'owi karteczkę rozmiarów znaczka pocztowego i wskazał kierunek.

— Wy tędy, ja tamtędy — rzucił.

— Zobaczymy się jeszcze? — spytał Steve.

— Kiedyś na pewno — uśmiechnął się. — Aha, pewnie potrzebujecie pieniędzy?

— Mamy dziesięć dolarów.

— To masz jeszcze dwadzieścia, zanim nie zaopatrzy was Lidia. Powodzenia.

Patrzyli, jak nakłada okulary, rusza przed siebie, skręca za róg i już go nie ma.

— Podobało ci się? — spytał protekcyjnie Steve i nie czekając na odpowiedź, oznajmił z entuzjazmem:

— Wspaniali ludzie! Teda nigdy nie znałem, ale słyszałem o nim mnóstwo. Bywał za granicą na kongresach studenckich. Był nawet na Kubie i poznał przywódców Vietcongu. Też się wybierałem, ale zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

Szli ulicą, stromą niczym ustawiona pod kątem drabina. Po jednej stronie ciągnęły się drewniane domy zbudowane chyba z początkiem wieku po trzęsieniu ziemi, ze spiczastymi dachami, stopniami i wieżyczkami. Niektóre, pomalowane na pastelowe, cytrynowe lub seledynowe kolory, miały nawet pelargonie w skrzynkach na parapetach okien.

— Chciałabym kiedyś mieszkać w takim — powiedziała Susan.

— W sprawiedliwym świecie każdego będzie na taki stać — mruknął Steve, spoglądając na karteczkę z adresem. — To chyba gdzieś w pobliżu Height. Zdaje się, że na prawo, o ile pamiętam.

— Byłeś tu już kiedyś? Nigdy mi nie mówiłeś.

— Nie mówiłem? Myślisz, że opowiedziałem ci już wszystko? Byłem tu w sześćdziesiątym szóstym. Włączyłem się po Stanach. Chciałem i tego spróbować. Pięknie tu było: muzyka, sztuka, wszystko nowe i wolne. Dobrze zaczęli; tak jak ci nasi na Farmie Pokoju. Tylko zanadto poszli w narkotyki. Co z tego, że byli przeciw wojnie i całemu temu gnojowi, skoro potrafili tylko ćpać i głądzić. Oczywiście mówię o hippiesach, a nie o Nowej Lewicy. Wróciłem tu w sześćdziesiątym ósmym. Myślałem, że trochę tu ochłonę po tej odsiadce w Chicago. Zostałem tłum i hołotę strzelającą do siebie na ulicach. Mogli zabić za byle działkę. Tamci moi zwijali żagle i wynosili się do prywatnych komun. Nie to, co dawniej — uśmiechnął się melancholijnie.

Weszli na szczyt wzgórza ciężko dysząc, bo wspinaczka i plecaki dały im trochę w kość. Tu kończyła się Ameryka. W dole i za plecami mieli wielkie miasto połączone siecią jarzących się szos i autostrad. Przed sobą zatokę, legendarny most, a jeszcze dalej Pacyfik i pewnie Azję. W górze, nad niespokojnym miastem, olśniewającym mostem i falującym morzem błyszczały gwiazdy.

— Patrz, jakie to piękne — powiedziała Susan. — Piękne i niepodobne do tego, o czym rozmawialiśmy w tamtym pokoju.

— Tak, noc ukrywa cały brud tego świata, przynajmniej do świtu.

— To smutne, co mówisz.

— Smutne? Raczej prawdziwe. I wcale nie smutne, jeśli pomyślisz o ludziach, którzy wszystko to wyczyszczą. Takich jak Tim.

— Kto robi te bomby?

— Każdy. To bardzo proste. Wystarczy dynamit i zapalnik. Byle szczeniak to zmontuje.

— Ty też montowałeś?

— Sam nie. Lidia mi kiedyś pokazywała.

— Podziwiasz ją, Steve?

— I to jak. Jest twarda i nie pęka. Umie nawet posługiwać się granatem i karabinem maszynowym.

— Przydało jej się to kiedyś?

— Jeszcze nie, ale wie, jak się z tym obchodzić... Co jest, Susan? Boisz się?

— Nie, tylko sobie myślę, choć trochę się i boję.

— Przecież od ciebie nikt nie będzie tego wymagać — powiedział, patrząc w przypominające ciemne kwiaty oczy. — Są inne zadania. Zresztą Lidia robi to już od lat i nic się jej nie stało. Lidia jest Lidia — dodał uspokajająco.

— Wiem.

Ujął jej twarz w dłonie i ucałował w czoło, policzek, oczy i usta. Przysiągł sobie, że — cokolwiek się wydarzy — zawsze będzie się o nią troszczył. Dopóki będzie przy niej, jest bezpieczna. Razem wybrali się na tę wojnę i razem z niej wrócą.

— Ten dom musi być gdzieś tutaj. Idziemy Susan? — spytał.

Podobne do innych, późnowiktoriańskie drewniane domostwo, zapuszczone i zniszczone, z szeroką furką i niską żelazną barierką u szczytu stopni. Ktoś próbował pomalować ją na jaskrawy, błękitny kolor, ale w połowie zabrakło mu farby, pieniędzy lub ochoty. Za

to z wnętrza dochodziła przez uchylone okno ostra muzyka. Bob Dylan zasuwał „Subterranean Homesick Blues”.

Steve poczuł podniecenie, wręcz seksualne. A więc wyrósł z poczwarki, mógł rozwinąć skrzydła i znów latać; do tego z kobietą, dla której był mężczyzną.

ROZDZIAŁ 18

— Piękne wesele, w sam raz do tego wnętrza — powiedziała Iris do Thea.

Minął tydzień, od kiedy Laura i Robbie McAllister wzięli ślub w domu Anny, a mimo to Iris wciąż nie mogła wyjść z podziwu nad ogrodem, kuchnią, tłumem krewnych, a zwłaszcza nad córeczką Jima, która właśnie przyszła na świat.

— Pomyśl tylko, Theo. Anna jest prababką! Kto by uwierzył, patrząc na nią. W jej wieku, w jej formie!

Spożywali niedzielne śniadanie bez pośpiechu, bo Filip poszedł pograć w piłkę.

— Skoro mowa o wieku — odparł Theo zza „Timesa” — Laura wydaje mi się zbyt młoda na małżeństwo.

— Mówisz tak, bo poszła z domu zaraz po Jimmym.

— Może — uśmiechnął się. — Nie ma większego zazdrośnika niż ojciec panny młodej. Wiemy coś o tym. Mam nadzieję, że przynajmniej religia ich nie podzieli. I bez niej będą mieli problemy. Odpukać — dodał poważnie.

Iris wiedziała, do czego wraca. Próbowwała wyjaśnić to Laurze. Przegadały godzinę w jej pokoju, ale Laura powtarzała, że ludzie zbyt zawracają sobie głowę tymi ślubami, bo skoro dwoje kocha się, w czym problem? „Ty i tato nie mieliście takich obciachów?” ... Kochana, mała Laura.

Theo odłożył „Timesa” i znów odezwał się poważnie:

— Wiesz, co mnie boli? To, że Steve nawet nie raczył się pofatygować na ich ślub.

— Ale pamiętał — przerwała mu pojednawczo. — Przecież przysłał im te białe mokasyny własnej roboty. Mnie to bardzo wzruszyło.

— Wzruszyło? Nie widzę nic wzruszającego w fakcie, że mój syn wybrał zawód indiańskiego szewca.

— Przynajmniej robi coś użytecznego w tej komunie. To lepsze, niż gdyby siedział w więzieniu lub gdyby rozerwało go, jak tamtych przed miesiącem w Colorado, gdy podkładali bombę pod biuro rekrutacyjne.

— Dobrze i to — mruknął gniewnie Theo. Wiedziała, że nie jest wściekły, a tylko wściekle urażony. — Skąd wiesz, co mu jeszcze przyjdzie do głowy? Nie dziś, to za tydzień.

— Nie wiem i nawet nie chcę o tym myśleć. Ty też nie powinieneś, Theo.

Chciała jak najdłużej zachować blask tamtego wesela. Państwo młodzi byli tacy piękni. Ach, żeby mogli pozostać tacy na zawsze: ścisnąć się za ręce wśród kwiatów, oklasków, toastów. Przypomniała sobie — jakby to było wczoraj — swój własny ślub. Żeby i ona mogła znów czuć się jak wtedy. Niestety, zbyt wiele się wydarzyło.

Wstała i zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

— Zatelefonuję do mamy. Może wybrałaby się po południu do kina.

— Dobry pomysł. Zadzwoń.

Telefon w kuchni zabrzączał sam. Podniosła słuchawkę i usłyszała czyjś przerażony głos.

— Halo... halo, słucham... proszę mówić głośniej... Poszłaś na górę i co? Zaraz tam będę... tak, za pięć minut. Theo! — zawołała do jadalni — chyba coś złego się stało. Dzwoni ta nowa gosposia mamy. Nic nie rozumiem: pożar, choroba? Theo, chodź tu szybko!

Theo zdążył tymczasem wyjąć kluczyki wozu z biurka i już szedł do garażu.

— Spokojnie, Iris — powiedział, gdy wsiedli do samochodu. — Po co zaraz wyobrażać sobie najgorsze? Wiesz, jak to baby. Zaraz panikują. Za chwilę tam będziemy.

— Co się stało? Mówże wreszcie! — krzyczała Iris, biegnąc po schodach.

— A więc, idę ja na górę. Idę, bo starsza pani zawsze wstawiała wcześniej, a tu już prawie południe... Więc idę sobie ja na górę, wchodzę, a tam pani... — Lula załamała rękę.

— Iris, zostań tu! — Theo dopędził ją na półpiętrze.

Nie posłuchała go. Przebiegło jej przez myśl, że matka miała zawał i Theo nie chce, żeby to widziała. Weszła za nim do tak dobrze znanej jej sypialni.

Anna leżała na środku łóżka, przykryta białym, letnim pledem. Rozpuszczone włosy okrywały poduszkę, a koronkowy rękaw wyciągnięte ramię. Theo pochylił się i uniósł jej powiekę.

— Zawał? Powiedz, Theo... czy to był zawał?

— Nie, Iris. To nie był zawał. Na pewno nie cierpiała. Odeszła spokojnie. — Objął ją i zaprowadził na fotel.

Tak szybko i tak nagle. Jeszcze przed kwadransem przeglądali prasę i chrupali grzanki. Teraz byli tu, a Theo coś mówił. Co on właściwie mówi? Słyszała tylko własny wysoki, rozwibrowany głos:

— Czy ona nie żyje? Powiedz, czy ona nie żyje?

Skinął głową. W oczach miał łzy. Gdzieś zza pleców dobiegł ją głos Luli. Przedpołudniowe światło sączyło się przez azur firanek. Poczowała mocny zapach floksów i kremowych róż, ulubionych kwiatów jej matki. A może to puder lub perfumy? Te również uwielbiała.

— Rozmawiałam z nią wczoraj — powiedziała Iris. — Mówiła, że dostała kartkę od Laury i że ma kupca na swój stary samochód. Szykowała się na nowy sezon koncertowy w Tanglewood. Wczoraj... dosłownie wczoraj...

— Nie cierpiała — powtórzył Theo, ocierając łzy. — Każdemu życzyłbym tak spokojnej śmierci.

Tak, Anna na pewno też życzyła sobie odejść bez grymasu i przedśmiertnych konwulsji. Nawet martwa wyglądała dyskretnie. Pled też leżał prosto, bez jednej zmarszczki.

— Dlaczego tak nagle? — spytała Iris, kręcąc głową.

— Często tak bywa.

Podniosła się z fotela i z pomocą Thea podeszła do łóżka.

— Chcę się jej przyjrzeć.

Anna, moja matka, spoczywa na łóżku, w którym przez tyle lat sypiała z jedynym mężczyzną jej życia. Mieli szczęście ci jej rodzice. Wieczne odpoczywanie...

Stali przez chwilę, a potem Theo wyprowadził Iris z pokoju.

— Trzeba będzie zatelefonować — szepnął. — Idź na dół z Lulą. Ja się tym zajmę.

Dopiero w kilka dni po pogrzebie — przytłumione głosy, kwiaty, łzy — zabrali się za całe bolesne pokłosie śmierci: papierkowe

pokłosie złożone z adresów, dokumentów wymaganych przez urząd podatkowy, księgowych, prawników.

— W tym biurku mieści się pięćdziesiąt lat życia, jeśli nie więcej

— powiedziała Iris.

— A w tym pokoju poprosiłem cię o rękę — odparł Theo.

— Patrz, teraz wszędzie wiszą tu zdjęcia naszych dzieci.

Siedzieli w gabinecie Anny na parterze. Ściany — jak daleko sięgała pamięcią Iris — zawsze były tu biało-żółte, podobnie obicia mebli. To tutaj matka płaciła rachunki, szydełkowała, czytała. Na biurku leżał wciąż tomik poezji, a obok szkła do lektury. Iris popatrzyła na przeciwległą ścianę, gdzie w zasięgu wzroku wisiało zdjęcie papy.

— Popatrz, Teo. Pewnie niosło jej pociechę po jego śmierci. Całkiem jak żywy. Jakby zaraz miał coś powiedzieć.

— Chcesz się tym zająć? Jeśli to dla ciebie zbyt trudne, sam wszystkiego dopilnuję.

— Nie, to moje zadanie. Ale dziękuję ci, Theo.

— Byłaś bardzo dzielna.

Skrytki, półki, albumy, pudła pełne starych listów. Przeglądnicie tego wymagało tygodni. Iris pomyślała, że to nie przeprowadzka, lecz odkrywanie czyjeś życia; może nie jednego życia.

Dlaczego nie płaczę? — zadawała sobie pytanie, przeglądając całe to archiwum. — Przecież gdy umarł papa, płakałam. Kochałam ich oboje, ale jego trochę bardziej. Może dlatego, że zawsze był dla mnie kimś szczególnym, a może po jej odejściu czuję się mniej samotna, bo późno, ale zdążyłam wydorosnąć. Jeśli to drugie, to bardzo mi w tym pomogła.

Anna... moja matka.

* **

Pewnego wieczoru Theo wybrał się na spacer z colliem Laury i ich starym pudlem, człapiącym teraz niczym kaczka. Pora była kolacyjna, a w domach — jak to jesienią — paliły się już światła. Jedni zasiadali przy stołach, inni przy ustawionych na podwórkach rożnach, korzystając z ostatnich dni ciepłej pogody. On ugościł się sam, bo dziś Iris miała zajęcia w szkole wieczorowej. Idąc rozmyślał nad jej siłą i uporem. Kiedyś nie uwierzyłby, że ma ich w sobie aż tyle. Mało ją znał.

Od dnia, gdy Werner wyznał mu zadziwiające sprawy, przyglądał się własnej żonie z rosnącym zaciekawieniem. Annie też. Któż by pomyślał, że ta dama ze Starego Świata — zawsze uważał ją za taką, mimo że w Stanach mieszkała od szesnastego roku życia — tak oddana mężowi i tak spolegliwa, żyła przez tyle lat drugim, tylko jej znanym życiem? Podziwiał jej odwagę i sposób, w jaki wzięła na siebie i niosła to ukryte brzemię.

Nie mógł zdobyć się, by napisać Paulowi o jej śmierci. Pisanie listów przychodziło mu zresztą ostatnio z coraz większym trudem. Wiedział, że Paul potrzebuje szczegółów o ich rodzinnym życiu, więc dostarczał mu ich, ale powtarzał się coraz częściej, zwłaszcza od kiedy dzieci, oprócz Filipa, poszły w świat, dwoje założyło rodziny, a o Stevie słuch zaginęła i nawet Iris wiedziała jedynie, że pracuje ciężko i ma się dobrze.

Przeszedł prawie milę i zawrócił do domu. Skreślił w boczną uliczkę i spostrzegł sączące się z okna bawialni złociste światło. A więc Iris jest już w domu. Przyśpieszył kroku. Bez niej, nawet gdy Filip odrabiał lekcje w swoim pokoju, dom — chociaż ciasny — był pustką rozbrzmiewającą echem jego kroków.

Był, nie był... czegoś jednak brakowało. Byli dla siebie mili, absolutnie wierni, oddani, a czasem nawet, gdy kochali się, było w tym coś więcej niż zaspokojenie chwilowych potrzeb. — Westchnął i wziął psy na smycz, by pokryć zadyszkę. — Dawniej inaczej to wyglądało! Gdzie się podziała radość, gdzie nienasycenie?

On sam mógł w każdej chwili je odzyskać. To raczej Iris była pusta. Ale czy to jej wina? Radości i nienasycenia nie przywraca się na sygnał. Są albo ich nie ma.

Wszedł do domu, powiesił smycze i spostrzegł, że pali się wciąż światło od podwórka. Mała przestrzeń, ogrodzona żywopłotem z drzewek życia podarowanych im kiedyś przez Annę, była ciepła i przytulna nawet wieczorem. W świetle lampy siedziała Iris na francuskiej ławeczce.

— Można się przysiąść? — spytał.

— Czemu tak oficjalnie, Theo?

— Czasem wydaje mi się, że tak z tobą wypada.

— Nieprawda — odpowiedziała jakby w samoobronie.

— Nie wiem, po prostu tak mi się wydaje.

— Jeśli tak, to przykro mi, Theo.

— Ładna ta sukienka. Widziałem ją już na tobie?

— Nie. Matka dała mi ją na tydzień przed śmiercią. Dopiero co przemogłam się, by ją włożyć.

Kąt nachylenia głowy i zarys jej szyi przypominały mu przez chwilę Annę, a gdy raptownie uniosła głowę, ujrzał mocny profil Paula. To wszystko było tak żywe, że nagle zrobiło mu się jej żal.

— Nie myśl o tym. Na pewno chciałyby, żebyś ją nosiła.

— Nie o to chodzi. — Kąciki jej ust zadrżały. — A o co?

Zamiast odpowiedzi podała mu list. — Znalazłam to wczoraj wśród jej rzeczy. Wiedziała, że znajdę go, gdy przyjdzie pora.

Nic o tamtym — poczuł ulgę przebiegając wzrokiem pierwszą stronę. Żegna się ciepło z córką i wnukami. Za to ostatni akapit przykuł jego uwagę.

Miłość jest wszystkim, Iris, jeśli spojrzysz na to z perspektywy lat i życia. Chroń ją jak najcenniejszy skarb, bo naprawdę jest wszystkim. Nie każdemu jest dane ją dostać i nie każdy potrafi ją przechować. Wiele przeszkód stoi na drodze: czasami okoliczności, na które nic nie poradzimy, a czasami nasza duma, uprzedzenia, małostkowość lub fałszywie pojmowany obowiązek. Nie pozwól, kochana Iris, by z Tobą tak się stało. Pamiętaj, czym miłość była dla was, gdy rozpoczynaliście wspólne życie.

„Okoliczności, na które nic nie poradzimy” — powtórzył w myślach, odkładając list. — Tak, Anno, kto jak kto, ale ty wiele o tym wiedziałaś.

— Chciała, żebym była szczęśliwa jak ona i papa. Ten list jest o tym — powiedziała Iris. — Poszedłbyś sobie, gdyby tamtego dnia nie przyjechała, by nas pogodzić. I to z mojej winy! Słyszysz, co mówię, Theo? Ona ma rację. W końcu po co robimy to wszystko? Troszczymy się o dzieci, o pieniądze, o dom... — Przerwała i dokończyła już spokojnie: — Przechowałam wszystko: radość, nasze plany. Zmagazynowałam to niczym w lodówce... całą naszą przeszłość: moje krzywdy, twoje krzywdy, wszystko, co mnie złościło, leży tam utrwalone jak w kamieniu. Tylko nie sam początek. Co się z nami stało, Theo? Co zniszczyliśmy?

Poczuł, że zaraz się uśmiechnie. To szło gdzieś z wnętrza, z serca.

— Nic, czego nie potrafilibyśmy naprawić w naszej sypialni.

— Jak to jest, Theo? Czy musimy zobaczyć śmierć, by nauczyć się życia?

— Kto wie, kochanie?

Stała, obejmując go mocno. Ucałował najpierw jej chłodne, aksamitne czoło, potem powieki, wreszcie drżące, ciepłe, domagające się tego usta. Poczuł, że lada moment rozplacze się z radości.

Nagle przypomniał coś sobie, zadrżał i powiedział głośno: — A ja omal cię nie zostawiłem! Na zawsze! Przecież jesteś dla mnie... — O mały włos, a powiedziałby, że jest dlań prawą ręką.

Ale to ona ucałowała każdy z jego palców. Zgasił światło i w czarnej jak atrament ciemności weszli do domu. Szli schodami na piętro, do sypialni, a potem przekręcili za sobą klucz.

ROZDZIAŁ 19

Samochód wyjechał z mediolańskiego lotniska, przebił się przez popołudniowe korki i strzelił na północ w kierunku jezior. Paul spojrzął na siedzącą tuż obok Ilse i z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć, że wysiada z samolotu, rozmawia z celnikami, odbiera bagaż.

— Ten twój ostatni list był niewiarygodny. Czytałem go trzy razy, nim doszło do mnie, że przyjedziesz. — Wyciągnął dłoń i pogładził jej smukłą, opaloną na brąz rękę. — Czemu tak długo kazałaś na siebie czekać?

— Tylko bez wymówek. Kazałam, ale — jak widzisz — przyjechałam. Nadrobimy zaległości, Paul.

Żartowała, ale w jej oczach krył się żal i smutek. Chciał spytać, czy długo tu zostanie, ale wołał nie ryzykować.

— Stęskniłem się za tobą — powiedział.

Jej włosy też zdążyły nabrać odcienia soli i pieprzu. Więcej soli niż pieprzu. Za to pasowały do opalanej cery i błyszczących oczu. Jak zwykle, miała na sobie granatowy podróżny kostium, a letnia biała bluzka odsłaniała zawieszony na szyi złoty wisiołek.

— Widzę, że go włożyłaś — wskazał palcem. — Myślałem, że trzymasz go w lewej górnej szufladzie między rękawiczkami i chusteczkami do nosa. Oczywiście w puzderku.

— Nie włożyłam, tylko go noszę — powiedziała poważnie. — Nawet gdy go nie widać, gdzieś tam sobie wisi.

— Stęskniłem się za tobą — powtórzył.

Nie było to szczególnie romantyczne, ale za to szczere. Czy zresztą szczerość nie jest romantyczna? Zwłaszcza gdy ta jedna, jedyna osoba siedzi tuż obok. Tylko ona umiała go słuchać i nigdy nie przytakiwała

mu dla świętego spokoju, reagując wyłącznie na to, czy ma rację, czy jej nie ma. W końcu ona też nie zawsze miała rację. Grunt, że zawsze potrafili się dostroić.

— Zjemy lunch w Villa d'Este. Długi, spokojny, włoski lunch. Pewnie nie jadłaś takiego w Izraelu?

— Nie jadłam. Tam nie je się długich, spokojnych lunchów.

Chciał, żeby było wesoło, a Izrael był ostatnim tematem wzbudzającym wesołość. Wystarczyło rano spojrzeć na gazetę, by przypomnieć sobie niebezpieczeństwa wiszące nad tym małym krajem.

— Piękny wóz. Co to za marka? — spytała czując, że i on chce się odprężyć.

— Ferrari. Kosztuje majątek i to nie mój majątek. Wynająłem go wraz z domem. Ma straszny zryw na autostradzie, ale dziś nie będziemy tego próbować. Będziemy jechać wolno, a ty obejrzysz sobie widoki.

— Wystarczy mi powietrze.

— Spuścić dach?

— Jeśli możesz.

— Wiatr popsuje ci fryzurę.

— Paul — wybuchnęła śmiechem — ty chyba zupełnie mnie zapomniałeś?

Nie zapomniał. Spytał przez grzeczność, jak to miał w zwyczaju. Wiedział, że lisa dba o fryzurę tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

— Jedziemy nad jezioro Como. Słyszałaś o Villa d'Este? Podobno w czasach renesansu miał tam rezydencję jakiś kardynał. Przepyszne miejsce. Zresztą sama się przekonasz.

— Słyszałam. Podobno pełny komfort.

— Należy ci się go trochę — rzucił bez podtekstu.

Między łagodnym zboczem a brzegiem jeziora wyrosła wielka kamienna budowla w całym swym majestacie. Za nią i na zboczu, między przystrzyżonymi pod sznurek żywopłotami, białymi posągami i donicami kipiącymi od petunii, ciągnęły się kwitnące ogrody. Paul zarezerwował stolik w samym rogu werandy otwartej na przestrzał, by bryza znad jeziora docierała w głąb przez krzewy. Weranda była już pełna turystów: mediolańskich biznesmenów i ich żon w modnych białych lnach i pastelowych jedwabkach. Paul pomyślał — nie po raz pierwszy przez ich wspólne lata — że lisa ubiera się w co popadnie i chyba słusznie, bo we wszystkim było jej do twarzy.

Kobieta przy sąsiednim stoliku spoglądała przez moment zachłannie na zwisający na szyi lisy wisiorek. Zna się na rzeczy

— pomyślał z rozbawieniem Paul. — Poznać oko eksperta.

lisa spytała, co go tak bawi.

— Po prostu jest mi dobrze. Popatrz tam — wskazał na jezioro.

— Jest tam przystań, gdzie można przetańczyć całą noc. Albo patrzeć na światła w jeziorze i na tańczących młodych. Młodych i pięknych. Musimy się tam wybrać. Umiesz jeszcze tańczyć?

— Jasne, że tak.

— Ja też. Orkiestrę mają świetną.

— Założę się, że ostro tam hulaleś?

— Kilka razy. Wyciągnęli mnie znajomi. Wiesz, Ilso, chyba było mi to potrzebne. Już dawno powinienem był to zrobić. Ejże, co z tym półmiskiem? Musisz skosztować, jak smakuje pasta. No i carbonara. Nie mówią o winie. Przysięgam ci, że to miejscowe białe, to prawdziwe słońce w butelce. Pewnie nawijam jak komiwojazer?

Paplał i słuchał własnego paplania, nie mogąc i nie chcąc przestać. Minęły dwie godziny, dopili kawę z *espresso*. lisa wyciągnęła się w fotelu i spytała:

— A co u wszystkich?

— Trochę ci pisałem. Wiesz, że Theo otworzył prywatną praktykę? Pisze, że idzie mu nieźle i nawet przysłał mi czek a conto pożyczki. Nie musiał, ale wypadało mi go przyjąć. Meg i Larry leczą już tylko pokojowe zwierzaki. Larry nie ma już sił do koni. Meg trzyma się nieźle, ale strasznie przejmuję się Tomem w Wietnamie. A Tim?

— splótł dłonie. — Cóż mam ci o nim powiedzieć?

— Czy wciąż zadaje się z tym facetem?

— Z Jordainem? O ile wiem, tak. Dziwny facet ten Jordaine. Prawdziwa zagadka.

Pisał o nim lisie wszystko, z wyjątkiem afery z Iris. Wolał to pominąć, podobnie jak pominął próbę samobójstwa, jeśli oczywiście było to samobójstwo.

— Czy jej syn wciąż ma kontakty z Timem? — spytała.

— Nie wiem. Theo ostatnio rzadko pisze. Dziwne pokolenie, nie sądzisz? Nie wierz nikomu po trzydziestce. Chcą wywalić nas i całe nasze doświadczenie na śmietnik. Ładne mi pokolenie! Przecież Tim jest już też po trzydziestce. Ale jedno zdanie z listów Thea zapadło mi w pamięć. Pisał, że to pokolenie zawiera najlepsze i najgorsze jednostki.

— Najgorsze? Może raczej najbardziej sfrustrowane? — powiedziała chłodno.

— Weź Jima i jego żonę. Studiują medycynę i mają dziecko. Coś tworzą, a nie niszczą. Ja też wiem, że Wietnam to koszmar, wiem, że to nonsens. Ale czemu zaraz podkładać bomby? Tak ma wyglądać idealizm?

— Idealizm? O czym ty mówisz, Paul? Może dla wielu z nich jest to idealizm, tylko kto za tym stoi? Idealiści? Wątpię. Ktoś manipuluje tymi szczeniakami. Tak jak tymi z Al Fatah, wyszkolonymi w Libanie, myślącymi, że walczą o słuszną sprawę, gdy wysadzą w powietrze autobus wiozący izraelskie dzieciaki do szkoły lub ich matki wracające z zakupów. Pamiętasz?

— Czy pamiętam? Ilso, przecież ja wciąż budzę się zlanym potem, gdy mi się to przyśni. To tak jak wojna we Francji. Po tylu latach...

lisa szła za własnym tokiem myśli. Na słonecznej werandzie, o krok od błękitnej tafli jeziora, wśród modnych sukienek, kwiatów, kryształowych kieliszków, była znów w Izraelu.

— Pomyśl, Paul. Przecież Golda¹ miała siedemdziesiąt lat, gdy wybrano ją na premiera. Nie chciała, ale wszyscy chcieli, bo wiedziała, że nie możemy się poddać. Mówiła, że terror nie przejdzie.

Zamilkli oboje. Głosy z tamtego świata nadciągnęły niczym daleki grom, tłumiąc szczebiot na werandzie. Przez kilka minut czuli jego echo i nie odzywali się słowem.

Wreszcie gdzieś obok rozległa się wesola wrzawa. Młode towarzystwo wstawało od stolika, żegnało się kordialnie, a ich śmiech przypominał Paulowi, że przyjechali tu, by cieszyć się życiem. Jest maj, a oni są we Włoszech!

— Przejdziemy się nad jeziorem. Potem pojedziemy do mnie. Ciekawe, co powiesz na widok moich włości? Istny raj.

Jechali na zachód, w stronę jeziora Maggiore, wciąż pod słońce. Samochód mknął z wiatrem przez stare, kamienne wioski nanizane wzdłuż szosy, wspinał się na wzgórze, ślizgał po serpentynach, mijał bramy z kutego żelaza i kamienne lwy strzegące białych rezydencji, których cytrynowe ściany przeglądały się w toni jeziora.

— Wydaje mi się, że to lata, a nie godziny dzielą mnie od domu i obowiązków — odetchnęła z ulgą lisa.

¹Golda Meir (1898—1978) — polityk izraelski, minister spraw zagranicznych, premier w latach 1969—1974.

Niebo nad Villa Jessica i jej czerwonymi dachówkami zdążyło przejść w mieszaninę różu i fioletu, gdy zboczywszy z szosy wjechali w wąski tunel kwitnących buganwilli. W zachodzącym słońcu cały dom też był różowy, a okna odbijały blask jak zwierciadła.

Przez otwarte drzwi widać było przestronny korytarz, a za nim jeszcze jedno drzwi wychodzące na taras.

— Chodź tu. Chcę, żebyś popatrzyła, zanim pójdziemy na górę — powiedział Paul.

Jeziro było spokojne niczym sadzawka. Trawnik, teraz spowity mrokiem — czarny jak futro i pewnie równie puszysty. Spaniel Lou, usłyszawszy głos Paula, pomknął susami przez różane grządki.

— Nigdy nie widziałam takich róż! — zawołała lisa. — Wielkie jak kapuściane głowy!

— Wszystko ci pokażę. Jeśli zostaniesz tu dłużej, pokażę ci całe Włochy.

— Zapomniałeś, że kiedyś tu byłam.

— Tak, ale podczas wojny, a to się nie liczy. Widziałaś Florencję, Wenecję, byłaś na Capri? Pływałaś parostatkami po tym jeziorze?

Uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

— A więc czas najwyższy. A teraz chodźmy na górę. Przeprowadził ją przez mały pokój ze skromną wersalką do

większego. Stało tam gigantyczne łoże, rzeźbione, malowane, złożone, z baldachimem i bocznymi zasłonami ze srebrno-błękitnego brokatu. Całe to cacko nie było w stylu Paula i w USA pewnie nigdy nie zafundowałby sobie czegoś podobnego, ale tutaj łoże było częścią domu, podobnie jak marmurowy kominek, w którym i tak nigdy nie zapalał, chyba że przezimują tu, o czym nawet nie śmiał marzyć. Do tego intarsjowany sekretarzyk. Stół pokrywały książki i czasopisma, a wśród nich bukiet róż — tych wielkich jak kapuściane głowy — który zdążyła już ułożyć pokojówka.

Dzisiejszą noc spędzą razem w tym łożu. Tęsknił za nią, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo; teraz, gdy mógł widzieć ją, słuchać jej, dotknąć wciąż prężnego i giętkiego ciała, czuć jej twardość i łagodność, których tak bardzo pragnął.

— Rozpakuj się. Zrób to szybko. Kolację zjemy we dwoje. Wolisz tu czy na tarasie? — Myśli i słowa płątały mu się tak, że z trudem oddzielał jedno od drugich. Mam nadzieję, że przywiozłaś coś na wieczór? Jutro jesteśmy zaproszeni do moich przyjaciół. Poznałem ich przez tego prawnika z Rzymu. Mieszkają na drugim brzegu jeziora.

Popłyniemy łodzią. Przejazdźka krótka, ale wspaniale wraca się nocą w świetle księżyca.

— Wiedziałam, że bez tego się nie obejdzie — zażartowała lisa, rozpakowawszy bagaże. — Gdzie Paul, tam i przyjęcie.

Wyszedł na balkon. Słońce zaszło przed chwilą za górski masyw, którego grań odcinała się teraz ostrą linią od matowego nieba. Płynąca po jeziorze żaglówka zostawiała za sobą równe pasmo: czerń na tle jaśniejszej czerni, jak na japońskiej tkaninie. Wszystko jak z obrazka: światło, niebo, woda, nawet łódka coraz mniejsza, w miarę jak się oddalała.

Jutro opłyną parostatkiem jezioro, a potem wybiorą się do Wenecji. Weronę i Padwę zaliczą po drodze. Głowę miał pełną planów, a serce szczęścia.

Paul pomyślał, że gdyby z całego życia kazano mu wybrać najszcześniejsze trzy tygodnie, wybrałby ten jeden, a zaraz potem dodałby tamte dwa. Siedział jak tropikalny nabab nad basenem, w którym lisa robiła swoją poranną pięćdziesiątkę kraulem. Byli wszędzie. Zaliczyli górskie miasteczka Toskanii, zwiedzili Florencję, przekroczyli Rubikon, spenetrowali muzea watykańskie — wielkie to było! — popływali na Lido i nawet starczyło im czasu na Rawennę.

Teraz był ranek. Tam w dole, nad basenem spryskiwacz wirował jednostajnie jak chorągiewka na wietrze. Ramiona lisy szły na przemian w górę i pod wodę w równym tempie kraula. Gdy wyszła z wody i przysiadła na brzegu basenu, ociekała perlistymi kroplami. Prosta jak trzcina. Biały kąpielowy kostium przylegał do niej niczym skóra. Błogosławiona niewiasta, której takie ciało dano — pomyślał Paul, gdy pomachała mu ręką.

— Też byś trochę popływał. Gnuśniejesz!

— Może. Dostałem nowojorskie gazety i chciałbym je przejrzeć. Dochodzą tu po tygodniu.

— Przejrzyj, a ja zrobię jeszcze kilka nawrotów.

— Miłego pływania.

— Miłej lektury.

Gazety i czasopisma, które prenumerował, leżały na stoliku tuż przy balustradzie tarasu. Złakniony wieści z Ameryki i przyzwyczajony do szybkiej lektury przebiegał wzrokiem nagłówki.

Bomby zapalające na Uniwersytecie Colorado... Eksplozja na Uniwersytecie Michigan... Dwadzieścia wybuchów w Detroit w ubiegłym roku. "New York Times" donosił: *W magazynach marynarki wojennej w Chicago zdetonowano ładunek odpowiadający siedemdziesięciu pięciu funtom trotylu... W Oakland podłożony ładunek udało się wykryć.... UPI otrzymała list oskarżający za obecny stan rzeczy rasizm, seksizm, zanieczyszczenie środowiska i imperializm. Nadawcy listu piszą: Ameryka idzie ku zagładzie. Jeśli chcemy żyć w miłości i pokoju, mamy tylko jeden wybór...* — Paul czytał czując, że litery skaczą rau przed oczyma

— ..wojnę, wojnę do zwycięstwa, wojnę o nowe społeczeństwo... rewolucję!

Cisnął gazetę na taras.

Nie były to nowe wieści. Czytał setki razy o najściach na komisje rekrutacyjne, o bombach wysadzających w powietrze urzędy państwowe i koszary. Najgorsze było, że znał to na pamięć, a nie wiedział, jak temu zapobiec.

Poranek przestał być słoneczny.

— Chcą rewolucji — pomyślał głośno. — Takiej jak u Sowieców, jak na Kubie, w Chinach? Wolni ludzie, wolna miłość. Głupie sukinsyny!

— O kim mówisz? — spytała lisa, owinięta włochatym ręcznikiem kąpielowym.

— O kim? O nich. Przeczytaj sobie. Wściekłem się, więc drugi raz nie będę. Aha, jest list od Lei. Zaraz przeczytam... Nie! Boże, wszystko, byle nie to... — ukrył twarz w dłoniach.

— Paul, co się stało?

— Tom w Wietnamie... Jechał wozem, trafili na minę i pokiereszowało mu twarz. Podobno paskudnie. Przywożą go do Stanów na operację plastyczną. Taki przystojny chłopak! Prawie taki jak Tim, może bez jego osobowości i wdzięku, ale co to ma za znaczenie? — Czytał dalej i znów przerwał. — Biedna ta Meg. Mało ma kłopotów z Timem? A wszystko przez tę wojnę, tę makabryczną wojnę.

Przerzucił korespondencję i natknął się na list zaadresowany równym pismem Thea. Zdziwiło go, że jest w stanie tak biegle operować piórem. Przejrzał list, potem przeczytał go uważnie, zapominając nawet o przyglądającej się lisie.

— Coś niedobrego? — spytała.

— Nie wiem, posłuchaj, co pisze o tym profesorze, którego Steve zawsze podziwiał: „podobno poszukuje go FBI. Wygląda na to, że ma coś wspólnego z zamachami bombowymi. W grupie był też były

ksiądz. Nakryli go w kryjówce w domu młodego prawnika w Rhode Island. Kilku studentom udało się stamtąd prysnąć i teraz są poszukiwani". — Paul czytał dalej, marszcząc brwi i tłumiąc głos: „Skomplikowana sprawa. Wygląda na to, że jeden z tych, którzy zwiali — nie wiem, czemu mówią o nich „młodzi", skoro wszyscy skończyli dwadzieścia lat? — był w Kalifornii i przez półtora roku ukrywał się w jakiejś komunie. Teraz nie wiadomo, gdzie jest. Jeśli wszystko to połączyć, ślady prowadzą do Tima Powersa".

— Bardzo to naciągane — zamyśliła się lisa. — Chce iść po śladach, a nawet nie zna ścieżki.

— Może naciągane, ale koszarne. Theo pisze, że Iris odchodzi od zmysłów.

— Paul, widzę, jak to przeżywasz, ale radzę ci dać sobie spokój. Wybacz, ale nieraz ci mówiłam, że Iris jest dorosła i nie odpowiadasz za nią. Kim ty właściwie dla niej jesteś?

Wiedział, że ma rację, ale zbieżność przeciwieństw wciąż go zastanawiała: Donal i Timothy, ojciec i syn. Pierwszy z miłości do forsy związał się z hitlerowskim przemysłem i arabską ropą, drugi z pogardy dla forsy wybrał braterstwo, a jednak ich drogi, zatoczywszy pełny krąg, zetknęły się w bagnie krwi i przemocy.

— Masz rację — westchnął. — Masz jak zawsze rację.

— Zamiast powtarzać mi to, wyjdź na balkon. Po co psujesz sobie taki piękny dzień, skoro nic na to nie poradzisz?

— Znow masz rację.

A jednak coś mu się w mózgu odmieniło. Nastrój nie był już ten sam i zastanawiał się, czy nie pora wracać do domu. Jeśli zostanie, spędzi tu już drugie lato, suche i skwarne. Tam, u Meg, pewnie wieczorami kumkają już żaby. Na Park Avenue właśnie rozkwitają tulipany. Może podpowiadała mu to pamięć przekazywana przez pokolenia mieszkańców Północy: wiosna to koniec mroźnej zimy i długich chłódów. Cokolwiek to było, poczuł tęsknotę za domowymi kątami.

Tęsknota? — pomyślał racjonalnie. — Przecież to tylko list od Thea ciągnie cię w tamte strony. Żeby tak lisa chciała też pojechać! A przecież jeszcze przed chwilą czuł błogość i spokój, gdy ona pływała w basenie, a on nie zdążył spojrzeć na pocztę i gdy ten dzień tak wszystkiego nie pogmatwał. Żeby też zechciała z nim pojechać!

Głupie gadanie, Paul — skarcił się. — Ciesz się tym, co masz. Po co psuć sobie dzień? Dobrze ci radzi. — Uśmiechnął się na przekór myślom.

— Musimy posilić się, skoro czeka nas żegluga. Wolisz zjeść lunch teraz, czy zabiwakujemy na pokładzie?

Żyjmy dniem, dopóki trwa.

Pewnego czerwcowego ranka na autostradzie pod Mediolanem znaleziono zwęglone szczątki mężczyzny. Kikut dłoni ścisnął wciąż łaskę dynamitu, za to nogi leżały o dobre kilkadziesiąt metrów dalej. Wyglądało na to, że chciał wysadzić w powietrze pobliską stację mocy, ale zamiast tego wysadził się sam. Resztki odzieży sugerowały bezrobotnego, a prawo jazdy znalezione w zaparkowanym nie opodal gruchocie nie mówiło nic. Za to wystawiony na fałszywe nazwisko paszport wzbudził zaniepokojenie i to takie, że poderwał na nogi policję całych Włoch. Karabinierzy, armia, Ministerstwo Sprawiedliwości, tysiące jawnych i tajnych funkcjonariuszy ruszyło w kraj, czesząc i węsząc. Gazety — jak to gazety — powtarzały w kółko te same nie sprawdzone pogłoski, wszystkie utykające w martwym punkcie.

Dopiero po tygodniu pojawiły się przecieki, od których Włochy aż zadrżały. Rzymski przyjaciel zerwał Paula nad ranem z łóżka, by nie czekając do śniadania zakomunikować mu sensację.

— Wiesz, kim był ten człowiek? — spytał Paul, odkładając słuchawkę, by zaspokoić ciekawość lisy. — Arturo Martillini. Milioner, co ja mówię, miliarder! Ma... powiedzmy, że miał... taką fortunę, że w głowie się nie mieści. Odziedziczył chyba połowę Włoch: tysiące hektarów gruntu, parcele, huty, stalownie, wszystko! Podobno miejscowe elity nie mogą dojść do siebie. Podobno wszyscy wiedzieli, że ostro lewicuje, ale myśleli, że to taka modna ekstrawagancja. Playboy-radykał, znasz ich. Nikt nie podejrzewał, że tacy jak on mogą bawić się dynamitem.

lisa zamyśliła się.

— Moje pokolenie, przynajmniej ci, którzy poznali faszyzm, zawsze kojarzyło najgorsze zło ze skrajną prawicą. Lewica uchodziła za bardziej idealistyczną, szlachetną, cokolwiek by robiła. Tylko że dla mnie terror jest terrorem, a ofiara ofiarą, nieważne, kto to robi.

— Nie zastanawiasz się, co go popchnęło do takich zabaw?

— Nie — ciągnęła zamyślona. — Przypominam sobie, co mówili mi moi przyjaciele z MOSSAD-u2, a jak wiesz, mam ich tam paru,

i wiesz, że izraelski wywiad należy do nie najgorszych. Słyszałam trochę o wielkich pieniądzach płynących z Włoch od kogoś z szerokim portfelem zawsze otwartym dla Baader—Meinhof w Niemczech³, dla OWP w Południowym Jemenie i dla wszystkich chętnych. Zresztą w Jemenie szkoli się dziś każdy: Szwed, Japończyk, nawet młody katolik z Belfastu. Chyba pisałam ci o tym.

— I myślisz, że ten człowiek...

— Nic nie myślę. Po prostu kojarzę fakty.

— lisa, przecież to brzmi jak szpiegowskie czytadło! Przejrzyjmy lepiej dzisiejszą prasę.

Dziwne, ale fotografia Martilliniego na pierwszej stronie jakby mu coś przypominała. Znana mu skądś twarz. Wpatrywał się i próbował sobie przypomnieć. Zdjęcie było upozowane, więc usta układały się w uśmiech, ale oczy wcale nie były wesołe. Uderzające oczy. Widział już kiedyś takie.

— Na co tak patrzysz? — spytała, zerkając mu przez ramię.

— Na nic. Czytam — odparł, nie chcąc ujawnić myśli, która nagle zaczęła mu świtać. Jordaine?

Nie, ten człowiek tylko przypominał Jordaine'a. Nonsens. Jak mógł przypominać, skoro Jordaine'a spotkał tylko dwa razy przelotnie u Meg? Jak mógłby go zapamiętać? Poza tym jest do niego uprzedzony na wspomnienie tej cynicznej — jak to mówił — „gry”, którą chciał uprawiać z Iris...

Przez najbliższe dni prasa aż trzęsła się od coraz to większych rewelacji na temat denata. Podróżował po całym świecie: miał powiązania z Libią i Japonią, z Kubą i Związkiem Sowieckim. Znał wszystkich — od Habasha⁴ po Guevarę⁵, nie mówiąc o Castro. W Południowej Ameryce brał nauki od Tupamaros⁶, którzy — jak już kiedyś pisała mu lisa — byli dziwnym trafem powiązani z Palestyńczykami.

³ Bader—Meinhof — zachodnioniemiecka grupa terrorystyczna z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, działająca jako Frakcja Czerwonej Armii.

⁴ Georges Habash (ur. 1925) — przywódca palestyńskiej organizacji terrorystycznej Czarny Wrzesień, później Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny.

⁵ Ernesto Guevara „Che” (1928—1967) — Kubańczyk, towarzysz broni Fidela Castro. Zwolennik rewolucji i partyzantki przenoszonej na wieś, wzorem Mao Tse Tung. Idol lewicowej młodzieży lat sześćdziesiątych. Zginął w Boliwii, osiągając większą sławę po śmierci niż za życia.

⁶ Tupamaros — lewicowa, maoistowska partyzantka miejska w Urugwaju na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nazwa wzięta od króla Inków Tupac Amaru z XVI wieku.

— Dziwisz się? Nie słyszałeś?

— A niby skąd? Przecież mnóstwo ludzi też nie wie, choć powinni. Patrz, piszą, że w 1966 był w Hawanie na kongresie, gdzie połączyły się światowe ruchy ludzi pracy i studentów.

— A przy okazji połączyli się Al Fatah — dorzuciła lisa.

— Pomyśl tylko, że ten sukinsyn żył równocześnie jak miliarder. Gazety i tygodniki rozpływały się nad szczegółami rozpustnego i próżniaczego życia pana Martilliniego: jego posiadłością w wolnym od podatków Lichtensteinie, górskim domkiem w Szwajcarii, zimową rezydencją w południowej Hiszpanii, do tego willą nad Jeziorem Garda z garażem pełnym rolls-royce'ów, plażą, jachtem i prywatnym jeziorkiem specjalnie dla stada łabędzi, które zawsze uwielbiał.

„Łabędzi, które zawsze uwielbiał...”

Paul odłożył gazetę. Gdzieś kiedyś to słyszał. Tylko gdzie? Kto uwielbiał łabędzie?

— Dziwne rzeczy dzieją się czasami z pamięcią. Wiesz, że to coś ważnego, już masz na końcu języka i nagle umyka ci z głowy — powiedział Paul.

— O czym mówisz?

— O łabędziach. Wiem, że to ważne, ale nie wiem dlaczego?

— Ja też nie wiem. Ale, o ile cię znam, pewnie sobie przypomnisz.

— Może przez sen.

— Tylko błagam cię, żebyś mnie wtedy nie budził.

— Obiecuję. Zresztą to pewnie nic ważnego.

Po kilku dniach Paul znów poczuł się niespokojnie.

— Ilso? Nie wybralibyśmy się nad jezioro Garda, obejrzeć tę posiadłość Martilliniego?

— Przecież policja nie dopuści cię dalej niż na pół mili—odparła, niezbyt zachwycona tym pomysłem.

— Zawsze warto się przejechać. Z samochodu też coś widać.

— Własną głupią ciekawość.

— To też, ale czemu się nie przejechać.

— Dobrze, możemy się przejechać, ale to idiotyczny pomysł. Nie minęła godzina, a już mknęli ferrari na wschód. W Brescii

zatrzymali się na lunch, a lisa, która nigdy nie znosiła zakupów, postanowiła akurat tym razem kupić upominki dla swoich bliskich w Izraelu. Paul snuł się za nią po modnych sklepach w tłumie cudzoziemców i włoskich urlopowiczów nabywających jedwabie, skórę, wszystko — byle krzykliwe i drogie. lisa poruszała się rozważnie jak piechur, wybierając tylko to, co praktyczne i przydatne: szaliki

i ciepłe rękawice — podczas gdy on stał za nią, kręcił głową i powtarzał: Jak długo tu zostaniesz, jak długo? Powtarzał w myśli, bo wołał nie usłyszeć odpowiedzi.

Wrócili do samochodu, zjechali z głównej szosy i po chwili byli na wsi.

— Wiesz przynajmniej, gdzie jedziemy? — spytała po godzinie kluczenia między kamiennymi murkami i ozdobnymi bramami z kutego żelaza.

Wiedział, że ona ma już dość tej idiotycznej eskapady. Może zresztą nie tak idiotycznej. On też, nie wiedząc, co go niesie, zamaskował niepewność stanowczą odpowiedzią:

— Znam drogę, a przynajmniej nazwę tego miejsca. Pisali w gazecie!

Jechali coraz to węższymi, coraz to bardziej krętymi, cichymi i cienistymi drózkami pachnącymi cytryną i pomarańczą, mijali kolejne kamienne murki, żelazne bramy i wyłaniające się zza nich rezydencje.

— To musi być gdzieś tu — powiedział Paul.

Na poboczu stały co najmniej cztery samochody. Ludzie tłoczyli się przy bramie zamkniętej na solidną, odstraszącą kłódkę.

— Gapie — rzucił Paul zwalniając.

— A my to niby kto? — parsknęła śmiechem lisa. Ktoś dyskutował z kimś łamaną włoszczyzną. Ten drugi — pewnie odźwierny — wykrzykiwał coś ze stopni wznoszącego się tuż za bramą domku.

— Nie wolno. Skoro mówię, że nie wolno, to nie wolno!

— Podjedziemy nieco dalej — powiedział Paul. Zahamował i wysiadł z wozu.

— Paul, może już dość tych podchodów — jęknęła lisa.

Nie odpowiedział, bo nawet jej nie słyszał. Poczul nagłą jasność w mózgu. Już wiedział, czego wtedy nie mógł sobie przypomnieć.

Ruszył prosto w stronę ogrodzenia. Wąskie, czarne, żeliwne paliki były oddalone od siebie nie dalej niż na szerokość męskiej ręki. Miały osiem stóp wysokości, a u szczytów kończyły się połączanymi szpikulcami. Od wewnątrz oplatał je barwny gąszcz hibiskusów, rododendronów, puszystych sosen kryjących posiadłość przed okiem przechodniów i kierowców.

Szedł wzdłuż tej roślinnej barykady i szukał prześwitu choćby wielkości dziurki od klucza. lisa szła za nim. Przeszli dobre sto metrów. Posiadłość wydawała się nie mieć końca.

Wreszcie Paul zatrzymał się.

— Poczekaj tu. Skoczę do samochodu po parasol.

— Po parasol? — Z nieba bez jednej chmurki lał się istny żar. — Paul, po jakie лихо potrzebny ci parasol?

Wiedział, po jakie лихо. Przybiegł z parasolem w tempie dyktowanym przez nagłe olśnienie, wszedł na kamienną podmurówkę, wspiął się na palce i zaczął grzebać końcem parasola w żywopłocie, by choć trochę rozsunąć chaszczę. Udało mu się w sam raz na tyle, by zerknąć okiem.

— Trawniki — mruknął — wszędzie trawniki... ani śladu domu.

— A myślałeś, że zobaczysz tam kurzą fermę? — spytała zniecierpliwiona lisa.

Nic nie myślał, po prostu czegoś się spodziewał. Przeszedł kilka kroków wzdłuż żywopłotu i znów powtórzył operację. Potem trzeci i czwarty raz. Wreszcie trafił i aż zaparło mu dech. Wierzby były młode i giętkie i ustąpiły pod parasolem. Staął na palcach, popatrzył i krzyknął:

— Ilso, chodź tu szybko! Potrzymam parasol, a ty popatrz.

— Całkiem przyjemny widok. Wart zachodu. Ładne ptaki i tak dumnie trzymają głowy. Sadowka też niczego sobie. Sadowka? Chyba małe jezioro. Skrzy się jak szkło. To właśnie chciałeś mi pokazać?

— Łabędzie! Wtedy u Meg... Powiedziała, że Tim wyjechał z Jordainem w jakieś miejsce nad Jeziorem Garda, gdzie jest mnóstwo łabędzi.

— I co z tego? Nie żartuj. Mnóstwo ludzi ma przy domu łabędzie.

— Mówiła, że ma ich całe stada — upierał się Paul. — Patrz, ile ich tu jest, chyba z pół setki. Ludzie hodują trzy, cztery pary, ale nie tyle!

— W porządku. Znalazłeś łabędzie, ale co z tego?

— Nic. Pozwól, że jeszcze się im przyjrzę.

Stał na palcach, gdy podszedł do nich wzdłuż pobocza chłopak, na oko dziesięcioletni.

— Tu nie wolno się wspinać! To zakazane, sinior!

— Chciałem popatrzeć na łabędzie. To chyba wolno?

— Patrzeć też nie wolno, sinior. Tato mówi, że gapie mają trzymać się z daleka.

— No, skoro tato tak mówi. A kim jest twój tato?

— Odźwiernym. Mieszka tam, gdzie ja. W domku przy bramie.

— Więc pewnie znasz każdego, kto tu bywa? Przyjaciół pana Martilliniego.

— A jak miałbym nie znać? To ważne osoby. Z całego świata. Mówią różnymi językami. Wszystkich ich znamy...

— Wszystkich? A tego pana... jak on się nazywa? Tego Anglika... Applegate — Paul wymyślił na poczekaniu nazwisko.

Chłopak pokręcił głową i dodał oficjalnie:

— Nie wolno mi rozmawiać z obcymi.

Paul postanowił nie dać za wygraną. Czuł łomotanie serca. Łabędzie. Twarz z gazety. Ta mroczna, ironiczna twarz...

— Masz tu na cukierki — powiedział, sięgając do kieszeni po monetę. — A znasz pana Powersa? Tima? Timothy'ego Powersa?

— Jasne, że znam. To kolega pana Martilliniego. Taki z włosami jak słoma. Przyjeżdża tu czasem nawet na dwa tygodnie, zwłaszcza na Boże Narodzenie. Rok temu podarował mi psa. Prawdziwego myśliwskiego psa. Ten pan... — chłopiec przerwał i zamknął sobie dłonią usta. Żrenice rozszerzyły mu się, jakby przeraził się tym, co zrobił. — Jejku! Przecież powiedziałem panu nazwisko!

— Jakie nazwisko? — Paul poklepał go po ramieniu. — I tak nie mam pamięci do nazwisk. A teraz zmykaj do domu i kup sobie cukierki. Kamień w wodę.

Wracali powoli do samochodu. Olśnienie w mózgu Paula zmieniło się w pogorzelisko. Serce też już nie łomotało, a tylko ciążyło jak kamień.

— Co teraz powiesz, Ilso? — spytał posepnie.

— Przypomina mi się ta kolacja w Jerozolimie. Wysoko zaszedł twój kuzyn. — Ona też nie mogła uporać się z tym, co przed chwilą usłyszeli. Kilka mil jechali w milczeniu, wreszcie odezwał się Paul:

— Rozumiem, że można agitować przeciw Wietnamowi w naszym kraju. Zrozumiałbym nawet, co popchnęło Tima i ludzi jego pokroju w tym kierunku. Ale to nie, tego nie jestem w stanie pojąć.

— To proste, Paul — odparła lisa. — Proste jak rewolucja. Niszcz wszystko, co na drodze. Gdzie tylko się pali, jak teraz u nas, dolewaj benzyny. Podkopuj rządy, osłabiaj je, nim się nie przewrócą. My w Izraelu znamy to od dawna. Reszta świata dopiero pozna. Nie chcę źle wróżyć, ale lata siedemdziesiąte pokażą nam jeszcze niejedną twarz terrorizmu.

— Dobrze. Pokazałaś mi tło. Ale dlaczego syn Meg? Dlaczego Tim?

— Dlaczego Tim? — wzruszyła ramionami. — A dlaczego Martillini, zepsuta latorośl potentatów?

— Alias Jordaine i alias Bóg wie, kto jeszcze. A ci młodzi? Ci, którzy demonstrują dziś w całej Europie i u nas? Co o nich powiesz?

— Niektórzy z nich to twarde, wyrachowane dranie, tacy jak Martillini. Reszta? Częściowo może i czyści, zagubieni idealisci, ale w większości chwiejni, nie spełnieni, szukający każdego celu, dla jakiego warto by żyć.

— Ponury obraz — mruknął Paul.

„Iris odchodzi od zmysłów... nie mamy wieści od Steve'a."

— Nie tak bardzo ponury, Paul. Nie zniszczą społeczeństwa Ameryki ani Europy. Dają im dziesięć, góra dwadzieścia lat. Z końcem lat osiemdziesiątych będzie po całej tej światowej rewolucji. To oczywiście moje zdanie.

— Ale czy musi być gorzej, by było lepiej?

— Z reguły tak bywa. Spójrz na dzieje świata, a sam się przekonasz.

Chwilę milczała, a potem położyła dłoń na jego spoczywającej na kierownicy ręce.

— Paul, na mnie już czas.

— Wiem — odparł patrząc przed siebie.

— Przykro mi, ale muszę.

Z trudem przełknął ślinę. W tym powiedzonku o kości w gardle jest chyba trochę prawdy.

— Na mnie też. Zbyt długo nie było mnie w domu. Zerknął na lewo i spostrzegł, że ona też patrzy gdzieś w bok.

— Kiedy? — spytał.

— Może w przyszłym tygodniu. — Zabrzmiało to trochę jak odpowiedź, a trochę jak pytanie.

— Skoro musisz ... — Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby w ogóle tu nie przyjeżdżała.

— Włącz radio, posłuchamy muzyki — szepnęła. Posłusznie nastawił stację i szwajcarska orkiestra uraczyła ich uwerturami z *Wilhelma Telia*, *Wesołej Wdówki* i *Życia Paryskiego*, po czym przeszła na jeszcze lżejszy repertuar, jakby wiedziała, że najłatwiej zamaskować smutek wesołością.

Oboje mieli odlecieć z Mediolanu tego samego dnia. Byli spakowani i pozostało tylko opakować obrazy kupione tu przez Paula. Wzięli się za to służący, ale gdy któryś z nich upuścił obraz i uszkodził ramę, Paul, zawsze ceniący wyżej żywe płótna niż martwe klejnoty, zdecydował, że sam się tym zajmie. Właśnie niósł pejzaż morski — ściślej mówiąc, pejzaż znad jeziora z rybacką łodzią w porannej mgle — gdy poczuł przeszywający ból w piersiach. Pokojówka zdążyła złapać obraz, a on zdążył złapać się za serce i przysiąc na podłodze.

lisa, stojąca o krok, zawołała, by natychmiast przynieść brandy. Wlała mu w usta, zaprowadziła na sofę, ułożyła go, równocześnie mierząc mu puls. Po kilku minutach ból ustał, a Paul usiadł, czując bezgraniczną ulgę, ale i odrobinę wstydu. Wiedział, że pewnie odstawił niezłe widowisko.

— Co mnie tak zmogło? — spytał. — Pewnie czymś się przytrułem.

— To nie zatrucie — lisa pokręciła głową z poważną miną. — Chcę, żebyś skonsultował się z lekarzem.

— A co ja, do diabła, robię przez ostatnie tygodnie? Co noc mam lekarza pod ręką.

— Żart świetny, ale zabieram cię do Mediolanu i to dziś po południu.

— Bez paniki. Sama widzisz, że już mi przeszło. Było, minęło, wszystko gra.

— Kwadrans temu też wszystko grało. Nie grało?

— Powiedzmy, że czułem się odrobinę podle, ale teraz jest okey, więc weźmy się lepiej za te obrazy i ...

— Za obrazy weźmie się Giorgio — przerwała mu. — Spakuje, będzie uważał, a my pojedziemy sobie do Mediolanu. A teraz wstawaj i przestań się ze mną kłócić, zrozumiano?

Wstyd wstydem, ale miło było słuchać rozkazów wydawanych przez kogoś, komu naprawdę na nim zależało. Tak długo żył samotnie, że chyba zapomniał, jakie to uczucie.

Pojechali do Mediolanu i to prosto do lekarza. Jakim cudem lisa zdołała tak szybko załatwić wizytę — nie pytał i, szczerze mówiąc, wołał o tym nie wiedzieć.

Osluchano go, ostukano, prześwietlono, przeelektrokardiogramowano, a na koniec opieprzono.

Lekarz, gdy było już po badaniach i gdy siedzieli z Ilsa w jego gabinecie, pokręcił głową i powiedział:

— Z wiekiem serce jest coraz mniej... nazwijmy to: wydolne. Nabrałem się na pański wygląd, panie Werner. Nie wygląda pan na tyle lat, ale... co wiek, to wiek.

— Nosilem obrazy i pewnie przesadziłem — wyjaśnił Paul.

— Więc niech pan pamięta o swoim wieku i już raczej nie „przesadza”. Dobrze panu radzę. Zapiszę panu leki, a po powrocie do Stanów proszę koniecznie skontaktować się z jakimś dobrym internistą. Stała kontrola, ale o tym chyba sam pan wie?

— Oczywiście, że sam o tym wiem — przytaknął Paul czując, że wszystko to zakrawa na jedną wielką błazenadę.

— Pochodzę z długowiecznej rodziny — pocieszył Ilsa, gdy wracali z Mediolanu. — Moja babcia straciła wszystko podczas Wojny Secesyjnej i mimo to dożyła dziewięćdziesiątki.

— Dźwigając obrazy do końca życia?

Paul nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, wyobrażając sobie babcie Angelikę, która chyba nigdy nie dźwigała czegoś cięższego niż własne pierścionki na palcach.

— Wszystko będzie dobrze, Ilso. Wracam i zaraz idę do lekarza. Wszystko ci napiszę.

— Nie musisz pisać.

— Jak to nie muszę? O co ci znów chodzi?

— O nic. Po prostu lecę z tobą.

— Ze mną? Ilso, ja naprawdę nie potrzebuję pielęgniarce w samolocie. Tak źle jeszcze nie jest.

— Pozwól mi skończyć. To nie ma nic wspólnego z tym, co dziś się wydarzyło. Zmieniłam plany. Lecę z tobą i to na stałe. A przy okazji, kup obrozę dla Lou. Przecież nie upilnuję go w Central Parku.

ROZDZIAŁ 20

Dobrze było znaleźć się znów w domu. Któż by pomyślał, że Paul, przyzwyczajony do otwartych przestrzeni i zieleni tuż za oknem, będzie znów delektował się nowojorskim latem? Teraz Nowy Jork ukazywał mu zupełnie nowe oblicze. W śródmieściu pojawiły się nowe biurowce, a wraz z nimi miniparki — sympatyczny wynalazek, umożliwiający ludziom przeczytanie gazety i zjedzenie kanapki na powietrzu, w cieniu świeżo zasadzonego drzewa ginkgo. Przyjął się też europejski zwyczaj spożywania posiłków na chodniku, pod markizą, i wyglądało na to, że ludzie zaczęli wreszcie doceniać uroki miasta, nawet w letniej spiekocie.

Katie, uprzedzona o powrocie, zdążyła pozdejmować pokrowce z mebli, zaopatrzyć spiżarnię, doprowadzić antyki do połysku i porozstawiać kwiaty. Biuro Paula też wyglądało, jakby w ogóle nie wyjeżdżał. Fikus w kącie przytył o kilka cali, ale dziadek patrzył z portretu równie surowo jak wtedy, gdy Paul prosto po studiach zasiadł tu za biurkiem, by rodzinnej tradycji stało się zadość.

Personel zbiegł się tłumnie na powitanie.

— Wiedzieliśmy, że pan wróci. Nie zostawiłby nas pan — powtarzali.

— Coś mi mówi, że pozbędziecie się mnie tylko za pomocą rewolweru — żartował Paul.

Ale tak na serio, stracił serce do biura. Wiedział, że to już przeszłość. Teraz chciał być z Ilsą, która wciąż wahała się między pożegnaniem z medycyną a praktykowaniem jeszcze trochę w Nowym Jorku. On sam wpadał do firmy nie częściej niż dwa, trzy razy w tygodniu.

Na zdrowie nie narzekał. Udał się do lekarza i to nawet bez nacisków lisy. Przed nią nadrabiał trochę miną, ale tego, co przytrafiło

mu się we Włoszech, nie można było całkiem zignorować. Kolejny kardiogram wykazał, że był to jednak zawał — lekki i, jak zapewnił doktor, niejeden żył po takim nawet trzydzieści lat.

Wiedział dobrze, że trzydzieści to już przesada, ale spytał, czy może liczyć na dziesięć.

— Może pan. Pod warunkiem, że będzie pan zażywał te leki, nie przemęczał się i na wszelki wypadek nosił przy sobie nitroglicerynę — odparł doktor.

— A więc mamy jeszcze przed sobą trochę szczęścia — powiedział do lisy, gdy wyszli z gabinetu w zaskakująco chłodny i wietrzny jak na tę porę roku dzień.

— Na to postawiłam. — Wzięła go pod rękę i ruszyli przez Madison Avenue. — Podobno otworzyli tu nową galerię? Amerykańscy prymitywiści. Wpadniemy?

Tak, dobrze było znaleźć się znów w domu.

Dobrze, ale nie zupełnie dobrze... Od powrotu minęły trzy tygodnie i ciągle czuł, że już dawno trzeba było to zrobić. Chciał, ale coś go powstrzymywało. Pewnego popołudnia, patrząc z okna domowej biblioteki, ujrzał Iłsę wracającą z parku z Lou na smyczy. Popatrzył na grupę japońskich turystów zmierzających posłusznie, niczym szkolna wycieczka, do Metropolitan Museum. Popatrzył na dwie dziewczyny w letnich sukienkach popychające wysokie, resorowane angielskie wózki. Czy po to wrócił, by stać w oknie i patrzeć?

— Muszę spotkać się z Theem — powiedział, gdy lisa weszła z psem.

Oczekiwał, że użyje całej swojej elokwencji, by przekonać go, iż wcale nie musi. Zamiast tego powiedziała:

— Skoro leży ci to na sercu?

Usiadł w poczekalni i czekał, aż ostatni pacjent opuści gabinet Thea. Poczekalnia nie przypominała w niczym dawnego zbytku. Prosta, funkcjonalna, słoneczna. Meble w dobrym stylu, ale bez cienia ekstrawagancji. Obrazy zastąpiono oprawionymi fotografiami zdradzającymi niezłe oko: piaszczyste diuny, kwitnąca nawłóć na tle ogrodzenia, rudowłosa dziewczyna siedząca na łące, obejmująca ramionami kolana.

Recepcjonistka zauważyła zainteresowanie Paula.

— Ładne zdjęcia, prawda? Pan doktor zajął się niedawno fotografią. To jego dzieła.

Paul zastanawiał się, czy rudowłosa dziewczyna to Laura, gdy drzwi otworzyły się i Theo wyszedł z gabinetu.

— Widzę, że podziwiasz moje knoty — spytał, gdy uścisnęli sobie dłonie.

— Przede wszystkim ciebie. Wspaniale wyglądasz.

— Wszyscy mi to mówią. Praca zawsze mi służyła i dzięki Bogu mam jej dużo, choć w mojej specjalizacji pacjent nie zawsze dobrze na tym wychodzi. A co u ciebie?

— Dziękuję. Jakoś leci.

— Włochy dalej takie piękne?

— Dalej. Ale nie po to tu przyszedłem. Pisałeś, że masz problemy.

Paul postanowił nie przedłużać wymiany serdeczności i przejść od razu do rzeczy. Czuł, że sprawa nie cierpi zwłoki.

— Mogę wejść?

Gabinet też się zmienił. Zniknęli impresjoniści w złożonych ramach, a wraz z nimi perski dywan. Z dawnej świetności pozostało tylko potężne biurko.

— Mów od razu — zaczął od progu. — Chcę wiedzieć, jak jest.

— W porządku. Steve przepadł. Kamień w wodę. To dziś często się zdarza, ale w domu czarna rozpacz. Iris ... co ci będę mówił? Wiesz, jak to z matkami... — głos nagle mu się załamał.

Paul spojrział w bok i pomyślał, że czasem łatwiej pogodzić się z czyjąś śmiercią niż ze zniknięciem. Zniknięcie zawsze kojarzy się z najgorszym. Rok temu, gdy Lou zabalował gdzieś przez dwie doby, nie mógł spać i wciąż wyobrażał sobie łagodne, bezradne psisko rozjechane na szosie lub skomlące z bólu. A przecież Lou był tylko zwierzątkiem.

— Co o tym myślisz? — spytał dyskretnie.

— A co mam myśleć? Pewnie zaszył się gdzieś z tym cholernym Powersem. Oboje tak sądzimy. Steve prawie modlił się do niego. Znalazł sobie guru. Gdzie mam go szukać? Ten kraj liczy sobie trzy tysiące mil od Atlantyku po Pacyfik. Zresztą jaką mam pewność, że jest w Stanach?

Miał rację. Paul pobiegł myślą w odległą i nie tak bardzo odległą przeszłość. „Martillini alias Jordaine”.

— Wiesz — odparł — jeśli mogę ci w czymś pomóc...

Enigmatycznie, zdawkowo, bez przekonania: niczym tradycyjne „wpadnij kiedyś do nas” bez podania daty. Ale co lepszego mógł wymyśleć?

— Wygląda na to — powiedział Theo — że ilekroć zjawiasz się u mnie, mam tylko złe wieści. — Zawahał się i przyjrzał się Paulowi uważnie. — Złe wieści chodzą parami. Steve, a przedtem śmierć Anny...

— Anna nie żyje? — Paul poderwał się jak ukłuty.

— Zeszłego lata... We śnie. Nie chorowała. Znaleźli ją... znaleźliśmy ją rano.

Paul nie potrafił zdefiniować tego, co czuje, tak jak nie można opisać fizycznego bólu. Piecze pana, kłuje? — pytają lekarze, gdy coś jest nie tak z sercem, płucami, z czymkolwiek. Po chwili ból przeszedł w gniew.

— Czemu nie dałeś mi znać? Pisałeś o wszystkim, tylko nie o tym... O tym najważniejszym — chciał powiedzieć, ale pohamował się.

— Przepraszam. Wiem, że powinienem, ale wciąż to odkładałem. Chyba chciałem ci tego oszczędzić.

Paul nic nie odpowiedział.

— To była szybka śmierć. Dobra śmierć.

— Tak.

Zaległa cisza, przerywana tylko skrzypieniem obrotowego fotela Thea. To on odezwał się pierwszy.

— Dziwne, ale Anna miała większy wpływ na Steve'a niż ja lub Iris. Nie wiem, czemu. Interakcja? Głupie słowo, którym próbujemy wyjaśnić, że ktoś się zakochał, a ktoś się nie zakochał. Jednym wychodzi na dobre, innym na złe. Co my zresztą o tym wiemy?

— Niewiele.

— Jeśli nawet odnajdziemy Steve'a, zawsze będziemy dla niego obcy. Iris, jak to matka, nie może się z tym pogodzić.

„Iris... jak to matka” — słowa brzmiały echem.

Ale Steve i Iris byli teraz czymś odległym. Nie o nich myślał. Sądziłeś, że będzie żyła wiecznie? — zadawał sobie pytanie. — Nieosiągalna, niedotykalna, ale nieśmiertelna? — Ujrzał ją wyraźnie, jak wtedy ostatnim razem, stojącą w żółtej sukience na tle białego krzaka kaliny, z ręką uniesioną na pożegnanie. Wziął się w garść, wstał i powiedział krótko:

— Na mnie już czas. Zatelefonuję do ciebie.

— Przykro mi, Paul — odparł Theo też wstając. — Wytrąciłem cię z równowagi. Jedź ostrożnie. Ja też zatelefonuję.

Już miał wjechać na obwodnicę, gdy nagle przyhamował i zawrócił. Nie wiedząc czemu, zapragnął raz jeszcze zobaczyć dom Anny. Leżał pół mili stąd, licząc objazd, ale teraz była to daleka podróż. Był tam tylko raz, tuż przed wyjazdem do Włoch. Przypomniało mu się zaskoczenie, które wtedy zaraz ustąpiło miejsca reakcji: w sam raz dla niej dom.

Zatrzymał samochód i patrzył. Mało kto w dzisiejszych czasach zdecydowałby się mieszkać w starym, drewnianym domostwie z końca ubiegłego wieku, otoczonym werandami, na których dawniej siadało się wieczorami całą rodziną czekając, aż ktoś zajrzy i urozmaici monotonię. Gęste glicynie pięły się po filarach ganku i czepiały się dachu. Wiąz, wyższy niż sam dom, rzucał chłodny cień na jedną stronę podjazdu. Musiała bardzo go kochać. Pomyślał, że choć wie o niej niewiele, na pewno uwielbiała drzewa.

Siedział w samochodzie i patrzył na dom. Łatwo było wyobrazić sobie jego wnętrze: hall, na lewo jadalnia, przy niej kuchnia i obszerna spiżarnia. W takich domach spiżarnie zawsze były obszerne. Na prawo salon, pewnie z rozsuwanymi drzwiami, no i weranda od podwórza. Przez wielkie, sklepienie okno nad drzwiami słońce musiało wpadać do przestronnego pokoju, przypuszczalnie małżeńskiej sypialni.

Przecież to sypialnia była sercem domu, tak jak była, jest i będzie sercem małżeństwa.

Tobie też tego potrzeba — pomyślał na głos. — Późno, strasznie późno, ale tego ci trzeba: prawdziwego, oficjalnego, małżeńskiego związku. Nigdy go nie miałeś. To, co łączyło cię z Marian było oficjalne, ale czy było małżeństwem? A Anna, tam na piętrze? Skąd mogę wiedzieć? Może przeżywała utajone udreki, może odzyskała spokój serca, a może jedno i drugie. Jakkolwiek było, nie brałeś w tym udziału, Paul. Czas zstąpić na ziemię, choć lata już nie te.

Wrzucił sprzęgło i ruszył do domu. Gdy wszedł, lisa pogrążona była w lekturze. Lou rozciągnął się na podłodze, a na stoliku przy fotelu stała filiżanka kawy. Prawdziwie domowa scena. Znów zadał sobie pytanie, ile jest rodzajów miłości. Pewnie tyle, ile mężczyzn i kobiet na całym świecie, a może jeszcze więcej, bo ich przykład świadczy, że jeden mężczyzna i dwie kobiety to już trzy miłości.

Stał w drzwiach i przyglądał się jej.

— Co ci jest? — spytała.

— To co zawsze, Ilso. Po prostu kocham cię i sądzę, że powinniśmy się jednak pobrać.

— Pobrać? Więc jednak nie to co zawsze.

— Zapomniałaś, że proponowałem ci to, zanim postanowiłaś zostać w Izraelu?

— Ach, faktycznie! — Delikatne niteczki, które niektórzy nazywają zmarszczkami, w kącikach jej nieprzenikniętych, czarnych oczu nadawały jej twarzy wyraz rozbawienia. — A źle nam bez tego?

— Dobrze, ale może być jeszcze lepiej. — Podeszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. — Zbyt długo trwałem w zawieszeniu. To tak, jakbym czegoś nie dokończył. Chcę... — szukał właściwych słów — chcę zamknąć to trwałym węzłem. Prawdziwym, małżeńskim węzłem.

— Takim jak urodzinowe prezenty? W błyszczącym papierze i z kokardką?

— Czemu nie? Nazwij to, jak chcesz. To będzie prawdziwy prezent. Pójdziemy do rabina z parą świadków, których sama wybierzesz. — Jego umysł znów zaskoczył na pełne obroty. — Szkoda, że nie z Meg. Jest teraz na Zachodnim Wybrzeżu i opiekuje się Tomem w szpitalu. Ale może Lea i Bill? Zresztą sama zadecydujesz. A potem wybierzemy się na lunch lub na kolację w jakimś wytwornym lokalu, ale tylko we dwoje.

— Świadków nie zaprosisz? — wpadła mu w słowo. — Ładnie to będzie wyglądać. Już słyszę, co powiedzą.

— Masz rację. Głupio by to wyszło. A więc kolacja we czworo. Ale potem wracamy tutaj i zamykamy im drzwi przed nosem. Tylko we dwoje. Oczywiście, nie licząc Katie.

— A Lou? — śmiała się lisa.

— Lou też może zostać. Ilso, jak ja strasznie tego pragnę!

Wstała, objęła go ramionami i ułożyła głowę na jego piersi. — Skoro tak pragniesz, niech już będzie, Paul.

Oczywiście świadkami byli Bill i Lea, która na samą wieść wpadła w zachwyt.

— Najwyższy czas, Paul — szepnęła mu konfidentycznie.

— Tylko żadnych prezentów — zastrzegła się lisa. — Powtarzam, żadnych! Całe mieszkanie aż roi się od porcelany, sreber i innego baracha. Starczyłoby na dwa antykwariaty.

— Żadnych! — powtórzył jak echo Paul.

— Niech już wam będzie — skapitulowała Lea. — Za to strój panny młodej dostarczam ja. Inaczej nic ze świadkowania, i basta.

Stało na tym i w ustalonym dniu lisa wyruszyła do ślubu w kreacji tak pięknej, że — jak sama przysięgała — nawet się jej nie śniło. Jasnobłękitny jedwab, aplikacje też z jedwabiu, tyle że w kolorze nefrytu. Wycięcie bluzki odsłaniało złoty wisiołek.

— Ale cudo! — jęknęła Lea, znająca wszystkich jubilerów od Tiffany'ego po Van Cleefa na Pięćdziesiątej Siódmej i od Piątej Alei po Harry'ego Winstona i Cartiera, nie licząc tego, co po drodze.

— Z Wiednia, via Izrael — powiedział Paul.

Ceremonia u rabina była krótka i jak zawsze bardzo wzruszająca. Po błogosławieństwie wsiedli w taksówkę i pojechali na lunch do Tavern nad Green. Tak życzyła sobie lisa, bo „po co siedzieć w czterech ścianach w tak piękny dzień”. No i zasiedzieli się do późnego popołudnia przy homarach, winach i małym weselnym torcie zamówionym przez Leę jako niespodzianka.

— Wracamy z dalekiej podróży, każdy z nas — powiedziała Lea do lisy i Paula, dyskretnie ocierając wilgotne oczy. — To jeden z najszcześniejszych dni w naszym życiu.

lisa posłała jej całusa przez stół. Potem, szczęśliwi, że są razem, poszli przez park na Piątą Aleję i do domu. Dzieciaki mknęły na deskorolkach, długowłosi młodzieńcy podgrywali na gitarach, a wieczór był jak z bajki. lisa wyciągnęła dłoń, by przyjrzeć się ślubnemu pierścionkowi. Paul patrzył i czuł, że wszystko to układa się mu w obraz, którego tłem jest błękitne, przechodzące w szmaragd niebo. Lea miała rację: nigdy nie był tak szczęśliwy.

— Nigdy nie byłem tak szczęśliwy — oznajmił na głos przechodniom.

ROZDZIAŁ 21

Ta myśl nawiedziła go po wizycie z Ilsa u Meg. Tam też, podobnie jak w gabinecie Thea, wojna zostawiła swój ślad. Meg opłakała najpierw okaleczoną twarz Toma, po czym łązy przeszły na wspomnienie Timothy'ego w mieszaninę troski, wstydu i złości.

— Pomyślałbyś, że mój syn będzie poszukiwany przez FBI? Chwała Bogu, że moi rodzice tego nie dożyli.

— Rodzice ... zawsze na nich się powołujemy — westchnął Paul w drodze powrotnej. — Wszystko zawsze zaczyna się i kończy na rodzicach.

— Bywają i prorocy — powiedziała lisa. — Tacy jak Tim. Nawiedzeni, z rozwianym włosiem, brodaci. Niosą dobro lub zniszczenie.

Paul słuchał tego jednym uchem. Tego wieczoru nie miał ochoty na rozmowy, co, jego zdaniem, było wbrew naturze, a zdaniem lisy to nie natura, ale kultura kazała mu zamykać się w sobie i tłumić emocje. Natura czy kultura — najważniejsze, że od dawna nie odczuwał tak mocno słów, kolorów, smaków, a nawet dotyku lnianego obrusa. Wszystko w nim drżało.

Milczał przez cały wieczór i dopiero nazajutrz podjął decyzję. Długo przyglądał się lisie rozczesującej włosy i pierścionkowi przesuwającemu się w górę, w dół i na boki, aż wreszcie oznajmił:

— Spróbuję odszukać syna Iris.

Szczotka wypadła z jej ręki i uderzyła w szklany blat toaletki.

— Paul! Co ci znów wpadło do głowy?

— To, co słyszałaś.

— Przecież to szaleństwo. Usiądź i zaraz wyjaśnię ci dlaczego.

— Nie musisz nic wyjaśniać — przerwał jej gestem dłoni. — Ja też wiem, że to nie moja sprawa. Ja też wiem, że szansa jest jedna na

milion. Ja też wiem, że to szaleństwo. A skoro wszystko to wiem, zamierzam go odszukać.

Spróbowała cierpliwie jak matka do rozpuszczonego bachora:

— Paul, przecież nie jesteś już młodzieńcem. Nie te lata i nie to zdrowie. Wiem, że jesteś uparty, ale...

— Przecież nie zamierzam skakać na spadochronie ani biegać maratonów, Ilso.

— Przestań mi przerywać! Widzę, jak się w to emocjonalnie angażujesz, a przy twoim stanie zdrowia emocje mogą być równie groźne jak bieg. Paul! — Cierpliwość ustąpiła miejsca irytacji. — Przecież to idiotyzm. Jak go zamierzasz szukać? Wejdiesz do pierwszego lepszego domu, w pierwszym lepszym mieście? Zacznieś od parzystych czy nieparzystych numerów?

— Mam kilka koncepcji, a zacznę od Meg. Coś mi mówi, że ona wie mimo wszystko trochę o Timie.

— Jeśli nawet, w co wątpię, myślisz, że ci powie? Czy ty powiedziałbyś, gdyby Tim był twoim synem? — Zamilkła i zlustrowała go od czubków wypolerowanych butów po nienagannie wyszczotkowane włosy. — Tak, ty jesteś inny. Zadenuncjowałbyś syna, gdyby w grę wchodziło dobro Ameryki. I pewnie wytłumaczyłbyś sobie, że to o jego, a nie o Ameryki dobro chodzi. I pewnie miałbyś rację. Nieważne. Ważne, czy naprawdę nie możesz dać sobie z tym spokój?

Poczuł smutek. Znużyła go ta rozmowa i czas najwyższy, by ją zakończyć.

— Pamiętasz, Ilso, tę deszczową noc w Jerozolimie? Na pewno pamiętasz. Powiedziałas mi wtedy płacząc, że to nie ty, ale coś w tobie decyduje. Teraz coś decyduje za mnie. Nie wiem co, nie wiem dlaczego, więc ci nie wyjaśnię. Po prostu muszę...

Po godzinnej rozmowie z Meg i jej mężem Paul wiedział, że tym tropem daleko nie zajdzie. Mimo to zegnając się wyczuł, że przynajmniej jedno ziarno padło na podatną glebę.

— A więc od Tima nie macie żadnych wieści? — spytał w drzwiach.

— Gdybyśmy mieli, powiedziałabym ci, Paul. — Mam nadzieję, ale takie teraz czasy...

— Paul, czego ty ode mnie oczekujesz?

— Niczego. Jest chłopak, syn moich przyjaciół. Zniknął, a oni się martwią. Ten chłopak był studentem Tima. Chcę go odnaleźć.

— Nabrał powietrza w płuca i dokończył: — To nie ma nic wspólnego z Timem, wierz mi, Meg.

— Wierzę. Ale my naprawdę nie wiemy, gdzie on jest. Wszyscy się martwimy. Nawet Tom; Tom w wojskowym szpitalu. Wyobrażasz to sobie? Nie mówię o Agnes. Chyba wiesz, jak kochali się od dziecka?

— głos Meg przeszedł w szloch.

Tak — pomyślał Paul — od nich nic się nie dowiem. Dobrze mówiła Lisa.

Mimo to w drodze powrotnej wciąż brzmiały mu w uszach te słowa: „Agnes ... chyba wiesz, jak kochali się od dziecka”.

Agnes nie widział od lat i pewnie spotkają się nie prędzej, niż czyjś pogrzeb lub wesele wyciągną ją na Wschód z Nowego Meksyku.

Agnes i Tim. Jadąc Tunelem Lincolna na Manhattan, nie mógł opędzić się od tej myśli. Lisa powiedziałaaby, że szuka igły w stogu siana. Już raz szukał łabędzi w żywopłocie. Znalazł, ale co z tego, że dowiedział się, kim był Jordaine? Jeszcze jeden szczegół, jakby mało ich miał.

Kto szuka, nie błądzi.

Niech myślą, że trwoni czas i pieniądze. Niech kręcą głowami. Tak jak Theo, gdy Paul poprosił go o zdjęcie Steve'a z brodą i bez brody. Uśmiechnął się, a potem spytał, jak zdrowie. I tak dobrze, że nie przyłożył mu ręki do czoła. Pewnie pomyślał, że starość nie radość lub że bogaty ekscentryk ma za dużo pieniędzy, jak ci, którzy podobno sypią banknotami z okien, gdy im odbije.

— Czy można wiedzieć, jak chcesz się za to zabrać? — spytał wtedy Theo.

— Sam jeszcze nie wiem — odparł.

Theo pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: Z Bogiem, zacny człowieku. Wiem, że robisz to dla swojej córki, ale wędruj i niech cię Bóg prowadzi.

Ważne, że Paul wyszedł od Thea z dwiema fotografiami w portfelu.

— Kiedy wrócisz? — spytała Lisa.

— Jeśli go nie odnajdę, najpóźniej za miesiąc.

— Uważaj na siebie. I wróć cała. Nie chcę być panną młodą w żałobie — dodała w swoim stylu.

— Spokojnie. Nigdy nie byłem w takiej formie.

Samolot przeleciał nad Missisipi — stalowoszarą, płynącą zakosami ku zatoce, nad Missouri, gdzie pola w zielono-brunatne łaty przypominały skorupę żółwia, i odbił na południe, gdzie czerwona ziemia przypominała świeżo wypaloną cegłę. Gdy schodził do lądowania, w dole zamajaczyły skały, wyniosłe i samotne na płaskowyżu, który zdawał się nie mieć końca.

Ten bezkres i samotność spowodowały, że Paul znów wpadł w pesymizm.

Nic z tego nie będzie — pomyślał, a zaraz potem powiedział to głośno i spoczywający na sąsiednim fotelu pasażer spojrzął nań z niepokojem.

Ale gdy samolot dotknął kołami lotniska w Albuquerque, poczuł, że wraca mu optymizm. Wracał w miarę, jak konkretyzował się jego plan. Wynajmie samochód, pojedzie do Santa Fe, tam zanočuje, a rankiem ruszy do Taos. W Taos odwiedzi galerię. Przecież któryś z malarzy musi znać Agnes Powers i wiedzieć, gdzie mieszka w tych swoich górach?

O górach i on wiedział. Za to nie wiedział, co powstrzymało go od spytania Meg o dokładny adres. Coś mu powiedziało, że lepiej będzie zjawić się niespodziewanie. Telefonu nie miała i znał ją na tyle, że nie zdziwił się, gdy telefonistka w hotelu w Santa Fe rozłożyła ręce.

Znajdzie ją i bez telefonu. Rozbawiło go, że gdyby nie odziedziczył po przodkach banku, mógłby być z niego niezły detektyw.

Z Santa Fe wyjechał wczesnym rankiem. Indianki rozkładały koce przed zabytkowym pałacem gubernatora i układały na nich swoje wyroby z turkusów i srebra. Powietrze aż zatykało oddech, a tak błękitnego nieba chyba nigdy nie widział. Przez całą drogę na północ ścigał się z białymi obłokami szybującymi nad ośnieżoną granią Sangre de Cristo.

Przestrzeń! Tyle tu przestrzeni! I jak tu w ogóle kogoś szukać? Ale... kto szuka, nie błądzi.

W Taos spenetrował zaułki i podwórka, z których każde kryło co najmniej kilka galerii sztuki, pytając o Agnes Powers.

— Agnes Powers? — powtarzali właściciele. — Bywa tu, czasami przynosi nam obrazki. — Ale Agnes była typem samotnika, pojawiała się rzadko, a jej dom mieścił się gdzieś w górach, o dobre piętnaście mil na północ od miasteczka.

Chyba nigdy jej nie odnajdzie.

Mimo to, z nakreśloną od ręki mapą, ruszył w drogę. Już niedaleko zaczynało się Colorado. Z obu stron szosa horyzont zamykały płaskie, niczym blaty stołów, cynobrowe skały, a tuż za poboczem ciągnęła się pustynia porośnięta zielskiem i rzadkimi kaktusami. Czasami szosa skręcała pod ostrym kątem i jakby spod ziemi wyrastało zbocze porośnięte wieczną zielenią. Co pewien czas przystawał, by rozprostować kości i przyjrzeć się tej dzikiej, martwej, obojętnej przyrodzie, nie tkniętej ludzką ręką. Nigdy nie wyobrażał sobie, że cisza może brzmieć aż tak donośnie.

Wjechał do wioski, a właściwie do skupiska lepierek z szarej, wypalanej na słońcu cegły. Mężczyzna z kamienną indiańską twarzą powiedział mu, że mieszka tu gdzieś taka jedna malarka. Mówił, że zaopatruje się w miejscowym sklepie.

Wskazał mu drogę i Paul przycisnął gaz do dechy. Było późne popołudnie, gdy wjechawszy na szczyt wyboistej dróżki, wijącej się wśród skalnych bloków, ujrzał mały domek z barwy i kształtu niewiele różniący się od otaczających go skał. Otworzył furtkę i wszedł na porośnięte kwiatami podwórko. Dwuskrzydłowe drzwi z ciemnobrązowego drewna, misternie rzeźbione w indiańskie wzory, były otwarte na oścież.

Żyć, nie umierać — pomyślał, zanim zapukał. — Prawdziwe odludzie... Niezła kryjówka.

— Paul? Niech skonam! — rozległ się głos Agnes.

Wyszła na bosaka niczym Indianka, w pstrokatej bluzce i spódniczce trzymającej się na inkrustowanym turkusami pasie. Związane w koński ogon włosy były niemal siwe, choć daleko było jej do czterdziestki.

Wprowadziła go do głównej izby pełnej koców, wiklinowych koszy i malowideł. W rogu, przy małym kominku stały sztalugi; pewnie jej warsztat pracy.

— Niech skonam — powtórzyła, gdy usiedli. — Co cię tu przygnało?

Postanowił nie wyjawiać celu swej misji, więc odparł, że stęskniło mu się za Dzikim Zachodem.

— A co u ciebie, Agnes? Widzę, że osiadłaś tu na dobre?

— Osiadłam. Widzisz... ja kocham piękno, a tutaj można usiąść, popracować i trochę sobie połazić. Nie ja jedna wybrałam te strony.

— Wszyscy mówią, że mieszkasz na istnym odludziu. — Paul postanowił iść do celu powoli. — Skoro już tu jestem, pokaż mi, co malujesz.

— Obejrzyj sobie. — Oprowadziła go po głównej izbie, a potem zaprowadziła do pokoiku na zapleczu, gdzie płótna stały oparte o ścianę. Miejscowe pejzaże: czerwone skały, jaskrawe słoneczniki dyszące od upału.

— Wiem, że nie jestem Georgią O'Keeffe — wyznała uczciwie — ale zasuвам ostro i coś jeszcze z tego będzie. Sam się przekonasz.

— Niezłe — odparł równie uczciwie, choć tematyka niezbyt go brała. Dostrzegł małą akwarelę ustawioną na zachlapanym farbami stole. Była inna niż reszta jej prac i przedstawiała złotą rybkę w akwarium wśród wodorostów, a do tego ujętą z dość nietypowej perspektywy.

— To ładne. Ile za to chcesz? — spytał.

— Od ciebie nic.

— Tak nie będziemy rozmawiać. Płaca za pracę. — Wypisał czek na sumę, która wzbudziła jej protest. — Poślij ten obrazek na mój adres i dość tych targów. Skoro podoba mi się, kupuję.

— Ale najpierw może coś zjemy. Siadaj, a ja zabiorę się za kolację. Jadłeś kiedyś kurczaka z pieca? Z prawdziwego pieca. Długo to trwa, ale warte zachodu.

— Agnes, późno się robi — odparł z niepokojem. — Po zmierzchu nawet nie trafię tu na szosę.

— Tak ci się śpieszy? Możesz przenocować, możesz nawet zamieszkać, jeśli odpowiada ci składane łóżko między moimi obrazami. Ciasno tam, ale czysto.

— Dobra, przenocuję.

Podczas kolacji „z pieca” rozmawiali o sztuce, o Włoszech, wreszcie zeszło na Wietnam.

— Tim posłał mi kiedyś taki cytat — powiedziała Agnes — „Skoro wojna jest piekłem, ci, którzy ją popierają, są diabłami”.

— Tylko że trudno ustalić, kto je wywołuje — powiedział Paul, po czym dodał: — Nieważne kto, ważne, że w imię walki z wojną dzieją się w tym kraju podłe sprawy.

— Chodzi ci o Tima? — spytała wprost.

— Tak, skoro mówimy szczerze. — Milczała, więc mówił dalej: — Twoja matka, Tom, twoje siostry, cała twoja rodzina... wszyscy martwią się o niego. Nie wiedzą, gdzie jest, co się z nim dzieje i co jeszcze może się...

— Aha, więc przyjechałeś, żeby się tego dowiedzieć?

— Nie tylko dlatego — skłamała. — Choć, oczywiście, chciałbym.

— Nie tylko ty. FBI także. Chcesz, żebym wydała własnego brata? Powiedz, czy tego właśnie chcesz?

Musiała coś wiedzieć.

— I tak nic ci nie powiem — rozłożyła ręce, trochę jakby zbyt teatralnie.

— Nie szukam Tima — uśmiechnął się i pokręcił głową tak, aby to kupiła. — Szukam chłopaka. Jednego z jego grupy, a przy okazji syna bliskich mi ludzi. Rozpaczają, zwłaszcza jego matka. Słuchaj, Agnes — spojrzał jej w twarz. — Dla mnie to ważne, cholernie ważne. Nie musisz nic mówić. Ważne, że dasz mi jakiś trop. Timowi to nie zaszkodzi. Przysięgam. Ja szukam tylko chłopaka. Wierz mi, Agnes.

— Czemu sądzisz, że wiem coś o Timie?

— Intuicja. Zawsze byliście podobni. Oboje zbuntowani, choć może inaczej. Gdyby szukał pomocy, do kogo by się udał, jeśli nie do ciebie?

— Pewnie do mnie. W całej rodzinie tylko on mnie rozumiał. Powiedzmy, w naszym rodzeństwie...

Paul wiedział, że mówi prawdę. Któż inny z nich mógł rozumieć tę wyobcowaną, starzejącą się kobietę, do tego przypuszczalnie lesbijkę? Dla Meg była najwyżej kimś, o kim się nie mówi. Dla Lucy — kokietki i ciuchary — życiowym nieudacznikiem. Tom wyrzekłby się jej w majestacie amerykańskiego prawa, a druga siostra — ta z Seattle, szczęśliwa po czwartym połogu — pokiwałaby tylko głową ze współczuciem i zgrozą.

Długo milczeli. Zapadł zmrok, a topole trzepotały od górskiego wiatru. Agnes wstała i zapaliła lampę.

— Nie chcę cię okłamywać — powiedziała krótko. — Był tu niedawno, ale nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. Nawet gdybym wiedziała, na pewno byś tego ode mnie nie usłyszał.

Więc przechowujesz zbiegów, Agnes — pomyślał Paul. — Bardzo śliska sprawa.

Patrzył na nią ze współczuciem, a ona mówiła dalej:

— Wiem tylko tyle, że mieszkał w San Francisco, ale już dawno temu wyniósł się stamtąd. Może i z USA.

— Chodzi mi o chłopaka — powtórzył.

— Nic więcej ci nie powiem. I tak powiedziałam ci za dużo.

— Okey, Agnes. Nie musisz.

— Przyszykuję ci wyro. Już późno, a słyszę, że chcesz jechać o świcie.

Chciał. To wszystko było bez sensu. Gnać przez pół kraju, by usłyszeć półsłówka. Bez sensu i wbrew zasadom jego firmy. „Nigdy nie ufaj półsłówkom i nigdy nie działaj jak szuler”.

Rozebrał się i do rana przewracał się z boku na bok. Obudził się o piątej. Słońce zalewało pokój i czuł, że dłużej nie pośpi. Wstał i cicho, żeby nie zbudzić Agnes, zaczął szukać jakiejś lektury. Na zniszczonym biurku leżała sterta korespondencji, a pod nią tygodniki. Widać było, że Agnes nie bardzo dba o dom. Żeby dotrzeć do tygodników, musiał przekopać się przez cały ten kram. Robił to uważnie, jak gdyby zachowanie właściwej kolejności miało jakiegokolwiek znaczenie. Natrafił na reklamówkę wysyłkowego domu towarowego, listę zakupów, wreszcie na pustą kopertę. Tak ewidentnie pustą, że pozwolił sobie zerknąć na nadawcę na urwanym skrzydełku. Ręka, a ściślej mówiąc, maszyna do pisania nie przedstawiła się z nazwiska, a tylko z adresu w San Francisco. Paul spojrzął na stempel i stwierdził, że list posłano dobre kilka miesięcy temu. Ułożył kopertę na właściwym miejscu, by Agnes nie domyśliła się, że buszował po jej biurku.

Coś mu w tym nie grało. Dlaczego zostawiła tę pustą kopertę na widoku? Pustą i sprzed kilku miesięcy? Stał, patrzył i kombinował. Przez przypadek? Z roztargnienia? Ot tak, jak ze starą korespondencją? A może dlatego, że chciała, aby to on ją znalazł, skoro sumienie nie pozwalało jej dać mu adresu. Co zresztą ryzykowała, jeśli list był sprzed kilku miesięcy, a jej brat nie mieszka już w San Francisco?

Główkował, zgadywał, a wszystko to mogło równie dobrze prowadzić do celu, jak i donikąd. Mimo to zapisał adres.

Przy śniadaniu nie wspominali o wczorajszej rozmowie, a gdy wsiadał do samochodu, Agnes rzuciła na pożegnanie:

- Przykro mi, Paul, że nie mogłam ci pomóc.
- Nie ma sprawy, Agnes. Wiem, że chciałaś.
- Chcę, żebyś znalazł tego chłopaka. Widzę, jakie to dla ciebie ważne.
- Kochana z ciebie kuzynka — powiedział, całując ją w policzek.
- Trzymaj się. I nie zapomnij o tej akwareli z rybką! — zawołał odjeżdżając.

Przez całą drogę do Albuquerque nurtowało go pytanie, czy trwoni czas, czy też gra jest warta świeczki. Dojeżdżając na lotnisko, doszedł do wniosku, że nie — jeśli w ogóle można nazwać to nicą

- jest zbyt wątła, by gdzieś go doprowadzić.

Zapukam i powiem: Jestem Paul Werner. Właśnie spadłem z księżycy i szukam niejakiego Steve'a Sterna. A na to tamci: Ach, jak nam miło. Właśnie czekaliśmy z kolacją.

Żaloszne to było i tylko głupiec bawiący się na stare lata w Sherlocka Holmesa mógł się na coś takiego porwać.

Oddał wypożyczony samochód i poprosił o bilet do Nowego Jorku. Do odlotu miał dwie godziny. Kupił gazetę i przysiadł w poczekalni. Na pierwszej stronie spostrzegł nowe doniesienia o wczorajszym wypadku, o którym nie słyszał, bo radio w wypożyczonym samochodzie nie działało. Przebiegł oczyma tekst:

Policja bada ruiny domu na przedmieściu San Francisco... piwnica pełna materiałów wybuchowych... ołowiane tuleje wypełnione trotylem... ciało w sąsiednim pokoju pozbawione rąk... twarz zniekształcona... broszury SDS i wydawnictwa o treści anty amerykańskiej.

Znów ciężar w piersi. Westchnął, odłożył gazetę i spojrzał martwym wzrokiem na płytę lotniska i jaskrawe niebo.

Młodzi głupcy! Straceńcy! Nie doksztalceni, nawet po czterech latach college'u. Ale skoro nie wiedzą nic o historii, historii Azji, a pewnie i Europy, jak mogą zrozumieć Amerykę i całą pracę, którą zapłaciliśmy za to, co mamy?

Upłynęło pół godziny. Wreszcie wstał i znów podszedł do kasy biletowej. Kasjer był ten sam i spojrzał nieco zaskoczony, gdy Paul powiedział:

— Zmieniłem zamiar. Proszę o bilet do San Francisco.

Taksówka zatrzymała się przed domem drewnianym, jak wszystkie na tej ulicy. Ulicy stromej jak ustawiona pod kątem drabina, pełnej szyldów reklamujących usługi okultystyczne, wróżenie z ręki, malowane ręcznie koszule i wyroby miedziane prosto z kowadła. Niektóre wysokie domostwa pamiętały chyba wielkie trzęsienie ziemi w 1906 roku. Jeszcze przed kilkoma laty była to stolica hippisów. Paul nie wiedział, czym jest teraz, ale nie żałował, iż „na wszelki wypadek” zostawił garnitur w hotelu i ubrał się w wiatrówkę i nie dopiętą pod szyją koszulę.

Na stopniach prowadzących na ganek przystanął. Znów ogarnęło go zwątpienie. To gigantyczne miasto było równie niedostępne jak pustynna kraina Agnes. Cała ta wyprawa nie miała od początku sensu.

Ale jeszcze bardziej bez sensu byłoby zawrócić, nawet nie zapukawszy do drzwi, skoro przemierzył w tym celu cały kontynent.

Raz jeszcze powtórzył ćwiczoną od kilku godzin formułkę. Najlepszą, jaka przyszła mu do głowy.

Przysła mnie Tim — powie. Jeśli nie trafił pod właściwy adres, jest po zabawie i można wracać do domu. Ale skoro Agnes zostawiła tę kopertę celowo, jest szansa, że go wpuszczą. Tylko co wtedy? A w jakiej sprawie? — spytają. Każdy by tak spytał. W takiej, że... że ma coś dla Steve'a. Steve'a Sterna. Domyśli się po ich twarzach — może będzie to pojedyncza twarz — czy słyszeli o kimś takim. Jeśli Steve zginął podczas tej eksplozji, mogą mu to powiedzieć. Jeśli nie, jest szansa — jedna na tysiąc — że coś chlapną i dowie się, gdzie on jest. W sumie istny domek z kart.

Ale kto szuka, nie błądzi. Wyregulował rytm serca i przebył ostatnie stopnie. Zadzwonił. Drzwi otworzyły się i ujrzał mroczny i wilgotny hall.

— Chłopak — dla Paula chłopakiem był każdy poniżej czterdziestki — zablokował mu drogę.

— A pan w jakiej sprawie?

— Jestem od Tima — odparł spokojnie.

Nastąpiła cisza, podczas której obydwaj taksowali się wzrokiem. Tamten ujrzał starszego, schludnie choć pospolicie ubranego mężczyznę, Paul — jak się spodziewał — istne uosobienie tych czasów: długowłosego młodzieńca w okularach babuni.

— Od Tima? A kto to taki?

Sama mina Paula starczyła za odpowiedź: Myślisz, że powiem ci, frajerze? Nawet na torturach tego ze mnie nie wyciągną.

Znów zaległo milczenie, a Paul domyślił się, że tamten nie wie, czy gorzej będzie, jeśli go wpuści, czy gdy wyrzuci za drzwi.

Na schodach prowadzących gdzieś na piętro pojawił się drugi facet.

— On mówi, że ma coś od Tima — powiedział odźwierny do tego nowego. — Tima czy Toma? Mówi, że coś ma.

Nowy robił wrażenie bystrzaka. Od razu przeszedł do rzeczy:

— Zawsze wchodzi pan tak z ulicy i pyta o ludzi? A skąd mamy wiedzieć, czy nie przyszedł pan tu z siekierą? — dodał, uśmiechając się ironicznie. — A co do Tima, znam nawet trzech. Właściwie czterech, licząc mojego dziadka.

Nawet nie spytał Paula o nazwisko. Paul wiedział, że w tej branży nigdy nie pyta się o nazwiska. W tej branży wygrywa ten, który przechytrzy drugiego. Paul przyjął wyzwanie.

— A więc ten mój Tim jest jasnym blondynem, ma ponad sześć stóp wzrostu, cera czerstwa. Lubi baseball. Kibicuje Gigantom, wychował się w New Jersey, jego matka jest weterynarzem, a siostra ma na imię Agnes i maluje. — Paul wydobywał z pamięci fakty, które mało komu mogły być znane, a już na pewno nie „władzom”. — Jest wegetarianinem, ostatnie Boże Narodzenie spędził we Włoszech, pija wino, ale unika mocniejszych trunków i interesuje się jednym ze swoich byłych studentów. Niejakim Stevern Sternem!

Tamci wycofali się w międzyczasie na schody, jakby chcąc zablokować Paulowi drogę i co pewien czas porozumiewali się wzrokiem, lustrując go w milczeniu.

— A ten Steve Stern to co za jeden? — spytał bystrzak.

Paul poczuł duszność. Przez moment bał się, że zbliża się znów atak, choć od powrotu z Włoch wszystko było w porządku. Nic się nie stało; po chwili oddech i tętno wróciły do normy i znów mógł mówić.

— Tim pyta, czy wszystko z nim w porządku. Czy nadal wszystko w porządku?

Znów wymienili spojrzenia. Paul jakby czytał w ich zawzięcie pracujących mózgownicach. Wiedzą, że przyszedł ktoś, kto naprawdę zna Tima. To „nadal” dotyczy oczywiście wypadku sprzed kilku dni. Wszystko gra. Ale czy ten ktoś nie jest przypadkiem wrogiem, który jakimś cudem wpadł na ich trop?

— Pewnie chcecie się naradzić — podsunął im. — A może skonsultować się z innymi? Też bym tak zrobił. Poczekam na ganku, aż będziecie gotowi. — Cofnął się w kierunku wciąż uchylonych drzwi. — Jeśli chcecie, mogę wam powiedzieć coś więcej o Timie. Na przykład, że ma brata skończonego kołtuna, wysługującego się Departamentowi Stanu. Ten brat ma na imię Tom. Może coś jeszcze?

Wycofał się na ganek i przy okazji wdepnął w kałużę, która tymczasem zdołała uformować się pod przeciekającym okapem, i przemoczył sobie doszczętnie tenisówki. Deszcz, popędzany wiatrem, siekł niemal poziomo i po chwili w ślady tenisówek poszła reszta garderoby. Czuł się podle, a uczucia miał mieszane: chybił na całego lub trafił w dziesiątkę.

Minęło chyba z dziesięć minut, nim drzwi otworzyły się i wezwano go do środka. Teraz w hallu zgromadziło się co najmniej pół tuzina osób. Zabrała głos wysoka młoda kobieta o aroganckiej twarzy.

— Postanowiliśmy ci zaufać. Jeśli okaże się, że popełniliśmy błąd, to ty, a nie my, będziesz żałował.

Wykształcona — pomyślał ironicznie Paul. — Powiedziała „żałował”, gdzie przeciętny człowiek użyłby bezokolicznika. Wykształcona i twarda. Przeszło mu przez myśl, że nie chciałby być zdany na łaskę tej kobiety. Spojrzał jej w oczy: zimne i dociekliwe — i uśmiechnął się.

— Nikt tu nie będzie niczego żałował. Możesz być spokojna. A teraz, co macie mi do powiedzenia o Stevie Sternie?

— Jest tam na górze. Idź i sam się przekonasz. Paul zadrżał. Poczuł suchość w krtani i wilgoć dłoni.

— Tędy, zaprowadzę cię — powiedział jeden z mężczyzn. Weszli na półpiętro, potem na piętro, minęli kilka par drzwi,

jedne zamknięte, inne nie domknięte, przez które widać było nie zasłane wyra, porozrzucane manele, tekturowe pudła, książki, części garderoby. Gdzieś na tyłach domu zaryczało radio, w innym pokoju ktoś pewnie smażył coś na patelni, bo zapach tłuszczu wionął na całego. Dopiero na drugim piętrze przewodnik wskazał Paulowi drzwi.

— Jest tam, w łóżku.

— Ranny?

— Nie, chory. Może będziesz w stanie mu pomóc. — Pchnął drzwi i zawołał: — Ktoś do ciebie. Mówi, że od Tima.

Po tym zdawkowym, oschłym wprowadzeniu, Paula pozostawiono sam na sam z osobą spoczywającą na skotłowanym barłogu. W pokoju był prawie mrok. Zniszczoną żaluzję opuszczono niemal do parapetu i sączące się przez nią światło miało mdły, trupi poblask. Przez wąską szparę lał się do pokoju deszcz, a wiatr dmuchał na łóżko w najlepsze. Paul zamknął okno i uniósł żaluzję, a wtedy szare niebo uraczyło pokój odrobiną czystszej i mniej trupiego światła. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się leżącej osobie.

Podszedł bliżej dziwiąc się, że tak szybko wróciło mu opanowanie. Już nie dygotał i — co ciekawsze — był w pełni świadomy niezwykłości tej sceny. Niczym we śnie, w którym odgrywamy rolę bohatera nieprawdopodobnych wydarzeń.

Człowiek na łóżku drzemał. Z półotwartych ust wydobywał mu się świszczący oddech. Lepkie włosy przylegały mu do czoła.

Przecież on cały płonie! — pomyślał Paul. Nie tak go sobie wyobrażałem — przyszła natychmiast refleksja.

Chyba dlatego, że zrozpaczony Theo wspominał zawsze tylko o duchowych, a nie o fizycznych przymiotach swojego syna. Paul przysunął do łóżka jedyne krzesło nie przywalone brudnymi łachami, usiadł i przyglądał się śpiącemu. Twarz miał jak spod dłuta: ostre,

choć delikatne rysy, których nie była w stanie zszpecić nawet zmierzwiona broda.

Zupełnie niepodobny do ojca... ani do mnie — pomyślał.

Przecież ten chłopak... już raczej mężczyzna, był i jego! Z jego ciała, z jego krwi.

Długo rozważał ów fakt i rzeczywistość całej tej obskurnej nory. Rozmyślał o drodze, która zaprowadziła chłopca takiej klasy do tak pozbawionego wszelkiej klasy pokoju.

Nagle uświadomił sobie, że tamten wpatruje się w niego szklistymi od gorączki oczyma.

— Zimno mi — wyksztusił.

— Brałeś jakieś lekarstwa?

— Nie.

— Dobra. Zaraz coś skombinujemy.

Młoda przywódczyni wciąż czekała w hallu przy wejściu.

— Ma bardzo wysoką gorączkę — poinformował ją Paul.

— Wiem. Daliśmy mu aspirynę.

— Aspiryna tu nie wystarczy. Nie wezwaliście lekarza?

— Nasz osobisty wróci dopiero za tydzień. Z nieznajomym nie mogliśmy ryzykować. Temu Sternowi pomieszało się trochę w głowie i mógłby coś chlapać.

— Rozumiem. Ale chyba nie chcecie, żeby wam tu umarł?

— A masz jakiś lepszy pomysł? — spytał szorstko bystrzak.

— Powiedzmy, że mam. Zatrzymałem się tutaj w pensjonacie. Mogę go tam zabrać i trochę podkurować.

Wyglądało na to, że rozważają poważnie tę propozycję.

— Chyba nie chcecie, żeby wam tu umarł? — powtórzył Paul.

— Jasne, że nie. Tylko tego nam jeszcze brakuje. Dobra, bierz go. Tylko ciekawe jak, w taką ulewę?

— Wezmę taksówkę. Ostatnio stać mnie na to — mrugnął porozumiewawczo okiem. Znaczenie było przejrzyste: Tim lub ktoś inny ważny nie poskapił gotówki.

— Rób, jak chcesz.

Paul nie uwierzyłby nigdy, że ma wciąż taką krzepę: ubrał Steve'a, sprowadził go ze schodów, wsadził do taksówki i zawiózł do hotelu.

Tam od razu ułożył go na szerokim tapczanie tuż przy oknie, z widokiem na Zatokę. Wreszcie mógł się ogolić, przebrać w przyzwoity garnitur i wezwać hotelowego lekarza.

- Nie sędę, żeby szpital był konieczny — uspokoił go doktor.
- Oczywiście pod warunkiem, że nie przyplączę się zapalenie płuc. Penicylina i jak najwięcej płynów.
- Dopilnuję, doktorze.
- To pański krewny?
- Syn mojego przyjaciela.
- Aha. Przyjaciel w potrzebie? Zjawił się pan w samą porę. Jeszcze dzień, a przy takiej gorączce... — doktor pokręcił głową.
- Najważniejsze, że są jeszcze przyjaciele.
- Dziękuję, panie doktorze — Paul uśmiechnął się i zamknął za nim drzwi.

Z kabiny telefonicznej w hotelowym hallu zadzwonił do Thea. Relacjonując swoją przedziwną podróż, czuł triumf i podniecenie, ale równocześnie współczucie dla chłopca leżącego tam na górze w gorączce. Poza tym wydawało mu się, że czuje drżenie Sterna przy słuchawce tam, na drugim końcu Ameryki.

- Paul, czy wszystko w porządku? Mów, jak jest. Nie ukrywaj niczego.
- Wyzdrowieje, Theo. Doktor zaaplikował mu penicylinę, a zresztą to silny chłopak.
- Lecę jeszcze dziś. Pierwszym rejssem.
- Iris też?
- Spróbuję jej to wyperswadować. To może być dla niej zbyt mocne. Dość już przeżyła. Aha, jeszcze jedno...
- Słucham?
- Zanim odłożysz słuchawkę, chcę, żebyś wiedział, że nie sądziłem, iż są jeszcze tacy ludzie jak ty. Tylko nic nie odpowiadaj!

- Gdzie ja jestem? — spytał Steve, obudziwszy się późnym wieczorem.
- Nie pamiętasz, że przywiozłem cię tutaj taksówką?
- Coś mi majaczy.

Podniósł się i rozejrzał po pokoju, przytulnym i zacisznym w przyćmionym świetle lampy. Fotele i zasłony miały identyczny kwiatowy, żółto-zielony deseń. Na ścianach wisiały sztychy z widokami dawnej Kalifornii. Między oknami stała ozdobna francuska komoda, a w jej wnęce krył się telewizor. Przed nią nakryty stół, a na nim zamówiona przed chwilą kolacja. Paul siedział przy stole i obierał owoce.

Steve patrzył. Oczy, choć rozbiegane, nie były już szkliste i znać było, że przesilenie choroby ma za sobą.

— Kim pan jest? — spytał.

— Przyjacielem Tima.

— Tima? Niech go diabli wezmą! Może mu pan to przekazać. Żałuję, że to nie on wykorkował!

Paul myślał, że spadnie z krzesła, ale zdobył się na chłodną odpowiedź:

— On? A można wiedzieć czemu?

— Bo to on powinien skrócić sobie kark. I ja też, za to, że go słuchałem.

Paul czuł, że po tym terenie musi poruszać się ostrożnie, niczym po polu minowym.

— Tim pyta, co się z tobą dzieje i czy...

— I czy żyję? — przerwał mu obcesowo chłopak. — Więc niech mu pan powie, że żyję. Ja żyję, ale o n a nie żyje! Pewnie już pan czytał? Jeśli nie, może pan sobie... gdzie jest moja kurtka? Proszę sięgnąć do kieszeni i przejrzeć. Dali na stronie dziewiątej. Jest nawet zdjęcie.

Paul, jakby otrzymał rozkaz, zaczął czytać pomięty wycinek z gazety. Faktycznie, było i zdjęcie przedstawiające dziewczęcą, raczej dziecienną buzię okoloną kucykami.

Zamożna matka nie wie... porzuciła dom... żadnych sporów... wszystko, czego chciała... dodając z płaczem. A poniżej: chałupniczej produkcji bomb... szczątki tułowia wśród tego, co zostało z piwnicy... policja przeszukuje... brak konkretnych śladów...

— Byłbym tam, gdybym nie zachorował — Steve spojrzał w bok, by ukryć łzy. — Miałem tam być. Ale to ona nie żyje... Susan. To przeze mnie. Wszystko przeze mnie.

Już nie próbował ukryć łez, a Paul poczuł, że i jemu robi się nieswojo. A więc tak to było. Żalosa „love story” o chłopcu i dziewczynie, którzy poznali się i rozstali w całym tym wirze.

— To ten skurwysyn nas tego nauczył. A ja ją jeszcze namawiałem! Mówiłem jej, że to bezpieczne. Cóż ona o tym wiedziała? Zgodziła

się, by zrobić mi radość. Próbowała wierzyć, bo była sama i tylko mnie miała. Dzieciak... tak, przecież to był dzieciak. Wcale ją to nie ciągnęło. On nas uczył... a ona nie żyje. Niech pan wraca do tego swojego Tima i powie mu ode mnie, żeby go piekło pochłonęło. Paul wstał i stanął przy łóżku.

— Nie mam pojęcia, gdzie on jest, i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. A teraz słuchaj, Steve. Nie przyjechałem od Tima. Przyjechałem od twojego ojca.

— Mojego ojca? A cóż ten ma do tego?

— Może więcej, niż myślisz.

— Więc czemu sam się nie zjawił, skoro tak się mną przejmuje?

— Zjawi się. Nie później niż jutro.

— Ale wciąż nie wiem, kim pan jest i co pan tu robi?

— Co robię? Czasami miewam pomysły, a ten właśnie okazał się niezły.

— Ale czemu zadał pan sobie aż tyle trudu? Ten pokój, kolacja? To wszystko musi zdrowo kosztować?

— Czasami robi się coś dla znajomych. Dla nieznajomych też. Steve nic nie odpowiedział. Obserwując jego twarz, Paul

pomyślał, że przybiera ona kolejno wyraz zakłopotania, zdziwienia i niewiary. Nagle wybuchnął, jakby żal, złość i fizyczne zmęczenie zamieniły się w piorunującą mieszankę.

— Myślałeś, że tylko ty i twoi kolesie wiedzą, co to współczucie? A więc słuchaj, gówniarzu: twoi towarzysze bronili woleli, żebyś wyzionął ducha, niż żeby mieli narazić się na ryzyko. Są zimną, wyrachowaną szajką. A ta twoja Susan? Może wyjaśnisz mi, za co oddała życie, jeśli potrafisz?

— Za co? ... No... za to, żeby położyć kres tej wojnie — odparł półgłosem Steve.

— Sądziliśmy, że jeśli będziemy wysadzać w powietrze koszary, zaprzestaną poboru.

— I tylko o pobór wam chodziło? Nie, chcieliście zrobić tu rewolucję. Tamten dom był pełen bibuły. Nie zaprzeczaj! Twoja Susan właśnie za to zginęła.

Zapadła cisza. Na ulicy rozległ się klakson, na korytarzu czyjeś kroki, a oni wciąż milczeli.

— Rewolucję — powtórzył po długiej chwili Paul. — Tylko ciekawe jaką? Taką jak na Kubie, jak w Rosji? Każdemu wedle potrzeb, a na początek tajną policję. Ocknij się, chłopie. Za inteligentny jesteś na takie rzeczy. Ci, którzy się tobą posługiwali, też nie byli głupi: zaczęli od walki o słuszną sprawę, może i naprawdę słuszną

o zakończeniu tej wojny. Ale nie tędy droga. Bomby to żadne rozwiązanie. Chyba sam już o tym wiesz.

Steve przymknął oczy. Gdy znów je otworzył, wyrażały nieme cierpienie.

— Przekląłem Tima i wiem, że to wszystko przez niego — powiedział. — Ale mimo to wciąż zadaję sobie pytanie: czy on zawsze kłamał? Mówił, że świat jest pełen niesprawiedliwości... Gdyby go pan słyszał...

Paul nie chciał wyznać, że nieraz miał okazję słuchać Tima, więc odparł:

— Niejeden tyran zaczyna od wzniosłych słów. Ale zamiast słuchać, lepiej przyglądać się metodom.

Steve westchnął. Paul postanowił być bezlitosny.

— Czy było coś wzniosłego w śmierci Susan? — spytał.

— Jak ja z tym będę mógł żyć? — zaszlochał Steve. — Nigdy tego nie odkupię.

— Wszyscy musimy żyć ze sprawami, których nie da się odkupić

— powiedział Paul i szybko zmienił temat.

— Czy wiesz, jak dzielny był twój ojciec, gdy przyszły kłopoty?

— Wiem, tylko że ja uciekłem od tych kłopotów.

— Nie od kłopotów, Steve. Jeśli uciekłeś, to od tej waszej rewolucji. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Rozumiem. O to, że wyjazd do komuny był dezercją.

— Nazwij to, jak chcesz. Dlaczego zawsze wpadać z jednej skrajności w drugą? Trzeźwe jest zawsze to, co pośrodku. Nic w nadmiarze. No, może z wyjątkiem zdrowia. — Paul poczuł ukłucie promieniujące wzdłuż lewego ramienia. Gdy ustąpiło, dokończył:

— Najlepszy jest złoty środek. Jak choćby pokojowy protest przeciw wojnie. Pokojowy, co nie znaczy mazgajski.

— Ludzie o pana wyglądzie nieczęsto dziś tak mówią — uśmiechnął się Steve.

— Chodzi ci o to, że noszę garnitur? Posłuchaj: nie każdy musi paradować w łachmanach, ilekroć przyjdzie mu ochota wyrazić dezaprobatę dla polityki rządu. Co do mnie — teraz on się uśmiechnął — w garniturze czuję się dobrze, choć pewnie w to nie uwierzysz. Cuchną jak wszyscy diabli — dokończył, unosząc dwoma palcami dzinsy Steve'a. — Zmierzę je i kupię ci coś porządnego, zanim się nie wykurujesz.

— Wiesz, że przystojny z ciebie mężczyzna? — powiedział Paul.

— Teraz, gdy pozbyłeś się tej zbójeckiej brody, ludzie będą w stanie to wreszcie docenić.

Byli w połowie lunchu spożywanego w wytwornej hotelowej restauracji.

Steve najpierw uporał się z gigantycznym befsztykiem, a potem odpowiedział:

— Nigdy bym jej nie zgolił, gdyby nie to, że coś jestem panu winny.

— Nic, oprócz życia — mrugnął okiem Paul. — A tak przy okazji, przyszło mi na myśl, że mógłbym znaleźć ci robotę.

— W jakiej branży?

— Mózgowej. Słyszałem, że to twoja mocna broń. — Po tym, co przeżył ten chłopak, lepiej było rozmawiać z nim takim tonem.

— Pokój, polityka zagraniczna. Znam trochę ludzi. Mogę cię zarekomendować, jeśli cię to interesuje.

— A co konkretnie miałbym tam robić?

— Pion badawczy. Raporty, projekty ustawodawcze, plany perspektywiczne. Pokój, środowisko, walka z nędzą. Co ty na to?

— Niezłe — powiedział Steve po długim namyśle.

— Też tak sędzę. Zamieszkałbyś w Waszyngtonie, bo tam mają siedzibę. — Spojrzał na zegarek. — Już pierwsza. Ojciec pewnie jest już w drodze z lotniska. Więc jak? Mam zadzwonić do mojego człowieka w Waszyngtonie?

— Niech pan dzwoni i to szybko.

* **

Paul podniósł słuchawkę i zamyślił się. Podróż nie poszła na marne. Twoja podróż, Paul? — wrócił na ziemię. — Gdyby nie śmierć tej dziewczyny, nie poszłoby ci tak łatwo.

Patrzył w drzwi restauracji, gdzie Steve dojadł lunch. Ładnie mu było w garniturze, ale założenie krawata wiele musiało go kosztować. Powiedział, że to kaprański idiotyzm.

— Może i idiotyzm, ale musisz go nosić, jeśli chcesz pracować, a pracować musisz, jeśli chcesz jeść. — Przybił go tym argumentem.

Twardy chłopak. Ciekawe, po kim jest tak twardy? Gdyby tylko potrafił połączyć idealizm z twardością. Tak jak lisa. Nonsens. Co ma wspólnego Steve z Ilsa? Ale twardy jest i szkoda, żeby się zmarnował.

Wrócił uśmiechnięty do stolika.

— Mają dla ciebie pracę. Nawet za tydzień, jeśli czujesz się na siłach. Szczegóły później.

— Ale dlaczego pan to wszystko robi? Jak się panu odwdzięczę?

— Bądź dobry dla starych. To mi wystarczy. Nie musisz grać marnotrawnego syna. Wiem, że nigdy nie będziesz taki jak oni. Spróbuj tylko ich zrozumieć.

— Spróbuję, obiecuję panu.

— Masz tu czek. Kwota niewielka, ale w sam raz, żebyś mógł założyć sobie konto i przeżyć do pierwszej wypłaty.

— W sam raz. Nigdy nie miałem zbyt wygórowanych ambicji

— powiedział Steve. — Pieniądze niezbyt mnie kusiły.

— I słusznie, Steve. Wiem, że dasz sobie radę. A co do podziękowań, pamiętaj, że kiedyś nadstawiłem za ciebie karku. No, to graba i powodzenia.

Hotel był mały i zaciszny. Miał za to pergolę, pod którą serwowano drinki i popołudniową herbatę. Tam właśnie przysiedli syn i ojciec.

— Dwa lata. Kawał czasu. Stęskniliśmy się za tobą, Steve

— zaczął Theo.

— To moja wina.

Ojciec postarzał się. No i ta dłoń z kikutami palców.

— Nie musisz na nią patrzeć, Steve — powiedział Theo.

— Muszę. — Przemógł skurcz w gardle. — Wiem, co przeszli -ście, ty i matka. Ręka, praktyka, a do tego ja...

Theo podał mu serwetkę, by przetarł oczy. Steve poczuł wstyd i rzucił pośpiesznie:

— To wszystko przez to przeziębienie. Mam coś z oczami.

— Wiem, Steve — uśmiechnął się Theo. — Nie musisz się wstydić. Ty też swoje przeszedłeś. Paul powiedział mi o tej dziewczynie. Nie będziemy o tym mówić, ale chcę, żebyś wiedział, że ja też wiem, co czujesz.

— Paul? — spytał Steve. — Kim on właściwie jest? Dziwny człowiek.

— Nawet bardzo dziwny.

— Znacie się od dawna? Chyba nigdy nie bywał w naszym domu?

— Znajomy... powiedzmy, że znajomy z pracy. Stare dzieje. Wiesz, że nawet nie podziękowałem mu za to, co zrobił? Twoja matka jakby odżyła.

Steve poczuł nagle, że trzeba też zrobić coś dla ojca, a że nic lepszego nie przyszło mu na myśl, dołał herbaty i przysunął mu talerzyk z biszkoptami.

— Wszystko będzie dobrze, tato — powiedział równie nieoczekiwanie.

— Naprawdę skończyłeś z tamtymi ludźmi?

— Skończyłem. Im nie chodziło o pokój. Oni chcieli wojny... takiej w ich stylu.

Drogo zapłaciłem, by to zrozumieć.

— Nie ty jeden, Steve.

Theo położył dłoń na jego dłoni i długo tak siedzieli, wreszcie »pokojni i pogodzeni. Czas było ruszać.

— Samolot nam odleci — powiedział Steve i zrobił coś, czego nie robił od lat: ucałował ojca w policzek.

ROZDZIAŁ 22

— Zawsze słyszałem, że Tim i Steve byli najbystrzejsi wśród rodzeństwa. Co się stało z ich inteligencją? — spytał Paul.

— Nie wiem: kompleksy, nie spełnione nadzieje? Nazwij to, jak chcesz — odparła lisa. A najlepiej zostaw to już i ciesz się, że znów jesteś w domu. »

— Właśnie to robię — powiedział Paul, wyciągając się na kanapie. — Tylko że wciąż zastanawiam się, czy Tim to zwykły pionek, przestawiany przez tamtych u góry. Jeśli tak, to śmierć Martilliniego musiała nieźle nim potrząsnąć. A może on sam jest u góry?

Usa nie odpowiedziała. Patrzyła w migoczący ekran telewizora. Bawoły na ryżowych polach, biegnące ludziki, helikoptery, nosze, wybuchające pociski. Wszystko to pojawiało się i znikało na przemian.

— Czasami myślę, że tamci w Kambodży zapłacą straszną cenę, jeśli to my przegramy — westchnął Paul. — Trzeba było już dawno wynieść się stamtąd, skoro już tam weszliśmy, jak radził dobry stary Eisenhower. Tak, a może nie?

— Dość tego. — lisa wyłączyła telewizor. — Jutro wieczór jest w Central Parku koncert promenadowy i zjemy kolację na trawniku.

— Myślisz, że Tim jest kimś ważnym w tej ich międzynarodówce?

— Myślę, że jest — wzniosła oczy ku niebu. — Co życzysz sobie na piknik?

— Co gospodyni każe. Wszystko będzie smaczne. Ciekawe, co się z nim teraz dzieje?

— Nie przejmuj się nim. Jeśli nie ukrywa się gdzieś w Stanach, żyje sobie dostatnio w Libii, na Kubie, w Libanie lub w jakiejś zacisznej willi z widokiem na Morze Śródziemne.

— Myślisz, że świat dowie się jeszcze o nim i o jego kompanach?

— Paul, popatrz, jaki piękny wieczór. Czas wyprowadzić Lou. Przy okazji możesz postawić mi lody.

— Zostawmy ten temat — roześmiał się. — Zawsze postawisz na swoim. Weź smycz. Jeszcze jedno pytanie — zawahał się. — Ostatnie i już do tego nie wracamy. Chciałem poprosić Thea, żeby kiedyś nas zaprosił. Chyba jednak go poproszę. Bardzo bym chciał.

lisa podeszła i pogładziła go po policzku.

— Myślałem, że zaraz się najeżysz i powiesz, że igrasz z ogniem.

— Nie — szepnęła. — Co było prawdą kiedyś, nie musi być nią zawsze.

No, nieźle to wygląda — Iris pokiwała głową i raz jeszcze zlustrowała stół. Stół na dziesięć osób: w sam raz jak na możliwości ich jadalni. Theo, Filip i ona — jako gospodarze, a do tego Jimmy z żoną, Laura z mężem i oczywiście państwo Wernerowie, na cześć których wszyscy się tu dziś zebrali. Brakowało tylko Steve'a. Nie, nie brakowało — poprawiła się — po prostu był nieobecny.

Stół, przyozdobiony francuskim serwisem od Anny i haftowanym obrusem, wyglądał naprawdę imponująco i wprawdzie było im nieco ciasno, za to tym bardziej rodzinnie. Wernerowie przysłali rano kwiaty: pięć orchidei w koszyczku i z aplikacjami. Niewielkie, ale pewnie strasznie kosztowne i nieźle wybrane, skoro stół w ich jadalni nie pomieściłby wielkiego bukietu.

Wszyscy rozmawiali ze sobą równocześnie, a do uszu Iris dochodziły jedynie fragmenty zdań:

— ... przecież nikt nie wie, co przyniesie nam przyszłość — atakował Filip. — Nasz belfer od fizyki opowiadał, że gdy w 1937 roku spytano członków Amerykańskiej Akademii Nauk o wynalazki w najbliższym dziesięcioleciu, nikt nie wyprorokował radaru, silnika odrzutowego ani rozbitcia atomu...

— ... latają, i to jeszcze jak. Widzieliśmy je nawet na Cape Cod — to Laura. — I nie żadne motylki, tylko rusałki admirały! Wiecie, że potrafią dolecieć tam z Meksyku, przetrzymać i nawet się rozmnożyć?

Udały się jej dzieci. Wszystkie wykształcone, dorodne i kochane. Jimmy — stąpający mocno po ziemi, ale tak, by nikomu nie stanąć na

odcisk. Laura — czasem strasznie krnąbrna, ale bujająca w obłokach. Filip — już prawie pod wąsem, a do tego umiejący pogodzić się z życiem i przyjąć z uśmiechem jego wyzwanie. Czy nie ma prawa czuć odrobiny dumy? Nie, nie dumy — poprawiła się w myślach. — Wdzięczności. Wielkiej wdzięczności!

Pan Werner, siedzący po jej prawej ręce, pewnie czuje się zaniedbany.

— Piękne kwiaty. Sama nie wiem, jak państwu podziękować.

— A ja nie wiem, jak podziękować pani za ten list. Piękny i bardzo wzruszający.

— Naprawdę? Ciężko mi się pisało i mocno się nad nim napracowałam.

— Napracowała się pani? — spytał zaskoczony.

— I to strasznie. Nie wiedziałam, jak zacząć i jak wyrazić wdzięczność za wszystko, co pan zrobił. Cud, istny cud. Do rana nie opowiedziałabym panu, jaki ciężar spadł mi z serca. Mnie, mojemu mężowi...

— Powiedzmy, że i mnie — przerwał jej. — Zawsze lubiłem pomagać młodym. Kluby, letnie obozy, tanie budownictwo... takie tam sprawy. — Uśmiechnął się i popatrzył gdzieś przed siebie.

Gdy dziś po południu stanęli w drzwiach, zaskoczyło ją, że zaraz go poznała, choć przecież widziała go tylko parę razy w życiu, a i to przelotnie. Pomyślała sobie, że mężczyznę jego wzrostu i tak wytwornego nie sposób nie zapamiętać. Mało kto potrafi być tak elegancki, a równocześnie tak naturalny. — Może Theo — przyszło jej na myśl i teraz znów się uśmiechnęła.

— ... radiologia — kończyła swoje trzy grosze Janet. — Kobieta nie połączy pracy na urazówce z wychowywaniem dzieci.

— Ma pani świętą rację — przytaknęła lisa Werner. — Wiem, jak to jest na urazówce.

— A ty postawiłeś na chirurgię? — spytał Robbie Jima.

— Na to wygląda.

— Jak nie ojciec, to przynajmniej syn — uśmiechnął się Theo.

— Pani mąż wspaniale wszedł w nową specjalizację — zauważył Paul.

— Mój mąż to bardzo... mężny człowiek, panie Werner.

— Paul, jeśli pani pozwoli?

Powiedział to od serca i poczuła odrobinę winy. Przecież gdyby nie to, co zrobił dla Steve'a, zawsze pamiętałaby go jako mało sympatyczną postać. Tego, który pojawia się, znika, węszy — przypo-

mniały się jej własne określenia, gdy wtedy odjeżdżał spod domu matki. Czy nie miała pretensji do Anny za tamtą rozmowę z mężczyzną, który przecież był tylko jej dawnym znajomym? Poczwała się winna i trochę zawstydzona.

— Theo na pewno wspominał panu... wspominał ci, Paul, że Steve pisze do nas regularnie? — spytała, jakby chcąc nadrobić tamto, co było.

— Wspominał i bardzo się cieszę.

— Chyba dobrze się czuje w nowej pracy. To był wspaniały pomysł.

— Dobrze, że nie oczekuje od razu wszystkiego. Musi odbudować się, a to wymaga czasu.

— Lepiej odbudowywać niż wysadzać w powietrze.

— Właściwie — wtrącił się Theo — osobiście niczego nie wysadzał. Wyznał mi to, Iris.

— I chwala Bogu. — Uniosła wzrok i spojrzała na przeciwległą ścianę, gdzie wisiał teraz portret jej matki: ten sam, który, jak daleko sięgała pamięcią, wisiał nad kominkiem w bawialni jej rodziców. Theo uparł się, żeby powiesić go tutaj, na honorowej ścianie jadalni, żeby Anna w różowej wieczorowej sukni, sprowadzonej przez jej męża specjalnie z Paryża, mogła przyglądać się przy każdym posiłku jej potomstwu.

— Matka byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że wszystko nam się ułożyło — powiedziała Iris. — Bardzo się o nas martwiła.

— Jak każda matka.

— Tak, dobrych miałam rodziców. Czasami aż mi wstyd. Ile osiągnęli! Papa wychował się w izbie za sklepem na Lower East Side. Jego matka pracowała na nich wszystkich, gdy dziadek stracił wzrok. Może dlatego papa... gdy już mu się wiodło, wciąż czuł, że za mało nam daje. Chciał nadrobić wszystko, co jemu nie było dane. Mamie przychyliłby nieba.

Nagle spostrzegła, że twarz Wenera jakby stężała. Pomyślała, że pewnie zanudza go tymi rodzinnymi wspominkami i szybko zmieniła temat.

— A pan... a ty, Paul, też jesteś z Nowego Jorku?

— O czym tak dyskutujecie? — spytała lisa.

— Nie dyskutujemy. Pytałam Paula, czy też jest z Nowego Jorku.

— Od kołyski. I wiele mógłby wam opowiedzieć o tym mieście i czasach, których nikt z was nie pamięta — dodała lisa z nie ukrywaną dumą.

— Niech pan coś opowie — poprosił Robbie. — Jestem ze Środkowego Zachodu i, prawdę mówiąc, wciąż czuję się tu jak wsiok.

— Trudne zadanie. — Paul zamyślił się. — Tyle lat, tyle wspomnień. Pierwsze elektryczne tramwaje, katarzyniarze z małpkami, hotel Dakota na Central Park West. Gdy go zbudowali, był tak wysoki, że posługiwaliśmy się nim jak kompasem. Wystarczyło podnieść głowę i już wiedziałeś, gdzie jesteś. Mojej babci zawsze przypominał grobowiec, ale jej syn — mój ojciec — już mówił, że ma klasę i że kiedyś całe West Side będzie takie. Całe, aż po rzekę Hudson, gdzie pasły się kozy.

— Kozy? — wybuchnęła śmiechem Laura.

— Nie bujam — mówił dalej, nie mniej rozbawiony niż Laura.

— Nad Hudsonem każdy coś uprawiał, a kozy pasły się przy domach. Kiedyś marzyłem, żeby mieszkać w takim domku. Teraz sędzę

— zamyślił się — że były to mimo wszystko pospolite slumsy.

— A dla mnie Nowy Jork to bomba — przerwała zadumę Janet.

— Nie mogę się doczekać, kiedy tu zamieszkamy.

— A ja, kiedy się stąd wyniesiemy — zachnęła się Laura. — Ja i Robbie musimy mieć blisko przyrodę.

— Za to wasi rodzice mają złoty środek — powiedział Theo.

— Polubili i dom, i ogródek. Choć kto wie, czy już nie czas znaleźć sobie coś większego i bardziej zielonego.

— I z basenem — dodała Iris. — Żebyś mógł sobie popływać.

— Basen jest zbyt kosztowny.

— Ale zapracowany. Wiem, czym był dla ciebie, i wiem, że ci się należy.

Pracował ostro, zarabiał niemało i zasłużył sobie na odrobinę zbytku. Zaskoczyło ją, że Paul Werner jest podobnego zdania.

— Oczywiście, że należy mu się. Tobie też, za cały ten mozół.

— Mozół? O czym ty mówisz?

— O doktoracie. Theo wspomniał mi, że już go prawie napisał.

— To nie mozół, a czysta przyjemność — zastrzegła się, choć mile ją to polechtało.

Pojawił się deser, a wraz z nim mus cytrynowy i konfitury z malin.

— Produkcja Laury — obwieściła Iris. — Przepis oczywiście rodzinny. Moja babcia była niezrównaną kucharką — wyjaśniła Paulowi.

Obiad dobiegł końca i wszyscy przeszli do bawialni. Theo podał trunki, Filip zgodził się wykonać na fortepianie kilka jazzowych

standardów, a Jimmy, mający rzadką pamięć do kawałów, zaczął sypać nimi jak z rękawa.

Ciepło im było, ciepło i rodzinnie. Najbardziej czuła to Iris. Czemu nie zaprosili wcześniej tego Paula Wenera?

— Czemu dopiero dziś? — spytała przed południem Thea, gdy zastanawiali się, co na siebie włożyć. — Przecież wiesz, że już nie jestem do niego uprzedzona. Po tym, co dla nas zrobił?

— Nie w tym rzecz, Iris. Nie byłem pewny, czy chce nas odwiedzić.

— Nie sądziłeś? A niby czemu? Przecież nie jesteśmy aż takimi pustelnikami?

Theo nic na to nie odpowiedział. Nieważne. Ważne, że wpadli i trzeba koniecznie znów ich zaprosić.

Pożegnali się, wyściskali, goście skomplementowali gospodynię za wspaniałą ucztę, a cały dom za gościnność. Iris patrzyła, jak Theo odprowadza ich do samochodu.

— Bardzo miły człowiek — powiedziała, gdy wrócił. — Od razu poczułam się, jakbyśmy się znali od wieków. Ta jego żona też bardzo miła. Widać, że strasznie go kocha.

— Chyba w ogóle było miło — rzekł Theo, gdy byli już w sypialni.

— Miło? Wspaniale! Tylko ty tak mało się odzywałeś. Zawsze jesteś duszą towarzystwa, a dziś siedziałeś na uboczu i tylko się przysłuchiwałeś. Coś złego, Theo?

— Nic. Naprawdę tak to wyglądało? Słuchałem sobie, co opowiada Paul.

— A było czego posłuchać. Czarujący człowiek. Czarujący i z werwą. Nie chce mi się wierzyć, że kiedyś go nie lubiłam.

Gdy tak sobie rozmawiali, Paul i lisa byli już na nowojorskiej obwodnicy. Dla Paula ten wieczór był spełnieniem marzeń gromadzonych przez tyle lat, że wciąż nie wierzył, iż wszystko to było naprawdę.

— Urocza kobieta... urocza — powtarzał. — Tak jak ich cała rodzina. Widziałeś, jak kochają się ci młodzi? Jimmy to twardy chłopak, w moim stylu. Musiał być im podporą, gdy mieli problemy z tamtym starszym. Ale coś mi mówi, że i starszy wyjdzie na ludzi. Nie, żeby jadł im z ręki... Na to jest zbyt pyskaty. Najważniejsze, że dobrze się czuje w nowej pracy. Dopnie swego. Tamci na pewno też. Ten malec od fortepianu ma dobrze poukładane w głowie. A Laura... — przerwał i zamyślił się. Wykapana

Anna... prawie Anna. Tak, Anno, miałaś rację, że wybrałaś ich zamiast wrócić do mnie. Wiedziałaś, że tak będzie lepiej. Wiedziałaś, że tylko tak zbudujesz im dom.

Uśmiechnął się w mroku rozświetlonym tylko migaczami deski rozdzielczej.

Ale trochę w tym i mojej zasługi — pomyślał. — Gdybym wtedy nie zaszedł do gabinetu Thea? Gdyby wszystko im się rozsypało? Ale zaszedłem i dzisiejszy wieczór, to, że znów są razem, jest tego efektem. Znów są razem... Theo i Iris. Nawet ślepy by to spostrzegł.

— Co cię tak bawi? — spytała lisa.

— Nic. Po prostu jest mi dobrze. Cały ten wieczór...

— Mnie też, Paul.

— Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś nas zaproszą?

— I to nie raz.

Światła obwodnicy padły na twarz lisy i spostrzegł, jak bardzo go kocha.

— Szkoda, że nie możemy tak jechać bez końca — powiedział.

Po kilku dniach ból wrócił i zabrano go do szpitala.

Trafił na oddział intensywnej terapii. Chyba coś stało się z jego mózgiem, bo z wielkim trudem budował zdania. Zastanawiał się, czy to zawał i udar sprzysięgły się przeciw niemu. Spróbował nieśmiało poruszyć kończynami. Udało się, a więc nie był sparaliżowany. Westchnął z ulgą.

Co chwilę ktoś wchodził i wychodził. Dochodziły doń ściszone, pełne niepokoju głosy. Nie musiał otwierać oczu, by czuć, że ktoś jest przy jego łóżku. Wiedział, że lisa jest tam stale. Theo chyba też. Leę rozpoznawał po brzęczeniu bransoletek i nawet go to trochę bawiło. Meg po głosie. Żałował, że nie ma też Iris i jej dzieci, ale niby dlaczego mieliby tu być? Przecież to tylko znajomi. Dalecy znajomi.

Pewnego ranka ocknął się i zobaczył piwne, wilgotne oczy stażystki, chyba Hinduski.

— Zbudził się — usłyszał głos lisy.

— Ilso, mam prośbę — wyszeptał, gdy pochyliła się nad nim.

— Pies. Daj go Meg. Kiedy wracasz do Izraela?

— Do Izraela? A kto mówi, że się tam wybieram?

— Wrócisz tam. Ja też tego chcę. Jesteś tu, bo wiesz, że to już niedługo.

Odplynał. Tysiące zapalających się i gasnących obrazów przebiegały mu przez mózg. Wszystkie skrzące się i kolorowe: babcia Angelika we wdowich brokatch, Meg w kolejnym — ile ona właściwie ich miała? — połogu, młoda lisa z czarnymi włosami odcinającymi się od białego, lekarskiego fartucha. Anna — powracająca nieustannie Anna, w złocie i karminie. Iris... twarz Iris... twarz...

— Uśmiecha się — głos pielęgniarki dobiegł gdzieś wysoko z góry.

— Złudzenie — odparł czyjś inny głos. — W takim stanie nikt się nie uśmiecha.

Ktoś kiedyś mówił mu, że ludzie w letargu nie słyszą i nie rozumieją niczego. Żałował, że nie może powiedzieć, iż to nieprawda, że wszystko słyszy i wszystko rozumie. Ale nie miał już sił, a zresztą, czy to było aż tak ważne? Jestem stary, strasznie stary — pomyślał.

— Życie to piękna rzecz, ale jak długo można.

* * *

Pochowano go w Westchester, w złote, słoneczne jesienne przedpołudnie. Dzień był bezwietrzny i ostatnie liście klonów spadały ociężale na granitowy grobowiec kryjący dwa pokolenia rodziny Wernerów.

Theo był zdziwiony, że zebrał się aż taki tłum. Prawie setka ludzi szła w kondukcje. Młodzi biznesmeni z Wall Street, stateczne małżeństwa, delegacja czarnych w garniturach i w krawatach — pewnie jakaś społeczność, którą wspomagał? — a nawet młodzi długowłosi w dzinsach. A przecież nikt z nich nie był jego potomkiem. Nikt, z wyjątkiem Iris.

Rabin poprosił rodzinę, by się zbliżyła. Pierwsza podeszła lisa w czarnym, pasującym do jej smukłej figury kostiumie, nieugięta, choć na jej marmurowej twarzy znać było ból. Obok niej stała kobieta w nieokreślonym wieku i w stroju z Dzikiego Zachodu, z siwymi, upiętymi w koński ogon włosami. Obok nich dwa małżeństwa; oba

niemłode, ale jedno wielkemiejskie i eleganckie, drugie wyglądające na przybyszów z prowincji. Kobieta z drugiej pary miała różową, brytyjską karnację, a ubrana była w znoszony samodziąłowy kostium i buty na płaskim obcasie.

— Chodź tu do nas, Lea — powiedziała szeptem.

— To Lea, ta od magazynu mody — szepnęła Iris. Teraz przyglądała się tylko z ciekawością. Sklep i tamta wizyta już dawno odeszły w przeszłość.

Rabin rozpoczął kadisz. Szmer towarzyszących mu głosów wypełnił zalegającą pod drzewami ciszę.

Przedziwna modlitwa — pomyślała Iris. — Podziękowanie za śmierć i żadnej prośby o nagrodę w niebie. Samo podziękowanie. Dziwne, bardzo dziwne. — Poczwała łzy w oczach.

Theo był pewny, że wspomina swoich rodziców. Ale czy nie płakała nawet na ślubie własnych dzieci? Wrażliwa ta Iris. Wziął ją za rękę i pomyślał, że ze wszystkich zgromadzonych tu ludzi tylko on jeden zna całą prawdę o niej.

Prawdę? Dzisiejsza młodzież — może nie cała młodzież, ale na pewno połowa mieszkańców tej światowej metropolii — przyjęłaby tę prawdę ze wzruszeniem ramion. Ale on obiecał, a złamanie obietnicy nie tylko uderzyłoby w Iris, ale i jego skazałoby na dożywotnie wyrzuty sumienia wobec Anny. Przypomniał sobie wyraźnie jej złote, nieprzeniknione oczy, jakby stała tuż obok. Nie tylko wobec Anny. Również wobec mężczyzny, którego ciało spocznie za chwilę w małym, kamiennym domu.

Nie. Nigdy. Tę prawdę trzeba będzie zabrać kiedyś do własnego małego, kamiennego domu.

Ceremonia skończyła się i ludzie zaczęli powoli się rozchodzić alejkami do zaparkowanych samochodów.

Theo usłyszał dobiegający spoza pleców kobiety głos:

— Tyle dla nas zrobił. Dla każdego w naszej rodzinie. Dawał i nigdy nie chciał nic w zamian.

— A więc wracasz do Izraela, Ilso? — dobiegł go inny głos.

— Wracam. Sam tego chciał.

Gdy go mijała, spostrzegł zwisający na jej szyi wisiołek. Miniaturowy medalion oprawiony w złoto i brylanciki, mieniący się na tle czarnego aksamitu. Przeszło mu przez myśl, że gdzieś, kiedyś, w innym świecie, jego matka nosiła coś podobnego.

Zapalił silnik i ruszyli. Okolice zachowała jeszcze sporo z wiejskich uroków: zagajniki, pola zielone mimo zbliżającej się jesieni. Na

jedno z nich opadło właśnie z krzykiem i łopotem skrzydeł zmierzające na południe stado kanadyjskich gęsi.

— Widziałeś je? — zawołała Iris. — Stańmy na chwilę i obejrzyjmy je sobie. Rzadki widok!

Gdy wyszli z wozu i zeszli skarpą na łąkę, spytała:

— Pamiętasz, jak moja matka lubiła ptaki? Wszystko, co lata: od papugi po orła.

Gęsi przechadzały się, rozprostowując skrzydła. Słońce nie prażyło, a nawet nie grzało. Było chłodne niczym kąpiel po ciężkim dniu. Oparł dłoń na ramieniu Iris, opuścił na jej biodro i mocno przytulił żonę do siebie.

— Kochany z ciebie chłop, Theo — powiedziała.

Uniósł jej twarz i długo trzymał przy swoich ustach. Było im ciepło, a ciszę przerywały tylko przejeżdżające nad skarpą samochody i łopotanie dzikich gęsi.

— Tak mi tu dobrze — powiedziała Iris, gdy ich twarze oddaliły się. — To pewnie paskudne, co mówię, tak prosto z pogrzebu?

— Nie, to normalne. Przecież ludzie zapraszają swoich bliskich na stypy. A wiesz, czemu? Żeby radować się, iż sami żyją i mają jeszcze przed sobą trochę życia. Tak to już jest.

— Stypa stypą, ale nie żeby zaraz się całować — dodała zażenowana. — I to po pogrzebie takiego człowieka jak on.

— Wybaczyłby nam — odparł poważnie Theo. — Wiele wiedział o tych sprawach.

Pomyślał, że właściwie sam mało o nim wie. Przypomniał mu się tylko ten dziwny uśmiech Paula, jakby puszczał oko do całego świata.

— A ja tak źle o nim mówiłam. Nawet gdy już mi powiedziałeś, że wybiera się na poszukiwanie Steve'a. Błąd mego życia!

— Wszyscy czasem popełniamy błędy. Nie warto już się tym zamartwiać.

— Naprawdę chciałam go raz jeszcze zaprosić. Chyba świetnie się u nas czuł, prawda Theo? I wiesz, że chyba na mnie zwrócił szczególną uwagę. Nie, nie to, co myślisz. Po prostu patrzył na mnie i choć normalnie byłoby mi głupio, wtedy wcale mi nie było. Dziwnie patrzył. Dziwnie i jakby... z serca. Nie wiem, jak ci to opisać. Wtedy nawet nie chciałam ci o tym mówić, bo byłoby to śmieszne.

— Może nie tak bardzo śmieszne.

— A wiesz, co mi powiedział, gdy wychodzili od nas? Powiedział: „Niech cię Bóg ma w swojej opiece”. Słyszałeś, żeby goście żegnali tak gospodarzy? Całkiem serio to powiedział. Nie sądzisz, że to dziwne, Theo?

— Czy ja wiem? Może z kimś mu się skojarzyłaś? Zresztą, co my wiemy o ludziach. No, Iris. Pora do domu.